



ELIOT PATTISON

Autor Grzechoczący kośćmi

Okno kruka



HESPEROS

ELIOT PATTISON

Okno
kruka

Przełożył
Zbigniew A. Królicki



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2011

*Dla Connora,
który karmi moją muzę.*

Rozdział 1

Kwiecień 1760
Dzikie ostępy Pensylwanii

Znajdowali się na najkrwawszej ziemi krwawej wojny i żadna ze stron tego wielkiego światowego konfliktu nie zamierzała okazać litości. Przy każdym kroku, jaki stary Indianin stawiał w uśpionym obozie wroga, Duncanowi McCallumowi serce stawało w gardle. Błagał Conawago, aby trzymał się z dala od obozowiska nieprzyjaciół, obiecał mu, że wróci z nim przy następnej pełni księżyca, ale jego towarzysz nie chciał czekać. Dla Conawago nie miało większego znaczenia to, że Huroni obozujący tam z Francuzami upiekliby go żywcem, gdyby złapali go skradającego się przez ich obóz. Conawago upierał się, że duchy umieściły tam ich wroga, aby sprawdzić jego determinację. Prosił młodego Szkota, aby mu nie towarzyszył. Nie miał chwili do stracenia – szukał ratunku dla swoich plemion, a matka go nauczyła, że święta ochra, którą musiał wziąć ze skalnej półki koło obozowiska, ma największą moc, kiedy zostaje zebrana przy pełni księżyca.

Duncan ze strachem obserwował, jak Conawago prześlizguje się między namiotami francuskich oficerów i mija kolejne śpiące postacie, a jego lina koszuła świeci w blasku księżyca jak latarnia morska. Kiedy wyłonił się z ciemności, Duncan zobaczył, że przyjaciel ściska w rękę nie tkwiący za pasem tomahawk, ale zwisający z szyi amulet. Mężczyzna o blond lokach poruszył się przy dogasającym ognisku, gdy Conawago przechodził obok. Duncan podrzucił długą strzelbę do ramienia i trzymał na muszce francuskiego żołnierza, dopóki ten ponownie nie znieruchomiał pod kocem.

Natarczywy głos lelka krzykliwego dobiegł z drugiej strony obozowiska, gdzie Duncan ostatni raz widział wartownika Huronów. Nagle odpowiedział mu drugi ptak, znacznie bliżej, i Duncan przywarł plecami do drzewa, napinając wszystkie mięśnie, wszystkie nerwy ciała. Nie spodziewał się drugiego wartownika, ale teraz wiedział, że ten tam jest, niedaleko skalnej ściany, do której zmierzał Conawago. Duncan pochylił się i powolnymi, cichymi krokami ruszył przez górskie wawrzyny. Nie dalej niż kilka miesięcy wcześniej hałasowałby jak zabląkana krowa w zaroślach i byłby martwy po kilku pierwszych krokach tak blisko wroga. Jednak po tylu miesiącach spędzonych w dziczy razem z Conawago ten oznajmił, że Duncan nie jest już szkockim górąlem, ale leśnym Szkotem.

Wysoki, muskularny Huron stał w zaroślach, obserwując nie obozowisko, lecz las. Indianin był zwrócony plecami do Duncana i przechylał głowę, jakby wyczuł coś w

głębi ciemnej puszczy. Z sercem łomoczącym w piersi, Duncan bezszelestnie podniósł tomahawk. Gdyby nie unieszkodliwił wartownika jednym uderzeniem, ten wszcząłby alarm. Jednak kiedy Duncan zamierzył się do ciosu, wartownik nagle stęknął z bólu, złapał się za głowę i gwałtownie szarpnięty w dół, znikł w zaroślach. Duncan usłyszał słaby jęk, a potem szelest liści, cichy jak odgłos czmychającej myszy.

Wartownik był nieprzytomny, kiedy Duncan do niego dotarł. Tuzin gorączkowych myśli przemknęło mu przez głowę: że tropił ich jakiś nocny drapieżnik, że natknęli się na gniazdo jadowitych żmij, że wraz z Conawago zaraz znajdą się w ogniu bitwy pomiędzy Huronami a ich zaprzysiężonymi wrogami – Irokezami. Potem zobaczył, że jego przyjaciel dotarł do nieosłoniętej skalnej półki, na której znajdowała się ochra. Opanował strach i pospieszył pomóc Conawago wydobyć święty żółty proszek.

Kiedy jednak dotarł do skalnej ściany, jego towarzysz nie wykopywał ochry. Mając w pobliżu dwa tuziny żądnych krwi wrogów, klęczał z rękami wyciągniętymi na wysokości talii i dłońmi zwróconymi wnętrzami w górę, cicho przemawiając do księżycyca.

– Na wszystko, co święte, wykop to! – wyszeptał Duncan, obserwując uśpiony obóz i rozpaczliwie usiłując się domyślić, gdzie jest drugi wartownik.

– Wszystko, co święte, powie mi, czy jestem godny – odpowiedział powoli Conawago. Wielomiesięczna misja zmierzająca do ponownego połączenia plemion z bogami, którzy wyraźnie ich opuścili, mogła być najpilniejszym zadaniem jego życia, ale nie zamierzał popędzać duchów.

Czekał na znak.

Duncan w ponurym wyczekiwaniu spoglądał na obóz. Teraz już na pewno nie zdołają uciec stąd niepostrzeżenie. Nie chciał jednak przeszkadzać temu odważnemu członkowi starszyny, który tak niesamowicie przypominał mu jego ukochanego dziadka i istotnie był dla niego jak dziadek, a nawet ojciec. Plemię Duncana również zostało opuszczone przez swoich bogów wiele lat wcześniej na wyżynach Szkocji i niemal wyginęło za sprawą chciwych europejskich władców. Duncan nie miał okazji oddać życia za swój klan w Szkocji, ale nie zawahałby się go ofiarować, aby ochronić łagodnego starego Nipmuka.

Wyjął nóż ze skórzanej pochwy przymocowanej do pasa, a potem klęknął i oparł lufę strzelby na głazie, kierując ją ku obozowisku. Wojowniczy Huroni, zawsze pomalowani krwią, ruszą pierwsi, wyjąc jak potępieńcy, aby nakarmić ciało wroga demony wyrzeźbione na głowniach swych toporów.

Usłyszał wyszeptane krótkie słowo podziękowania, spojrzął w górę i zobaczył samotną gęś przelatującą na tle tarczy księżycyca. Conawago rozłożył kwadrat skóry pod żyłą ochry i zaczął wydłubywać ją nożem.

Biegli truchtem na zachód starym szlakiem, który łączył ziemię ojczystą Irokezów na północy z zachodnią częścią Ohio. Pierwsze szare światło dnia sączyło się przez dęby i świerki, gdy Conawago niespodziewanie zwolnił. Nagle chwycił tomahawk o długim stylisku i zakręcił nim w powietrzu, jakby zamierzał w kogoś rzucić. Duncan

podniósł strzelbę do ramienia, instynktownie odwodząc kurek. Conawago przesunął na plecy sakwę ze zdobytą z trudem ochrą, aby ją chronić, i wydawało się, że ruszy naprzód, gdy na ścieżce przed sobą zauważył błady owalny przedmiot.

Duncan nigdy wcześniej nie widział Conawago pokonanego, lecz teraz, gdy stary Indianin ujrzał czerwone symbole wymalowane na skorupie żółwia, z jego ust dobył się jęk. Cofnął się o krok i jakby się skurczył, kiedy z ciemności wyszedł wysoki wojownik. Nieznajomy nie miał żadnej broni poza myśliwskim nożem, zawieszonym na rzemieniu na nagiej piersi, błysk w jego oczach zdradzał jednak nieprzyjazne zamiary. Conawago upuścił tomahawk na ziemię i skinął na Duncana, aby opuścił broń, mamrocząc jedno słowo – Onondaga – nazwę jednego z zaprzyjaźnionych Sześciu Plemion, Irokezów.

Mężczyzna nie wyglądał jednak na sprzymierzeńca. Stał spięty, zaciskając pięści, jakby zamierzał skoczyć na starca.

Duncan usunął się na bok, gotowy zareagować, kiedy nieznajomy zaatakuje. Zobaczył teraz tatuaż żółwia, który pokrywał połowę twarzy obcego, zawile wzory wymalowane na jego rękach i klatce piersiowej, widoczne pod niezapiętą kamizelką bez rękawów, która opadała na nogawice z kozłej skóry i przepaską na biodra. Nieznajomy nie był zwyczajnym wojownikiem, ale przywódcą jednej z tajemnych organizacji plemiennych. Duncan szukał w pamięci wszystkiego, czego dowiedział się o plemieniu Onondaga podczas miesięcy spędzonych z Conawago. Byli opiekunami ogniska Konfederacji Irokezów, arbitrami sporów i strażnikami starożytnych sekretów, które wiązały plemiona z ich przeszłością.

– Wódz Klanu Żółwia – powiedział Conawago, jakby to miało uspokoić Duncana.

– Jesteś wyrzutkiem! – syknął przybysz. – Od narodzin naszego ludu nasze totemy były bezpieczne, czczone przez nas w modlitwach i chronione przez bogów. Teraz je kradniesz jak pospolity złodziej! Plujesz na naszych bogów! Nie jesteś już chroniony przez *Haudenosaunee*!

Duncan zobaczył udrękę, która odmalowała się na twarzy jego przyjaciela, jak fizyczny ból ściągając jego rysy. Myślami cofnął się o miesiąc do małej jaskini nad jednym z długich jezior na zachód od Nowego Jorku, której wejście było otoczone czaszkami i piórami. Nad otworem znajdowała się duża skorupa żółwia z namalowanymi symbolami identycznymi jak te, które widzieli teraz. Conawago nalegał, aby Duncan poczekał na zewnątrz, kiedy on wejdzie do jaskini. Stary Indianin spędził poprzedni dzień na rytuałach oczyszczenia w źródle górskim, a przez większość nocy odmawiał modlitwy w języku swych ojców. Później w oczach Conawago Duncan widział jednak cień wątpliwości, który nie zniknął przez wiele dni, a teraz pojawienie się wodza klanu najwyraźniej wyzwoliło to samo uczucie.

– Relikwia, którą pożyczyłem, została tam zostawiona przez moją matkę przed wieloma laty, kiedy byłem chłopcem – spokojnie wyjaśnił Conawago, wyciągając spod koszuli glinianą figurkę mężczyzny, którą miał zawieszoną na rzemieniu na szyi. – Tę figurkę zrobiła matka mojego plemienia Nipmuków u zarania naszych dni.

Duncan nieznacznie przesunął się naprzód, usiłując nadażyć za słowami Irokeza. Robiąc to, zerknął w mrok, wyczuwając, że są obserwowani.

– Została powierzona mojemu klanowi dla wszystkich *Haudenosaunee* – powiedział mężczyzna, używając nazwy, jaką w języku jego ludu nosiły plemiona nazywane przez Europejczyków Irokezami. – Złożyłem przysięgę krwi, że będę ją chronił.

– Ona nie jest niczyją własnością – odparował Conawago. – Kiedy mój ojciec umarł, matka zaniósła ją do świętej jaskini, aby oddać cześć jego ludowi Mohawków. Należy ona jednak do wszystkich leśnych plemion, do wszystkich plemion, które opuścili bogowie.

– Nasi bogowie pozostają z nami! Od nikogo się nie odwrócili!

– Otwórz oczy! Podczas gdy my toczymy wojnę za Europejczyków, nasze kobiety i dzieci umierają na europejskie choroby – mówił z pasją Conawago. – Opowieści naszego ludu przekazywano z pokolenia na pokolenie, ale teraz brytyjski rum uczynił naszych młodych głuchymi na słowa starszych. Nasi ludzie stali się uzależnieni od dóbr, których nie potrafią wytworzyć. Europejczycy zagarniają naszą ziemię, jakbyśmy nie istnieli. Moi Nipmukowie są jak zeszlóroczne liście zwiane z drzewa. Bogowie oddalają się, zapominając o nas, ponieważ my zapomnieliśmy o nich.

Twarz nieznajomego zachmurzyła się na moment, a potem jego spojrzenie powędrowało z powrotem do glinianego posążka.

– Widziałem tamtego dnia, jak opuszczasz jaskinię, ale nie mogłem cię śledzić. Myślę, że – dodał groźnym tonem, przechodząc na chwilę na angielski, jakby chciał, żeby Duncan to zrozumiał – ukradłeś święty amulet tylko po to, żeby sprzedać go jakiemuś Anglikowi. Skanawati do tego nie dopuści.

– On tylko wziął swój rodzinny totem! – zaprotestował Duncan.

Nie pozwoli temu nieznajomemu obrażać Conawago.

Tamten złapał rękojęść noża. Conawago przysunął się do Duncana i wyraz zwątpienia na jego twarzy stał się wyraźniejszy. Wydawało się, że jest wstrząśnięty. Podniósł rękę i dał Duncanowi znak, żeby się odsunął.

– Posążek nie należy do nikogo – powtórzył Conawago, pokazując figurkę. – Jednak gdy powróci do swej towarzyszki, zyska nową siłę – mówiąc to, wsunął dłoń do sakwy przy pasie i wyjął z niej drugą figurkę prawie identyczną jak pierwsza, aczkolwiek najwyraźniej przedstawiającą kobietę.

Widok drugiego reliktu uciszył Onondagę. Wpatrywał się weń przez chwilę, a potem westchnął i opadł na leżące obok zwalone drzewo.

– Czego szukasz, starcze?

Uwagi Duncana nie umknął nieznaczny ruch jego ręki, znak dany komuś w mroku.

– Każdego dnia i każdej nocy rozmawiam ze starymi duchami, wspominając je z obrzędów, które znałem jako dziecko. Wycieram kurz z ich uszu, wyjmuję ciernie z oczu. Wymawiam imiona niesłyszane od lat.

– To obowiązek plemienia Onondaga. – W głosie przeciwnika nie było już gniewu, ale raczej rosnący ból. – Nie jesteś nawet *Haudenosaunee*.

Oczy Conawago zapłonęły. Szarpnięciem rozchylił koszulę, odsłaniając wytatuowanego na lewej piersi wilka.

– Urodziłem się z rodziców z plemienia Mohawków i Nipmuków – oznajmił dumnie, aby usłyszał go cały las. – Jako krewny Króla Hendricka – dodał, mówiąc o ukochanym starym wodzu, który zmarł wcześniej w trakcie wojny, mając ponad osiemdziesiąt lat i prowadząc irokeskich wojowników przeciwko Francuzom. – Byłem na dworze francuskiego króla, dostawałem medale od angielskiego króla. Polowałem na bizona, gdy jeszcze pasły się na brzegach rzeki Hudson, rozmawiałem z ludźmi, którzy znali wielkiego Champlaina. I zostałem uznany za członka klanu wilka Mohawków, zanim ty skosztowałeś mleka swojej matki – rzekł z naciskiem, pokazując tatuaż.

Duncan rzadko widział przyjaciela tak wzburzonego. Wydawało się, że ci dwaj Indianie tak na siebie działali, ujawniając zazwyczaj głęboko skrywane emocje.

Jednak to nie te gwałtowne słowa zdusiły protest Skanawatiego. Jego oczy zaokrągliły się ze zdumienia, gdy odchylił koszulę Conawago, odkrywając drugi tatuaż na lewym ramieniu, przedstawiający słońce z długimi promieniami rozciągającymi się od barku aż na klatkę piersiową. Przesunął po nim palcami, ledwie dotykając opuszkami, jakby wyczuwając jakąś emanującą z niego siłę, a potem spojrzał na surową twarz Conawago i znów na tatuaż, zanim odzyskał głos.

– Sądziłem, iż żaden żywy człowiek nie nosi już znaku gońców świtu – oznajmił z szacunkiem.

Jak Duncan dowiedział się przed kilkoma miesiącami, kiedy zobaczył tatuaż na ciele martwego przyjaciela Conawago, taki znak nosili jedynie nieliczni wybrańcy, którzy dopełnili starodawnego rytuału, zdradliwego i czasem śmiertelnego dwudziestoczęterogodzinnego biegu przez góry, mokradła i lasy, mającego połączyć i wzmocnić świątynie leśnych bogów.

– Byłem ostatnim, który go otrzymał – rzekł Conawago. – Bogowie wiedzą, że o nich zapomnieliśmy – powtórzył.

– Myślałem, że to jedna z zaginionych rzeczy. Znasz miejsca pościgu, słowa, które muszą zostać powiedziane? – zapytał z nagłym ożywieniem Skanawati.

Conawago powoli skinął głową.

– Czemu nie dzielisz się tym z naszym ludem?

– Nie noszę tego dla dumy ani chwały.

– Potrzebujemy świętych ludzi.

– Zrobiłem zbyt wiele nieświętych rzeczy w życiu, aby takim pozostać.

Skanawati melancholijnie spojrzał na bożka na skórzanym rzemieniu i powoli skinął głową, jakby aż za dobrze rozumiał to wyjaśnienie.

Duncan na nowo oceniał wodza. Emanowała z niego moc, nawet kiedy pozostawał w bezruchu. Był wojownikiem w sile wieku, a jego spojrzenie zdradzało żywą inteligencję.

– Wróć ze mną, możemy połączyć tych dwoje bogów w jaskini. Nauczysz mnie. – A gdy Conawago nie odpowiedział, Skanawati wyglądał na dziwnie zawstydzonego.

Przez chwilę w długich cieniach świtu wódz Irokezów wydawał się starszy, niż był w rzeczywistości. – Zatem pozwól, żebym ci pomógł. – Wskazał na Duncana. – Mogę wziąć twojego niewolnika i dostać za niego dużo skór w Ohio.

Duncan w żaden sposób nie pokazał po sobie, że zrozumiał te słowa, jedynie odwzajemnił poważne spojrzenie Conawago, gdy przyjaciel zdawał się rozważać tę propozycję.

W końcu stary Indianin wzruszył ramionami.

– Na razie go zatrzymam. Jest niezdarny, ale zbiera mi drewno na opał i gotuje króliki.

Irokez z pogardą przyjrzał się Duncanowi, a potem też wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że Conawago pożałuje swojej decyzji. Cofnął się o krok, przystanął, a potem wyjął zza pasa owinięte w futro zawiniątko i wręczył Conawago. Było to coś, co plemiona nazywały lekami, woreczek ze świętymi rzeczami zebranych w lesie.

Conawago z powagą przyjął podarunek, objął go dłońmi, a potem przycisnął do serca.

– Nie powiedziałaś, co sprowadza cię tak daleko od twego długiego domu.

Skanawati w milczeniu wpatrywał się w las, zastanawiając się, czy odpowiedzieć.

– Ścieżka Wojowników się zmienia – rzekł w końcu, używając nazwy szlaku, na którym stali. – Tracimy tu wojowników – wytłumaczył wódz, a jego głos przybrał niepokojąco ponury ton. – Znajdujemy ich ciała obok świętych drzew, okaleczone jak przez drapieżnika. Czasem nieżyjący są Europejczykami – rzekł z wahaniem. Spojrzał na Conawago i Duncana, przyglądając się im uważnie, zanim znów przemówił: – Moja matka miała sen.

Duncan popatrzył na Irokeza. Była to zaskakująca wypowiedź. Sny były dla Indian bardzo osobistą sprawą. Duchy przemawiały do nich przez sny, łącząc ich ze światem po drugiej stronie śmierci. Sny były przeznaczeniem, snów należało słuchać.

Mówiąc to, Skanawati spojrzał na tatuaż gońca świtu. Jeśli Irokez trzymał w dłoni sznurek paciorków z wampumu, musiał mówić prawdę. Wydawało się, że patrząc na ten tatuaż, Skanawati musiał podzielić się z nimi głęboko skrywanymi, ważnymi sekretami.

– W tym śnie matka została zabrana na ten szlak przez ducha starego niedźwiedzia. Niedźwiedź powiedział jej, że szlak staje się pęknięciem tego świata, że wielu ludziom skradziono tu życie, a ich duchy tworzą linię wskazującą na Ohio. Wkrótce potem matka sama zobaczyła początek tego pęknięcia i wysłała mnie na szlak. Powiedziała, że kiedy znajdę duchy, one powiedzą mi, jak mamy wyzwolić się z niewoli angielskiego króla.

Były to śmiałe słowa, przerażające, gdyż nie tylko zwiastowały śmierć wielu ludzi, ale także rozłam między Anglikami a plemionami. Gdyby Irokezi zerwali tradycyjne przymierze, brytyjska armia prawdopodobnie próbowałaby ich zniszczyć z obawy, że mogliby zacząć pomagać Francuzom.

– Czy duchy z tobą rozmawiają? – zapytał Conawago.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Duncana, gdy Skanawati przytaknął.

– Zajrzałem w tę szczelinę świata – oznajmił. – Można tam ujrzeć okropne rzeczy. Tym szlakiem chodzi śmierć. Człowiek staje się drzewem. Człowiek staje się maszyną. Duchy rzuciły mi w nocy wyzwania.

Conawago i Duncan wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Nie jesteśmy duchami – zauważył Conawago.

Wydawało się, że Skanawati to rozważa, a potem uroczyście przytaknął, zerkając ponownie na Duncana.

– Słyszałem opowieści o zwariowanym starym Nipmuku włączającym się po górach z żółtowołosym. – Spojrzenie Irokeza znów powędrowało ku tatuażowi Conawago. – Musicie opuścić ten szlak. Idźcie głębiej w góry, trzymajcie się z daleka od fortów, trzymajcie się z daleka od krwawej wody, inaczej wpadniecie w szczelinę świata. Ukryjcie się. Nawet dzieci nie będą bezpieczne, kiedy łańcuch przymierza zostanie zerwany – rzekł, używając starej metafory oznaczającej więzi łączące Brytyjczyków z Irokezami. – Nadchodzi więcej duchów – mówiąc to, podniósł pomalowaną skorupę żółwia.

– Mimo to ty bez obawy wędrujesz po lesie – zauważył Conawago.

– Ja jestem odpowiedzią dla bogów – powtórzył Irokez.

I nie powiedziawszy już nic więcej, zniknął w mroku.

„Zajrzałem w szczelinę świata. Wielu ludziom skradziono tu życie. Nadchodzi więcej duchów”. Słowa Onondagi dręczyły Duncana, gdy wraz z Conawago przemierzali się powolnym, miarowym truchtem, jakim zwykle poruszają się plemiona w puszczy. Skradzione życie oznaczało niehonorowe zadanie śmierci. Skanawati mówił o morderstwach, które zagrażały przymierzu. Gdyby ta więź została zerwana, kolonie Pensylwania i Nowy Jork spłynęłyby krwią. Z dreszczem zgrozy Duncan przypomniał sobie wartownika w obozowisku wroga, powalonego przez jakąś niewidoczną istotę, jakby ducha.

Był tak rozkojarzony niepokojącymi słowami wodza Irokezów, że prawie wpadł na Conawago, gdy przyjaciel nagle przystanął. Znajdowali się prawie na rozwidleniu wschodnio-zachodniej Drogi Forbesa, której płaskie dno było widoczne przez drzewa. Z lasu opodal szlaku dochodziły rozpaczliwe jęki, jakby jakiegoś małego ssaka w agonii. Conawago przez chwilę przyglądał się zboczowi gęsto porośniętemu lasem, a potem pobiegł w kierunku dużego buka rosnącego przy szlaku. Duncan deptał mu po piętach.

Mężczyzna o ciemnoblond włosach, około trzydziestoletni Europejczyk, siedział pod drzewem, a szkarłatna plama na jego piersi lśniła w świetle wczesnego poranka. Świeża krew plamiła przód jego koszuli i spodnie, a lewe ramię miał dziwnie uniesione. Jego spojrzenie było oszalałe i błagalne, oddech ciężki, i chociaż otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, dobywały się z nich tylko jęki.

– Oszczędzaj siły – polecił mu Duncan, klękając przy nim.

Jego medyczne szkockie wykształcenie szybko dało o sobie znać, gdy oglądał ranę. Otarcie na prawej skroni, gdzie krew już wyschła i zakrzepła. Głęboka rana cięta na

udzie, z której krew rozlała się kałużą na ziemi. Rana w klatce piersiowej, z której krew sączyła się przez koszulę. Duncan uniósł menażkę do podbródka mężczyzny i wlał strużkę wody między wargi rannego. Mężczyzna zakaszłał, a potem zdawał się uspokajać, gdy zrozumiał, że nadeszła pomoc. Conawago uciął pnącze i zaczął nim obwiązywać udo mężczyzny. Gdyby szybko nie opatrzyli mu rany, mężczyzna wykrwawiłby się na śmierć. Nadchodzi więcej duchów, ostrzegał Skanawati.

– Musimy go położyć – rzekł Duncan do Conawago. Kiedy jednak delikatnie pociągnął bark nieznanego, jego spoczywająca na pniu lewa ręka stawiała opór. Daremnie go ciągnął tak mocno, że palce, które zakrywały dłoń, rozprostowały się. – Na Boga! – wykrzyknął.

Dłoń mężczyzny była przybita do drzewa.

Duncan zamknął oczy, biorąc się w garść, a potem szybko przyjrzał się koszuli, szukając rany wlotowej. Znalazł długie rozdarcie materiału na środku krwawej plamy, rozchylił koszulę i odskoczył.

– Jego serce! – wykrztusił, spoglądając z niedowierzaniem.

Słyszał o ludziach, którym dzicy Huroni wycięli serca. Jednak to, co zobaczył teraz, wydawało się jeszcze bardziej odrażające. Wciśnięty w mostek mężczyzny, wduszony w ciało tak, że zęby wbiły się w tkankę, tkwił duży mechanizm zegarowy. Krew sączyła się spomiędzy trybów mechanizmu. „Człowiek staje się drzewem”, powiedział Skanawati. „Człowiek staje się maszyną”.

– Na skraju drogi rósł mech, a na gałęziach olchy były pajęczyny – powiedział do Duncana Conawago.

Mówił o najbardziej rozpowszechnionym wśród plemion sposobie opatrywania ran. Otworzył jedną z sakw, które nosił przy pasie, i wyciągnął paczuszkę ziół.

Duncan położył strzelbę i plecak na kamieniu i pobiegł z powrotem szlakiem.

Na kolanach rwał mech z podmokłej skarpy, kiedy nagle zamarł. Wzdłuż pobliskiej drogi szli mężczyźni. Przeklinając się za pozostawienie strzelby, skrył się w paprociach i patrzył, jak dwaj mężczyźni nadeszli nie drogą, ale po północnym stoku, podchodząc do starego indiańskiego szlaku. Po chwili dwaj następni pojawili się na południowej stronie. Byli zbyt niezdarni, zbyt czyści, zbyt niepewni, aby być zwiadowcami, ale zostali wyszkoleni przez zwiadowców, którzy zawsze przemierzali się równolegle do trasy przemarszu swoich oddziałów. Wyczuł poprzez ziemię, jak nauczył go Conawago, tupot wielu stóp na leśnym podłożu na chwilę przed tym, zanim zobaczył maszerujących żołnierzy. W zasięgu wzroku pojawiło się ponad dwudziestu mężczyzn, maszerując gęsiego, większość z krótkimi wojskowymi muszkietami zawieszonymi na ramionach, kilku zaś niosło długie strzelby, których tak bardzo obawiali się Francuzi. Nie nosili przepisowych wojskowych mundurów, chociaż kilku z nich miało identyczne niebieskie i szare płaszcze, a wszyscy mieli skrawki czerwonego materiału przypięte do trójgraniastych kapeluszy lub kołnierzy grubych kamizelek. Milicja. Duncan pozwolił im przejść, potem powoli wstał i już miał wykrzyknąć pozdrowienia, kiedy udreżony okrzyk przeciął spokojne powietrze.

– Morderstwo! – wrzasnął młody, przerażony głos. – Boże, miej nas w opiece! To kapitan! Dzikusy!

Duncan rzucił mech i pobiegł. Minał połowę mężczyzn w kolumnie, zanim zdążyli zareagować czymś więcej niż okrzykami zdziwienia, ale kilku spośród tych, którzy już biegli w kierunku zakrwawionego drzewa, obróciło się, celując w pędzącego ku nim Duncana. Przemknął przez kolumnę, uchylając się przed wymierzonym w jego głowę ciosem kolbą, barkiem obalając innego żołnierza, gdy ten wyjął zza paska tomahawk. Padły strzały z dwóch muszkietów i kule świsnęły mu nad uchem, a ktoś przeklął głupców, którzy strzelają tak blisko kolumny. Zobaczył Conawago i zdumienie na twarzy starego Indianina, kiedy pierwszy z przybyłych do niego dotarł i kolbą pistoletu zadał mu niezdarny cios w ramię.

Kolejny mężczyzna zaatakował tomahawkiem, mierząc w czaszkę Conawago. Duncan ryknął ze złości i wystrzelił w powietrze, chwytając uniesione ramie, zanim zatoczyło śmiertelny łuk, siłą rozpędu powalając żołnierza. Duncan przetoczył się po ziemi, wstał i skoczył na ludzi otaczających Conawago.

– Mylicie się! Nie jesteśmy wrogami! – krzyknął, przewracając jednego, a później drugiego z nich na ziemię.

Nagle zimne ostrze pojawiło się przy jego gardle. Poczul, jak ktoś chwycił go za długie włosy i szarpnął głowę do tyłu.

– Jeśli jesteś współwinny tej nikczemnej roboty, ciebie również oskalpujemy – warknął napastnik.

Duncan obrócił się, sięgnął za siebie i chwycił go za brodę. Tamten mocniej przycisnął ostrze do jego szyi, zmuszając go do opuszczenia ręki.

– Jesteśmy zwiadowcami Woolforda! – wydyszał Duncan, patrząc ze zgrozą, jak kolejni mężczyźni przyłączają się do bijących Conawago, kopiąc go i okładając kolbami. – Przestańcie! – błagał. – Mówię wam, nie jesteśmy wrogami!

Tamci przestali bić, spoglądając nie na Duncana, ale na mężczyznę stojącego za nim. Jeden z żołnierzy przyłożył palec do szyi krwawiącego mężczyzny przybitego do drzewa.

– Odszedł, sierżancie.

– Twój przyjaciel zabił naszego kapitana! – wysyczał głos do ucha Duncana.

Duncan spojrzał na nieżywego oficera. Miał już szkliste oczy, a skórę woskową i bladą.

– Znaleźliśmy go tak. Próbowaliśmy pomóc.

– Diabła tam! Ten dzikus pochylał się nad nim z zakrwawionym nożem! Szykował się, żeby zdjąć mu skalp.

– Pracujemy dla zwiadowców! – powtórzył Duncan z rosnącym gniewem.

– W takim razie nie zabijemy go tutaj – odpalił sierżant. – Zabierzemy go do fortu i przeprowadzimy właściwy proces, zanim go powiesimy.

Kiedy nacisk ostrza na szyi Duncana zelżał, dwaj mężczyźni mocno złapali go za ramiona i przytrzymali, a ich kompani butami i kijami znów zaczęli obrabiać Conawago. Gdy stary Indianin zemdlął i upadł na ziemię, Duncan błagał ich, by

przestali, przeklinając najpierw po angielsku, a potem po gaelicku, wrzeszcząc na nich i próbując się wyrwać trzymającym go ludziom. Potem ktoś uderzył go pałką w głowę. Duncan osunął się na kolana, a mając nadal unieruchomione ręce, nie zdołał zasłonić się przed drugim ciosem. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był cenny mały gliniany bożek Conawago, stary jak sam czas, rozgniatany na jego piersi.

Rozdział 2

Duncan poczuł kłujący ból: najpierw pod czaszką, a potem w ramieniu, i przez moment wydawało mu się, że znowu jest na więziennym statku z Glasgow, gdzie szczury ogryzały jego ciało, gdy spał. Czuł smród brudu i rozkładu, oślizgłych butwiejących desek. Głośny pisk go obudził, następny spowodował, że poruszył głowę, i pod wpływem nowych ukłuc bólu w oszołomieniu otworzył oczy.

Na jego piersi spoczywała martwa dłoń, odcięta i poszarzała. Walczyło o nią kilka kosów, a inne dziobały jego ciało.

Okrzyk przerażenia wydobył się z gardła Duncana jako suche rżenie. Podniósł się, chwytając jakiś kij, aby okładać nim padlinożerców, a potem znów krzyknął, widząc, że nie trzyma w ręku pałki, ale dolną połowę rozkładającej się ludzkiej nogi. Wygrzebał się z płytkiej dziury, do której został wrzucony, i przepędził ptaki, ciskając w nie garściami ziemi. Przestał dopiero wtedy, gdy ciężko dysząc, oparł się plecami o grubą palisadę.

Szybko, wciąż z trudem łapiąc powietrze, rozejrzał się wokół. Znajdował się w dużym forcie zbudowanym na wzgórzu nad szańcami, gdzie oficerowie artylerii w niebieskich mundurach szkolili swoich ludzi przy działach polowych. Śmieci i kilkudniowe odpady z chirurgicznego stołu wyrzucono do dziury przez wąski otwór w ścianie obok jego głowy. Kiedy zwalczył falę mdłości, zrozumiał, że jego porywacze odszukali dziurę, położyli zgniłą dłoń na jego klatce piersiowej i przewrócili, co teraz zauważył, prowizorycznego stracha na wróble, który utrzymywał ptaki z dala. Zamknął oczy, walcząc z kolejną falą mdłości, potem poszedł wzdłuż ściany, aż dotarł do bramy, szukając w pamięci dyslokacji wojsk w zachodnich lasach. On i Conawago znajdowali się o niecały dzień marszu od Fortu Ligonier, drugiej pod względem wielkości zachodniej fortyfikacji po Forcie Pitt.

Wartownik w jasnoczerwonym kubraku, brytyjski zawodowy żołnierz, chłodno skłonił głowę, gdy Duncan prześlizgnął się przez zachodnią bramę. Zauważywszy znajdującą się trzydzieści jardów dalej studnię, poczekał, aż stara Indianka w perkalowej sukni skończy napełniać swój pojemnik z tykwy, a potem opuścił wiadro i zaspokoił pragnienie, w resztkę wody obmył ręce, a potem wylał ją sobie na głowę. Znowu czując się żywy, znalazł dogodny miejsce w cieniu pod słupem ganku, który biegł wzdłuż frontu długiego jednopiętrowego budynku, skąd mógł obejrzeć teren.

Małe działka były zamocowane na obrotowych podstawach wzdłuż palisady, a na każdym jej narożniku stali wartownicy. Naprzeciwko niego mężczyźni w niebieskich mundurach artylerzystów i czerwonych kubrakach piechoty wchodzili i wychodzili z drugiego długiego budynku mającego kilkoro drzwi. Wszyscy mieli na piersiach małe

mosiężne ryngrafy, co było oznaką stopnia w brytyjskiej armii. Garstka Indian, zwiadowców Stockbridge często wykorzystywanych przez wojsko, przysiadła przy farbowanej zwierzęcej skórze, rzucając białymi kamykami używanymi w grach hazardowych. Samotny indiański wojownik, z wąskim czubem noszonym przez Irokezów, siedział pod kasztanem, osadzając żelazne groty w drzewcach strzał ze świeżo przymocowanymi lotkami. Oddziały piechoty ćwiczyły musztrę w rytm ostrych, niecierpliwych rozkazów sierżantów. Wszędzie panowała atmosfera porządku, dyscypliny i strachu. Chociaż wraz z upadkiem Quebecu koło fortuny tej krwawej wojny obróciło się wreszcie na korzyść Brytyjczyków, w tych dzikich ostępach było daleko do jej zakończenia.

– To nie ich wiedza w takich dziedzinach imponuje mi najbardziej – powiedział za jego plecami głos zdradzający dobre wykształcenie mówiącego – ale to, że opanowują ją tak intuicyjnie.

Duncan odwrócił się i zobaczył dobrze ubranego mężczyznę siedzącego na beczce pod ścianą budynku i spoglądającego na samotnego Irokeza.

– Słucham?

– Tubylcy. Znają wszystkie tajemnice świata przyrody, a mimo to wyrażają swoją mądrość nie słowami, lecz czynami. Mają instynktowną znajomość praw natury. My, barbarzyńcy, musimy się ich żmudnie uczyć.

Te niezwykle słowa wypowiedział niezwykle wyglądający człowiek. Nieznajomy był trzydziestokilkuletnim mężczyzną, może o dziesięć lat starszym od Duncana. Na cienkiej lnianej koszuli nosił kamizelkę, z której kieszonek zwisały łańcuszki niejednego, lecz dwóch zegarków. Długie brązowe włosy miał związane z tyłu na indiańską modłę paskiem barwionej skóry węgorka używanej przez nadrzeczne plemiona do wyrobu ozdób. Na szyi nosił małą mosiężną tabakierkę oraz amulet owinięty w coś, co wyglądało jak kawałek futra z norki. Na rękach nie miał żadnych ozdób, poza pierścieniem z dębowych liści, wytatuowanym wokół nadgarstka jak bransoletka. Na wełnianych spodniach nosił parę nogawic, takich jak te zwiadowców, lecz jego były z irchy i ozdobione na górze koralikami. Na nogach miał ciężkie skórzane buty, jakie nosili żołnierze.

– Dziś rano wyraziłem podziw dla łuczniczych umiejętności tego brązowoskórego gladiatora z plemienia Szaunisów, gdy od niechcenia zestrzelił wiewiórki z wysokiego dębu. Wy tłumaczył mi, że siła tkwi w drewnie jego łuku, a precyzja w liniach strzały, że wszystko, co on robi, to jedynie modli się do duchów, które użyczyły mu siły tego drzewa, a potem celuje. Doskonalszego naukowego wytłumaczenia nie mógłbym oczekiwać od wielu uczonych profesorów. – Z bystrą, zaciekawioną miną spojrzął na Duncana. – Tworzę algebraiczne równania, które wyjaśniają siłę strzały – oznajmił, klepiąc płócienną torbę wiszącą na ramieniu. – Mogę ci pokazać, jeśli...

Przerwał mu krępy mężczyzna w fartuchu, który przelotnie pojawił się w drzwiach za nimi, żeby z krótkim podziękowaniem rzucić mu tytoń do zucia.

Nieznajomy machinalnie zerknął na Duncana.

– Każdy jest twoim przyjacielem, kiedy spłacasz długi.

– *Haudenosaunee* – rzekł Duncan.

– Panie?

– On nie jest Szaunisem. To *Haudenosaunee*. Co oznacza mieszkańców długiego domu.

Oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe z podniecenia.

– Irokez! Szlachetne imperium północy! Mam dzienniki z moimi rozmowami z Lenni Lenape, Susquehannock, Szaunisami, Stockbridge, a wszystko to za ledwie wstęp do studiowania Irokezów. Moje badania nieuchronnie prowadzą mnie do samego serca ich królestwa. Czyżbyś był swego rodzaju emisariuszem? Czy to prawda, że mają dziesięć słów na określenie niedźwiedzia w zależności od jego wieku?

Duncan może uśmiełby się z tej przedziwnej mieszaniny zapachu, inteligencji i naiwności nieznanego, gdyby nie martwił się o Conawago.

– Szukam starego Indianina przyprowadzonego tu dzisiaj, aresztowanego... – Urwał, widząc niepokój na twarzy mężczyzny, i wyciągnął dłoń. – Duncan McCallum – zaryzykował. – Uprzednio z Kolegium Medycznego w Edynburgu.

Mężczyzna natychmiast się rozpromienił i energicznie potrząsnął dłonią Duncana.

– Johan Van Grut z Hagi. Uprzednio z uniwersytetu w Louvain i Kolegium Yale w kolonii Connecticut.

– Mój przyjaciel ubiera się jak stary mnich, a włosy ma splecione w tradycyjnym stylu w długie warkocze, chociaż był długo kształcony przez Europejczyków.

Van Grut zmarszczył brwi.

– Nowa milicja z Wirginii przybyła tu z dwoma długimi tobołami podobnymi do zawiniętych w całun ciał. Widziałem to jedynie z daleka, kiedy szkicowałem kuropatwę. Jeden zaniesiono do szpitala, a drugi rzucono obok wartowni. – Wskazał zejście prowadzące do ziemianki.

Duncan wyprostował się, widząc wśród wartowników na podjeździe nie tylko dwóch żołnierzy piechoty z muszkietami Brown Bess, ale także mężczyznę w cywilnym ubraniu z czerwonym skrawkiem materiału na trójgraniastym kapeluszu. Obrócił się i dopiero teraz zauważył pół tuzina namiotów rozbitych w cieniu dębów na północno-wschodnim rogu fortu. Pospiesznie skłonił się Holendrowi i odszedł.

Kilka chwil później stał za drzewem niedaleko północnej palisady, przyglądając się obozowisku i obserwując kompanię, żeby ustalić, kto jest jej dowódcą. Doszedł do wniosku, że to barczysty brodaczy nazywany przez pozostałych sierżantem. Ochryply głos tego człowieka i ciężki nóż wskazywały, że to on napadł na nich tego ranka. Duncan podkraść się bliżej i obejrzał broń opartą o sznur rozciągnięty między dwoma drzewami. Gdy tylko spostrzegł własną długą strzelbę, wyszedł z ukrycia, spokojnie wziął swoją broń i napełnił panewkę prochem strzelniczym z małego rożka, który trzymał w kieszeni. Z pochyloną głową podszedł do sierżanta i trącił go końcem lufy w ramię. Gdy mężczyzna odwrócił się do niego, uderzył go kolbą w brzuch, powalając na kolana, i wytrącił mu z dłoni nóż.

Gniew w oczach sierżanta złagodniał, gdy rozpoznał Duncana. Ruchem dłoni powstrzymał mężczyznę, którzy próbowali go okrążyć.

– To cud, chłopcy. – Uśmiechnął się szyderczo. – Śmieć zmartwychwstał z kupy gnoju.

– Zatem to był twój pomysł, żeby zakopać mnie w szpitalnych odpadach – warknął Duncan.

Sierżant z ubolewaniem zwrócił się do swoich ludzi.

– Oto właśnie północna wdzięczność, chłopcy. Daliśmy mu wolną rękę i oto, jak nam odpłaca. – Milicjanci ryknęli śmiechem. – Gdyby mieli tutaj lekarza lub chirurga, wylalibyśmy na ciebie trochę świeżej krwi – dodał zjadliwie.

– Zabieram mój ekwipunek.

Wirginińczyk splunął Duncanowi pod nogi, pozostawiając na ziemi ciemną plamę tytoniowego soku. – Zostanie sprzedany na aukcji razem z rzeczami dzikusa, żeby zapłacić za trumnę naszego dzielnego kapitana.

Duncan odciągnął do połowy kurek strzelby i wycelował w sierżanta.

– Dostanę ekwipunek, który mi ukradłeś, i rzeczy mojego przyjaciela. – Zignorował żołnierzy, którzy zaczęli się do niego zbliżać, spokojnie patrząc na brodacza.

– Twojego czerwonoskórego przyjaciela czeka stryczek. To samo dotyczy ciebie, jeśli chcesz do niego dołączyć w piekle. Człowiek, który przestaje z takim śmieciem, sam nie jest lepszy od niego.

– Synu *caoineag!* – prychnął Duncan. Przekleństwa ze szkockich wyżyn same popłynęły z jego ust i usłyszał własny głos nie tylko wzywający upiorka banshee, ale *uruisg*, *glaistig* i jednookiego *direach*, potwory, które mściły niewinnych. Ledwie panował nad sobą.

– Będziemy bacznie obserwować zdrowie twojego poganina – fuknął sierżant. – Jeśli będzie wyglądał na umierającego, powiesimy go bez werdyktu majora. Sami wymierzymy sprawiedliwość.

Duncan odciągnął kurek do końca.

– Nie zastrzelisz mnie.

– Nie – zgodził się Duncan i wycelował strzelbę w beczkę stojącą obok sterty zawiniątek. – Wysadzę wasz proch i zapasy. Oczywiście drzazgi rozrzucone wybuchem mogą dosięgnąć kilku ludzi. Widziałeś kiedyś człowieka z kilkucalową drzazgą w oku?

Sierżant zaklął. Pół tuzina mężczyzn z pałkami zaczęło otaczać Duncana. Sierżant próbował podnieść z ziemi nóż, lecz nagle zamarł. U boku Duncana pojawiły się dwa cienie.

– Takie ćwiczenia to z pewnością świetna zabawa – powiedział głos z charakterystycznym szkockim akcentem. – Nie możemy jednak pozwolić, żebyś bawił się sam.

Mężczyźni, którzy stanęli u boku Duncana, byli ogromni, a w dłoniach trzymali długie i śmiercionośne halabardy. Obaj nosili jasnoczerwone kubraki i kilty szkockiego regimentu.

Sierżant zaklął. Powoli wstał, odsyłając swoich ludzi machnięciem dłoni.

– Nasz przyjaciel prosił o oddanie swojej własności – zagrział żołnierz po lewej stronie Duncana, niedźwiedziowaty mężczyzna o kręconych rudych włosach wystających spod szkockiej czapki.

Na krótką, wymamrotaną komendę jeden z milicjantów wszedł do namiotu, a potem wrócił, niosąc znajomo wyglądający róg z prochem, dwa plecaki i prawie cały ekwipunek, z jakim podróżowali Duncan i Conawago.

– Irokeski topór. Czerwony tomahawk – rzekł Duncan.

Wiedział, że dla żołnierzy to ulubiona pamiątka. Sierżant ponownie zaklął i wyciągnął topór z posłania.

Pospiesznie opuścili obozowisko milicji.

– Sierżant Colin McGregor do usług – oznajmił rudowłosy, uderzając się w klatkę piersiową. – Taki piękny potok szkockich czułości jest jak balsam dla mojego stęsknionego za ojczyzną serca. Czyżbym słyszał melodyjną intonację z zachodniego wybrzeża?

– Jak sięga ludzka pamięć, klan McCallumów zamieszkiwał okolice Lochlash i pomniejsze wyspy na zachodzie – odpowiedział Duncan z nikłym uśmiechem. – Teraz mój klan to tylko ja, mój brat i stary mężczyzna w kolonii Nowy Jork.

– Twój brat? – zapytał McGregor. – Chyba nie nasz ukochany kapitan Jamie McCallum?

Duncan zamilkł, aby przyjrzeć się uniformom mężczyzn, i rozpoznał ciemny tartan sławnej Czarnej Straży, czterdziestego drugiego regimentu piechoty.

– Już nie jest kapitanem czterdziestego drugiego regimentu.

Jego brata uznano za dezertera, po tym jak opuścił pole bitwy pod Ticonderogą, aby uratować przed zasadzką grupę irokeskich świętych mężów. Został ogłoszony banitą, a za jego głowę wyznaczono sporą nagrodę.

McGregor obrzucił Duncana badawczym spojrzeniem.

– Zameldowano, że poległ w potyczce z francuskimi Indianami poprzedniej jesieni.

– Zameldowano, że poległ – potwierdził Duncan, pozwalając tym słowom zawisnąć w powietrzu.

– Czasem trudno zidentyfikować ciało, kiedy poganie z nim skończą – podsunął McGregor.

– Czasem to trudne – zgodził się Duncan.

Wielki Szkot posłał mu konspiracyjny uśmiech, a potem gestem dłoni wskazał Duncanowi drogę. Chwilę później Duncan przystanął, widząc, że prowadzą go do budynku głównej kwatery.

– Muszę zobaczyć mężczyznę, którego przywieziono dzisiaj do wartowni.

– Tego starego Indianina? Jest bardziej niż prawdopodobne, że już umarł – ostrzegł McGregor.

Duncan zacisnął szczęki w przypływie wściekłości.

– Muszę się upewnić.

– Nawet jeśli jeszcze żyje, nie zbliżysz się do celi bez błogosławieństwa majora Latchforda – dodał szkocki sierżant. – Możesz przedstawić swoją prośbę podczas przesłuchania.

– Przesłuchania?

– Młodzińcze, chociaż z radością uratowałem cię z rąk tych przeklętych plantatorów z Południa, prawda jest taka, że wysłano nas, żebyśmy cię znaleźli.

McGregor nagle zeszytniał, kiedy w drzwiach przed nimi pojawił się służbiście wyglądający podoficer.

– Będą czyścić buty, dopóki nie każę im przestać – rzucił piskliwym głosem do kogoś stojącego za nim, a potem zamilkł i obrzucił Duncana pogardliwym spojrzeniem. Lekkim skinieniem głowy odprawił jego eskortę, a potem mruknął coś do kogoś stojącego w cieniu. Pojawił się zgarbiony, siwowłosy żołnierz z ciężką szczotką.

Czując się niezręcznie, Duncan pozwolił służącemu oficerowi wyczyścić szczotką tył swojej kamizelki, a potem delikatnie, lecz stanowczo wyjął szczotkę z dłoni mężczyzny i sam dokończył pracę. Oficer zmarszczył brwi, odsunął się i wskazał mu drogę. Za dwoma stołami zawalonymi mapami znajdowało się biuro, w którym siedział wykrochmalony i wypudrowany oficer, popijając z porcelanowej filiżanki oraz przeglądając otwarty dziennik.

– Pański kundel, majorze – oświadczył młody oficer tonem człowieka oczekującego wspaniałego widowiska.

Oficer zmarszczył brwi najpierw na widok Duncana, a potem jego eskorty.

– Pasza, poruczniku. Ile potrzeba paszy, aby przemocować kolejnych pięćdziesiąt zwierząt?

– Zajmę się tym natychmiast, panie majorze – odparł porucznik.

– I młodszy oficerowie muszą do jutra zostać przeniesieni do namiotów.

– Oczywiście, panie majorze.

Porucznik nie zasalutował, ale służalczo skłonił wypudrowaną głowę, a potem wymknął się z biura.

Latchford przeszył Duncana lodowatym spojrzeniem.

– Myślisz, że możesz się włóczyć po moim garnizonie niezauważony? – zapytał chłodno i wyniośle. – Pić naszą wodę, oglądać nasze oddziały jak jakiś szpieg, prowokować naszych pogrążonych w żalobie towarzyszy broni.

Duncan zdał sobie sprawę, że Latchford obserwował go od momentu, gdy przekroczył bramę.

– Jeśli się nie mylę, majorze, zostałem sprowadzony do tej placówki przez żołnierzy będących pod pańskimi rozkazami.

Zobaczył błysk w oczach Latchforda i natychmiast pożałował tych słów. Takiego człowieka jak Latchford cieszy zuchwalstwo, ponieważ może je karać wedle własnego uznania.

Oficer podniósł gęsie pióro i zapisał coś w dzienniku.

– Nie zaszczyliłeś nas swoim nazwiskiem.

– McCallum. Duncan McCallum.

– Dowiem się, McCallum, dlaczego twój przyjaciel zabił akurat tego Wirginijczyka, akurat tego dnia.

Duncan ostrożnie rozważył słowa Latchforda. W morderstwie w lesie było coś niezrozumiałego.

– Mój przyjaciel nikogo nie zabił. Powinien pan wypatrywać wroga. Zeszłej nocy obserwowaliśmy atak Huronów niecałe dwadzieścia mil stąd.

Latchford podniósł mały medalion z brązu, z drzewem wrytym po jednej, a niezdarną literą W po drugiej stronie. Rzemyk, na którym do tego ranka medalion wisiał na szyi Duncana, był rozerwany.

– Obserwowaliście? – Machnął medalionem w kierunku Duncana. – Dla zwiadowców Woolforda?

– Prawie dwudziestu mężczyzn, w tym dwóch albo trzech Francuzów.

– Nie mam żadnych raportów o nieprzyjacielu.

– Sens tych niespodziewanych ataków, majorze, polega na potajnym działaniu.

Duncan zacisnął zęby, besztając się w myślach. Czasem po prostu trudno było nie odszczeknąć się takim oficerom. To właśnie tacy uprzywilejowani i upudrowani ludzie jak Latchford powiesili jego ojca za bunt, przebili jego młodszego brata i zgwałcili matkę oraz siostry, zanim zakłuli je bagnietami.

Twarz majora poczerwieniała ze złości. Rzucił medalion na biurko i zerwał się na równe nogi. Duncan zebrał siły, pewny, że oficer zamierza go uderzyć, Latchford podszedł jednak do bocznych drzwi i wyszedł na korytarz, aby rzucić rozkaz wysłania patrolu rozpoznawczego. Przez tylne okno Duncan zobaczył oddziały stawiające ogromny namiot wojskowy. Fort czekał na gości na tyle ważnych, aby przejmował się nimi dowódca. Duncan nie mógł tu pozostać do czasu przybycia wyższych rangą oficerów, którzy mogli go znać z Nowego Jorku.

Kiedy odwrócił głowę, Latchford znów siedział przy swoim biurku i wyjmował z szuflady elegancki pistolet z metalową kolbą. Bawił się nim przez chwilę, patrząc wzdłuż lufy.

– Z tego, co ostatnio słyszałem, ludzie Woolforda działają wzdłuż Rzeki Świętego Wawrzyńca. A ty mi nie wyglądasz na zwiadowcę, McCallum. Mamy raporty o samotnym wojowniku i europejskim człowieku lasu robiących zamieszanie i wymykających się naszym patrolom.

Duncan wzruszył ramionami.

– Nie jestem człowiekiem lasu. A Conawago nie jest wojownikiem, lecz starym człowiekiem szukającym swojej rodziny.

Major podnosił i opuszczał pistolet, jakby ćwiczył do pojedynku.

– Łatwo jest przyjąć cudzą tożsamość tak daleko od cywilizacji. Mam rozkazy, aby surowo rozprawiać się z dezterami i szpiegami.

– Rany muszą być oczyszczane codziennie, aby brud nie dostał się do krwi – powiedział szorstko Duncan.

Latchford zmarszczył brwi.

– Słucham?

Duncan podjął rozpaczliwą próbę opartą na uwadze rzuconej mimochodem przez sierżanta milicji.

– Pański szpital nie ma lekarza. A ma pan rannych. Uczęszczałem do Kolegium Medycznego w Edynburgu.

– Jesteś istnym cudem, panie. – Uśmiechnął się szyderczo Latchford. – Zwiadowca. Człowiek lasu. Lekarz. Być może morderca.

Duncan nie dał się sprowokować.

– Ranni mogą umrzeć bez codziennej opieki. Ma pan pacjentów po amputacjach. Mężczyzna, który stracił kończynę, walcząc za swojego króla, nie zasługuje na to, aby umrzeć na skutek zaniedbania.

Latchford położył broń na biurku i nachylił się do Duncana, przesywając go badawczym spojrzeniem.

– Jeśli mnie okłamujesz, wykorzystam cię, by poćwiczyć strzelanie z mojego nowego pistoletu – wysyczał.

Duncan przez chwilę w milczeniu odwzajemniał się równie bacznym spojrzeniem, aż w końcu major spuścił wzrok.

– Mamy pół tuzina rannych w potyczkach i kolejnych pięciu czy sześciu złożonych ospą. Nasz chirurg został do pomocy podczas epidemii w Forcie Pitt. Nasz starszy rangą sanitariusz zbyt lubi rum.

Duncan powstrzymał chęć zażądania wyjaśnień.

– Mogę zająć się pańskimi pacjentami w szpitalu.

– Jaki dasz mi dowód twoich kompetencji?

– Pańska ręka – rzekł Duncan. – Niech pan wyciągnie rękę.

Latchford uśmiechnął się krzywo, ale spełnił prośbę Duncana, w drugiej ręce trzymając pistolet.

Duncan rozpoczął od wskazania koniuszka palca, a potem przesuwiał się w górę do ramienia.

– Kość palca, paliczek, kość śródreżcza, kość nadgarstkowa, kość promieniowa, kość łokciowa, kość ramieniowa.

Kiedy minął łokieć, Latchford uniósł dłoń, aby przyznać mu rację.

– Mężczyzna z najświeższymi ranami leży w pańskim areszcie – zauważył Duncan.

– McCallum, jesteś dosłownie o włos od podzielenia jego losu! – warknął Latchford. – Jeśli umrze, oszczędzi nam to nużącego procesu.

– Muszę go zobaczyć.

– Nie bardzo możesz stawiać jakiegokolwiek żądania.

– Z pewnością rozumie pan, majorze, że równowaga sił w tej wojnie zależy od utrzymywania przyjaznych stosunków z plemionami.

Latchford odchylił się do tyłu na krześle. Jego dłoń znowu dotykała kolby pistoletu, jakby ponownie rozważał, czy aby nie zabić Duncana.

– Wojska jego królewskiej mości wygrały wojnę w Ameryce Północnej – przypomniał.

– Wojska jego królewskiej mości wygrały kilka ostatnich bitew – odparował Duncan. – Po przegraniu wielu wcześniejszych. Teraz są rozrzucone na liczącym tysiąc mil pograniczu, w większości wzdłuż granicy francuskiej Kanady. Każdy głupiec, który potrafi czytać mapę, wie, że prawdziwą nagrodą w tej walce są zachodnie ziemie. To, co armia dotychczas zrobiła, to wywalczyła dla króla możliwość rywalizowania o nie. Straciecie Irokezów, a następne pięć lat spędzicie, walcząc w koloniach Nowy Jork i Pensylwania bez szansy zdobycia terytorium Ohio.

– Mówisz o sprawach bardzo odległych od naszej małej placówki.

– Kiedy lord Amherst usłyszy nowiny – rzekł Duncan, mówiąc o dowódcy brytyjskich sił na kontynencie – pańska mała placówka znajdzie się w centrum jego uwagi.

– Nowiny?

– Sądzenie wybitnego wodza plemienia za morderstwo może zniszczyć sojusz. Wojownicy Irokezów przestaną strzec naszych osad, a my będziemy musieli walczyć z armią najlepszych w Ameryce wojowników. Nie będzie pan mógł zrobić stu kroków poza bramą fortu bez obawy, że jakiś tomahawk rozłupie pańską czaszkę.

– Ten mężczyzna w areszcie jest wodzem Irokezów?

– Conawago bywał w Europie, ma medale od króla, jest cenionym pośrednikiem wszystkich plemion wschodniego lasu. To najbardziej wykształcony Indianin, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Kształcili go jezuici. Na europejskich dworach czuje się jak u siebie w domu.

– Nie jest jednak wodzem. – Major upił łyk herbaty, obserwując Duncana z nową urazą. – Czy jest przynajmniej Irokezem?

Duncan zerknął ponownie przez okno, próbując opanować emocje.

– Rozkazano mi wysłać milicję w teren – oznajmił Latchford, od niechcienia wymachując pistoletem i milknąc na chwilę, gdy lufa zwróciła się w kierunku Duncana. – A ja zawsze wykonuję rozkazy. Ty i twój przyjaciel doprowadziliście do tego, że stosunki między Pensylwanią a Wirginią są napięte do granic wytrzymałości. Ktoś zawiśnie. Ktoś zawiśnie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– A co pomyśli pański dowódca, kiedy później prawda wyjdzie na jaw?

Latchford z irytacją zacisnął usta.

– Prawda?

– Byłem przy tym nieżyjącym mężczyźnie kilka minut po tym, jak został zaatakowany. Nie postrzelono go. Przybito go do drzewa i okaleczono. To nie było przypadkowe zabójstwo. To był rytuał przeznaczony dla szerszej widowni.

Twarz Latchforda zdradzała niepokój.

– Absurd.

– Conawago jest niewinny.

– Armia świadków powie co innego.

– Widzieli Conawago pochylającego się nad umierającym. Próbował mu pomóc.

Major posłał Duncanowi kolejny lodowaty uśmiech.

– Świadkowie powiedzą co innego – powtórzył.

Duncan położył dłoń na oparciu stojącego przed nim krzesła.

– Kim on był? Ten zabity mężczyzna?

– Kapitan? Winston Burke? Dowódca milicji? Drugim synem największego właściciela ziemskiego w dolinie Shenandoah. Jego ojciec jest członkiem legislatury Kolonii Wirginia. Powiesimy winnego, a potem będziemy kontynuować wojnę – oznajmił beznamiętnie Latchford.

Wycelował pistolet w Duncana i pociągnął za spust, uśmiechając się szyderczo, kiedy Duncan wzdrygnął się na widok iskry z nienabitej broni.

Duncan szybko i sprawnie zajął się chorymi i rannymi. Van Grut towarzyszył mu, pomagając sanitariuszom, kiedy przechodził między łózkami polowymi i pryczami, zmieniając bandaże na ranach i amputowanych kończynach, pytając, kiedy ostatnio palono siarkę, aby odkazić oddziały, surowo przypominając ludziom o potrzebie utrzymywania ran w czystości, a nawet posyłając sanitariusza po mech i żywicę sosnową, kiedy mu powiedziano, że nie ma z czego sporządzać gorących okładów. Wiedział z doświadczenia, że los pacjentów jest w większości przesądzony już w momencie przybycia do szpitala. Ci z powierzchownymi ranami przeżyją, a ci z ranami brzucha niemal na pewno umrą.

Popatrzył na Van Gruta pochłoniętego objaśnianiem, jak nacinać czyrak, a potem szybko prześlizgnął się przez drzwi w ciemnym kącie najwyraźniej omijanym przez innych.

Na stole pośrodku wąskiego pomieszczenia bez okien spoczywał kapitan Winston Burke. W świetle świecy palącej się u szczytu stołu Duncan zobaczył, że dowódcę wirginijskiej milicji obmyto z krwi, a w skrzyżowane na brzuchu ręce włożono ozdobny sztylecik. Długie brązowe włosy związane mu z tyłu czystą niebieską wstążką. Jasnoniebieska kamizelka, zapięta pod szyję, była zakryta szarym samodzielnym mundurem oficera milicji. Brązowe wełniane spodnie nosiły niewielkie ślady zużycia, poza długim postrzępionym rozdarciem wzdłuż prawego uda, pocętkowanym ciemniejszymi plamkami zaschniętej krwi.

Duncan rozejrzał się po izbie, która pełniła funkcję szpitalnego magazynu. Na półkach pod dwiema ścianami stały duże butle spirytusu i octu, słoiki z suszonym rzewieniem, mieszanką trójchlorku oraz trójtlenku antymonu, sproszkowaną wierzbową korą, słoiczki z maściami i lniane opatrunki. Wsunął za pas rolkę płóciennych bandaży. Zapasy środków medycznych były skromne – dominowały rolki bandaży i szpule grubych marynarskich nici. Duncan na chwilę zamknął oczy, walcząc ze strasznymi wspomnieniami podróży przez Atlantyckie, Szkockie, których ciała zaszywał w takich workach, pewnego radosnego niegdyś mężczyzny, który powoli popadał w obłęd, skazany na rejs królewskim więziennym statkiem. Ich jedyną zbrodnią było to, że w ich żyłach płynęła szkocka krew.

Gwałtownie poderwał głowę, gdy głębokie, drżące westchnienie wywołało gęsią skórę na jego plecach. Z przerażeniem spojrzął na martwego mężczyznę, jakby Burke miał zaraz zmartwychwstać, lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że ten dźwięk

dobiega z ciemnego końca izby. Podnosząc świecę, poszedł tam. W bujanym fotelu leżał wyciągnięty mężczyzna w średnim wieku, w samodzielnym mundurze żołnierza piechoty, z butelką rumu w dłoni, zalany w trupa.

Duncan wrócił do zwłok i przeszedł wokół stołu, dotykając łokcia, kolana, nadgarstka. Stężenie pośmiertne już postępowało. Pracował szybko, rozchylił rozdarte spodnie na udzie, aby obejrzeć długie i głębokie rozcięcie. Ostrze było ciężkie i ostre, topora lub tomahawka. Chociaż Wirginijczyk odniósł również inne rany, to właśnie ta go zabiła, gdyż z niej wypłynęła życiodajna krew. Rozchylając jej brzegi, Duncan zauważył ciemny skrzep zaschniętej krwi w miejscu, gdzie została przecięta tętnica. Potem rozprostował i podwinął rękawy, aby zbadać ręce Burke'a. Nie było żadnych siniaków, które świadczyłyby o stoczonej walce, tylko wypukła prawie pięciocalowa blizna tuż pod lewym łokciem, nadal różowa, gdyż świeża.

Zerkając z rosnącym niepokojem na mężczyznę w fotelu, Duncan pospiesznie przeszukał wewnętrzną prawą kieszeń kamizelki i znalazł krzesiwo, ale nie monety, które powinny tam być. Przyjrzał się kamizelce. Była fachowo uszyta, z dobrej wełny, z eleganckimi srebrnymi guzikami ozdobionymi wytłoczonymi skrzyżowanymi mieczami. Jednak cztery górne guziki zostały odcięte. Tylko cztery górne. Zabójca kradł wartościowe guziki, kiedy ktoś mu przeszkodził. Czyżby Duncan i Conawago byli tak blisko, że przzerwali mu to makabryczne zajęcie? Duncan ponownie zerknął na postać w bujanym fotelu, wyjął nóż i szybko odciął guzik schowany pod skrzyżowanymi rękami, po czym wepchnął do sakiewki przy pasku.

Przyjrzał się srebrnemu sztyletowi, który nieżyjący trzymał jak trofeum. Srebrny drut na rękojeści świadczył o tym, że była to raczej ozdoba niż broń. Zamożni ojcowie często kupowali drugim synom stanowiska oficerskie i czasem upamiętniali to wydarzenie takim prezentem.

Wyjąwszy sztylet z zeszywniałych palców, pociągnął za rękojeść. Sztylet nie wysunął się z pochwy. Odłożył go, żeby przyrzeć się samym dłoniom. Dłonie człowieka mogą powiedzieć o nim równie wiele jak twarz. Każdy fach ma swój charakterystyczny układ odcisków i otarć skóry, a czasem i własne zabarwienie. Kiedyś profesor w kolegium medycznym rozpoznał w niezidentyfikowanych zwłokach miejscowego szewca na podstawie odcisków na czubkach palców rąk oraz plam na zewnętrznych krawędziach dłoni, śladów po gwoździach i barwnikach do skór, które mężczyzna stale trzymał na swoim stole warsztatowym.

Duncan prawie zapomniał o okropnej ranie na lewej dłoni, dopóki nie odciągnął od niej prawej, odsłaniając okaleczone ciało. Przystojny Burke, mężczyzna w kwiecie wieku, o delikatnych dłoniach człowieka ustosunkowanego i bogatego, został przybity do drzewa. Przez postrzępioną, paskudną dziurę w dłoni widać było kości i mięśnie, a na wierzchu nadal pozostał brązowy ślad od kory drzewa. Kiedy pijak w rogu pokoju zaczął chrapać, Duncan jeszcze raz obszedł stół i przyjrzał się przebarwieniu na skroni mężczyzny. Skóra była tam lekko uszkodzona, a tkanka pod spodem wykazywała zabarwienie, które nie zdążyło rozwinąć się w siniec, ponieważ śmierć nadeszła

wkrótce po ciosie. Duncan podniósł lampę, oświetlając po kolei każdą ranę: głowy, uda i ręki.

– Wszyscy lekarze, jakich znam, opiekują się żywymi – powiedział cichy, żartobliwy głos za jego plecami.

Duncan odwrócił się i zobaczył Johana Van Gruta zamykającego za sobą drzwi.

– Zrobiłem, co mogłem, dla tych na sali.

– I teraz zajmujesz się zmarłym?

Duncan zamilkł. W oczach Holendra nie było strachu, tylko żywe zaciekawienie.

– Nie chcę cię oszukiwać, Johan. Zostałem aresztowany i deportowany, zanim skończyłem ostatni etap moich studiów. Dopiero się uczyłem, jak pomagać żywym, ale mój profesor twierdził, że doskonale radzę sobie z tymi, którzy już odeszli.

– To oznacza, że czytasz w zmarłych? – zapytał Holender powoli i niepewnie.

– Zwłoki mogą być jak otwarta księga.

Szybko zademonstrował, czego się dotychczas dowiedział, pokazując głęboką ranę w udzie i przebitą dłoń.

– Matko Boska! – wykrzyknął Van Grut, kiedy Duncan otworzył okaleczoną dłoń.

– Został ukrzyżowany!

– Widziałem wiele brutalnych napaści – ciągnął Duncan, rozpinając guziki na piersi Burke'a – ale nigdy nie widziałem przebitych dłoni ani czegoś takiego. – Rozchylił koszulę.

Krew odpłynęła z twarzy Van Gruta, kiedy zobaczył zębate koło tkwiące w klatce piersiowej zabitego. Jednak strach na jego twarzy szybko zmienił się w zmieszanie.

– Nie to było przyczyną śmierci – zauważył. – Po co więc tak naznaczono ciało?

– Zrobiono to, kiedy jeszcze żył. Spójrz, jak krew zabarwiła skórę wokół.

– Jest ich więcej? – zapytał Holender z chorobliwą fascynacją.

– Więcej?

– Trybów. Kiedyś w Niemczech widziałem mechaniczną kobietę w szklanej skrzyni, która podnosiła rękę i machała. Zegarmistrzowie w Zurychu skonstruowali ją dla księcia. Ludzie często uciekali ze strachu, kiedy ją zobaczyli. Inni padali na kolana i modlili się przed nią.

Te słowa dziwnie zaniepokoiły Duncana.

– Burke był człowiekiem z krwi i kości.

– Skoro jednak umarł w ten sposób, to czy ostatecznie nie stał się maszyną?

Duncan gapił się na Van Gruta, nie całkiem rozumując jego słowa, potem podniósł sztylet i z trudem wyrwał go z pochwy. Obrócił klingę do światła, ukazując ciemnoczerwoną linię, która biegła wzdłuż krawędzi, i więcej czerwieni pokrywającej czubek. To krew przykleiła ostrze do pochwy. Zaczął podważać sztyletem tryb.

– McCallum! – zaprotestował Holender. – Nie wiesz, na co się porywasz! Musisz przestudiować funkcję trybu. W Niemczech mi mówiono, że zegarmistrzowie zaczęli pracować na żywej kobiecie. A jeśli pod spodem znajdziesz kolejny tryb połączony z tym widocznym?

Dreszcz przebiegł Duncan owi po krzyżu. Na moment znieruchomiał, zarażony irracjonalnym strachem towarzysza, a potem wyrwał tryb z klatki piersiowej zmarłego przy akompaniamencie obrzydliwego młaśnięcia.

– Niech ręka Boga ukarze twoje demony!

Słyszając ochryplą, jakby bezcielesny głos, Duncan i Van Grut odskoczyli, wpatrując się z przerażeniem w bladą twarz Burke'a. Wydawało się, że Holender zamierza chwycić tryb, aby umieścić go z powrotem w klatce piersiowej zmarłego, gdy z ciemności wyłoniło się widmo.

– Nie ruszaj trupa, złodzieju! – zagrzmiał cień i ogromna ręka chwyciła nadgarstek Duncana, podczas gdy druga uniosła się w stronę jego szyi.

Van Grut odetchnął z ulgą, podniósłszy świecę.

– Kapralu, jest pan pijany!

Przysadzisty mężczyzna z bujanego fotela zawahał się, a potem opuścił ręce i wyprężył się, jakby mówił do niego oficer.

– Parę kropelek nie powstrzyma mnie przed chronieniem tych, którzy oddali życie za błogosławionego króla Jerzego.

Duncan rozpoznał silny północny akcent i teraz zauważył Biblię zatkniętą za pasek przytrzymujący spodnie mężczyzny.

– Pan McCallum jest medykiem – wyjaśnił Van Grut.

Żołnierz, lekko chwiejąc się na nogach, podejrzliwie patrzył na Duncana.

– Proszę o wybaczenie, panie, jednak temu tutaj już nie pomożesz.

– W Yorkshire są tacy, którzy siedzą ze zmarłymi i wchłaniają ich grzechy, aby tamci mogli pójść do nieba. To szanowana profesja – zaryzykował Duncan.

Kapral zamilkł, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– W ten sposób moja matka, biedna wdowa, zarabiała na chleb. Zmarła cała poskręcana i skurczona. – Wzruszył ramionami. – Znam większość zmarłych, z którymi siedzę. Czujesz smak grzechów człowieka wystarczająco dobrze, kiedy przez całą noc siedzisz przy jego ciele. Nie mnie sądzić, jaki będzie los ich dusz, chcę tylko, by wiedzieli, że nie są sami. A co do tego, dlaczego to robię, to w naszej ojczyźnie mężczyzna z jedną nogą żyje z jałmużny do zimy, a potem zamarza w rynsztoku. – Poklepał się po prawej nodze i dopiero wtedy Duncan zobaczył wytarty dębowy kikut, który wystawał ze spodni kaprała. – Straciłem ją od francuskiej kuli armatniej dwa lata temu. Płacą mi żołd, ponieważ robię to, czego nikt inny nie chce robić.

– Na przykład upijasz się z nieboszczykiem?

– Nieboszczyk to doskonały kompan do butelki. Nie klóci się, sam nie pije, zawsze słucha i... po pierwszej godzinie lub dwóch śpiewa razem z tobą – dodał kapral z przewrotnym błyskiem w oku. Te wyjaśnienia przerwało mu głośne beknięcie, po którym wyciągnął rękę i starannie poprawił koszulę Burke owi. – Żołnierz musi być silny do samego końca, szczególnie jeśli wróg jest w zasięgu głosu. Przypominam im, że mają walczyć do utraty tchu. Głowa do góry i naprzód. Nie pozwól zabojadom zobaczyć twojej słabości.

– Pan McCallum pomaga martwym, tak samo jak ty – wyjaśnił Van Grut. – Czyta z ich ciał, jak tubylec ślady w puszczy.

Kapral starł płamkę z mosiężnego ryngrafu nieboszczyka.

– Tego nie wiedziałem, ciężko to odczytać.

– Morderca uderzył go najpierw w głowę – wytłumaczył Duncan, wskazując siniak na skroni. – Burke był oszołomiony lub nieprzytomny dostatecznie długo, by przybito mu rękę do drzewa prawdopodobnie tym samym toporem, który chwilę później rozciął mu udo... – Duncan zamilkł i ponownie spojrzął na sztylet. Skinął na Van Gruta, by ten potrzymał świecę bliżej rany na udzie, a sam rozchylił jej brzegi. – Wykończono go własnym sztyletem. Topór zadaje paskudne rany, które powodować mogą nawet trwale kalectwo, ale nie zawsze są śmiertelne. Morderca nie był zadowolony z rezultatu, więc wbił sztylet w tętnicę. Mój przyjaciel i ja znaleźliśmy Burke'a kilka minut później.

– Czy powiedział coś o mordercy, kiedy umierał? – zapytał Van Grut.

– Wydawało się, że nie może... – odpowiedział Duncan, uświadamiając sobie, że nie potrafi wyjaśnić, dlaczego Burke nie mógł mówić.

Szczęka się nie poruszyła, kiedy ją nacisnął, gdyż stężenie pośmiertne już zrobiło swoje. Nieprzyjemne chrupnięcie przy mocniejszym naciśnięciu spowodowało, że Van Grut wyraźnie się wzdrygnął, ale trzymał blisko świecę, kiedy Duncan schylił się, aby zajrzeć zmarłemu w usta. Na moment znieruchomiał na widok tego, co zobaczył, a potem głębiej sięgnął palcem i wyjął bryłę metalu. Wyciągnął ją na otwartej dłoni, aby pokazać towarzyszom zamiast wyjaśnienia. Była to bryła miedzi, stopiona i utwardzona, jakby stoczyła się z kowadła.

– Jezu, chroń nas grzesznych – wymamrotał bojaźliwie kapral.

Duncan i Van Grut wymienili zakłopotane spojrzenia. To nie miało żadnego sensu poza tym, który przyszedł do głowy wyczerpanemu żołnierzowi. W starych zwyczajach, które utrzymywały się w Szkocji i na północnym terenie Anglii, metalu używano do odpędzania diabła.

– Majorowi bardzo spieszo wskazać sprawcę zabójstwa – rzekł po chwili do żołnierza Duncan. – Kogo oczekuje?

– Będą przejazdem przez Ligonier w drodze do Lancaster.

– Kto?

– Dygnitarze – odpowiedział kapral. – Na konferencję w sprawie traktatu pomiędzy Wirginią, Pensylwanią i Indianami.

Duncan przyjrzał mu się z zakłopotaniem.

– Jednak z pewnością żaden traktat pokojowy nie zostanie zawarty w Europie. I na pewno nie będzie tam żadnych uczestników z puszczy.

Kapral potrząsnął głową w odpowiedzi na oczywistą ignorancję Duncana.

– Sprawy puszczy nie są rozstrzygane z koronkowymi mankietami i przy herbacie. Mówię o traktacie z Indianami. Wezmą w tym udział wodzowie z irokeskich siedzib i zachodnich ziem, a razem z nimi czarno-biali zarozumiałcy z Fortu Pitt.

– Czarno-biali?

– Przekłęci kwakrzy. – Splunął kapral, a potem spojrzął w dół. – Proszę o wybaczenie, panie. Dżentelmeni reprezentujący prowincjonalny rząd w Filadelfii. Sędzia pokoju i jego krewni, którzy zostali wysłani do zarządzania nową placówką handlową w Pitt.

Duncan nagle sobie uświadomił, że Latchford chciał powiesić Conawago, zanim przybędzie delegacja w sprawie traktatu.

– Czy to ty obmyślesz ciało, kapralu? – zapytał.

– Pomagałem. Zrobił to przestraszony młodzian z rudymi włosami. Mówił, że jest jego kuzynem. Płakał tak, że kilkakrotnie musiał przerywać, żeby wziąć się w garść. Wciąż mamrotał: „Kto powiadomi jego matkę?” i „Och, ta przekłeta walka”. Powiedziałem mu to, co mówię wszystkim zagubionym istotom, że śmiertelnik nie powinien kwestionować tego, gdzie dobry Bóg kieruje metal.

– Metal? – zapytał Van Grut.

– To zawsze jest metal, prawda? Ostrze czy kula, to metal zawsze zabiera żołnierza.

Van Grut posłał Duncanowi zaniepokojone spojrzenie, jakby sugerując, że to, co zabiło mężczyznę, nie było ostrzem ani kulą, ale niedziałającym trybem w jego klatce piersiowej.

Dwadzieścia minut później Duncan oparł się o drzewo w cieniu obok obozowiska mieszkańców Wirginii, kiedy skończyli swój wieczorny posiłek i zaczęli szykować się do spoczynku. Kuzyna Burke’a nietrudno było rozpoznać: młody mężczyzna z rudymi włosami związanymi z tyłu siedział niespokojnie na kłodzie z dala od innych, z gęsim piórem w dłoni, wpatrując się żałośnie w częściowo napisany list.

– Zatem ilu jest tych martwych pogan leżących stertami wokół twego kapitana? – zapytał Duncan, podchodząc bliżej.

Zmieszanie na twarzy mieszkańca Wirginii szybko zmieniło się w urazę, gdy rozpoznał Duncana.

– Kiedyś widziałem, jak pewien oficer podarł list napisany przez podwładnego i opisujący śmierć rekruta, który zapił się na śmierć – wyjaśnił Duncan. – Wy tłumaczył, że krewni muszą zawsze wierzyć, że ich bliscy polegli jako bohaterowie za króla i ojczyznę. Napisał nowy list, donosząc, że ten żołnierz zginął, broniąc rodziny misjonarzy episkopalnych i kładąc trupem sześciu Indian.

Mieszkaniec Wirginii, który dopiero co przestał być nastolatkiem, wskazał kartkę na swoich kolanach.

– Zginął z ręki dzikusa podczas patrolu zabezpieczającego przemarsz swojego oddziału. To wystarczy, aby nazywać go bohaterem.

Duncan obserwował chłopaka. Czy w jego smutku kryła się odrobina rozgoryczenia.

– Jaki starszy rangą oficer pozostawia swoich żołnierzy, aby przeprowadzić samotny zwiad?

– Nie wie pan, kim jesteśmy?

– Milicją z Wirginii.

– Jesteśmy, panie, Kompanią Burke'a z Shenandoah. Najstarszy Burke ustanawia prawa.

– A teraz ty jesteś najstarszym Burkiem.

Rozmawiając z nim, Duncan obserwował gromadę mężczyzn wokół ogniska, doskonale zdając sobie sprawę, że ich krzepki sierzant ma z nim niedokończoną sprawę.

– Daleko mi do tego, dzięki Bogu. Nawet nie noszę tego nazwiska. Moja matka nazywa się Burke. Ja jestem Hadley, Thomas Hadley. Jest tu dwóch innych kuzynów, obaj starsi ode mnie.

– Jednak to ty umyłeś ciało i to ty piszesz trudny list.

– Miałem nieszczęście przebywać w domu po ukończeniu studiów w College of William and Mary, kiedy formowano kompanię. Wuj zaoferował mi kilka dodatkowych szylingów, jeśli zostanę kompanijnym pisarzem. W przeszłości wszystko, co robiła milicja, to organizowanie parad i pieczenie wołów.

– Jednak jesteś tu.

– Zaprotestowałem, kiedy wuj nagle rozkazał nam skierować się na północ. Zrezygnowałem. Spakowałem książki i siedziałem na mule w drodze powrotnej do Williamsburga, kiedy po mnie przyjechali – wyjaśnił Hadley głuchym głosem. – Wuj przypomniał mi, że zapewniamy Wirginii bezpieczeństwo, walcząc z Indianami w Pensylwanii i Ohio. Powiedział, że moim świętym obowiązkiem jest prowadzenie kroniki chwalebnej ekspedycji Burke'a. Tak o nas mówi, jakbyśmy byli budowniczymi imperium, a nie farmerami i studentami. Naśladowcami pułkownika Waszyngtona i generała Braddocka, którzy poprowadzili mieszkańców Wirginii do chwały wczesnych grobów w lasach Penn. – Hadley z nieskrywaną goryczą mówił o pierwszej potyczce w wojnie prowadzonej przez Waszyngtona i pierwszej bitwie, krwawej masakrze nad rzeką Monongahela, hańbiącej brytyjską armię. – Tworzymy historię zarówno w dziedzinie wojskowości, jak i polityki, przypomniał mi wuj, kiedy wyruszyliśmy.

– Polityki?

Hadley obrzucił Duncana zakłopotanym spojrzeniem.

– Mój kuzyn. Z pewnością pan wie. Miał zostać starszym negocjatorem traktatu z prowincji Wirginii.

Te słowa spowodowały, że Duncan zamilkł i usiadł na kłodzie obok Hadleya. „Akurat tego Wirginijczyka, akurat tego dnia”, powiedział Latchford.

– Powiedz mi, Hadley, gdzie twój kuzyn trzymał ten mały srebrny sztylet?

– Do podszewki kamizelki miał przyszytą pętlę, na której zawieszał pochwę. Dlaczego pan pyta?

– Ponieważ sędzę, że ten, kto go zabił, wiedział, gdzie znaleźć sztylet. To właśnie tym sztylecikiem go zabito, przecinając tętnicę w płytszej ranie zadanej tomahawkiem. Czy twój kapitan nie miał żadnej broni.

Duncan nadal miał na oku opryskliwego sierzanta.

– Miał pistolet i elegancką strzelbę, prezent od ojca, z inicjałami wyrytymi na kolbie.

– Gdzie one są?

– Pistolet znaleziono w pobliskich krzakach. Strzelba zaginęła.

– Przybyliśmy kilka minut po ataku. Usłyszeliśmy strzały. Kapitan Burke pozwolił swojemu zabójcy podejść blisko, nie podjął walki.

Hadley zagryzł wargę.

– Mówiłem ci, że mój przyjaciel go nie zabił. Próbowaliśmy mu pomóc.

– To nic nie znaczy. Zabójca mógł przypadkiem znaleźć sztylet.

– Jak byś się czuł, donosząc rodzinie, że Conawago został powieszony za zamordowanie twojego kuzyna, a potem byśmy odkryli, że prawdziwym mordercą był ktoś, kto znał kapitana?

Hadley spoglądał na Duncana z zakłopotaniem. Otworzył i zamknął usta, ale nie powiedział.

Brodaty sierżant patrzył teraz prosto na Duncana, oczy mu płonęły. Duncan nachylił się do młodego mieszkańca Wirginii.

– Idź o północy do wartowni – poinstruował go pospiesznie. – Powiedz waszemu człowiekowi, że go zmieniasz.

Sierżant przepchnął się przez tłum mężczyzn, chwycił polano jako pałkę i był w połowie drogi do kłody Hadleya, gdy Duncan zniknął w ciemności.

Wartownik spierał się z Hadleyem tylko przez kilka chwil, po czym zarzucił muskiet na ramię i odmaszerował w światło księżyca. Kompanijny pisarz był prawdopodobnie najmłodszy z wirginijskich żołnierzy i każdy jego ruch zdradzał brak doświadczenia. Należał jednak do klanu Burke'ów, a strażnik był w kompanii Burke a. Duncan przez pięć minut obserwował z ciemności, zanim zbliżył się do ziemianki, nie przyglądając się Hadleyowi, ale śpiącemu wartownikowi, bezwładnie wyciągniętemu na stołku pod ścianą przy wejściu do więzienia. Duncan przyłożył palec do ust, kiedy dotarł do Wirginijczyka. Ten się skrzywił, ale zdjął lampę z kołka na ścianie i ruszył. Zatrzymali się, kiedy doszli do kolejnego kołka przy okutych żelazem drzwiach, na którym wisiał duży klucz.

– Powiedz mi, czemu to robisz? – zapytał Hadley niespokojnym szeptem.

– Ponieważ, podobnie jak ja, pragniesz poznać prawdę.

– Jedyne, czego pragnę, to szybki powrót do Wirginii – padła ponura odpowiedź Hadleya, który wziął klucz i otworzył drzwi.

Wewnątrz nie było innych drzwi, tylko kilka nisko sklepionych izb wydrążonych w skale i ziemi. W pierwszych dwóch przechowywano puste beczki na proch. Duncan prawie minął trzecią, na końcu której leżała sterta szmat, ale dostrzegł znajomy wzór z czerwonych paciorków wzdłuż krawędzi kawałka brudnego płótna.

Rozpaczliwy okrzyk wyrwał się z jego ust, gdy odwrócił przyjaciela na plecy. Prawe oko Conawago było prawie zamknięte od opuchlizny, a całą prawą stronę twarzy pokrywały paskudne sińce i skaleczenia. Duncan rozpiął koszulę Conawago,

odslaniając kolejne obrażenia i opuchnięte, sączące się wybrzuszenie po lewej stronie klatki piersiowej. Czując dotknięcie jego palców, Conawago jęknął z bólu. Otworzył zdrowe oko. Wydawało się, że z najwyższym trudem skupiał wzrok na Duncanie.

– Ten Onondaga miał rację – powiedział ochryplym szeptem. – Bogowie nie są ze mnie zadowoleni.

Duncan walczył z burzą uczuć. Zebra pod opuchlizną były mocno potłuczone, jeśli nie połamane. Przez dziury w nogawkach Conawago widać było kolejne obrażenia. Prawą dłoń miał zaciśniętą i jęknął, kiedy Duncan ją podniósł. Mały palec sterczał pod nienaturalnym kątem.

– Próbowali zabrać drugą, po tym jak zniszczyli pierwszą – rzekł Indianin, krzywiąc się przy każdym wydechu. – Ale nie chciałem jej puścić. Jest stara i sterana życiem jak ja, ale pewnego dnia może przemówić za mną do innych bogów.

Duncan pojął, że Conawago wolał pozwolić napastnikom złamać sobie palec, niż puścić małe gliniane bóstwo.

Jednak teraz przyjaciel otworzył dłoń i wyciągnął figurkę w stronę Duncana.

– Musi się znaleźć na zewnątrz. Masz moje rzeczy? Sakiewkę z ochrą?

Duncan przytaknął, potem podniósł chochlę z wodą pozostawioną na stołku obok Conawago i przytknął mu ją do ust.

Stary Nipmuk się napił, a później zakaszłał, zgrzytając zębami z bólu.

– Dobrze – rzekł po chwili. – Zabierz ją teraz i umieść w małym kręgu z ochry w blasku księżyca. Ktoś powinien przy niej być, żeby szeptać jej słowa pociechy. Gdybym mógł, siedziałbym z nią całą noc.

– Zrobimy to wkrótce razem.

Conawago jakoś zdołał się uśmiechnąć.

– Siedź z nią, powiedz jej, że ostatni Nipmuk żył z honorem.

Zdrową rękę zanurzył w słomie, aby chwycić coś innego, mały futrzany amulet, który otrzymał od Skanawatiego.

– Nie. Zrobimy to razem – powtórzył Duncan.

Conawago ponownie zakaszłał, zamykając oczy, jakby zbierał siły.

– Mogę prosić o jeszcze jedną przysługę?

Duncan, nie mogąc wykrztusić słowa, skinął głową.

– Stań blisko drzewa, które wybiorą – rzekł Conawago, oddychając z trudem. – Chciałbym patrzeć na twarz przyjaciela. Potem zanieś małe bóstwo do jego jaskini. To była z góry przegrana sprawa.

Uśmiechnął się słabo i stracił przytomność.

Duncan wskazał Hadleyowi wiadro z na wpół zanurzoną w nim szmatą i zaczął obmywać rany starca.

– On... on dobrze mówi po angielsku – rzekł nieśmiało Hadley zza pleców Duncana.

– Przypuszczam, że jest najlepiej wykształconym człowiekiem w tym forcie. Conawago został wychowany w szkołach jezuitów. Mówi po angielsku, francusku i zna pół tuzina ojczystych języków. Wie więcej o leczeniu niż większość lekarzy w Europie.

Jego słowom towarzyszyły szelesty dobiegające z jednej z ciemnych izb w głębi korytarza. Niewątpliwie w ciemności grasowały szczury. Wyciągnął zza pasa rolkę płóciennego bandaża i zaczął owijać złamany palec wraz z sąsiednim.

– Trzymał w ręku nóż, McCallum. Czemu trzymał w ręku nóż, skoro próbował opatrzeć mojego kuzyna?

Duncan nie odpowiedział od razu, tylko obejrzał poły koszuli Conawago. Po chwili pokazał Hadleyowi miejsce, gdzie odcięto wąski pasek materiału.

– Żeby zrobić bandaż. Jest niewinny.

– Sąd o tym zadecyduje.

– Sąd? Masz na myśli majora Latchforda nienawidzącego Indian i tłum Wirginijczyków opłacanych przez rodzinę Burke'a? – A kiedy Hadley nie odpowiedział, Duncan wskazał gestem ramię Conawago. – Pomóż mi oprzeć go o ścianę, żeby mógł się jeszcze napić.

Kiedy podnieśli chochlę do ust Conawago, Indianin znów otworzył oczy.

– Nie dla mnie. Możesz zrobić więcej dla niej – powiedział słabo, wyciągając drżącą rękę w kierunku ciemności.

Duncan się zawahał, zerkając na Hadleya, który wzruszył ramionami. Z ciemności dobiegał stłumiony płacz.

W najdalszej i najciemniejszej izbie znajdowały się dwie osoby. Kiedy poświecili tam lampą, skryły twarze w podartych workach pozostawionych im jako koce.

– Nie chcemy was skrzywdzić – oznajmił Duncan.

Duże błyskające białkami oczy wyjrzały spod koca. Kilkunastoletnia dziewczyna pochylała się, jakby chroniąc leżącą pod zgrzebnym płótnem drugą postać skręcającą się z bólu. Duncan powoli tam podszedł, trzymając przed sobą otwarte dłonie, a potem uklęknął obok postaci. Cierpiącą była około trzydziestoletnia kobieta. Jej ciemna, ładna twarz była wykrzywiona tyleż ze strachu, ile z bólu.

Hadley jęknął. Lampa wypadła mu z ręki.

– Znasz ją? – zapytał Duncan, złapawszy lampę.

Teraz zobaczył, że twarz Hadleya również wykrzywił strach.

– Ona... one należą do pułkownika Burke'a w Wirginii.

Nie powiedział nic więcej.

Duncan oświetlił lampą więźniarki. Ich skóra miała kakaową barwę, a rysy twarzy zdradzały afrykańskie korzenie.

– Przekłęci Francuzi, którzy w taki sposób igrają z ich życiem – wymamrotał Hadley.

– Francuzi? – zapytał Duncan.

– Plotki rozeszły się lotem błyskawicy od Piedmontu do portów. Każdy niewolnik, który zdoła dotrzeć na kontrolowany przez Francuzów teren Ohio, otrzyma wolność i ziemię. Tani sposób na zablokowanie brytyjskich planów.

Dziewczyna najwyraźniej rozpoznała Wirginijczyka. Łzy spływały jej po twarzy.

– Mama potrzebuje pomocy, panie Hadley.

Wydawało się, że towarzysz Duncana zaraz rzuci się do ucieczki.

– Proszę, panie Hadley – błagała dziewczyna. – Tylko dlatego znaleźli nas żołnierze. Mama krzyczała z bólu.

– Mokie... nie – odpowiedział Hadley, cofając się o krok.

Duncan go powstrzymał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie mogę zrobić tego sam.

– Co masz na myśli?

– Przynieś mi czyste koce, nawet gdybyś musiał je ukraść samemu majorowi. W kwaterze oficerów zapewne podłożono na noc drewna do pieca. Zagotuj trochę wody.

– Nie rozumiem.

Duncan odrzucił worki zakrywające kobietę.

– Niewolnica twojego wuja urodzi dziecko.

Zanim Duncan wyszedł z wartowni, przez gałęzie drzew na wschodzie sączyło się szare światło dnia. Podupadł na duchu, widząc ludzi biegnących do kwater oficerów, i usiadł na ławie z rozłupanego pnia, zbyt wyczerpany, aby przejmować się słowną, a może i fizyczną chłostą czekającą go za wtargnięcie do więzienia i opiekowanie się więźniami. Czuł jednak nie tylko zmęczenie. Przez chwilę doznał również dziwnej satysfakcji. Przyjął poród zdrowego niemowlęcia płci męskiej. Sama kobieta, imieniem Becca, była bardziej doświadczona niż Duncan i Hadley, ale Duncan odegrał rolę akuszerza.

Poczuł nieoczekiwaną chęć napisania listu do pozostającej w nowojorskiej kolonii Sarah Ramsey, która zawładnęła jego sercem rok wcześniej, by zawiadomić ją, że właśnie odebrał swój pierwszy poród. Wówczas z kwatery oficerów wyłonił się pospiesznie kroczący oficer, zapinający spodnie i przeklinający żołnierza, który biegł truchtem przed nim. Duncan spojrział na swoje dłonie, zakrwawione po nocnej pracy, i wziął się w garść. Nagle kolejne przekleństwa popłynęły od zewnętrznej bramy wciąż oświetlonej lampami. Za palisadą słychać było chór gniewnych głosów.

– Mój Boże, McCallum – powiedział znużony głos za jego plecami. – Ja nigdy... – Hadley nie zdołał dokończyć i opadł na ławę obok Duncana. – Becca powiedziała, że da synowi na imię Penn. Kiedy odchodziłem, stary Indianin mnie zawołał.

Duncan, słuchając tylko jednym uchem, obserwował oficera przy bramie. Zaraz jednak zarejestrował słowa.

– Conawago odzyskał przytomność?

– Poprosił, żeby pokazać mu małego chłopca i pozwolić mu go potrzymać. Mokie go przyniosła, a on wyszeptał coś chłopcu do ucha, zapewne jakąś indiańską modlitwę, po czym powiedział, że chłopiec będzie miał długie i udane życie.

Duncan nadal obserwował bramę, powoli zdając sobie sprawę, że to nagłe zamieszanie oznacza niespodziewane wcześniejsze przybycie negocjatorów traktatu.

– Modlitwę? – zapytał, odwracając się do Hadleya.

– Podziękowanie bogom. Powiedział, że to bardzo dobry znak, że młody przybywa, kiedy stary odchodzi, i że duchy mówiły, że są gotowe dzisiaj go powitać.

– Powiedz mi, McCallum, kto jest dowódcą odpowiedzialnym za zwiadowców na tej wojnie? – zapytał Latchford.

Duncan zbierał siły. Mył ręce przy studni, kiedy ludzie Latchforda zaciągnęli go do biura majora.

– Kapitan Woolford to jedyne nazwisko, jakie muszę znać.

Na twarzy Latchforda pojawił się lodowaty uśmiech.

– Ile wynosi miesięczna pensja królewskiego zwiadowcy?

Duncan w milczeniu spoglądał na oficera.

Rozbawienie w oczach majora zmieniło się w gniew.

– Jaki jest oficjalny ekwipunek wydawany zwiadowcy?

– Zwiadowcy, majorze, nie są regularnymi żołnierzami. Niektórzy służą, gdy zajdzie potrzeba.

– Cuchniesz zbiegiem. Powinienem natychmiast zakuć cię w kajdany, McCallum – warknął oficer, a potem wskazał kawałek złożonego papieru leżący na biurku obok jednej z brązowych kopert, jakich używa wojsko. – Napisałem już list do Filadelfii z zapytaniem o ciebie. Jeśli dojdę do wniosku, że ukradłeś tę odznakę, niezwłocznie cię powieszę. Mógłbym podpisać ten rozkaz już dziś rano. Podwójna egzekucja wywarłaby wspaniały wpływ na dyscyplinę. Mamy dość przeklętych Szkotów w piechocie. Nie trzeba nam, żeby włóczyli się po lasach.

Duncan oderwał wzrok od listu. Nie mógł pozwolić, żeby rozpytywano o niego wyższych oficerów. Odpowiedział majorowi nieprzeniknionym spojrzeniem i rozjaśniło mu się w głowie, gdy w głosie Latchforda rozpoznał nutę zachęty.

– Czego pan chce, majorze?

– Ta sprawa musi zostać załatwiona dzisiaj, natychmiast.

– Konwój negocjatorów traktatu przybył o świcie – zauważył Duncan. – Dzień wcześniej.

– To tylko przednia straż. Delegaci są kilka godzin za nimi. Wirginijczycy oznajmili, że jeśli sprawiedliwość nie zostanie wymierzona dzisiaj, zabiorą więźniów z powrotem do Wirginii, żeby ich ukarać. Nie powiem generałowi, że straciłem trzydziestu dobrych wojowników przez jakiegoś starego dzikusa, który od lat powinien leżeć w grobie.

Co więcej, Latchford nie zamierza narazić traktatu, przeprowadzając proces mordercy w obecności negocjatorów, domyślił się Duncan.

– On jest niewinny.

– Na tym kontynencie nie ma ani jednego cholernego Indianina, który jest niewinny. Będzie wisiał. Twoja praca w szpitalu była... do przyjęcia. Udowodniłeś, że jesteś wykształconym człowiekiem. Teraz chcę, żebyś zebrał dowody i przygotował zwięzłe sprawozdanie, które będę mógł wysłać do Filadelfii, aby wytłumaczyć nasze działania. Nie mam czasu, żeby zajmować się delegacją i jednocześnie pisać raport. Potrzebuję podsumowania, które zostanie odczytane i dołączone do akt, nie prowokując dalszych pytań. Jeśli musisz odwiedzić miejsce zbrodni, zapewnię ci eskortę. Nie możemy pozwolić, żeby ucierpiały interesy jego królewskiej mości.

– Ma pan na myśli to, że nie może pozwolić, aby to zabójstwo zakłóciło negocjacje. Oczy Latchforda rozbłysły.

– Mając odpowiedni raport, możemy uniknąć długiego procesu. A ja powstrzymam się od zadawania kłopotliwych pytań na twój temat.

Podniósł kopertę i znacząco stuknął jej rogiem o biurko.

– Dowody nie wskazują na to, że Conawago jest zabójcą.

– Źle mnie zrozumiałeś. Potrzebuję medycznej wiedzy, którą się wykazałeś. Wiem, że potajemnie zbadałeś ciało. Dokładny opis ran. Doprawiony łąciną. Rany zadane tomahawkim, nożem, kijem. Połączę je oficjalnie z więźniem w wynikach mojego dochodzenia. Mówisz, że skazaniec był kształcony przez jezuitów. Niechybnie sympatyk Francuzów.

Nikt nie będzie miał nam za złe uśmiercenia kolejnego wroga króla. Byłeś naocznym świadkiem. Być może jesteś gotowy, aby ponownie rozważyć, co widziałeś. Daj mi raport, którego potrzebuję, a przed zmrokiem znajdziesz się z powrotem w puszczy.

– Nie pomogę go powiesić.

Latchford dał znak wartownikowi.

– Zatem umieszczę cię w celi, z której będziesz mógł obejrzeć, jak ten stary głupiec zadynda na sznurze. Potem możesz gnić tam przez kilka tygodni, dopóki nie napiszę raportu, jak to podawałeś się za zwiadowcę. To da mi czas, aby zbudować dla ciebie odpowiednią szubienicę. Pomóż mi powiesić twojego Indianina albo powieszę ciebie – prychnął major.

Rozdział 3

Duncan nigdy naprawdę nie chodził po lesie, dopóki nie poznał Conawago. Stary Nipmuk najpierw nauczył go słuchać i wąchać, widzieć rzeczy, których wcześniej nie widział, poruszać się po lesie bez pozostawiania śladów, ale dopiero gdy poddał go wielogodzinnym rytuałom oczyszczenia. Osad europejskiego świata trzeba zdrapać z jego skóry, wymyć z uszu i nosa, nalegał. Poprzedniej zimy spędzili wiele dni na odległej górze, budując wymyślną rytualną saunę, a potem na przemian kąpali się w saunie i sadzawce z lodowatą wodą, podczas gdy stary Indianin mruczał do bogów, co noc całymi godzinami obserwując gwiazdy i meteory. W końcu Conawago stanął na krawędzi wysokiego klifu i wykrzyknął do nieba, że ten Szkot zza morza jest gotowy, aby bogowie zwrócili na niego uwagę.

Magia tych godzin miała pozostać w sercu Duncana na zawsze i poczuł ją znowu, kiedy zbliżał się do miejsca morderstwa, usiłując zapomnieć o lęku starego Nipmuka, który leżał, krwawiący i poturbowany, w więzieniu Latchforda.

Ziemia wokół miejsca zbrodni była zdeptana butami i mokasynami tylu ludzi, że nie można było odczytać żadnych śladów. Duncan raz po raz przystawał i unosząc dłoń, powstrzymywał Van Gruta i McGregora, spoglądając na leśny gąszcz, usiłując odtworzyć w myślach wygląd tego miejsca w chwili, gdy dotarł tu z Conawago. Kiedy McGregor przejął obowiązki strażnika, Duncan pokazał Van Grutowi, gdzie ciało było oparte o duży buk, i wskazał ciemniejszą plamę na ziemi, w którą wsiąkła krew Winstona Burke'a. Wielki gwóźdź, którym przybito jego dłoń, wciąż tkwił w drzewie, poplamiony krwią na całej długości.

– Założmy, że jesteś mordercą – rzekł Duncan do Van Gruta po chwili, podczas której przechadzał się przed drzewem, rekonstruuując zbrodnię.

Zatrzymał się, zauważywszy głębokie zaniepokojenie na twarzy Holendra. Kiedy Van Grut zgłosił się na ochotnika na tę wyprawę, Duncan bez wahania i z zadowoleniem powitał go jako bystrego obserwatora, jednak teraz Holender zdawał się mieć wątpliwości. – Ogłuszasz Burke'a uderzeniem tomahawka w głowę, a potem wbijasz gwóźdź w jego lewą dłoń, żeby przymocować go do drzewa, zanim rozplatasz mu nogę.

Holender ukląkł i oglądał ćwiek.

– Po co był ten gwóźdź?

To pytanie Duncan zadawał sobie podczas jazdy z fortu. Gwoździe były cennym towarem na pograniczu, gdzie konstrukcje zazwyczaj łączono drewnianymi, a nie żelaznymi ćwiekami.

– Nie wiem – przyznał. – Wystarczyłby zaostrzony kołek, a nawet gruby cierń. Indianie nie używają gwoździ.

– Kradną je z naszej kuźni przez cały czas na zwieńczenia tomahawków albo na handel – sprostował McGregor. – Z tego, co słyszę, w ich osadach są równie dobre jak pieniądze.

Duncan skrzywił się, przyznając mu rację, a potem wyjął gwóźdź ostrzem tomahawka, przypominając sobie, że za morzem jest wielu takich, którzy użyliby metalu jako talizmanu do odpędzania zła. Jednak tutaj gwóźdź wykonał diabelską robotę. A może to Burke był diabłem, przed którym się broniono?

Główka gwoździa miała niezwykle cieniowany deseń.

– Czy wasza kuźnia odciska taki wzór na swoich gwoździach?

McGregor obejrzał go i pokręcił głową.

Również inne kawałki metalu przyczyniły się do śmierci ofiary, przypomniał sobie Duncan, wrzucając gwóźdź do sakiewki przy pasie, gdzie był już kawałek miedzi wyjęty z ust Burke'a. Gwóźdź. Tryb. Miedz. Nic z tego nie było potrzebne do zabójstwa. Morderca realizował jakiś szerszy zamysł. Jednak jaki był jego cel? – zadawał sobie pytanie. Te przedmioty miały dla kogoś znaczenie. Co oznaczało, że miały przekazać wiadomość od zabójcy.

Burke przeprowadzał zwiad, jak twierdził jego kuzyn. Duncanowi trudno było w to uwierzyć, jednak kapitan z pewnością był sam i opuścił obóz o świcie. Jeszcze raz odtworzył w myślach tę scenę. Spodnie Burke'a i jego skarpety nie były mokre od rosy po przedzieraniu się przez chaszczę, co oznaczało, że przybył Drogą Forbesa nie wcześniej niż trzydzieści minut przed swoimi ludźmi. Nie było żadnych świeżych śladów na szlaku, inaczej Conawago i Duncan by je zobaczyli. Burke zszedł z traktu na Ścieżkę Wojowników i podszedł do ogromnego buka znaczącego początek szlaku, jakby go szukał.

Duncan znów spojrzał na Holendra. Twarz Van Gruta spochmurniała od niepokoju.

Duncan nie zapomniał słów wypowiedzianych przez Latchforda. „Dlaczego akurat tego Wirginijczyka, dlaczego akurat tego dnia?” Major pomiął kolejne ważne pytanie.

– Dlaczego akurat to drzewo? – zapytał Duncan.

– To wspaniały okaz, ogromny.

Holender spoglądał na drogę, jakby nagle pomyślał, żeby wziąć nogi za pas. McGregor podszedł bliżej.

– Widziałem większe – odpowiedział Duncan, obserwując las, powoli obchodząc drzewo, oglądając zdeptaną ziemię i długi kręty szlak, który biegł w puszczy. Ścieżka Wojowników była od wieków używana przez członków plemienia podróżujących na południe i zachód. Przypomniał sobie, jak podczas ich wędrówki Conawago sprowadził go z niej, aby podążyć Drogą Forbesa, która w kilku miejscach biegła bardzo blisko. Jednak przy żadnym z innych skrzyżowań nie rosło takie drzewo. Zajrzał za nie od północnej strony i zamarł.

Nad jego głową widniały rzędy wyciętych symboli zaczynające się szeregiem takich ludzików, jakie Duncan widział na wampumach używanych przez Irokezów. Jednak tutaj postacie zostały wycięte w srebrnej korze, a nie splecione z fioletowych i białych paciorków. Postacie Indian noszących tomahawki były znakiem ostrzegawczym. Ten szlak nie bez powodu nazywał się Ścieżką Wojowników. Poniżej tych znaków znajdował się inny, wycięty nie tak dawno i nie ręką Indianina. Było to I i V, rzymska liczba cztery. Z boku, od wschodu, było więcej znaków: pięć niedawno wyciętych geometrycznych figur, kwadratów i kątów prostych, w środku niektórych usunięto kawałeczek kory, jakby kropkę, nie zawsze w tym samym miejscu symbolu. Pierwszy wyglądał jak U, kanciaste na dole, następny był kątem prostym przechylonym tak, że celował w środek U, trzeci kątem prostym z narożem skierowanym w lewo i w górę, z kropką wyciętą w rogu.

Zauważył poskręcane kawałki kory pod znakami i przyklęknął, podniósł jeden, zgiął i powąchał. Skrawki były świeże, jeszcze niewyschnięte, wycięte nie wcześniej niż poprzedniego dnia. Ktoś zrobił znaki, po tym jak Burke został zabity, a może gdy umierał. Z koszuli Burke'a odcięto nie wszystkie cenne guziki, ale te symbole zostały starannie wykonane, jakby były ważniejsze od srebra.

Odwrócił się i zobaczył, jak Van Grut siada na kłodzie, wyciągając dziennik z płóciennej torby, która wydawała się nigdy nie opuszczać jego ramienia, a potem wydobywa z kieszonki kamizelki rysik.

– Wiedziałeś o tym drzewie – powiedział Duncan do Holendra.

To nie było pytanie.

Van Grut wydawał się dziwnie zawstydzony.

– Podejrzewałem. Nie byłem pewny – rzekł przepaszającym tonem.

Duncan podszedł do Van Gruta.

– Splacałeś długi w forcie – powiedział oskarżycielsko. – Sakiewka Burke'a była pusta.

Krew odpłynęła z twarzy Van Gruta.

– Chyba nie chcesz...

– Wokół rozciąga się bezkresna puszcza, lecz ty wiedziałeś akurat o tym drzewie.

Van Grut jeszcze raz tęsknie spojrzął w stronę drogi.

– Dlaczego to drzewo? – zapytał Duncan. – Po co te znaki?

– To nie jest tylko jedno drzewo – rzekł Van Grut. – Są inne.

– Inne?

Holender odpowiedział mu upartym spojrzeniem, a potem westchnął, otworzył dziennik i zaczął go kartkować. Duncan patrzył, jak przerzuca strony ze szczegółowymi rysunkami Indian, ptaków i ssaków, aby zatrzymać się na szkicu wielkiego drzewa. Wydawało się, że jest to drzewo, które mają przed sobą, dopóki Van Grut nie wskazał podpisu, którym opatrzył rysunek. *Znak graniczny nr III – odczytał Duncan. 1 mila pd.-wsch. Drogą Forbesa, 4 mile zach. Ligonier. Monongahela Land Co.*

Duncan spojrzął na niego podejrzliwie.

– Nie przyszedłeś mi pomóc. – Gniewnie pokręcił głową. – Wykorzystujesz mnie.

Van Grut odwrócił wzrok i zapatrzył się na drzewo.

– Moje podróże, mój sprzęt, są kosztowne. Moja rodzina straciła wszystkie guldeny podczas krachu w Antwerpii przed kilkoma laty. Są trzy sposoby zarabiania na życie, gdy się mieszka na pograniczu. Jako traper, żołnierz...

– Lub geodeta – dokończył Duncan.

– To honorowe zajęcie – sumitował się Holender, ale w jego głosie wyraźnie było słychać nutę skruchy.

– Jednak nie powiedziałeś mi o tym.

Van Grut obracał w palcach rysik.

– Przez dwa lub trzy dni wykonuję pomiary, a potem przez dwa lub trzy dni zbieram okazy. – Spojrzał przepaszająco na Duncana. – Powiedzieli, że był przybity do drzewa. Skąd miałem wiedzieć, że to było to drzewo?

– Podejrzewałeś. Dlaczego? – Duncan chwycił dziennik i podsunął go pod nos Van Gruta. – Dlaczego? – spytał ponownie.

– Burke był jednym z właścicieli przedsiębiorstwa, dla którego pracuję – wyszeptał Van Grut.

Duncan ciężko westchnął.

– I przez cały ten czas nie powiedziałeś mi o tym.

– Z pewnością nie zmieniliby to niczego, co zrobiłeś. A on znalazł się tutaj jako dowódca milicji.

Duncan się nie spierał. Znowu spojrzął na drzewo, ponownie widząc oczami duszy umierającego mężczyznę. Burke najwyraźniej był wspólnym mianownikiem wielu wydarzeń. Wielu tajemnic.

– Opowiedz mi o przedsiębiorstwie.

– Należy do Wirginińczyków. Jacyś wodzowie Irokezów oddali im ogromne tereny wzdłuż tego traktu, ale rząd nie zaakceptuje tej darowizny bez dokładniejszego opisu. Każdy wie, że będzie coraz więcej roszczeń ziemskich, więc zamierzają użyć tego traktu jako odnośnika do wytyczania położenia przyszłych aktów własności.

– Czy to Burke ci płacił?

Van Grut przytaknął.

– Miesięczną pensję.

– Kiedy?

– Przedwczoraj.

– Gdzie?

– Przy innym drzewie ze znakiem, tym z wyciętą rzymską trójką. Kilka mil na wschód stąd.

Duncan przekartkował dziennik i znalazł odpowiedni rysunek uzupełniony rzymską liczbą i indiańskimi rytami, jednak bez geometrycznych figur, takich jak te widniejące na drzewie przed nim. Wskazał dziwnie niepokojące kształty.

– Co one oznaczają?

– Nie mam pojęcia.

– Nie byłeś ciekawy?

– Zawsze jestem ciekawy. Wydają się wytyczać granicę w jakiś inny sposób. Nie wiem po co i dla kogo.

Duncan przeszedł wzdłuż szerokiego pnia.

– Jest w tym pewna chronologia, co widać po zszarzeniu drewna. Indiańskie znaki zostały wykonane dawno. Rzymskie liczby kilka miesięcy temu. Te osobliwe runy zrobiono wczoraj. Na ilu takich drzewach widziałeś rzymskie liczby?

Van Grut nie musiał sprawdzać w dzienniku.

– Tylko na tych z indiańskimi znakami.

Duncan oddał dziennik Van Grutowi, który otworzył go na pustej stronie i zaczął pospiesznie rysować.

– Co jeszcze mówił tamtego dnia?

– Rozmawialiśmy. Mówiliśmy o czekającym nas zadaniu. Odniosłem wrażenie, że się spieszył.

– Co mówił o zadaniu?

– Pokazałem mu moje rysunki. Był z nich bardzo zadowolony, powiedział, że wybierze kilka i kupi na ścianę swojego salonu, kiedy już będzie po wszystkim. Potem zmienił mój przydział.

– Jak to?

– Był inny geodeta o nazwisku Putnam przypisany do tego regionu. Zaginął kilka miesięcy temu. Założyłem, że ma to coś wspólnego z nim, że znaleźli go lub jego zapiski.

– A jaki był twój pierwotny przydział?

– Pierwotnie miałem sporządzić szczegółowy opis ostatnich pięćdziesięciu mil szlaku, końcowej części zachodniej granicy. Dwa dni temu Burke oznajmił, że ostatniego drzewa, tego nad rzeką Monongahela, już nie trzeba odwiedzać. Prawdę mówiąc, wyraźnie powiedział, żeby tam nie chodzić. Uznałem to za rozkaz.

– Burke miał tu cały bezkresny las – rzekł Duncan, kiedy Holender kopiował znaki z drzewa – a mimo to zostawił swoich ludzi i przybył tutaj. Do celu swojej podróży. Najwidoczniej miał się tu z kimś spotkać. Spotkał się ze swoim zabójcą przy znaku granicznym, tak samo jak dzień wcześniej przy innym drzewie z tobą. Po co?

– Dogodne miejsce na spotkanie – wtrącił McGregor, który niespokojnie obserwował las. – Nie ma drugiego takiego drzewa, z takimi znakami. Nie możesz po prostu powiedzieć: spotkaj się ze mną przy buku – dodał, wskazując krajobraz wokół.

Dokoła nich rosły setki, tysiące buków, przetykane kępami świerków.

Było to prawdopodobne wyjaśnienie, musiał przyznać Duncan.

– Kto jeszcze był w tej okolicy dwa dni temu?

– Szkoccy górale – szybko podsunął McGregor. – Trzystu żołnierzy piechoty. Garstka zwiadowców. Woźnice jadący Drogą Forbesa wozami.

– Dokąd zmierzały zaprzęgi?

– Zachodnie forty muszą być regularnie zaopatrywane. Ligonier, Bedford, Pitt. O tej porze roku to około pięćdziesięciu wozów na tydzień.

- Skąd przybywają?
- Droga Forbesa wiedzie z Filadelfii do Lancasteru, Conestogi, Carlisle, Bedford.
- Kto jeszcze?
- Ta grupa francuskich Indian, o których donosiłeś, szukających świeżego mięsa – dodał sierżant, robiąc aluzję do wrogich plemion cieszących się złą, chociaż mocno przesadzoną reputacją kanibali.
- Plemienni politycy – dodał Van Grut.
- Politycy?
- Delegacje na rokowania. Reprezentanci plemion podległych Irokezom przybywają z różnych stron i spotykają się w Ligonier, zanim ruszą na wschód. Irokezi nazywają ich półwodzami.
- Zawierając traktaty, ludzie pragną żyć w pokoju, nie mordować – odparował Duncan.
- Van Grut skrzywił się na tę naiwną wypowiedź.
- Nic nie rozumiesz? Głównym powodem tego spotkania jest dyskusja na temat roszczeń Wirginijczyków do tego kawałka ziemi.

W oczach majora Latchforda palił się gniew, kiedy obserwował przybycie coraz większej liczby negocjatorów. Ten zalew cywilów wyraźnie go złościł. Woźnice i muły wprowadzali zamieszanie w jego uporządkowanym bastionie, kupcy którzy podróżowali z konwojem, łamali jego zakaz prowadzenia handlu poza swoimi wozami zaprzęgowymi, indiańscy wodzowie ozdobieni tatuażami, wymalowani i odziani w futra ignorowali jego rozkaz pozostawania na terenie plemiennego pola namiotowego, jakie wyznaczył na zewnątrz palisady, i krążyli po forcie jak ciekawscy widzowie. Jednak obserwując oficera ze stajni, gdzie wraz z McGregorem ścigał siodła z garnizonowych koni, Duncan widział, że to kilku odzianych na czarno mężczyzn jest powodem gniewnej miny majora. Nie chodziło tylko o to, że kwakrzy byli wyraźnie zamożnymi ludźmi, ani o to, że chłodno powitali wojska króla w ich prowincji, jak mówił McGregor, ale o to, że ich przywódca oznajmił, iż został mianowany sędzią pokoju.

Duncan uświadomił sobie, że Latchford wiedział o przyjeździe sędziego z Pensylwanii, ale zakładał, że nie przybędzie wcześniej jak następnego dnia. Major przegrał wyścig, gdyż nie zdążył uporać się ze sprawą morderstwa przed przybyciem kwakrów i cywilnego urzędnika sprawującego władzę sędziowską.

Duncan obserwował z cienia stajni, jak wysoki, pewny siebie kwakier, w towarzystwie szczupłego blondyna w wieku Duncana i około czterdziestoletniego, barczystego mężczyzny, rozmawia z wojskowymi w strażnicy. Duncan, walcząc z niemal paraliżującym lękiem o los Conawago, widział, jak wysoki kwakier wskazał zaryglowane drzwi, pogroził palcem wartownikowi, który wydawał się z nim spierać, a potem wysłał swoich towarzyszy w stronę obozu Wirginijczyków, zanim zniknął w budynku głównej kwatery.

Siedząc z plecami opartymi o ścianę stajni, Duncan poddał się zmęczeniu, gdy nagle został pochwycony za ramię i poderwany na nogi.

– Major domaga się twojej obecności – warknął jeden z żołnierzy, którego Duncan widział wcześniej na służbie w kwaterze głównej.

Popychając rozespanego Duncana, poprowadził go przez dziedziniec.

W środku najwyraźniej ledwie opadł kurz po gwałtownej kłótni. Przywódca kwakrów siedział sztywno jakby kij połknął na krześle naprzeciw biurka Latchforda, mierząc majora ponurym spojrzeniem. Latchford znów spoglądał na swój pistolet do pojedynków.

– Wyjaśniałem sędziemu pokoju Brindle’owi, że wszystko jest pod kontrolą – oznajmił Duncanowi ze znaczącym spojrzeniem. Jego ręka spoczywała na brązowej kopercie, teraz zabezpieczonej. List do Filadelfii, który byłby wyrokiem na Duncana.
– Twój raport zapewne jest prawie skończony.

Duncan wodził wzrokiem po mężczyznach. Kwakier patrzył prosto przed siebie, spoglądając na majora. Na jego wąskiej twarzy malowały się powaga i pobożność. Dłoń spoczywała na małej czarnej książeczce leżącej na jego kolanie. W cieniu za Brindle’em stał wysoki jasnowłosy mężczyzna, którego Duncan widział na zewnątrz, czujnie obserwujący Latchforda.

– Kapitan Burke został zabity z premedytacją – ostrożnie powiedział Duncan. – Rany zadane toporem lub ciężkim tomahawkiem, a potem jego własnym sztyletem, spowodowały śmiertelny krwotok w ciągu kilku minut od ataku.

Latchford niepewnie skinął głową.

– Wydaje się, że z zabójstwami związany jest rytuał – dodał Duncan.

– Rytuał? – zapytał Brindle.

– W jego serce został wbity tryb jakiegoś mechanizmu.

Z twarzy sędziego pokoju odpłynęła krew.

– Tak właśnie robią dzikusy, wuju – wtrącił blondyn w ciemności. – Martwy człowiek może zostać wykorzystany do przekazania wiadomości.

– Wiadomości, Samuelu? – Po namyśle Brindle wskazał wysokiego mężczyznę. – Mój bratanek Samuel Felton.

Felton przysunął się do sędziego pokoju.

– Na tamten świat – dodał.

– Tryb w jego sercu wydaje się raczej wiadomością dla tego świata – zauważył znękanym głosem sędziego pokoju.

– Dzikus, który robi coś takiego, żywi taką nienawiść do Europejczyków, że chce ją przekazać temu i tamtemu światu – zasugerował Felton.

Latchford zmarszczył brwi.

– To, co zamierzał stary Indianin, nie jest ważne. I tak zawiśnie.

Kiedy Brindle zwrócił się do niego, Duncan miał wrażenie, że spogląda na niego jeden z surowych księży, których znał, będąc dzieckiem.

– Czy ten mieszkaniec Wirginii umarł na terytorium Pensylwanii?

– Zginął przy Drodze Forbesa, panie sędzio. Powiedziano mi, że prowincja Pensylwanii zgodziła się przejąć ją od armii.

Duncan ponownie zerknął na książeczkę. To nie była Biblia, lecz kodeks.

Uśmiech Brindle'a był słaby i niewesoły.

– A czy ten Indianin w wartowni zabił kapitana Burke'a, panie...?

Duncan spuścił wzrok.

– McCallum. Jeśli mam być świadkiem, nie powinienem odpowiadać na pytania sędziów przed postępowaniem prawnym.

– Sędziów? – W oczach Latchforda zapalił się gniew.

Brindle powiedział uprzejmie, lecz stanowczo:

– Jak przypomniał nam pan McCallum, Pensylwania ma w tej sprawie takie same kompetencje.

Wydawało się, że major zaraz naskoczy na Duncana, gdy nagle zjawił się porucznik, spiesząc z wiadomością dla Latchforda. Duncan nieznacznie przysunął się do biurka, usiłując odczytać pismo. Wyglądało to na listę nazwisk. Latchford usiadł za biurkiem ze zwycięskim uśmiechem i skinął na wartownika przy drzwiach.

– Zatem nie powinniśmy odwlekać sprawiedliwego wyroku. Pańskie usługi, McCallum, nie będą potrzebne – dodał.

Chwilę po tym, jak Duncan został pospiesznie wyprowadzony na zewnątrz, oficerowie zaczęli wybiegać z budynku, rzucając rozkazy żołnierzom, każąc wynosić z koszar ławki, które ustawiono w dwóch rzędach przed wielkim stołem pod jednym z największym dębów. Proces miał się odbyć na zewnątrz, nie z jednym, lecz z dwoma krzesłami przy stole przewodniczących.

Duncan bezwiednie ruszył w kierunku wartowni, z sercem w gardle, skręcając się ze strachu i gniewu. W przyпіływie rozpacz, obserwując otwieranie solidnych drzwi, przyłapał się na tym, że spogląda na ciężki pistolet za pasem oficera straży, myśląc o tym, żeby podbiec do niego, chwycić broń i uwolnić przyjaciela.

Nagle czyjaś ręka opadła na jego ramię, ściskając je tak mocno, że aż zabolalo. Sierżant McGregor odciągnął Duncana z powrotem w cień, gdy tamci wyszli z więzienia. Conawago przystanął, mrugając w słonecznym świetle, a później potknął się o kajdany i upadł, ale odtrącił wyciągnięte ręce żołnierzy i z trudem sam stanął na nogi.

Oszołomiony Duncan pozwolił poprowadzić się do ławki z tyłu prowizorycznej sali sądowej. Jego przyjaciela popchnięto na krzesło, przy którym stali dwaj strażnicy z bagnetami na muszkietach. Dopiero teraz Duncan zauważył pętlę zwisającą z wielkiego konara ogromnego dębu.

– On jest niewinny! – wykrzyknął Duncan. Z jego gardła wyrwał się szloch.

– To jest dzicz, młodzieńcze – rzekł McGregor, jakby to wiele tłumaczyło. Wzmocnił uścisk na ramieniu Duncana.

Jednak Duncan nie był już w dziczy. Znalazł się z powrotem w Szkocji, a angielscy oprawcy zabijali w imię króla jego brata i siostry. Powstrzyma to! Musi to powstrzymać! Wyrwał się z uścisku i zerwał na równe nogi, jednak krzepki szkocki

sierżant chwycił go ponownie, mocniej, i przycisnął do siedzenia. W tym momencie Latchford uderzył w stół kolbą pistoletu, rozpoczynając proces.

Dwaj sędziowie pracowali spokojnie i sprawnie, szybko przesłuchując siedzących w pierwszej ławce świadków z kompanii wirginijskiej milicji. Przesłuchanie prowadził Latchford.

– To było najokrutniejsze przeżycie, jakie człowiek może znieść – oznajmił wróg Duncana, brodaty sierżant, zasiadający jako pierwszy na taborecie dla świadków. – Krew naszego kapitana lała się z niego, gdy ten przeklęty poganin czekał nad nim z nożem, zamierzając zadać kolejny cios udreżonemu ciału.

– Kłamstwo! – wykrzyknął Duncan, kiedy McGregor próbował zacisnąć dłoń na jego ustach. – Co to za sprawiedliwość, ten... – Urwał jednak w pół słowa, gdy drzewce halabardy rąbnęło go w brzuch. Zgiął się z bólu, z trudem łapiąc powietrze.

Kiedy doszedł do siebie, siedział oparty o drzewo, a McGregor kucał przy nim.

– Co za paskudny cios – gderał Duncan, masując brzuch.

– To nie ja, tylko strażnik, który zaszedł cię z tyłu. Ten człowiek z Filadelfii zbeształ go za to i oświadczył, że tobie również zostanie dany sprawiedliwy czas na krześle dla świadków.

Duncan pochylił się i zobaczył na taborecie kolejnego świadka. Połowa ławki świadków była wolna. Brindle robił notatki, czasem przerywając, aby naradzić się ze swoim bratankiem Feltonem i niższym, mocniej zbudowanym towarzyszem.

– Do tej pory pięciu świadków – wyjaśnił McGregor, kiedy dostrzegł pytanie w oczach Duncana. – Wszyscy z tą samą historią, chociaż niektórzy przysięgają, że widzieli twojego przyjaciela przygotowującego się do oskalpowania ich oficera.

Opór Latchforda przeciwko udziałowi Brindle'a w procesie osłabł, gdy zobaczył listę nazwisk milicjantów gotowych potępić jego więźnia.

Sam Conawago zdawał się nie słuchać. Obserwował czerwono-czarnego ptaka, który przysiadł na konarze nad nim, pirangę, która wydawała się uważnie przyglądać siedzącym pod drzewem ludziom. McGregor sięgnął za pas i wyjął kawałek papieru.

– Do ciebie, podany przez strażnika – szepnął, gdy Duncan rozpoznał elegancki charakter pisma przyjaciela.

Widzę cię świtu pomiędzy kratami, zaczynała się wiadomość od Conawago. To będzie piękny dzień na rozpoczęcie podróży. Na południowym brzegu rzeki znajduje się formacja skalna wyglądająca jak komin. Jeśli przypadkiem będziesz niedaleko w przyszłym roku, spotkam cię tam. Jestem Conawago, syn Nipmuka. Posłuchaj wiatru, a usłyszysz mój głos.

Łzy stanęły Duncanowi w oczach. Stary Indianin pisał o swojej podróży do świata duchów. Chociaż był wykształcony przez jezuitów i przez wiele lat żył w świecie Europejczyków, zachował wiarę swoich leśnych plemion. Podróż na tamten świat trwała pełnych dwanaście miesięcy i dlatego rytuały pogrzebowe odprawiano w pierwszą rocznicę w pobliżu miejsca śmierci.

Nagle na taborecie dla świadków zasiadł młody Hadley. Duncan wstał i nadstawił ucha, gdy młody oficer opisywał, jak idąc z przodu kolumny, zauważył ruch przy

dużym buku. Opisał swoje przerażenie na widok Indianina pochylonego nad kapitanem.

– Czy to możliwe, że ten Indianin opatrywał nieszczęsnego kapitana Burke’a? – zapytał Brindle.

– Miał w ręku nóż.

– Może aby uciąć bandaż?

W sercu Duncana zapalił się płomyk nadziei. Sędzia pokoju nie będzie szedł na pasku Latchforda.

– Nie widziałem żadnego bandaża.

– To był bandaż! – krzyknął Duncan i znowu podskoczył. – Conawago opatrywał mu rany.

Otoczający go ludzie protestowali.

Latchford walnął w stół. Wojskowy ruszył w stronę Duncana, kiedy McGregor uciszył rodaka.

Hadley zawahał się, patrząc na Duncana.

– Nie było żadnego bandaża! – cicho i stanowczo powiedział brodaty sierżant w pierwszej ławce.

Hadley spojrzał na sierżanta, potem na burzących się ludzi z jego kompanii, swoich sąsiadów i towarzyszy, aż w końcu popatrzył w dół na swoje dłonie.

– Nie było żadnego bandaża.

– Czemu miałby przybijać Burke a do drzewa? – zawołał Duncan. – Nie miał gwoździ! Nie miał gwoździ!

Felton pochylił się na moment do wuja i to, co mu wyszeptał, wywołało cień na twarzy Brindle’a.

– Czy w dolinie, gdzie pan mieszka, nie zdarzył się incydent z przybijaniem dłoni? – zapytał Hadleya sędzia pokoju.

Teraz spochmurniał Hadley. Zanim odpowiedział, spojrzał na ławkę milicji.

– Był taki incydent, niewiele lat temu. Kilku Irokezów zostało złapanych na kradzieży żywności. Zostali ukarani.

– Ukarani? – naciskał Latchford.

Hadley przez chwilę usiłował coś wykrztusić. Brodaty sierżant wstał.

– Powiesiliśmy ich jak należy! – wyszczekał. – A potem przybiliśmy do stodoły obok ich wojennej ścieżki. Teraz ten głupi stary poganin zamierzał się na nas zemścić.

Duncan patrzył z niedowierzaniem, tłumiąc szalejące w nim uczucia, aby móc zacząć rozsądnie myśleć. Musiało być coś, co mu umknęło, musiał istnieć jakiś dowód, który uratuje tego człowieka będącego dla niego – bardziej niż ktokolwiek inny – jak rodzina. Graniczne drzewo, tryb zegara, miedź – to wszystko coś oznaczało, jednak przez opar strachu i zmęczenia Duncan nie mógł znaleźć łączącego ich związku.

Nagle McGregor podniósł go i poprowadził w stronę sędziowskiego stołu. Kwakieriki sędzia pokoju podał nazwisko Duncana donośnym, pewnym głosem.

– Czy jest pan ziemianinem, panie McCallum? – zapytał Brindle, gdy Duncan zajął miejsce na taborecie dla świadków.

– Panie sędzio?

– Czy jest pan właścicielem ziemskim w prowincji Pensylwania?

– Nie jestem. – Duncan zastanawiał się gorączkowo. Nie mógł pozwolić, żeby sędziowie badali jego pochodzenie. Gdyby poznali prawdę, że formalnie jest związany umową z rodziną lorda Ramseya w Nowym Jorku, nie pozwoliliby mu zeznawać i prawdopodobnie kazali go zakuć w kajdany. – Dopiero niedawno przybyłem ze Szkocji – rzekł ostrożnie.

McGregor, stojąc z boku prowizorycznej sali rozpraw, głośno odchrząknął.

– Ludzie, którzy zgłaszają się na ochotnika jako zwiadowcy w walce z pogańskimi wrogami, wasza lordowska mość, oddają wielką przysługę prowincji. – Patrzył przy tym nie na majora, ale na sędziego pokoju. Latchforda wyraźnie zirytowała ta niesubordynacja. Brwi kwakra uniosły się ze zdziwienia. Jednak z aprobatą skinął głową Duncanowi. – Zakładam, że był pan na miejscu przestępstwa? – zapytał.

Uwagę Duncana na chwilę odwróciło poruszenie w tylnych rzędach. Młody Irokez, którego widział robiącego strzały na podwórzu, był tam teraz na czele prawie dwudziestu innych Indian, uważnie obserwując.

– Conawago i ja razem znaleźliśmy kapitana Burke’a. Został zaatakowany zaledwie kilka minut wcześniej. Próbowaliśmy mu pomóc.

– Jednak nie było pana u boku Burke’a, kiedy umarł?

– Pobiegłem nazrywać mchu, aby opatrzyć mu ranę i zatamować upływ krwi. Kiedy to robiłem, przybyła milicja.

Latchford pochylił się do przodu, wyraźnie nie aprobując dominującej roli kwakra w przesłuchaniu.

– Czy kapitan Burke nie żył, kiedy go pan opuszczał, McCallum?

– Żył.

– Zatem jak, McCallum, może pan twierdzić, że to nie pański przyjaciel zadał śmiertelny cios?

– Zbadałem Burke’a. Śmiertelne rany zostały zadane, przed naszym przybyciem. Conawago nie jest mordercą. Zadał je ktoś tomahawkiem. Conawago nie nosi tomahawka.

– Proszę nie próbować na nas pańskiej sofistyki! – naskoczył na niego Latchford.

– W rzeczywistości wcale nie jest pan świadkiem. Nie widział pan morderstwa. Mamy tuzin zacnych ludzi, którzy mówią bez wahania, że to widzieli i że popełnił je pański przyjaciel.

– Służyli pod rozkazami zmarłego. Nienawidzą Indian.

Latchford zignorował jego protest.

– Widział pan swojego przyjaciela przez cały czas czy nie? – nalegał. – Kiedy był sam z kapitanem Burkiem?

Rozpacz Duncana była jak czarne, żywe stworzenie w jego duszy, powstające, ściskające serce, duszące. Odwrócił się w stronę Conawago. Twarz przyjaciela była pogodna i spokojna. Posłał Duncanowi łagodny uśmiech, który tyle razy poruszał jego serce. Duncan popatrzył w ziemię.

– Nie – wymamrotał.

Sędzia pokoju Brindle ze zniechęceniem wzruszył ramionami. Latchford odchylił się do tyłu i z zadowoleniem skinął głową oficerowi straży.

Duncan z początku nie uświadomił sobie, że został odprawiony. Odszedł, potykając się, jak w jakimś strasznym śnie, ledwo słysząc stuknięcie kolbą pistoletu w blat stołu, co zamykało zeznanie. Ledwie zauważył, że zgromadzeni z tyłu Indianie poruszali się i szeptali, rozproszeni przez coś znajdującego się za nimi.

Van Grut podtrzymał Duncana i poprowadził z powrotem do drzewa, gdzie czekał sierżant McGregor. Brindle i Latchford naradzali się szeptem krócej niż minutę. Duncan już czuł awersję do Latchforda, a teraz wiedział, że już zawsze będzie gardził majorem za to, że kazał przygotować pętlę, zanim ogłoszono wyrok.

Brindle poprosił Conawago, aby wstał.

– Spełniając uroczysty obowiązek – zaczął – ten sąd nie ma innego wyjścia jak...

Jego słowa zagłuszył niesamowity, przeciągły świst przypominający pisk atakującego jastrzębia. Wszyscy obejrzeni się, przestraszeni, a niektórzy przypadli do ziemi, gdy dźwięk przybrał na sile. Potem nagle jego źródło wylądowało na trawie, niecałe trzy stopy od stołu sędziowskiego. Była to strzała zakończona kościanym gwizdkiem, sygnalizacyjna strzała Irokezów.

Indianie pobiegli naprzód, a potem zatrzymali się równie nagle jak strzała, gdy dotarli na otwartą przestrzeń między sędziami a ławkami. W powietrzu pojawiła się postać wyglądająca jak posąg z brązu: mężczyzna w nogawicach, przepasce biodrowej i kamizelce bez rękawów. Jego skóra lśniła od oliwy i świeżej farby tworzącej wzory często noszone przez Irokezów na wojennej ścieżce. Młody wojownik, który był w forcie poprzedniego dnia, stał u jego boku z łukiem w dłoni i z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Duncan zobaczył, z jaką czcią Indianie traktują pomalowanego mężczyznę, a podszedłszy bliżej, rozpoznał tatuaż żółwia na jego policzku.

– Nazywają mnie Skanawati z Onondagów – oznajmił donośnym głosem mężczyzna, powoli i starannie wymawiając angielskie słowa. – Jestem członkiem Wielkiej Rady, strażnikiem ognia irokeskich narodów, wodzem Klanu Żółwia.

Duncan zobaczył smugę czerwonej farby, którą pociągnięto ostrze noża wiszącego na jego piersi i tomahawka za pasem.

Twarcz Latchforda wykrzywił groźny grymas. Strażnicy stali obok niego, czekając na rozkaz, aby usunąć intruzów.

– Jaki jest cel tego zamieszania? – zapytał.

Wódz Irokezów zaczekał, aż Indianie, którzy z nim byli, otoczą Conawago, jakby po to, żeby go ochronić.

– Przyszedłem wam powiedzieć, że to ja, Skanawati, jestem tym, który zabił wirginijskiego kapitana.

Rozdział 4

Z początku Duncan nie rozumiał gwałtownej reakcji Latchforda na wyznanie wodza Irokezów, nie do końca pojmując zmianę sytuacji. Brindle zamknął Biblię i złożył dłonie, jakby się modlił. Potem Duncan zobaczył niechętnie skinienie Latchforda, który wysłał wojskowych, aby zdjęli kajdany Conawago i założyli Skanawatiemu.

– Na krew Pana! – wymamrotał McGregor. – Teraz wdepnął w czajnik.

– Słucham?

– Dzięki Bogu twój przyjaciel jest bezpieczny. Jednak major wie, że bez traktatu wojsko nigdy nie otrzyma irokeskiej pomocy w ujarzmieniu zachodnich plemion. Sześć Plemion nawet nie zasiądzie do stołu negocjacyjnego, jeśli wojsko powiesi ich głównego negocjatora w Ligonier.

– Ale on się przyznał – powiedział niepewnie Duncan, patrząc na Skanawatego i Indian, nadal nie całkiem pojmując, co się dzieje.

– Może stracić poparcie Irokezów albo Wirginijczyków. Nawet ten szanowany i uświęcony sędzia pokoju nie podejmie takiej decyzji. To gubernator i generał zadecydują, jak założyć mu pętlę na szyję. Chyba że kompania Burke'a sama to zrobi – dodał sierżant.

Duncan powiódł wzrokiem za spojrzeniem McGregora na grupkę wirginijskich żołnierzy, którzy otoczyli Latchforda, a ich porucznik perorował, gniewnie wskazując na Skanawatego. Ten z kamienną twarzą stał pomiędzy dwoma strażnikami.

– Teraz! – warknął wirginijski oficer. – Kiedy sznur już wisi.

Jego ludziom nie odmówi się sprawiedliwości albo przynajmniej zemsty. Sędzia pokoju i gubernator mogli być powolni w wymierzaniu kary, jednak Latchford wyraźnie rozważał szybsze rozwiązanie. Duncan zobaczył kalkulację w oczach majora. Rozpaczliwie chciał zatrzymać mieszkańców Wirginii w swoim garnizonie.

Duncan miał zamęt w myślach, kiedy Latchford oznajmił kwakrowi, że wojsko aresztuje mordercę, który się przyznał. Potem Szkot odkrył, że przepycha się przez tłum w kierunku stołu sędziowskiego. Jego słowa zostały zagłuszone przez głośnie protesty Wirginijczyków, z których paru wskazywało pętlę, przypatrując się wojskowym, jakby chcieli ich ponaglić. Mówił tylko do Brindle'a, nie odrywając oczu od wpływowego kwakra, a potem, kiedy uświadomił sobie, że jego głos nie przedziera się przez panujący wokół zgiełk, położył dłoń na zniszczonej Biblii leżącej przed sędzią.

Brindle najpierw zobaczył jego rękę i podniósł wzrok, napotykając spojrzenie Duncana, a potem uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

– Panie McCallum, mówił pan coś?

– Mówiłem, panie sędzio, że mając w pobliżu tyłu nieprzyjaciół, garnizon nie ma czasu zajmować się tak trudnymi kwestiami prawnymi. Kwestiami, które w końcu leżą w gestii prowincji.

– Byłem świadomy tylko jednej kwestii – zauważył Brindle spokojnym tonem światowca.

– Daleko mi do tego, aby mówić wysokiemu sądowi, co ma robić – odparł Duncan.

– Myślałem oczywiście o zbrodni, której ofiarą padł Wirginijczyk. Jest też kwestia respektowania irokeskiej sprawiedliwości, skoro to Irokez ma być oskarżony, kiedy prowincja negocjuje z nimi traktat. Przypuszczam, iż być może Pensylwania mogłaby zdecydować, że wojsko odpowiada za stosunki z plemionami – zauważył, dobrze wiedząc o napiętych stosunkach między kwakrami a milicją. – Jednak są tu także interesujące kwestie związane z nowym obywatelem prowincji.

Hałas zaczął cichnąć, gdy major, a potem coraz więcej ludzi z kompanii zamilkło, aby posłuchać Duncana.

– Nowym obywatelem? – zapytał Brindle.

Jakby na sygnał, zobaczyli obok wartowni mały oddział mający przewieźć ciało Burke'a do Wirginii, popychający zbiegłe niewolnice w stronę bramy. Jak ostrzegł Hadley, powracający żołnierze nie mogli się oprzeć pokusie nagrody czekającej tych, którzy zwrócą własność pułkownika Burke'a.

– Urodzony zeszłej nocy na tej ziemi.

Latchford, który chyba w końcu pojął, do czego zmierza Duncan, podniósł pistolet i rąbnął kolbą w stół.

– Nie słyszałeś mnie, McCallum? Sąd odracza posiedzenie!

Duncan, ignorując majora, pochylił się do Brindle'a.

– Urodzony na terytorium prowincji.

Brodaty wirginijski sierżant, który wcześniej klócił się z Latchfordem, popatrzył na Duncana, jakby ten wygłosił herezję.

– Własność właściciela kompanii! – ryknął. – Prawo mówi jasno, że dziecko niewolnicy należy do pana matki! Porucznik Burke ci to powie! – nalegał, wypychając do przodu nowego dowódcę milicji.

– Tak mówi prawo Wirginii – rzekł Duncan, patrząc tylko na Brindle'a. – Jednak prawo Pensylwanii powiedziało, że ktoś urodzony w tej prowincji jest jej mieszkańcem.

Brindle spojrział za wzrokiem Duncana tam, gdzie Becca dzielnie osłaniała niemowlę, gdy jeden z Wirginijczyków poganiał ją różgą. Po raz pierwszy Duncan zobaczył na twarzy sędziego pokoju przebłysk emocji. Kwakrzy mieli bardzo zdecydowane poglądy w kwestii niewolnictwa. Brindle odwrócił się i powiedział coś do sierżanta z Pensylwanii, który mu towarzyszył, a ten odwrócił się i zniknął w tłumie.

Duncan wzruszył ramionami.

– Interesujący problem filozoficzny dla wiodącej prowincji Ameryki. Nawet gdyby Pensylwania zdecydowała, że to dziecko jest wolne, jego matka jest niewolnicą. A chłopiec nie przeżyje bez matki.

Porucznik Burke, wyglądający na maminsynka mężczyzna, który wydawał się niechętnym uczestnikiem tego zamieszania, ponownie zabrał głos.

– Posuwa się pan za daleko, panie! – wykrzyknął, przepychając się przez tłum. – Nie waż się dobierać do wirginijskiej własności!

– Pensylwania nie ma nic do powiedzenia w sprawach naszych żołnierzy! – warknął Latchford.

Wydawał się szykować do skoku na Duncana.

Brindle przez chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy spoglądał na Latchforda, a potem podniósł wzrok, gdy pensylwański żołnierz pojawił się ponownie, prowadząc przed sobą Mokie i Beccę z noworodkiem. Przez długą chwilę kwakier patrzył na chłopczyka, który wydawał się odwzajemniać jego spojrzenie z pytaniem w swoich małych czarnych oczach, a później zapytał Duncana:

– Czy to niemowlę ma jakieś imię?

Duncan powstrzymał uśmiech, pojawiwszy spryt Mulatki.

– Matka nazwała go Penn.

To oświadczenie chyba przypieczętowało decyzję Brindle'a. Wstał i odwrócił się do oddziału milicji złożonego z mieszkańców Pensylwanii.

– Gdy odprowadzicie irokeskiego więźnia do mojego namiotu – głośno powiedział sędzia pokoju – zabezpieczycie niemowlę, o którym mowa, wraz z matką. Wszyscy pojedą z nami do Lancasteru.

Sierżant uśmiechnął się, przywołując swoich żołnierzy, barczystych mężczyzn twardych jak dąb.

Latchford gniewnie spojrział na krzepkich, zdecydowanych ludzi z Pensylwanii, a później wymamrotał rozkaz. Jego żołnierze wycofali się. Jednak major pozostał, patrząc z wściekłością nie na Brindle'a, ale na Duncana.

– To przez ciebie, McCallum.

Wyjął z kieszeni brązową kopertę. Duncana przeszedł dreszcz, kiedy rozpoznał list do dowództwa armii, który znów uczyniłby z niego zbiega. Kwakrzy, którzy rządzą Pensylwanią, mogli nie mieć ochoty na oskarżanie zbiegłych niewolnic, ale gorliwie wyegzekwowałyby prawo własności lorda Ramseya do Duncana.

Conawago krzywił się za każdym razem, gdy kopyta konia uderzały o ziemię. Miał mocno poobtłukiwane żebra, a jego rany jeszcze się nie zagoiły, więc Duncan błagał go, aby rozbił obóz i poczekał na nich niedaleko fortu. Stary Indianin ochoczo udał się z nim w gąszcz świerków, aby odpocząć na mchu, lecz gdy Duncan wrócił z jedzeniem godzinę później, zastał go pakującego swój skromny dobytek.

– Nie jesteś w stanie podróżować – zaprotestował.

– Nie odważę się zwlekać – rzekł z uporem jego przyjaciel.

Chociaż Conawago został uwolniony, Duncan nadal miał złe przeczucia.

– I dokąd podążysz, wuju?
– Skanawati powiedział nam, gdzie zaczęły się kłopoty. Przy krwawej wodzie.
– Z pewnością to po prostu jakiś rodzaj symbolu, irokeska alegoria.
– Wcale nie – powiedział Conawago, zdejmując kamizelkę. – Strumienie na końcu Ścieżki Wojowników są pełne żelaza. Skały rdzewieją, zabarwiając wodę. To nazwa używana czasem na określenie tej części rzeki Monongahela, która po burzy potrafi spłynąć tam czerwienią. – Wyjął zza pasa rolkę płóciennych bandaży i rozpiął koszulę.
– A teraz obwiąż mi żebra.

Duncan obserwował twarz przyjaciela, mocno owijając jego potłuczoną i wytatuowaną pierś. Nieuchronnie na jego twarzy pojawił się ból, ale także melancholia oraz dziwna determinacja.

– Mój Boże – rzekł Duncan, nagle pojmując. – Myślisz, że Skanawati jest niewinny.

– Spójrz w swoje serce, Duncanie – powiedział Conawago, kiedy zaczął się ubierać – a zobaczysz to samo co ja.

– Przyznał się. Widzieliśmy go tamtego ranka niedaleko miejsca morderstwa. Nie przepada za Europejczykami, zapewne nas nienawidzi.

– Jeśli nie w swoje serce, to spójrz na fakty – dodał Conawago. – Ten Wirginijczyk przybył tutaj, aby walczyć z indiańskimi rabusiami. Nigdy nie pozwoliłby obcemu wojownikowi podejść tak blisko, nie wystrzeliwszy z pistoletu, nie podejmując walki.

– Burke zmienił rozkazy Van Gruta, zanim umarł – nagle przypomniał sobie Duncan. – Nieoczekiwanie powiedział mu, aby trzymał się z daleka od ostatniego drzewa granicznego, mimo że było ono istotne dla pomiaru. To drzewo z pewnością oznacza koniec Ścieżki Wojowników.

– Pomiar? – zapytał Conawago. – Rozkazy?

Kiedy Duncan wyjaśnił, czego się dowiedział od Holendra, Conawago ze zrozumieniem skinął głową, a potem się odwrócił i ruszył drogą na zachód. Krwawa woda i ostatnie graniczne drzewo. Nieżyjący kapitan i Skanawati, obaj ich ostrzegali, aby trzymali się z dala od tego samego miejsca – końca Ścieżki Wojowników.

Konwój negocjatorów traktatu, zdążający do Lancasteru, wyruszył przed świtem drogą na wschód, wraz ze Skanawatim, teraz w łańcuchach, który dołączył do niewolnicy Becki i niemowlęcia na wielkim krytym wozie sędziego. Brindle obserwował z udręczonym wyrazem twarzy, jak Mokie i Becca zostały rozłączone przez milicję. Sędzia pokoju nie miał podstaw, aby trzymać dziewczynę z dala od rodziny, której była własnością. Tymczasem nowy dowódca kompanii, najstarszy bratanek Burke'a, oznajmił, że on i Hadley wraz z czterema żołnierzami będą podróżować z konwojem jako reprezentanci traktatu, aby się upewnić, że Pensylwania nie omieszka wymierzyć sprawiedliwej kary zabójcy. Spodziewano się, że sam Hadley zda relację z egzekucji mordercy.

Widok pijanego woźnicy, leżącego bez przytomności przed stajnią, dał Duncanowi nadzieję, że szybka podróż na zachód pozwoli im dogonić wolno poruszający się konwój kierujący się na wschód. Za budynkiem znalazł wóz z tylną osią wspartą na

kołkach i złamanym kołem czekającym, aż naprawi je kowal. Jeśli jeden z wozów zaprzęgowych został w forcie po odjeździe konwoju, jego konie były wolne.

– A dlaczego miałbym się rozstać z moją mosiężną tabakierką? – zapytał Van Grut, kiedy Duncan mu zaproponował, aby oddał ją kowalowi.

– Ponieważ te konie są dzisiaj dostępne. To będzie opłata za ich wypożyczenie. Na dobrych wierzchowcach możemy dojechać do twojego zachodniego końca. Możemy na nich dotrzeć do ostatniego znaku, potem je zwrócić i dogonić konwój.

– Po co?

– Ponieważ jesteśmy to winni Skanawatiemu. Ponieważ jego przyznanie się do winy rodzi więcej pytań niż odpowiedzi. Ponieważ od tego zależy twoje zatrudnienie – dodał Duncan.

Van Grut zmarszczył brwi.

– Nadal mam rozkazy – zaczął, a potem rozważył słowa Duncana. – Co miałeś na myśli, mówiąc „mój zachodni koniec?”

– Koniec linii twoich pomiarów. Miejsce, od którego Burke nagle kazał ci się trzymać z daleka.

– Mam zwyczaj szanować słowa zmarłych.

– Istnieje powód, dla którego ludzie giną na tym szlaku. Pomyślałem, że chciałbyś go znać, zanim znowu wyruszysz samotnie. – Duncan potrzebował odpowiedzi, które nadal były ukryte w materiałach zebranych przez Van Gruta dla zleceniodawców, ale jeszcze bardziej potrzebował zasobów geodety, aby dostać wierzchowce. – Niewątpliwie chcesz to zbadać sam – rzekł, kiedy Van Grut nie odpowiedział. – Nie masz się czego obawiać, skoro zabójca został aresztowany przez sędziego pokoju.

Van Grut z nieszczęśliwą miną spoglądał na Duncana, a potem wymamrotał holenderskie przekleństwo, wyciągnął tabakierkę i zawołał kowala.

Kwadrans później przejechali przez bramę i skierowali konie na zachód miarowym kłusem. Wkrótce dogonili Conawago, który z wdzięcznością dosiadł zapasowego wierzchowca prowadzonego przez Duncana. Teraz jechali w milczeniu, z ponurą determinacją spoglądając przed siebie. Przebyli niecałą milę, kiedy Conawago krzyknął ostrzegawczo i pospiesznie schowali się w zaroślach przed galopującym jeźdźcem. Tknięty złym przeczuciem Duncan wyjechał z gęstwiny i zawołał mężczyznę po nazwisku.

Hadley wstrzymał i obrócił rumaka, nic nie mówiąc, gdy Duncan objechał go wokół.

– Dezercja to przestępstwo, za które grozi stryczek, panie Hadley.

Młody Wirginijczyk spuścił głowę i nie patrząc na Duncana, rzekł:

– Powiedziałem, że pamiętam, iż morderca rozmawiał z pańskim przyjacielem po indiańsku, i że pułkownik chciałby poznać szczegóły tej rozmowy.

– To kłamstwo. Nigdy nie słyszałeś takiej rozmowy.

Hadley wpatrywał się w łeb swojego konia.

– To ja muszę opisać, co się wydarzyło przy granicznym drzewie. Zostanie to opublikowane w Wirginii pod moim nazwiskiem.

– Chcesz powiedzieć, że twoje słowa staną się prawdą.

Hadley niepewnie na niego popatrzył.

– W swoim czasie przeczytałem wiele słów – oznajmił Duncan. – Preczytałem, że szkoccy górale są kundlami Boga, potomkami grzeszników wyrzuconych z nieba, że wszyscy Indianie są potomkami wilków i małp.

W oczach Hadleya zapalił się buntowniczy płomień.

– Napiszę całą prawdę o wszystkim, co się wydarzyło, albo nie napiszę nic. Pragnę wam towarzyszyć, żeby się dowiedzieć tego, czego wy się dowiecie.

Duncan bez słowa przypatrywał się młodemu pisarzowi.

– Conawago został uwolniony – zwrócił uwagę Hadley.

– Widziałeś czy nie opatrunek, który zawiązał na nodze Burke'a? Pas, który odciął ze swojej koszuli?

– Nie wiem.

Duncan nic nie powiedział.

– Widziałem – rzekł po chwili Hadley, przygryzając wargę. – Jednak jaki był sens mówić o tym, skoro dziesięciu moich towarzyszy było gotowych zeznać co innego? – W tym momencie Hadley wyglądał po prostu jak młody chłopak, który niczego nie pragnie bardziej, jak uciec i schować się pod kołdrę. – To, co pan zrobił dla Becki i chłopca... – odważył się powiedzieć młody mieszkaniec Wirginii po długiej chwili, patrząc niespokojnie w las – ...było szlachetne. – Westchnął.

– Z pewnością, panie Hadley, spadkobierca wirginijskich plantacji nie jest przeciwny niewolnictwu?

Hadley zaczerwienił się.

– Chciałbym z wami pojechać, panie – powtórzył.

– Jedziemy, żeby odkryć prawdę. Ty wydajesz się zainteresowany tylko tymi prawdami, które są dla ciebie wygodne. A to żadna prawda. Nadal próbujesz ukryć swój szczególny związek z Beccą i jej dziećmi.

– One są własnością mojego wuja.

Duncan okręcił konia, odwracając się tyłem do Wirginijczyka.

– Mój ojciec! – wykrzyknął z bólem Hadley za odjeżdżającym Duncanem.

Duncan obrócił się w siodle.

– Twój ojciec?

– Wolno mu szukać rozrywki z niewolnicami brata, kiedy ma na to ochotę. Becca jest zarezerwowana dla niego.

Duncan przysunął wierzchowca tak blisko rumaka Hadleya, że prawie się dotykały.

– Chcesz powiedzieć, że Mokie i Penn to twoje przyrodnie rodzeństwo?

Hadley, znowu patrząc w ziemię, przytaknął.

– Kilka tygodni temu odkryłem, że mój kuzyn Winston ukrywa paczki w lesie w pobliżu naszych pól.

Oświadczenie Hadleya było tak nieprawdopodobne, że Duncan nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Świętej pamięci kapitan Burke, twój kuzyn, pomagał niewolnikom uciec do Pensylwanii?

Gdy Hadley ponownie przytaknął, Duncan gwizdem przywołał z ciemności towarzyszy, a potem popędził konia klusem na zachód.

Było późne popołudnie, kiedy dotarli do Monongaheli, prowadząc niemal wyczerpane konie za Conawago, który nie szukał śladów na ziemi, ale patrzył na drzewa. W końcu przywiązał wierzchowca do krzewu wawrzynu niedaleko buka o grubym pniu ze znajomymi już znakami granicznymi, w tym z wyraźnym numerem I.

– Jeśli to zbieg okoliczności, to bogowie z pewnością się śmieją – rzekł stary Nipmuk, kiedy przyjrzał się usianemu liśćmi otoczeniu.

Zdziwiony Duncan powiódł wzrokiem za jego zaniepokojonym spojrzeniem. Mały strumień płynął po białych głazach, gładkich jak kamienie brukowe. Wiosenne listowie rzucało cętkowane cienie na pokryte porostami pnie leżących drzew i wybielone słońcem patyki, z których kilka Hadley złamał, chodząc wokół drzewa. Piętnaście jardów dalej wśród czerwonego kwiecia hasał drozdek rudy.

– Och, dobry Boże! To Strumień Żółwia! – jęknął Hadley i potykając się, wrócił do swojego konia, jakby zamierzał uciec.

Van Grut wydał stłumiony ostrzegawczy okrzyk w swoim ojczystym języku, a potem poszedł na brzeg strumienia, pochylił się, aby podnieść jeden z białych kamieni, i podał go Duncanowi. To nie był kamień. Tylko ludzka czaszka.

Hadley wtulił twarz w grzywę konia, jakby nie mógł znieść tego widoku.

Duncan podszedł do płytkiego strumienia i podniósł z wody kolejną czaszkę. Naliczył tuzin w promieniu trzech jardów od miejsca, w którym stał, po czym położył na ziemi tę, którą trzymał, i obszedł polanę wokół. Wybielone słońcem patyki były kośćmi rąk i nóg rozsianymi na leśnej ściółce. To, co omyłkowo wziął za czerwone kwiaty, w rzeczywistości stanowiło resztki szkarłatnego materiału ze złotym obszyciem – zbutwiałego munduru.

– Mówią, że tamtego dnia zginęło tu prawie pięciuset mężczyzn – wyjaśnił Conawago zza pleców Duncana. – Brytyjczycy nigdy wcześniej nie stawili czoła francuskim Indianom, nic nie wiedzieli o walce w lesie. Formowali szeregi w swych jasnoczerwonych kurtkach, podczas gdy nieprzyjaciel pozostał na wzgórzach... – wskazał ręką dwa małe wzniesienia po obu stronach – ...i strzelał do nich z ukrycia.

– Mówisz o piechocie Braddocka – rzekł Duncan, kiedy powoli przypomniał sobie opublikowane sprawozdania.

Brytyjski generał w podeszłym wieku, dowódca wszystkich wojsk w Ameryce Północnej, przypłacił życiem całkowicie błędną ocenę możliwości nieregularnej armii wroga.

– Mówią, że król Jerzy płakał, kiedy usłyszał tę wiadomość – dodał Van Grut.

Holender trzymał zgniecioną i spleśniałą grenadierską czapkę ze zmatowiałą mosiężną liczbą 48.

Hadley pojawił się za nim ze łzami w oczach.

– Jedynym oficerem, który nie został ranny, był pułkownik Waszyngton. Zmobilizował Wirginijczyków, by powstrzymali wroga, gdy zawodowa armia się wycofywała. Dziesiątki wirginijskich dzieci straciło tego dnia ojców. – Hadley ze smutkiem spoglądał na kości. – Znałem więcej niż kilku z nich. To mogą być oni, te kości, które połamałem, mogły należeć do nich – dodał z przerażeniem.

Duncan przyjrzał się temu miejscu, usiłując otrząsnąć się z przygnębienia, które zdawało się paraliżować jego towarzyszy. Zadrżał, wyobrażając sobie ten krwawy lipcowy dzień przed pięcioma laty. Aż nazbyt dobrze znał chaos, przerażenie i zakrwawione topory atakujących Indian. Poszukał w pamięci sprawozdań, które przeczytał. Dla francuskich Indian to była pierwsza bitwa w długiej wojnie. Byli żądni krwi, pędzili niecierpliwie, aby zedrzeć skalpy rannym, którzy leżeli na ziemi.

Obejrzał się na Hadleya, który z udręczoną miną opadł na skałę, zdając się zupełnie zapominać o tym, dlaczego się tu znaleźli. Duncan czuł, że sam również poddaje się rozpacz. Niedaleko wioski Culloden na szkockich wyżynach znajdowało się pole usłane kośćmi tych, których znał i kochał. Pochylił się i podniósł czaszkę, umieścił ją w kręgu słonecznego światła, a potem zaczął zbierać duże płaskie kamienie. Wkrótce Conawago zaczął mu pomagać, a minutę później dołączył do nich Van Grut. Zanim Hadley otrząsnął się z odrętwienia, zbudowali wielki kurhan wysoki na ponad dwa jardy. Młodzian wstał i z zakłopotaną miną chwiejnie podszedł do Duncana.

– Oni byli twoimi przyjaciółmi, Hadley, albo znajomymi – powiedział Duncan o kościach, które gromadzili.

Wskazał czaszkę leżącą w środku wzniesionego kurhanu, a potem umieścił obok niej kość udową. Hadley skinął głową, a potem się skrzywił, kiedy Conawago położył tam kolejną kość.

– Nie mogę dotknąć.

– Nie musisz zbierać kości, tylko kamienie – zaproponował mu Duncan.

Pół godziny później, kiedy mieli prawie ułożony kopiec, Conawago przerwał pracę, aby rozpałocić ogień u jego podstawy, rzucając do niego kilka suszonych listków.

– Tytoń – wyjaśnił Duncan Hadleyowi. – Przyciąga duchy.

Van Grut złożył w zagłębieniu ostatnie szczątki, kolejną czaszkę, a Hadley zaczął przykrywać wierzch płaskim kamieniem.

Nagle Duncan powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu, a potem sięgnął i wyjął czaszkę leżącą na samej górze. Była jaśniejsza od pozostałych i miała kość szczękową.

– Gdzie ją znalazłeś? – zapytał Holendra.

Van Grut wskazał kłodę po drugiej stronie granicznego drzewa.

– Pokaż mi dokładnie.

Nagi skrawek ziemi, z wgłębieniem pozostałym po czaszce, był wyraźnie widoczny. Duncan ostrożnie przesunął palcami po zeschniętych liściach wokół tego miejsca, szybko odnajdując więcej kości. Kręgi, połamane żebra, prawie nienaruszone kości małej dłoni.

Van Grut przechylił się przez jego ramię.

– Co znalazłeś?

– Kobietę.

– Przecież nie możesz tego wiedzieć – zaprotestował Hadley, stając u jego boku. – To tylko kości.

– Gałąź tylna nerwu szczęki sprawia, że to pewne – rzekł Duncan, wskazując na czaszkę. Spojrzał przepaszająco w górę, kiedy zdał sobie sprawę, że mówi jak na sali wykładowej, i już miał mu wytłumaczyć, gdy podekscytowany Van Grut złapał czaszkę.

– Tutaj – wyjaśnił Holender, wskazując tylną krawędź kości szczękowej połączonej z czaszką. – McCallum ma rację! Popatrz, jaka jest prosta! Spójrz na wszystkie pozostałe. Męska kość szczękowa zawsze jest tam wygięta do środka. – Jakby na dowód tego podniósł inną czaszkę wyjętą ze strumienia i wskazał łuk w kości szczękowej.

– Przecież na linii ognia nie było kobiet – powiedział Hadley. – Te wojska ciągnęły szybkim marszem, zostawiając z tyłu tabory z kobietami.

– Nie zginęła podczas bitwy – powiedział Conawago z cienia dużego buka. – Spójrz, jak świeże są te kości. – Niepokój w jego głosie zdradził Duncanowi, że Indianin również zaczyna pojmować implikacje tego faktu. – Ta kobieta umarła nie dalej niż rok temu.

Conawago zaczął odgarniać liście z poplątanych korzeni i wyjął kolejną czaszkę równie świeżą jak pierwsza. Duncan pochwycił jego spojrzenie, a potem wskazał pnącze przechodzące przez oczodoły.

– To, co mówisz, nie ma sensu – narzekał Hadley.

– Ten mężczyzna i ta kobieta umarli tutaj przy drzewie granicznym, ale zaledwie przed kilkoma miesiącami – rzekł Duncan. Ponownie zbadał czaszkę kobiety, wskazując wąskie pęknięcie z tyłu. – Została uderzona od tyłu i zmarła wkrótce potem.

Hadley spoglądał na Duncana jak na czarnoksiężnika.

– Pan McCallum czyta w zmarłych – wyjaśnił Van Grut poważnym tonem.

Duncan powiódł palcem wzdłuż pęknięcia kości.

– Cios może jej nie zabił, ale z pewnością pozbawił przytomności. – Przesunął paznokciem po małej szczelinie. Miała ostre, wyraźnie zarysowane brzegi. – Gdyby żyła długo po tym, ta dziura zaczęłaby się zasklepić.

– Nie możesz stwierdzić, że zmarła nie dalej niż rok temu – spierał się Hadley. – To tylko kość.

– Kiedy wchodzisz do lasu, musisz nauczyć się patrzeć tak, jakbyś nigdy wcześniej nie miał oczu, od nowa się nauczyć doświadczać wszystkiego – mówiąc to, Duncan wymienił spojrzenia z Conawago. Stary Indianin użył właśnie tych słów, kiedy zaczynał uczyć Duncana interpretować otoczenie. – Wszystko jest ze sobą powiązane, a sposób tego połączenia opowiada historię.

Zanim podniósł drugą czaszkę, wyciągnął z niej pnącze i pokazał Conawago.

– Ostatni jard tego pnącza, które przechodzi przez czaszkę, jest zielony – wytłumaczył Conawago. – To przyrost z jednego sezonu. Z ostatniego lata. Zmarli nie wcześniej niż w lipcu, chociaż skłaniam się bardziej ku sierpniowi lub wrześniowi.

Hadley ponownie ze zdumieniem spojrzął na Duncana, a później na coś za jego plecami. Duncan się odwrócił i zobaczył, że Van Grut osuwa się na pień leżącego drzewa i kryje twarz w dłoniach. Najwidoczniej coś w tym wyjaśnieniu głęboko nim wstrząsnęło. Duncan zrobił krok w stronę Holendra, ale cichy melodyjny gwizd odciągnął go od niego. Conawago wrócił pod drzewo i wskazywał teraz gwóźdź wbity w pień trzy stopy nad ziemią. Duncan sięgnął do swojej sakiewki po gwóźdź, który zabrał z drzewa, przy którym umarł Burke. Trzymał razem dwie główki gwoździ. Każda miała ten sam wzór szachownicy.

Duncan opadł na kolana i wraz z Conawago przeszukiwał luźne leśne poszycie poniżej gwoźdź. Szybko odkryli kolejne kości ręki. Chociaż nie znaleźli wszystkich, pozostałe kości śródreńca były zmiążdżone. Conawago cicho gwizdnął, a potem odgarnął poszycie z większej liczby kości. Kolejna ręka ścisnęła kurczowo duży, zaśniedziały kompas. I kilka małych mosiężnych guzików.

Nagle Hadley znalazł się obok Duncana, wpatrując się w kompas, a potem wyciągnął rękę, aby dotknąć gwoźdź. Zastygł jednak i palce wyraźnie mu zadrżały, zanim pospieszenie się cofnął na widok ciemnej plamy na drewnie pod gwoździem.

Duncan wyciągnął gwóźdź tomahawkiem i obejrzał guziki ozdobione wzorem skaczącej ryby, zanim wrzucił je do sakiewki i zwrócił się do Hadleya:

– Jeśli przybyłeś po prawdę, będziesz musiał zacząć od niego – rzekł do mieszkańca Wirginii, wskazując oszołomionego Holendra.

Van Grut nie patrzył na nich, tylko kurczowo splatał dłonie i kulił się przy małym ognisku. Wyraźnie drżał.

Duncan w nagłym przypływie gniewu doskoczył do Holendra, złapał go za ramię i postawił na nogi. Zaciągnął na drugą stronę drzewa i odgarnął pnącza, które częściowo zasłaniały kolejny zbiór nacięć – sześć geometrycznych figur. Van Grut nie zareagował, gdy Duncan sięgnął do jego płóciennej torby, aby wyciągnąć dziennik. Szybko odnalazł szkic kolejnego granicznego drzewa. Poprzednio szukał znaków na naszkicowanych drzewach, teraz przeczytał szczegółowy opis. Drzewo miało gwóźdź wbity w pień mniej więcej trzy stopy od ziemi.

– Czemu ktoś zabija geodetów? – zapytał.

Van Grut wpatrzył się w kształty wielkimi, przerażonymi oczami. Zaczął znowu drzeć.

Conawago położył dłoń na ramieniu Duncana.

– Zrobię herbatę – zaproponował.

Wziął tłącą się gałąź z małego ogniska przy kurhanie i szybko rozpałił większe za kłodą. Kiedy postawił miedziany garneczek, aby zagotować wodę, dołączył do Duncana, który badał ściółkę wokół miejsca, gdzie znaleźli świeże czaszki. Dziesięć minut później Van Grut pozwolił zaprowadzić się do ogniska, gdzie w milczeniu przyjął blaszany kubek z herbatą.

– Powiedziałeś, że byli inni geodeci. Nie mówiłeś, co się z nimi stało – zaczął Duncan.

Rzucił na ziemię przed Holendrem nowe znalezisko: mały mokasyn wykonany z dobrze wyprawionej jeleniej skóry, kiedyś przepięknie ozdobiony barwionymi piórkami, teraz brudny i spleśniały.

Van Grut pociągnął łyk herbaty, zanim odpowiedział:

– Moi pracodawcy nie podali mi wielu szczegółów. To handlarz w Carlisle, u którego kupiłem zapasy na rachunek przedsiębiorstwa, powiedział mi o innych, rzekł, że geodetów musi być na pęczki. Poczęstował mnie rumem, kiedy rysowałem jego żonę i dałem mu szkic. – Zapatrzył się w kubek. – W ciągu ostatnich kilku miesięcy było trzech innych, o których wiedział – ciągnął. – Pierwszym z nich był niejaki Townsend, przyjaciel Irokezów, który został uznany za zmarłego na skutek nieszczęśliwego wypadku w dziczy. Drugi nazywał się Cooper, z Connecticut, podróżował z żoną, która była pół Irokezką, pół Francuzką, z irokeskiego miasta. Bardzo młoda, bardzo ładna, tak mówił. Ostatni, o którym wiem, to były oficer piechoty o nazwisku Putnam, z Filadelfii.

Duncan na moment zamknął oczy. Townsend i Putnam. Skanawati wspomniał o martwych Europejczykach na szlaku.

– Jako zapłatę za swoje wysiłki mieli dostać ziemię – mówił dalej Van Grut. – Poprosiłem o gotówkę, aby opłacić moje podróże. To był ogromny teren i Wirginijczycy bardzo się spieszyli, aby zarejestrować swoje roszczenia. Gdyby korzystali z usług tylko jednego geodety, mogłoby to zająć ponad rok.

– Skąd ten pośpiech?

– Nie pytałem. Praca, którą oferowali, doskonale pasowała do moich planów. – Van Grut zastanawiał się przez chwilę. – Z powodu ciągłych sporów pomiędzy Pensylwanią i Wirginią o roszczenia do ziemi. Ponieważ nikt nie dostanie nowych terenów, dopóki nie zostanie załatwiona sprawa Wirginii. Ponieważ zwycięstwa nad Francuzami zaostriły nienasycone apetyty na zachodnie ziemie. Z powodu traktatu – dodał po chwili.

– Zapytałeś, co się stało z innymi?

– Jak powiedziałem, to ogromny teren. Założyłem, że pracują gdzie indziej.

– Czy potem przydzielili ci tylko jeden odcinek?

– Miałem opisać ostatnie pięćdziesiąt mil szlaku, a potem napisać raport. Nie zamierzałem zadawać żadnych pytań. To była nadzwyczajna okazja, żeby pokryć koszty mojego zgłębiania zachodu.

Duncan wpatrzył się w Holendra, pewny, że ten wie więcej, niż powiedział.

– Zostałeś zaatakowany?

Twarz Holendra pociemniała. Nie odpowiedział.

– Ten nieszczęśnik został przybity do drzewa tak jak Burke i zapewne tak jak on potraktowany nożem. Kobieta niewątpliwie się pochylała, aby mu pomóc, kiedy została uderzona od tyłu. Wygląda na to, że została zawleczona do tej kłody i zabita, prawdopodobnie podcięto jej żyły, kiedy była nieprzytomna.

– Nie wiesz na pewno, że zostali zamordowani – oponował Van Grut.

Duncan ponownie przyklęknął obok Conawago i znów zaczął szukać. To stary Indianin znalazł ostateczny dowód, wskazując go z ponurą miną. Duncan wpatrywał się w niego przez długą chwilę, zanim podszedł do Holendra.

– Nie, nie wiem – przyznał Szkot napiętym głosem. – Być może główna sprężyna po prostu się rozwinęła i nie było nikogo, kto by go nakręcił. – Upuścił przedmiot pod nogi Van Gruta. Ludzką kość, w której tkwił zakrwawiony tryb. – W taki sposób umrzesz, Van Grut, jeśli nie powiesz nam wszystkiego, co wiesz.

Krew odpłynęła z twarzy Holendra.

– Wysłali cię, żebyś zastąpił tego, który został zabity i pracował na odcinku szlaku na północ stąd. To tylko kwestia czasu, aż staniesz się kolejnym mechanicznym człowiekiem. Mamy cię umieścić w skrzyni, a potem nakręcać i pobierać szylinga za możliwość zerknięcia na ciebie?

Van Grut przycisnął dłoń do klatki piersiowej, jakby chcąc ochronić serce. Wyglądał, jakby się miał rozplakać.

– Czemu geodeci są zabijani przy granicznych drzewach? – ponownie zapytał Duncan.

– Burke kazał mi iść do czwartego drzewa następnego ranka po tym, jak się spotkaliśmy. Ale właśnie dostałem zapłatę, od tygodni nie grałem w wista ani nie wypłem kropli rumu.

Duncan podszedł bliżej. W końcu zrozumiał strach Van Gruta, gdy ten odwiedził czwarte drzewo.

– Zostałeś wysłany przez Burke'a do drzewa, przy którym zginął, tego samego ranka, kiedy umarł? Tylko że tam nie poszedłeś, bo się upiłeś?

Van Grut przytaknął, zamykając oczy.

– Możemy siedzieć do zmroku i nie wyliczyć wszystkich krzywo patrzących na graniczne znaki i geodetów – usłyszeli cichy głos Conawago. – Gdzie indziej Brytyjczycy i Francuzi mogą walczyć ze sobą, ponieważ ich królowie nienawidzą się nawzajem. Tutaj jednak walczą o prawa do ziemi. Kiedy Francuzi odejdą, wojna o ziemię będzie trwała, tylko prowadzona innymi sposobami. Pół tuzina kompanii już rywalizuje o te tereny, na których niewiele jest prawa i jeszcze mniej jego stróżów. Wirginijczycy rywalizują z mieszkańcami Pensylwanii, a jedni i drudzy zwalczają kompanie z Connecticut i Nowego Jorku. Pennsylvania Susquehanna Company gardzi Philadelphia Land Company. Pomniejsze plemiona podporządkowane przez Irokezów mają do nich pretensje o wyprzedawanie ich ziem, na których zamieszkiwały od niepamiętnych czasów. Susquehannock, Conoyowie, Szaunisi, Nanticoke i Delawarowie uważają przekazywanie tych ziem za bezprawne. Wielu Irokezów ma pretensje do garstki wodzów, którzy zrzekli się własności. – Conawago wzruszył ramionami. – Jest wielu możliwych zabójców, ale z pewnością tylko jeden skutek. Śmierć geodetów przekreśla roszczenia terytorialne Wirginii.

Mówiąc to, Conawago przyglądał się drzewu. Teraz uklęknął i odgarnął pnącza, które zakrywały dolną część pnia. Znaki u podstawy były prawie zasłonięte przez

wieloletni wzrost korzeni i pędów. Gdy zaczął je usuwać, Duncan do niego dołączył. Wkrótce oczyścili krąg o promieniu około jarda.

Symbole u dołu pnia były stare, zamazane przez wzrost kory, ale kształty leśnych zwierząt prymitywnie wyryte w skale pod drzewem były nadal dobrze widoczne. Duncan cofnął się, patrząc na kamień, a potem na drzewo. Różne warstwy wiadomości wydawały się obejmować wieki. Wiadomości przekazywane przez Indian duchom. Uczzone wiadomości Europejczyków. Diaboliczne wiadomości od zabójców.

Van Grut, którego niepokój szybko ustąpił miejsca naukowej ciekawości, na czworakach zaczął oglądać kamień. Duncan go odciągnął. Protesty Holendra ucichły, kiedy zobaczył głęboką melancholię, z jaką Conawago wpatrywał się w symbole.

– Masz więcej tytoniu? – zapytał Duncan Hadleya.

– Oczywiście – odpowiedział zagadnięty, a później zmarszczył brwi, kiedy pojął znaczenie prośby Duncana, i niechętnie sięgnął do sakwy przy pasie.

Van Grut i Hadley poszli za przykładem Duncana, gdy ten ułożył gałęzie z ogniska w półkole wokół starych skał z wyrysowanymi znakami, a potem pokruszył nad każdą liście tytoniu. Kiedy się cofnęli, Conawago zaczął mamrotać modlitwę w jednym ze starych języków, otwartymi rękoma z wdziękiem zagarniając pachnący dym nad wiekowe święte kamienie.

– Nic nie rozumiem – z westchnieniem rzekł w końcu Hadley.

– To był cel wielomiesięcznych poszukiwań Conawago: odszukanie tych starych świętych miejsc. Ci, którzy scedowali ziemię, wyznaczyli starą Ścieżkę Wojowników jako linię graniczną. Z pewnością nie wiedzieli, że pod ich stopami znajduje się coś innego – droga pielgrzyma obejmująca niezliczone pokolenia.

– To na pewno zbieg okoliczności.

– Wcale nie. Geografia kieruje tutaj ludzi. Szlak przeważnie biegnie nisko położonymi terenami pomiędzy wysokimi grzbietami. Każdy podróżujący z północy do bogatego Ohio lub do osad Wirginii podążałby właśnie tędy. Miejsce zaś, gdzie szlak przecina największą rzekę w tym rejonie, to naturalna lokalizacja znaku granicznego, a nawet świątyni.

– Przedtem, przed Europejczykami, Irokezi prowadzili straszne wojny z Catawbas i innymi plemionami na południu, na terenach, które nazywacie Wirginią i Karoliną – włączył się do rozmowy Conawago. – To szlak, którym chodzili. Od niepamiętnych czasów wojownicy przechodzili tędy, zatrzymując się na błogosławieństwa, na oczyszczenie przed wejściem na ziemię zamieszkaną przez wroga lub podziękowanie za bezpieczną przeprawę podczas powrotu.

Duncan pamiętał ostrzeżenie Skanawatiego i przyjrzał się okolicy. Monongahela była widoczna przez drzewa na południu. „Trzymajcie się z daleka od krwawej wody, inaczej wpadniecie w szczelinę świata”, powiedział. Kiedy popatrzył na kości nadal rozproszone po leśnym podłożu i na święte drzewo naznaczone dwoma morderstwami, nie miał ochoty roztrząsać tej kwestii. To pobojuwisko było nie tylko doskonałym miejscem na popełnienie morderstwa – kto zauważyłby dwa komplety

kości więcej? – ale ponadto jego ponura atmosfera zdawała się zapowiadać kolejne śmierci.

– Tylko dlaczego, McCallum, Monongahela Company miałyby w takim świętym...
– zaczął Hadley, patrząc na Conawago klęczącego pomiędzy kamiennymi rzeźbieniami i szepczącego coś do nich.

– Nie musieli nic wiedzieć o jego historii. Wszystkie stare szlaki będą zgodnie z rzeźbą terenu, tworząc naturalne granice. Poproś jakiegoś Indianina, aby narysował mapę, a wykorzysta szlaki jako linie graniczne. To równie pewne jak to, że na zasiedlonych ziemiach będą one służyły jako drogi. Nikt nie wiedział ani nie musiał wiedzieć o świętej historii szlaku.

– Nadal nie rozumiem – powtórzył Hadley.

– Takie miejsca nie są do rozumienia – rzekł Duncan, wskazując Wirginijczykowi kurhan. – Tu oddaje się cześć.

W milczeniu ułożyli na wierzchu jeszcze kilka dużych płaskich kamieni. Van Grut z początku z lękiem obserwował Conawago, a potem daremnie próbował wypytywać starego Indianina o symbole wyryte w kamiennej półce. Duncan jednak wiedział, że Conawago jest już nieobecny, nie widzi i nie słyszy towarzyszy. Odszedł z przodkami i duchami lasu. Wreszcie Holender zrezygnował z wypytywania, wyjął dziennik i zaczął przerysowywać znaki z drzewa.

– Na pewno możemy dla nich zrobić coś więcej – powiedział Hadley, wpatrując się żałośnie w kopiec.

– Odmów nad nimi modlitwę – zaproponował Duncan.

Hadley powoli skinął głową i zastanawiał się chwilę.

Duncan był tak pewny tego, co powie młody mieszkaniec kolonii, że prawie sam zaintonował podnoszące na duchu słowa psalmu 23 „Pan jest moim pasterzem”.

– „Panie! Ty byłeś naszą ucieczką z pokolenia na pokolenie..– zaczął jednak Hadley. – „W proch każesz powracać śmiertelnym i mówisz: «Synowie ludzcy, wracajcie!» Bo tysiąc lat w Twoich oczach jest jak wczorajszy dzień, który minął, niby straż nocna”¹.

Dziadek Duncana również wolał psalm 90. Brzmienie tych słów przyniosło mu nieoczekiwaną ulgę. Bezgłośnie powtarzał ostatnie wyrazy wypowiedziane przez Hadleya. „Kończymy nasze lata jak westchnienie”.

Potem w milczeniu ułożyli na wierzchu kurhanu stosik z kilku małych kolorowych kamieni.

Van Grut siedział na kłodzie, nadal szkicując, gdy wrócili na drugą stronę drzewa.

– Wciąż mi nie odpowiedziałeś, Van Grut – powiedział Duncan.

– Mówiłem, że nie wiem. Nie wiem, czemu geodeci są zabijani.

– Spotkałeś Burke’a tylko raz?

– Do czasu Ligonier, tak.

– Pokazałeś mu swój dziennik?

– Pracowałem nad nim, kiedy mnie spotkał. Zapytał, czy może obejrzeć.

¹ Wszystkie biblijne cytaty za: Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2007.

Duncan wyciągnął rękę i Van Grut wręczył mu szkicownik. Za każdym razem, kiedy Duncan do niego zaglądał, znajdował coś nowego. Tym razem, kartkując go, odkrył liczne portrety Indian, kilka z dodatkowymi szkicami mokasynów, fajek, koszy i innych atrybutów plemiennego życia.

– Zobaczyl, że zaczynasz rozumieć życie Indian, a może odczytywać indiańskie wiadomości.

– Z pewnością to nic nie znaczy.

– Kto pierwszy został zabity?

– Townsend, jeśli wierzyć plotkom. Potem tych dwoje, których znaleźliśmy teraz.

– Townsend znał Indian i ich zwyczaje. Potem ten geodeta Cooper i jego indiańska, irokeska żona. W Filadelfii można znaleźć wielu geodetów.

– Co próbujesz powiedzieć?

– Wszystkie ofiary wiedziały coś o indiańskich znakach.

– Nie Cooper, który tu umarł.

– Może na początku zatrudnili Indiankę, której towarzyszył geodeta. Najpilniejszym zadaniem było znalezienie drzew z indiańskimi znakami.

Van Grut zmarszczył brwi, zakłopotany.

– Zeszłej jesieni, po tym jak tych dwoje tutaj zginęło, kilku Irokezów zmarło na północnym końcu tego samego szlaku przy podobnych znakach.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Holender.

– Z początku nie ginęli geodeci. – Duncan rzucił zaniepokojone spojrzenie Conawago. – Morderca zaczął od tych, którzy potrafili odczytywać drzewa.

Duncan zobaczył, że wszyscy towarzysze się w niego wpatrują. Wydawało się, że stary Indianin zamierza coś powiedzieć, ale nagle odwrócił głowę i spojrzał na północ. Krzyki, które usłyszeli chwilę później, wydawały się na początku odległe, ale wojenne okrzyki i wystrzały, które padły potem, rozległy się tuż za następnym wzgórzem.

Rozdział 5

Duncan i Conawago pomknęli w leśny mrok. Młody Szkot złapał po drodze strzelbę, a jego towarzysz pałkę i pobiegli, nie wprost ku odgłosom walki, ale zataczając łuk, który zapewniał im osłonę skał znajdujących się wyżej.

Pomimo miesięcy spędzonych z Conawago Duncan nigdy całkiem nie wyzbył się lęku, jaki budził w nim las, i nagle znów przypomniały mu się te straszne chwile, gdy po raz pierwszy odważył się zapuścić samotnie w leśne ostępy, przekonany, że śmierć czai się w każdym cieniu. Walczył z tym strachem, nie odrywając oczu od przyjaciela. Jak zawsze, gdy groziło im niebezpieczeństwo, obecność starego Indianina go uspokajała. Duncan naśladował go, nasłuchując i instynktownie oceniając zagrożenia. Głęboki, jakby gardłowy huk strzelających blisko siebie karabinów, trzask krótszych muszkietów rozproszonych pomiędzy drzewami, syk strzał, okrzyki atakujących wojowników. Znajdowali się pół mili od drzewa granicznego, gdy Duncan dostrzegł grupkę obleganą u podnóża niskiego pagórka.

– Mój Boże! – powiedział przerażony głos za nim. – To miejsce jest przeklęte dla Wirginijczyków.

Hadley z trudem łapał powietrze, drżąc ze strachu.

Duncan przyjrzał się walczącym i zobaczył, że istotnie to mały oddział powracającej milicji został zaatakowany.

– Wiesz, jak się z tego strzela.

Hadley miał przynajmniej tyle przytomności umysłu, aby wziąć muszkiet.

– Nie jest naładowany – wyznał mieszkaniec Wirginii łamiącym się ze strachu głosem. Wyciągnął stempel, po czym sięgnął po kulę i przybitkę, jednak ręce tak mu się trzęsły, że połowa prochu wysypała się z lufy.

Duncan wziął od niego broń i nabił, tymczasem przybył Van Grut, kurczowo ściskając myśliwską strzelbę.

– Co jeszcze masz w swoim ekwipunku? – zapytał Duncan, gdy zauważył plecak Hadleya. Kiedy Wirginijczyk zrzucił go na ziemię, Duncan trącił stopą zawartość, nadal patrząc na Conawago, który podkradał się bliżej walczących. Duncan schylił się i podniósł mały kawałek rzeźbionej kości. Hadley zatrzymał koniec irokeskiej strzały sygnałowej wystrzelonej podczas procesu. Duncan tylko przez moment spoglądał na gwizdek, zanim przemówił niskim, stanowczym głosem, a potem kazał Hadleyowi i Van Grutowi powtórzyć swoje polecenia i pobiegł naprzód.

Kilka sekund później znalazł się obok starego Nipmuka. Duncan szybko wyłuszczył mu swój plan, co wywołało na twarzy Conawago szeroki uśmiech, a następnie Szkot podkraść się do kolejnej skalnej formacji trzydzieści jardów dalej. Chwilę potem

dziwny, chrapliwy dźwięk, wołanie dzierzby, rozległ się z miejsca, gdzie ukrywał się Conawago. Duncan powtórzył sygnał i zobaczył, jak jeden z atakujących przystaje i bojaźliwie spogląda w ich stronę na moment przedtem, nim Hadley dmuchnął w irokeski gwizdek, któremu chwilę później zawtórował suchy trzask broni Van Gruta. Hadley zagwizdał ponownie, a potem wystrzelił ze swojej strzelby.

Duncan nie wierzył w umiejętności strzeleckie towarzyszy, więc kazał im po prostu mierzyć w kierunku napastników, ale sam starannie wycelował w rosnącego Hurona, który pochylał się z nożem nad niewidocznym ciałem. Trafił tam, gdzie celował, w prawe ramię Indianina, powalając go na plecy. Chwilę później, kiedy ponownie zabrzmiał irokeski gwizdek, mężczyzna chwiejnie wstał, ściskając sobie ramię, a potem wykrzyknął kilka słów i napastnicy zniknęli w ciemności.

Radość, z jaką dwaj nadal stojący na nogach Wirginijczycy powitali Hadleya, znikła, gdy Duncan wyjaśnił im podstęp, naśladując sygnały używane przez wojowników Mohawków, najdzikszych z irokeskich plemion.

– Nie ma nikogo więcej? – jęknął młodszy mężczyzna. – Już po nas! Zaatakowała nas co najmniej setka!

– Nie więcej niż piętnastu – rzekł Conawago, a potem przyłączył się do Duncana badającego czterech mężczyzn leżących na ziemi. Dwaj nie żyli, dwaj mieli powierzchowne rany. – A ci Huroni będą uciekać wiele mil, zanim się zastanowią, dlaczego nie są ścigani. Przejdźcie przez rzekę z rannymi i znajdźcie jaskinię na noc. Nie rozpalajcie ognia, dopóki nie dotrzecie do Fortu Cumberland.

– Nie możemy ich tak po prostu zostawić – powiedział starszy żołnierz, wskazując martwych przyjaciół.

Duncan ruchem głowy wskazał pobojowisko Braddocka, zaczynając drzeć koszule zmarłych na bandaż.

– Są w dobrym towarzystwie. Nie ma czasu na kopanie grobów, przykryjcie tylko swych towarzyszy kamieniami. Kiedy wrócicie do fortu, możecie tu przysłać większy oddział.

Starszy żołnierz skrzywił się i zerknął na swojego przerażonego kompana.

– Myślę, że raczej ruszymy prosto na nasze farmy, tak szybko, jak nas nogi poniosą. Mamy powyżej uszu Pensylwanii.

– Ale oni go zabrali – zaprotestował młodszy żołnierz. – Nie możemy tak po prostu...

– Wzięli jeńca? – zapytał zaniepokojony Duncan, patrząc za uciekającymi.

– Kapitana – rzekł udreńczonym głosem żołnierz.

Dreszcz przebiegł Duncanowi po krzyżu.

– Mówicie, że zabrali ciało kapitana Burke'a?

– Tak. Pierwsze, co zrobili, to złapali muła ze zwłokami.

– Z pewnością o tym nie wiedzieli – uznał Hadley. – To była pomyłka. Zobaczyli muła i pomyśleli, że jest obładowany zapasami.

– Czary! – wymamrotał z przestrawieniem Van Grut.

Duncan i Conawago wymienili zaniepokojone spojrzenia. Najeźdźcy nie zabraliby martwego przez pomyłkę. Tubylcy zazwyczaj obawiali się zmarłych, tak samo jak Europejczycy, ale istotnie mieli czarowników, którzy czasem łamali tabu dla swoich ponurych celów.

Conawago obejrzał zabitych i pochylił się nad tym, który trzymał nóż. W drugiej dłoni miał napierśnik z wysuszonych kości i muszli, zerwany napastnikowi. Conawago przyjrzał mu się z niepokojem, a potem wepchnął za pazuchę.

Mężczyźni z Wirginii szybko przykryli kamieniami nieżyjących towarzyszy i pospiesznie odeszli, gdy tylko Conawago zrobił szczudło dla jednego z rannych.

– Ta młoda – powiedział stary Indianin. – Czy ona nie była z...

Przerwał mu szloch Hadleya, który klęknął za niskim głazem piętnaście jardów dalej. Gdy pospieszyli do niego, podniósł bezwładne ciało Mokie.

Duncan natychmiast zrozumiał, że postrzelony przez niego napastnik pochyłał się nad dziewczyną. I nie tylko się pochyłał. Indianin mógł ją zakłuć w mgnieniu oka. Jednak zamiast tego przeciął nożem sznur pętający nogi dziewczyny. Tajemniczy napastnicy przybyli nie tylko po ciało Burke'a, ale także po młodą niewolnicę.

Konwój negocjatorów traktatu zmienił się w podróżującą wioskę, gdyż jego liczebność zwiększyła się ponad dwukrotnie od czasu opuszczenia Ligonier. Dołączyło do niego więcej Indian z pomniejszych plemion oraz osadnicy i traperzy podążający Drogą Forbesa, którzy usłyszeli o napadach i szukali bezpieczeństwa przy długiej karawanie.

Duncan i jego towarzysze dotarli do Ligonier przed świtem i zanieśli Mokie do lazaretu. Nie odzyskała przytomności, chociaż puls miała silny.

– Trzeba ją obserwować – poinstruował jednonogiego kaprala. – Dać jej rosołu, kiedy odzyska przytomność.

Sanitariusz pokręcił głową.

– Jak tylko major o niej usłyszy, umieści ją z powrotem w areszcie. Albo gorzej, oddają milicji.

Van Grut, który wcześniej dokonał wymiany swoich rzeczy na cztery kościste konie, nie sprzeczał się, gdy Duncan przyszedł do stodoły z nadal nieprzytomną dziewczyną owiniętą w koc na czas podróży.

– Mój drugi zegarek. – To był jego jedyny komentarz, kiedy zobaczył Duncana oglądającego wierzchowce. – Spędziłem całą noc przy stoliku, żeby go wygrać dwa miesiące temu.

Kiedy Duncan, wykończony po dniu jazdy, zsiadł w obozowisku z konia i odszukał wóz zaprzęgowy z matką dziewczyny, uświadomił sobie, że być może naraża Mokie na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Z konwojem podróżowali inni Wirginijczycy, włącznie z aroganckim porucznikiem będącym teraz jednym z negocjatorów traktatu, a także handlarze wiedzący o nagrodach wypłacanych w Wirginii za zwrot zbiegłych niewolników. Duncan zakrył głowę dziewczyny kocem, a Hadley zdawał się podzielać jego obawy, bo stanął przed nią, jakby chciał ją chronić.

Już minęła pora wieczornego posiłku i do wielu ognisk przy wozach dołożono drewna na noc. Spętane konie cicho rżały w półmroku, skubiąc świeżą wiosenną trawę. Z wysokiej łąki, którą Brindle wybrał na obozowisko, Duncan widział długie szeregi wzgórz, jak ogromne fale na oświetlonym światłem księżyca morzu. Srebrzysta wstęga wiała się na wschód – rzeka, którą osadnicy nazwali Juniata. Z obozu woźniców dochodziły ciche dźwięki skrzypiec. Gdzieś ktoś głośno czytał gazetę tonem wiejskiego herolda, tak by wszyscy znajdujący się w zasięgu głosu wiedzieli, że w Filadelfii zostały zainstalowane pierwsze piorunochrony wynalezione przez szacownego doktora Franklina, a pan Hoyle opublikował nowe przepisy gry w wista.

Olbrzymia postać z muszkietem stała obok wysokiego pniaka porośniętego pnączami niedaleko obozowiska.

– *An tusa a tha ann* – wymruczał wartownik.

Duncan zrobił dwa kolejne kroki w stronę wozu sędziego pokoju, zanim uświadomił sobie, że pozdrowiono go po szkocku.

– McGregor? Co cię sprowadza tak daleko od fortu?

– Garnizon Ligonier jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo konwoju – odpowiedział olbrzymi Szkot, patrząc na bezwładną dziewczynę, kiedy Duncan podawał ją Hadleyowi. – A major naprawdę miał mi za złe to, co mówiłem podczas procesu. Powiedział, że przejście piechotą do Lancasteru i z powrotem doskonale zrobi mnie i mojemu oddziałowi. Wysłał kompanię, aby patrolowała północną część drogi i przepędziła napastników ze szlaku delegacji.

Duncan rozważył stanowisko McGregora i jego słowa. Gdyby obawiał się napadu Huronów, patrolowałyby skraj lasu.

– Z pewnością obóz sędziego pokoju nie jest zagrożony.

– Wczoraj doszło do małej awantury. Więzień szedł za wozem wysokiego sądu, kiedy został zaatakowany przez mieszkańców Wirginii z kijami.

Duncan zacisnął zęby i uświadomił sobie, że wpatruje się w Hadleya, który ze wstydem wbił wzrok w ziemię.

– Jak się miewa?

– Dzikusy w konwoju ruszyły wodzowi z pomocą. To nie był dobry moment na negocjowanie traktatu, można powiedzieć.

– Jest ranny?

Kiedy McGregor nie odpowiedział, Duncan zrobił krok w kierunku wozu.

– Ona nie pozwoli nikomu podejść – rzekł sierżant do jego pleców.

Nie pojmując, Duncan podszedł do ogromnego wozu zaprzęgowego, jednego z tych ciężkich i zrobionych nad rzeką Conestoga niedaleko Lancasteru. Coś przemknęło obok jego głowy. Coś uderzyło go w policzek. Trzeci pocisk złapał. Nieświeży herbatnik, twardy jak skała.

– Zaraz dostaniesz widłami, jeśli podejdziesz blisko wodza! – rozległ się wściekły, piskliwy okrzyk. – Są tu filadelfijscy kwakrzy! – dodał głos, jakby to była straszliwa groźba.

Hadley pospieszył do boku Duncana, trzymając nieprzytomną dziewczynę.

– Becca, mamy swoją Mokie – rzucił w ciemność. – Ktoś zaatakował oddział.

Wóz zaskrzypiał, gdy Becca wyłoniła się z jego wnętrza. Jęknęła, gdy zobaczyła córkę, a potem wniosła dziewczynę do środka. Duncan i Hadley weszli za nią do wozu przejściem między workami mąki i innymi zapasami. Położyła Mokie obok Skanawatego śpiącego przy dużym koszu z niemowlęciem. Chłopiec o imieniu Penn nie spał i wpatrywał się w płomień świecy.

Duncan podniósł ją i obejrzał obrażenia Indianina, starając się nie sprawiać mu bólu. Skaleczenia i siniaki na ramionach, otarcia od kajdan na kostkach nóg, nic poza tym.

– Inni Indianie, dlaczego nie pomagają go pilnować? – szepnęła do Becki.

– Pomagali, cały dzień. Kiedy jednak przybyli dzisiaj wieczorem do obozu, zostali tylko kilka minut i odeszli. Wyglądali, jakby zobaczyli ducha. Wódz w czapce z lisa ciągle mamrotał coś jakby modlitwę, inny kierował pod adresem sędziego pokoju głośne, gniewne słowa w plemiennym języku. – Duncan zobaczył teraz, że Skanawati zaciska dłoń na amulecie zawieszonym na szyi. Odwrócił się, żeby odejść, ale kobieta go zatrzymała, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Jest pan medykiem – powiedziała błagalnie.

– Ma wstrząs mózgu – powiedział Duncan. – Stłuczenie mózgu. Niektórzy mówią, że to oznacza, iż przepływ pomiędzy wewnętrznymi a zewnętrznymi płaczkami został zablokowany. – Zobaczył ból w oczach Becki. – To może potrwać godziny, Becca, albo dni. Nawet gdyby ją zanieść do najlepszych lekarzy w Filadelfii, żaden nic więcej nie mógłby dla niej zrobić. Najlepsze jest to, co może jej dać tylko matka.

Becca powstrzymała łzy, a potem wróciła do córki, położyła jej głowę na podolku i zaczęła głaskać po włosach, a potem zaczęła łagodnie nucić. Gdy Duncan znowu się odwrócił, żeby odejść, zobaczył, że Skanawati patrzy spod przymkniętych powiek. Irokeski więzień, podejrzewał Szkot, nie spał przez cały czas.

Na zewnątrz Conawago stał obok McGregora patrzącego na obóz. Szkot powoli chodził wokół pniaka o wysokości półtora jarda, który służył mu za stanowisko wartownicze. Zdziwiony, że jego przyjaciel nie chce widzieć Skanawatego, Duncan podszedł, żeby go o to zapytać, kiedy przy ognisku pojawiły się trzy postacie. Sędzia pokoju Brindle krótko porozmawiał z McGregorem, ten wskazał na Duncana, a potem przywódca kwaków wezwał McCalluma, aby dołączył do niego przy ognisku, do którego dwaj inni mężczyźni podłożyli drewna.

Sędzia pokoju, wyraźnie rozkojarzony, szybko przedstawił swoich dwóch towarzyszy, których Duncan widział w Ligonier. Felton, tyczkowany mężczyzna, który stał za Brindle'em w biurze majora, prowadził wozy zaprzęgowe z zapasami dla prowincjonalnej placówki handlowej w Forcie Pitt. Wyglądał na filadelfijskiego dzentelmena, poruszał się jednak jak człowiek lasu. Felton skinął głową Duncanowi, a potem rzucił mu kawałek suszonej wołowiny, który wyciągnął z sakwy przy pasie. Krępy mężczyzna, Henry Bythe, był szwagrem Brindle'a i reprezentantem prowincji w Forcie Pitt. Na prośbę Brindle'a Duncan wyjaśnił, co znalazł przy drzewach granicznych, a potem Hadley opisał potyczkę nad rzeką Monongahela. Prawie

skończył, kiedy Brindle spojrzął w górę, jakby dopiero dotarły do niego słowa Wirginijczyka.

– Mówisz, że dzikusy ukradły ciało kapitana Burke'a? – zapytał wstrząśnięty.

– Zostało zabrane przez Indian – potwierdził Hadley. – Drzę na samą myśl o tym, w jakim celu.

Brindle pokręcił głową.

– W tych górach wieje zły wiatr – rzekł. – Wszyscy Indianie przenieśli dziś swoje ogniska dalej, jakby obrażała ich nasza obecność.

– Nasz konwój jest tak duży, że napastnicy nigdy by nas nie zaatakowali, wuju – zauważył Felton. – Oni atakują tylko wtedy, kiedy mają przewagę liczebną, a potem znikają w lesie.

Brindle zamilkł z poważną miną. To nie o własne bezpieczeństwo się martwił. Duncan wiedział, co podczas tej podróży jest najważniejsze dla sędziego, a jego niepokój oznaczał, że podejrzewa, iż traktat jest zagrożony.

Kiedy Conawago usiadł obok nich przy ognisku, Brindle wziął lampę i wszedł do wozu, aby obejrzyć pasażerów.

– „Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z koźlęciem razem leżeć będą, cielę i lew paść się będą pospołu i mały chłopiec będzie je poganiał” – zauważył po powrocie.

Duncan znów popatrzył na Conawago. Przyjaciel był czymś zmartwiony, a nawet głęboko poruszony. Nie chodziło tylko o to, że jego zdaniem Skanawati jest niewinny. Coś jeszcze było nie tak, coś, o czym Duncan nie wiedział. Mężczyźni wokół ogniska zapadli w długie milczenie, w końcu przerwane przez kolejny biblijny cytat Brindle'a.

– „Dlaczego burzą się narody, i ludy knują rzeczy próżne?” – mówił do płomieni.

– „Zapytaj zwierząt, a wskażą ci, i ptaki podniebne pouczą” – odpowiedział mu głęboki i poważny głos.

Kwakier spojrzął w górę ze smutnym uśmiechem.

– Zaskakuje mnie pan, McCallum.

– To nie ja, panie sędzio – odpowiedział Duncan.

Brindle podniósł lampę, dopiero teraz zauważając Conawago. Był wyraźnie zaskoczony. Patrzył to na Duncana, to na starego Nipmuka, jakby próbowali go oszukać.

– Panie? – zapytał po chwili.

Duncan przypomniał sobie, że Conawago nie odzywał się podczas procesu. Pamiętał swoją pierwszą rozmowę z wykształconym przez jezuitów Indianinem, kiedy ocknął się po tym, jak ten uratował go od pewnej śmierci, a oczy miał zakryte bandażem owijającym ciętą ranę na głowie. Słyszac wtedy głos Conawago, założył, że jego wybawiciel jest wykształconym angielskim dżentelmenem.

– Ja również lubię Stary Testament – rzekł w zadumie Conawago. – Może zna pan resztę wersetu?

– To Księga Hioba, prawda? – Brindle dorzucił więcej drewna do ognia, jakby chciał lepiej widzieć.

Indianin przytaknął.

– „Zapytaj ziemi, pouczy cię...”

Brindle, mimo że wyraźnie nawykły do wygłaszania cytatów z Pisma Świętego, wyglądał na zakłopotanego.

– Jakie jest znaczenie tych słów, panie?

– „On głębinom wydrze tajniki, oświecili odwieczne ciemności” – kontynuował Conawago.

To nie uwaga, jaką Brindle poświęcał Conawago, spowodowała, że Duncan zaczął darzyć kwakra większym szacunkiem, ale raczej jego chęć zrozumienia starego Indianina.

– Jakie to szczególne światło proponujesz, panie?

– Musicie przenieść obóz.

Brindle odwrócił się na chwilę do Duncana, a potem do swojego bratanka Feltona, jakby prosząc o pomoc.

– Oczywiście, zwiniemy obóz o świcie.

– Nie. Dzisiaj, jeśli cenicie serca waszych sprzymierzeńców.

Conawago z ponurą miną wstał i wyciągnął dłoń po lampę. Brindle wahał się tylko przez chwilę, po czym mu ją podał. Poszedłszy za nim w kierunku pnia, z zakłopotaniem patrzył, jak Conawago odsuwa pnącza, które na nim pozostały. McGregor przyniósł drugą lampę. Na wysokim pniaku widniały dziesiątki znaków, jedne symbolizowały zwierzęta, inne były jedynie nacięciami i liniami, wiele było krzyżyków zwieńczonych mniejszymi kołami i trójkątami.

Felton wydał okrzyk zdumienia.

– Musiałem przejeżdżać obok tego słupa ze trzydzieści razy – wymamrotał i przesunął palcami po nacięciach.

– *Gaondote*, tak to się nazywa po irokesku – wyjaśnił Conawago i zamilkł, przesuając lampę wzdłuż rzędów znaków. Na jego twarzy malowało się głębokie skupienie i przez moment Duncan zobaczył cierpliwe męczarnie zjadaczy grzechów, których znał jako chłopiec. Wreszcie stary Nipmuk spojrział w górę, jakby odpędzając swoje wizje. – Wojenny pal. Używany przez atakujące oddziały do pętania więźniów. Ten tutaj wykorzystywano przez wiele lat, przez pokolenia. Krzyżyki symbolizują jeńców, a znaki nad nimi mówią o ich płci. Wielu było sądzone zakończyć życie przy tym palu. Wiedzieli o tym, gdy tylko zostali schwytani, gdyż ich twarze poczerniono sadzą. Przez cały czas swojej podróży naznaczeni rozumieli, że zakończy się ona tym, że zostaną spaleni żywcem.

Conawago spojrział na Brindle'a.

– Chociaż może pan nie czuć bólu i ciemności w tym miejscu, zapewniam, że plemięcy je czują. Strach, nienawiść, to wszystko wciąż jest tu *żywe*. Oni uważają, że wybrał pan to miejsce, aby dręczyć Skanawatiego. Wiezie pan irokeskiego więźnia na śmierć na brytyjskim sznurze.

– Spalmy to – zaproponował McGregor.

– Jest jeszcze coś, co sędzia pokoju musi w pełni zrozumieć – wtrącił Duncan, odwracając się do swojego przyjaciela Nipmuka. – Podczas procesu mimochodem wspomniano o znaczeniu gwoździ. Co dokładnie Irokezi pamiętają o ludziach torturowanych gwoździami?

– Z pewnością to nie ma nic wspólnego z... – Podnosząc dłoń, Duncan uciszył sprzeciw Brindle'a.

– Anglicy i Irokezi przez długi czas nie byli przeciwnikami – rzekł Duncan. – Jednak plemiona zaczęły wyczuwać, co Anglicy naprawdę o nich myślą, w najgorszym możliwym momencie. Dręczenie Skanawatiego przez umieszczenie go w pobliżu pała jeńców. Chełpienie się przybijaniem ludzi do stodół i drzew. Dlatego poganie się burzą – rzekł, cytując słowa psalmu.

Gdy to mówił, Conawago wpatrywał się w słupek.

– Od niepamiętnych czasów irokeskie wyprawy wojenne podążały tam i z powrotem Ścieżką Wojowników przez Wirginię, aby dotrzeć do swoich odwiecznych wrogów. Jednak pewnego roku irokeski oddział atakujący napotkał farmę na swym prastarym szlaku. Przystanęli, naradzając się, czy zawrócić. Jednak milicja już została zaalarmowana i zagroziła im drogę. Irokezi powiedzieli, że chcą po prostu przejść tamtędy, jak to mają w zwyczaju, i obiecali nie skrzywdzić żadnego osadnika. Milicja odmówiła. Indianie mieli mało jedzenia, gdyż zamierzali żywić się tym, co da im ziemia. Kiedy wzięli trochę zboża z pola farmera, mieszkańcy Wirginii ogłosili wojnę. Mieli przewagę liczebną nad Indianami. Część Irokezów uciekła na północ, kilkunastu schwytano, pobito i torturowano, niektórych powieszono. Ci, którzy nie zginęli od razu, zostali przybici do ściany stodoły stojącej przy indiańskim szlaku jako ostrzeżenie. Niektórzy umierali tydzień.

Brindle w milczeniu obserwował Conawago, a później popatrzył na wóz, pod którym już spało kilku jego ludzi.

– Przeniesiemy obóz – rzekł z westchnieniem. – Zawołaj milicję i woźniców, aby nam pomogli. A ja poproszę brata Conawago, żeby przekazał wodzom nasze przeprosiny. Jesteśmy jedynie obcymi na obcej ziemi.

Księżyc stał wysoko, zanim skończyli przenosić obozowisko kwakrów na równinę u stóp wzgórza, gdzie już spała część podróżujących.

Sędzia pokoju Brindle był zaniepokojony i pomimo późnej pory poprosił bratanka, żeby zawiesił obok niego dwie lampy, przy których będzie mógł czytać Biblię. Jego pociągła twarz miała taki wyraz, jakby po raz pierwszy spojrzął w mrok dzikich ostępów; silny mężczyzna stanął twarzą w twarz ze złem, o którego istnieniu nie wiedział. Kiedy Duncan po raz pierwszy wszedł do puszczy, wczuł się pod skalę i ukrył.

– Uczestniczyłeś wcześniej w spotkaniach w sprawie traktatu? – Duncan zapytał McGregora, cały czas mając na oku ciemności wzdłuż linii drzew.

Conawago zniknął podczas przesuwania wozu zaprzęgowego.

– Tak. W Albany. Wielkie sprawy.

– Z tyłoma Indianami co tutaj?

– Tutaj? Tu są tylko ze trzy tuziny. Spodziewamy się stu lub więcej, kiedy w końcu kufry zostaną otwarte.

– Kufry?

– Kilku wodzów może przybyć, aby postawić swoje znaki na królewskim dokumencie. Reszta przybywa jednak po dary. Będą rozdawane koce, muszkiety i noże oraz beły materiałów. Jeśli nie będzie darów, Indianie nie będą rozmawiać. – Olbrzymi Szkot zapatrzył się na rząd ognisk wzdłuż skraju lasu, gdzie obozowali Indianie. – Tylko że dzicy, którzy są z nami, ostrzą noże i tomahawki. Jakby spodziewali się wybuchu wojny, a nie traktatu.

Dreńczony złym przecuciem Duncan odważył się pójść w stronę obozowiska Indian w rozpaczliwej nadziei, że znajdzie Conawago. Znów obawiał się o życie przyjaciela. Tak jakby śmierć, oszukana przez niego w Ligonier, wciąż czaiła się w pobliżu. Spod szałasów zbudowanych z sosnowych konarów opartych o skalny występ zaszczeakał pies. Przy dogasającym ognisku słycać było łagodny głos kobiety pocieszającej dziecko i odgłos sitowia szorującego garnek. Te spokojne domowe dźwięki dodały mu otuchy. Przyspieszył kroku i odważył się podejść bliżej linii ognisk wzdłuż skraju lasu, przystając przy każdym i wypatrując przyjaciela.

W pierwszej chwili pomyślał, że potknął się o korzeń, zbyt późno uświadomił sobie, że to drąg zręcznie wetknięty między jego nogi. Gdy się potknął, Indianin trzymający kij rąbnął nim w kolano Duncana, jednocześnie silnie go popychając. Nagle Duncan znalazł się na ziemi, a czterej wojownicy na nim, przytrzymując mu ręce i nogi. Ten, który klęczał na jego lewym ramieniu, przyłożył mu do gardła ostrze tomahawka. Pospieszne irokeskie słowa wypowiedano szeptem i zbyt szybko, aby Duncan mógł je zrozumieć. Jednak ich ton nie pozostawiał wątpliwości.

Bili go, raz po raz uderzając kijami po nogach i ręce, nie dość mocno, aby połamać kości, ale boleśnie i pozostawiając siniaki, które nie znikną przez wiele dni. Dwaj trzymający go za nogi pomrukiwali z rozbawieniem. Ten z tomahawkiem pochylił się bliżej, sycząc na Duncana, włosy z jego amuletu ocierały się o szyję Szkota, a w świetle księżycy na jego policzku widoczny był tatuaż żółwia. Był to młody wojownik z fortu, który stał u boku Skanawatiego, kiedy ten się przyznawał. Jego oczy błyszczały dziko, kiedy wbił ostrze tomahawka w ziemię kilka cali od ucha Duncana.

Nagle jeden z trzymających Szkota Indian sapnął, gdy został uniesiony w powietrze. Gdy drugi napastnik równie tajemniczo się uniósł, Duncan zobaczył Henrygo Bythe'a spokojnie trzymającego lampę, podczas gdy sierżant McGregor i dwóch innych żołnierzy w kiltach metodycznie usuwali napastników, podnosząc ich i odrzucając jak snopy. Duncan nie pojmował, dlaczego wojownicy nie stawiają oporu ani nawet nie podnoszą się z ziemi, gdzie wylądowali, a potem zobaczył, że patrzą nie na Bythe'a ani Szkotów, lecz na majaczącą w ciemności postać starego Irokeza noszącego przybranie głowy ze skóry lisa, z głową zwierzęcia opadającą mu na czoło.

– Tak właśnie się dzieje, gdy podróżujemy z takimi diabłami – rzekł kwakier, kiedy Szkoci zniknęli z powrotem w ciemności. Bythe wydawał się całkowicie nie obawiać wojowników wokół niego.

Duncan z trudem się podniósł, rozcierając obolałe kończyny i usiłując zrozumieć, o jakich diabłach mówi kwakier.

– Nie ma dla nich miejsca w traktacie. Wojna ich nie dotyczy, tak jak dotyczy Pensylwanii i Nowego Jorku – mówiąc to, Bythe otrzepywał kurz z pleców Duncana.
– Powinni wrócić do domu do swojego łatwego południowego życia.

– Diabły, o których mówisz, to mieszkańcy Wirginii? – zapytał Duncan, zamierzając zwrócić mu uwagę na fakt, że to nie koloniści go zaatakowali.

– Oczywiście. To, co się tu stało, było niczym innym jak zemstą za atak Wirginijczyków na naszego więźnia. Nie można ufać południowcom. Gdyby to od nich zależało, musielibyśmy opuścić tę drogę.

– Drogę? – zapytał Duncan.

– Drogę Forbesa. Byli wściekli, kiedy generał Forbes przed dwoma laty przyznał ją Pensylwanii. Generał przechwycił nawet tajną korespondencję od ich pułkownika Waszyngtona usiłującego unieważnić tę decyzję. Twierdzili, że zachodnie ziemie już są ich, więc droga do Fortu Pitt powinna biec od Fortu Cumberland, aby ułatwić Wirginijczykom podróż.

Duncan nie doceniał politycznego znaczenia drogi. Istotnie otworzyła zachodnie ziemie dla osadników z Pensylwanii.

– To była tylko gra. Ci Indianie zamierzali cię nastraszyć, a nie poważnie zranić – oznajmił Bythe.

Duncan potarł ramię, uświadamiając sobie, że ból istotnie już ustępuje.

– Skąd może pan wiedzieć, co oni... – Duncan zamilkł, kiedy Indianin noszący przybranie głowy z lisa stanął u boku Bythe'a, niedbale skinąwszy głową kwakrowi.

Bythe podniósł leżący u jego stóp jutowy worek, wyjął z niego kawał bekonu i woreczek mąki, wrzucił z powrotem do wora i wręczył Indianinowi.

– Johantty jest bratankiem Skanawatiego – wyjaśnił, wskazując młodzieńca, który prowadził atak. – A pozostali również są z wioski wodza.

Kiedy Bythe zwracał się do Duncana, Johantty wstał, gniewnie patrząc na Szkota, a potem dał znak swoim towarzyszom, aby skryli się w ciemnościach.

– Przyszłość zachodnich ziem, panie McCallum, jest wyłącznie sprawą Irokezów i prowincji Penn – oznajmił dystygowanym tonem Bythe.

Duncan przez długą chwilę rozważał te słowa, nie wiedząc, czy mają potraktować jako ostrzeżenie czy zaproszenie.

– Uważa pan za możliwe, że Skanawati jest niewinny? – zaryzykował.

Bythe nie wahał się.

– Uważamy za pewne, panie, że nawet gdyby Skanawati zabił tego jednego Wirginijczyka, ten czyn nie wyjaśniałby wszystkich pozostałych zabójstw wzdłuż Ścieżki Wojowników w tym roku – odparł.

Duncan popatrzył na niego ze zdumieniem, a potem przypomniał sobie, że Bythe jest delegatem prowincji na spotkanie w Forcie Pitt, co oznaczało, że narody, z którymi miał do czynienia, nie są europejskie.

– Geodeci Townsend, Putnam, Cooper i jego młoda żona – wyrecytował Bythe. – Kilka miesięcy temu brat Brindle i ja przeprowadziliśmy w tajemnicy śledztwo mające wyjaśnić ich los.

– Skanawati też usiłował zrozumieć cel tych zabójstw – zauważył Duncan.

– Tak powiedział mi mój przyjaciel Długi Wilk – rzekł Bythe, wskazując Indianina z lisią skórą na głowie, nadal stojącego u jego boku. – Być może nie poznałeś wodza Mingo, zachodnich Irokezów? – Wódz w milczeniu skinął głową Duncanowi. – Jest jednym z tych, którzy rozumieją, że naszym prawdziwym wrogiem są Francuzi. Zaledwie kilka dni przed śmiercią Burke’a Skanawati ostrzegał go przed Huronami w rejonie Ligonier.

– Mimo to pozwala pan swojemu szwagrowi przetrzymywać Skanawatiego jako więźnia.

Bythe uniósł rękę, aby uciszyć Duncana.

– To, że ostrzega przyjaciół o najeźdźcach, wcale nie oznacza, że nie jest z nimi potajemnie sprzymierzony. Na to pytanie wciąż staramy się znaleźć odpowiedź.

Obaj mężczyźni wyczekująco spojrzeli na Duncana.

– Może Długi Wilk coś wie o znakach na drzewach? – Duncan zapytał Bythe’a niechętnie. – Conawago sugeruje, że...

Bythe przerwał mu, kładąc palec na ustach, a potem wskazał na wodza, który dał Duncanowi znak, aby poszedł za nim w stronę szałasów na końcu obozu.

Duncan się zawahał, kiedy Długi Wilk zniknął w namiocie ze skór narzuconych na stelaż z wygiętych młodych drzewek.

– Ogień się pali, a dym idzie w górę – powiedział Bythe, pokazując Duncanowi, żeby wszedł do środka.

– Przepraszam?

– To oznacza, że zwołano radę.

Duncan niespokojnie spoglądał na kwakra, a potem zobaczył, że Johantty i jego towarzysze stoją w pobliżu i go obserwują, więc wszedł do środka.

Conawago siedział na ziemi w prowizorycznym schronieniu z Długim Wilkiem i trzema innymi Indianami ze starszyny, paląc z nimi tytoń w długiej kamiennej fajce. Dobrze wiedząc, że lepiej nie przerywać intensywnej i ożywionej rozmowy, którą prowadzili, Duncan znalazł wolne miejsce i usiadł po turecku, zastanawiając się przez moment, czemu pięciu Indian siedzi w krzywym kole, pozostawiwszy puste miejsce po drugiej stronie.

Pozostali nie zwrócili na niego uwagi i kontynuowali cichą i szybką rozmowę, z której Duncan wychwycił tylko kilka słów, ale nie ogólny sens. Wilk, usłyszał, potem drzewo, żółw, Onondaga i Skanawati. Samotne życie prowadzone z Conawago dawało mu niewiele sposobności do słuchania rozmów pomiędzy Irokezami i teraz, kiedy zrezygnował z prób zrozumienia dokładnego sensu ich słów, otworzył się na nie w taki

sposób, w jaki nauczył się słuchać w lesie. W ich głosach była swada, ale i coś jeszcze. Conawago powiedział kiedyś Duncanowi, że jeśli uważnie posłucha, zdoła odróżnić nawoływanie młodej sowy od głosu starej, gdyż starsze ptaki mówią z mądrością i melancholią o wszystkich zgonach, których były świadkami. Głosy, które teraz słyszał, należały do starych sów.

Stracił poczucie czasu i zaczął się gubić w bardzo szybkim dialogu oraz przywoływanych przez słowa przypadkowych obrazach. Niepokojące stopy kości na pobojowisku Braddocka, kapitan Burke przybity żywcem do granicznego drzewa. Dziwaczne, nieznanne Indianom ani Europejczykom symbole na granicznych drzewach. Mokie, którą miano zabrać wraz z ciałem Burke'a.

Czyjaś dłoń dotykająca jego kolana sprowadziła go z powrotem do rzeczywistości.

– Opowiesz nam, czego uczy martwy mężczyzna? – zapytał Conawago.

– Słucham?

– Wodzowie z Wielkiej Rady Irokezów rozmawiali o Skanawatim i jego działaniach w czasie ostatnich tygodni. Opowiedziałem im o zdarzeniach od pierwszego dnia niedaleko Ligonier, o przyznaniu się Skanawatiego i o drzewach. Są zaniepokojeni tym, że napastnicy zabrali ciało Burke'a. Powiedziałem im, że przybyłeś z utraconej ziemi, gdzie nauczono skłaniać zmarłych, by mówili. Powiedziałem im, że to ty znalazłeś jego ciało i go dotykałeś.

Duncan wodził po nich wzrokiem, a wszystkie twarze były równie nieprzeniknione. Chociaż jeden z nich przyznał się do morderstwa, najbardziej martwiła ich kradzież zwłok. Najstarszy z Indian, którego pomarszczona, chropowata twarz zdradzała sędziwy wiek, skinął na Duncana.

– Stary Pas z plemienia Mohawków pragnie, abyś podzielił się swoją wiedzą – rzekł Conawago.

Wódz zachęcająco wyciągnął długą fajkę do Duncana i przesunął się, robiąc mu miejsce u swojego boku.

Dopiero gdy Duncan usiadł obok Starego Pasa i głęboko zaciągnął się aromatycznym tytoniem, wódz przemówił, tym razem po angielsku z silnym francuskim akcentem:

– Mój lud, strażnicy wschodnich drzwi – rzekł, używając tradycyjnego irokeskiego określenia na plemię Mohawków – są przyzwyczajeni powracać ze zwycięskiej wyprawy z jeńcem. Nigdy jednak nie słyszeliśmy o martwym, schwytanym, jakby był żywy. Być może widziałeś, że ożył i walczył z napastnikami?

Z powodu tego, że Winston Burke, nieżyjący już od kilku dni, wciąż go prześladował, Duncan miał ochotę przytaknąć. Duch Wirginijczyka rzucił długi cień na konwój negocjatorów traktatu.

– Nie. Był związany i owinięty kocem.

– Może koc skręcał się tak jak kokon, zanim wyjdzie z niego motyl?

Duncan się wzdrygnął, a potem przyjrzał wodzom. Uświadomił sobie, że patrzy na przywódców plemiennej delegacji w sprawie traktatu, i już wiedział, dlaczego w ich kręgu było puste miejsce. Nadal uważali Skanawatiego za członka delegacji.

– Nie – rzekł cicho Duncan. – Nie wrócił do życia, aby walczyć z Huronami.

Wódz w czapce z lisa wreszcie przemówił.

– Nie z Huronami – powiedział Długi Wilk, wymawiając powoli angielskie słowa. – Renegatami. Wyjętymi spod prawa. Jakiego słowa używa się na tych niemieckich żołnierzach, których wynajmuje twój król?

– Najemnicy.

Wódz Mingów przytaknął.

– Najemnicy. – Wskazał przedmiot leżący przy ognisku, zrobiony z koralików i kości napierśnik, który Conawago znalazł na miejscu zasadzki. – To Nanticoke, a może Conoy – rzekł, nawiązując do dwóch mniejszych plemion, które tradycyjnie żyły przy Chesapeake i jej dopływach. – Większość z nich pobiła. Niektórzy zabiliby za kurzą łapkę.

– Ale my ich widzieliśmy – powiedział Duncan. – Conawago i ja byliśmy w ich obozowisku. To byli francuscy Indianie.

– Niektórzy – zgodził się Conawago. – Sądzę jednak, że nie wszyscy. Jeśli ci mężczyźni zostali opłaceni, aby zabijać Anglików, to czy nie mogli się przyjaźnić z Francuzami?

– Tylko kto korzystałby z usług takich zabójców?

Zaledwie wyrwało mu się to pytanie, Duncan zrozumiał, że nad tym właśnie zastanawiali się wcześniej siedzący wokół niego mężczyźni. Po zaniepokojonych spojrzeniach, jakie wymienili, poznał, że uważają za możliwe, iż jest to ktoś z ich konfederacji.

Siedzieli w milczeniu.

– Wielcy wodzowie Konfederacji Irokeskiej nigdy nie podpiszą traktatu, nie zrozumieawszy, co martwy mężczyzna próbował ci powiedzieć. Ci po drugiej stronie obserwują, co się tutaj dzieje – powiedział wreszcie Duncanowi Conawago.

Duncan przypomniał sobie, że wodzowie również mogli słyszeć o pęknięciu w świecie, które wydawało się wyrzucać duchy. Angielscy negocjatorzy rozpaczliwie chcieli zapomnieć o zabójstwie przy drzewie, zlekceważyć je jako coś niezwiązanego z ich misją. Irokezi jednak wiedzieli, że wszystkie sprawy są ze sobą powiązane, a duchy ze Ścieżki Wojowników dołączyły do rokowań.

Wyciągnąwszy rękę, Stary Pas zagarnął dym i skierował go w stronę Duncana, pozwalając, by go spowił, zanim ponownie zaproponował fajkę. Chciał wprowadzić duchy do serca Duncana, nim ten przemówi. Duncan jednak nie mógł znaleźć słów.

– Jeśli jest tak, jak mówisz – powiedział Mohawk, a w jego głosie słychać było powątpiewanie – to zabrali go, żeby przestał dzielić się z tobą swoimi sekretami.

Duncan uświadomił sobie, że Indianin pojął prawdę, która mu umknęła.

– Zabrali go do kogoś innego, kto rozumie język zmarłych – zgodził się.

Ale dlaczego? – zadawał sobie pytanie. Co przeoczyłem na ciebie?

– Kapitan Burke był człowiekiem nieprzywykłym do fizycznej pracy – zaczął, dzieląc się przynajmniej tym, co wiedział – człowiekiem, który czuje się w lesie nieswojo.

Ci Indianie byli o wiele bardziej zainteresowani szczegółami morderstwa, niż kiedykolwiek byli Anglicy.

– O czym mówiły jego tatuaże? – zapytał Stary Pas.

– Nie miał żadnych, jedynie małą bliznę podobną do błyskawicy.

Te słowa spowodowały zaniepokojoną wymianę zdań wśród Irokezów.

– Jego ręka została przybita do drzewa – kontynuował Duncan. – Nie mógł powstrzymać zabójcy, który obciął mu srebrne guziki. A to... – uniósł sakiewkę, wyciągnął z niej bryłkę miedzi i rzucił na ziemię przed sobą – ...było w jego ustach.

Oświadczenie wywołało głośne westchnienie. Długi Wilk zdawał się wstrzymywać oddech. Stary Pas oklapł.

– To wyjaśnia dlaczego. Czemu z tobą nie rozmawia.

– Masz na myśli to, że spętało mu język? – odważył się zapytać Duncan.

– Nie. – Długi Wilk podniósł kij na rozpałkę i popchnął nim bryłkę z powrotem w stronę Duncana, gestem pokazując mu, aby ją schował. Miedź go przestraszyła. – To jego dusza – oznajmił rzeczowo. – Wysuszona i stopiona. Bez duszy zmarły nigdy nie powie, niczego nie zobaczy, nie odnajdzie drugiej strony.

Zimny dreszcz przeszedł Duncanowi po plecach. Teraz i on dziwnie bał się dotknąć metalu. Czubkiem palca wepchnął go z powrotem do sakiewki.

Stary Pas wyjął małą torbę ze skóry jelenia i odwrócił ją do góry dnem przy ognisku. Wypadły z niej trzy podobne bryłki. – Zabójca zrobił to samo wojownikom, których wysłał Skanawati – powiedział ze smutkiem. – Nie możemy pozwolić, aby to się przytrafiło Skanawatiemu. – Znacząco spojrział na Duncana. – On jest najlepszym z nas. Potrzebujemy go po drugiej stronie.

Duncan spojrział na Conawago, szukając pomocy. Wyraz twarzy przyjaciela powiedział mu jednak, że on również jest przerażony, nawet bardziej niż Duncan mógł sobie wyobrazić.

– Powiedz nam, co o zmarłych mówią znaki na drzewach. Być może to oni przemawiają w ten sposób, kiedy nie mają języka. – Długi Wilk dorzucił drewna do ognia, sprawiając, że zapłonął jaśniej. Potem ostrożnie wyciągnął i rozwinął kwadrat dobrze wygarbowanej jeleniej skóry, kładąc go obok ogniska. Skóra nosiła ślady zużycia, częstego zwijania, rozwijania i dotykania. Dreszcz przeszedł Duncana, kiedy zobaczył geometryczne kształty namalowane na skórze. Wodzowie spisali osiem grup znaków z drzew. Odwzajemnił ich ponure spojrzenia. Wodzowie próbowali we własny sposób pogodzić się ze śmiercią tych ludzi.

– Nie rozumiiałem magii tych znaków – odpowiedział Duncan – ale mogę wam powiedzieć, że każdy zestaw oznacza jakiegoś zmarłego na Ścieżce Wojowników. Sądzę, że robią je zabójcy, a nie zmarli. I jestem świadomy istnienia tylko czterech, może pięciu – dodał.

Przypomniał sobie, że los geodety Putnama pozostaje nieznanym.

– Trzej członkowie Klanu Żółwia, których Skanawati wysłał na szlak pod koniec tej zimy – rzekł posępnie stary wódz Mohawków – zostali zabici przy takich drzewach, kiedy próbowali oczyścić stare miejsca kultu.

– Dlaczego? – zapytał Duncan. – Dlaczego ich wysłał.

Spojrzał na bryłki. Byłyby doskonałą osłoną dla mordercy pośród Indian. Każde ciało odkryte z taką bryłką byłoby tabu. Nikt by go nie dotknął, nikt nigdy nie próbowałby dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Skanawati im powiedział, że stare drzewa, oznaczone miejsca kultu, trzeba oczyścić, należy usunąć kurz z ich oczu i uszu.

Duncan spojrzał na Conawago. Wódz mówił o ceremonii pozdrowienia, takiej jak ta odprawiana na skraju lasów pomiędzy podróżnymi. To właśnie ją odprawiał Conawago przy zachodnim drzewie. Skanawati się domyślił, że pozostałe drzewa również były starożytnymi miejscami kultu.

– To wszystko nie tłumaczy, dlaczego zabrali ciało Wirginijczyka – przypomniał Conawago.

Długi Wilk zmarszczył brwi.

– Jest pewien francuski szaman, który mógłby umieścić więcej takich kólek w jego piersi i sprawić, by ożył – rzekł. – Ani wojownik, ani żołnierz nie zdołałby powstrzymać takiego stworzenia.

Te słowa zawisły w powietrzu. Duncan chciał je zlekceważyć jako absurdalne. Nagle zobaczył jednak przerażenie na twarzach słuchających ich wodzów.

– Zanim odszedł na zachodnie ziemie, Skanawati mówił Wielkiej Radzie, że świat zbliża się do końca, gdyż Irokezi sami do tego doprowadzili, ignorując odwieczne, uświęcone zwyczaje – podsunął Stary Pas. – Jest taka stara opowieść, opowiadana przy naszych ogniskach, o tym, jak nasz świat się skończy, kiedy wielki potwór ze skały pożre wszystko. – Wódz przerwał i mocno się zaciągnął, po czym powoli wypuścił dym ustami, jakby rozważał własne słowa. – Po odejściu Skanawatiego pewna stara kobieta z naszego plemienia miała sen, że do jej wioski przybył potwór, jakiś europejski człowiek-maszyna z metalową piersią, i zaczął pożerać wszystkich, zaczynając od dzieci.

Duncan chciał potrząsnąć wodzami, przemówić im do rozsądku, uświadomić, że to niemożliwe. Nie ośmielił się jednak zakłócić tej uroczystej, niepokojącej atmosfery. Nie mógł ignorować ani zaprzeczać snom, ponieważ Indianie uważali je za wiadomości z tamtego świata. A w chwili, gdy znaleziono człowieka z trybem w piersi, straszna wizja stała się realna.

– Jesteś jedynym, który posiada moc, by sięgnąć przez skraj światów do duchów twojego plemienia – zwrócił się do Duncana Stary Pas. – Musisz ich poprosić, aby porozmawiali z irokeskimi duchami po tej stronie. Zapytaj, co mamy zrobić, aby nasze dzieci nie umarły.

Duncan wpadł w rozpacz. Nie wiedział, jak ma się zgodzić, nie był pewien, o co go proszono, ale nie mógł odmówić mądrymu starcowi, przypominał mu wielu szkockich wodzów, których kiedyś znał, pełnych życia, odważnych mężczyzn, teraz już spoczywających w ziemi, których dzieci i świat zostały zniszczone. Zauważył, że zmagają się z jedną ze swych powracających wizji – obrazem swoich nieżyjących krewnych wyciągających do niego ręce.

– Będziemy potrzebowali więcej tytoniu – powiedział w końcu.

Rozpacz, która ogarniała go co kilka tygodni, była jak żywa rzecz, jak trawiąca go bestia, która pożerała jego wnętrzości, tak że Duncan nie widział, nie czuł, a czasem nawet nie wiedział, co robi. Był zimny zimowy wieczór, kiedy odkrył, że siedzi na skraju trzydziestojardowego urwiska, z Conawago w odległości wyciągniętej ręki, gotowym go pochwycić.

– Musisz pozwolić im odejść, Duncanie – rzekł stary Indianin. – Musisz pozwolić odejść twojej nieżyjącej rodzinie.

Duncan się wzdygnął. Jak zawsze, strzała Conawago trafiła w cel.

– Jest ciemne, zimne miejsce w moim sercu, które wydaje się odpływać i przyplływać jak fale. Nie sądzę, by kiedykolwiek znikło.

– Ile miałeś lat? Jedenaście? Dwanaście?

– Dziesięć – odpowiedział Duncan. – Miałem dziesięć lat, kiedy zabili ich Anglicy.

– I przebywałeś w oddalonej o setki mil szkole. Naprawdę sądzisz, że mogłeś temu zaradzić?

– Zginąłbym z nimi. Powinienem był zginąć z nimi.

– Byłem w tym samym wieku, kiedy zabrali mnie jezuici – rzekł Conawago po długiej chwili milczenia – obiecując, że wrócę z wiedzą, aby pomóc mojemu ludowi. Kiedy w końcu wróciłem, miałem wiedzę, ale mój lud znikł. Spędziłem większość życia na szukaniu ich. Nie możesz spędzić następnych pięćdziesięciu lat na poszukiwaniu duchów.

Stary Nipmuk wyciągnął rękę, aby sprowadzić Duncana z krawędzi urwiska.

Godzinę po opuszczeniu ogniska rady Duncan usiadł na pustej skalnej półce. Księżyc wisiał wysoko, a Duncan przyglądał się niskiemu rozświetlonemu gwiazdami horyzontowi. Patrzył na indiański obóz sto jardów pod nim, gdzie siedział w milczeniu po niepokojących słowach wodza, pozwalając, by tytoniowy dym snuł się wokół, aż w końcu Conawago się odwrócił i mu wyjaśnił.

– Mówiłem o tobie – rzekł prawie szeptem – i czasie, jaki spędziliśmy razem w wielkich lasach. Stary Pas wierzy, że istnieje powód, dla którego tacy ludzie jak ty i ja przeżywają zagładę swoich plemion. On wierzy, że mamy szczególne głosy, które docierają do duchów. Mówi, że Irokezi muszą poznać wszystkie sposoby porozumiewania się z duchami. Dotarła do niego wieść o mężczyźnie noszącym odzienie w kratę, który potrafi usłyszeć głosy starych duchów.

Gdy Duncan uniósł z zakłopotaniem brwi, Conawago wyciągnął rękę w mrok. Wtedy Duncan zobaczył, że przyjaciel przyniósł do chaty jego wystrzępiony chlebak.

Wreszcie zrozumiawszy, Duncan zabrał torbę i znikł w ciemnościach. Sam. Conawago dobrze wiedział, że Duncan potrzebuje samotności, gdy teraz rozpakowuje przedmiot zawinięty w postrzępiony muślin. Powolnymi, pełnymi czci ruchami ułożył misternie wykonane części w kręgu księżycowego światła, zanim je złożył w całość. Pierwsza próba piszczałek przyniosła odpowiedź lelka.

„Jesteś wodzem klanu – usłyszał w myślach znajomy głos mówiący w szkockim języku – co oznacza, że musisz pokazać innym, jak mają postępować”. – Chociaż po raz pierwszy usłyszał te słowa podczas uroczystej nominacji jego ojca przed wieloma laty, ojciec często powtarzał mu je we snach. – Nieważne, że nigdy więcej nie zobaczymy szkockich wyżyn – powiedział mu wygnany rodak rok wcześniej. – Twój klan to wszyscy uciśnieni tego świata.

W końcu pęcherz wypełnił się powietrzem, piszczałki były zwilżone i ustawione, basy nastrojone. Wsunął ustnik w zęby i zaczął poruszać palcami. Nie mógł przewidzieć, jak każdy strach, każda uraza, każda tęsknota za sprawiedliwością, która zawsze wydawała się go omijać, wzniesie się w momencie, kiedy rozlegną się pierwsze nuty, porywając go powodującym szybsze bicie serca crescendo. Nim skończył pierwszą melodię, myślał, że zacznie łkać. Pod koniec drugiej nie był już smutny, lecz walczył, stając przeciwko całemu światu, był ostatnim kobziarzem przemawiającym w imieniu zapomnianych klanów i wymierających plemion i w tym momencie w pojedynkę zaatakowałby szeregi piechoty z mieczem w jednej i dudami w drugiej ręce.

Nie wiedział, kiedy przybył Conawago, aby usiąść na księżycowej skale w pobliżu, nie widział, jak pomalowani Irokezi, którzy wcześniej na niego napadli, przybyli i usiedli wokół niego, jakby go chroniąc. Grał marszowe melodie z dawnych bitew, żwawe szkockie piosenki, ballady o kobietach wysyłających swoich mężczyzn w bój o straconą sprawę. Kiedy księżyc stanął w zenicie, Duncan odkrył, że olbrzymi McGregor siedzi obok niego i szlocha jak dziecko.

Rozdział 6

Sędzia pokoju Brindle był niezadowolony z muzycznego występu Duncana, jak oświadczył jego bratanek Felton, gdy Duncan wyszedł spod wozu po kilku godzinach snu. Konie się płoszyły. Kilku walijskich woźniców uparcie twierdziło, że to upiór atakuje konwój. Gdy wyliczał kolejne pretensje, u boku Duncana pojawił się McGregor. Chuderlawy młody kwakier zrobił urażoną minę, a potem wzruszył ramionami, przesadnie uprzejmie skłonił głowę i się wycofał.

Kiedy Duncan szykował się do podróży, zerknął w górę na wysoki występ skalny, gdzie wcześniej grał na dudach. Był tam Conawago, który przeciągał się w świetle poranka, zbudziwszy się razem z irokeskimi wodzami. Przybyli nocą, aby z podziwem w oczach słuchać, jak Duncan gra, a kiedy skończył, kiwnęli głowami z uroczystą aprobatą. Gdy Duncan ich opuścił, umościli się na mchu, a Conawago wskazywał na niebo.

– *Ootkwatah* – odchodząc, usłyszał swego przyjaciela. – Plejady.

Tłumaczył wodzom europejskie nazwy konstelacji.

Van Grut podszedł teraz, podając mu blaszany kubek z herbatą, którą Duncan łąpczywie wypił. Niespokojnie zerkał na czterech młodych i pomalowanych na czerwono wojowników, którzy poszli za nim, kiedy wracał do obozu sędziego pokoju. Byli bardzo ożywieni, od kiedy usłyszeli, jak gra. Pokazywali sobie Duncana i wydawali ciche okrzyki, które mogły być słowami uznania albo nagany. Nie wiedział już, czy zmawiają się, aby go chronić czy nękać, ale nie miał wątpliwości co do ich zamiarów względem śniadania, które gotowali kwakrzy.

– *Yo ha!* – jęknął nagle jeden z nich i chwycił się za policzek, upuszczając kawałek bekonu, który ukradkiem porwał z patelni. Kiedy jego towarzysz schylił się po mięso, spod wozu zaprzęgowego wyleciał kamyk i uderzył go w skroń. Zaklął, ale pozostali Indianie roześmiali się i wskazali małą postać schowaną za kołem wozu.

– *Mokie!* – zawołał Duncan i złapał dziewczynę, gdy do niego podbiegła. Odkrył, że obejmuje ją z większym uczuciem, niżby się spodziewał. Puścił ją i obrócił, żeby zbadać ranę na jej głowie. – Ogłaszam, że jesteś wyleczona – zapewnił pogodnie.

– *Mówią, że to ty grałeś tej nocy* – powiedziała dziewczyna. – *Słyszałam tę muzykę jak we śnie, z daleka, ale prosiła mnie, abym do niej przyszła. Coś mnie powstrzymywało, ale poszłam ku niej. Później nagle otworzyłam oczy i byłam w ramionach mamy.*

– *To dudy, dziewczyno. Dmucham w piszczałkę, a drugim końcem wychodzą wibrujące głosy moich dziadów.*

Znowu go objęła, a potem nalegała, aby usiadł, i przyniosła mu posiłek złożony z bekonu i chleba, najlepsze śniadanie, jakie jadł od tygodni. Znikła w wozie, niosąc talerze z jedzeniem, ale została wygoniona przez matkę, która oznajmiła, że zjedzą na świeżym powietrzu. Becca zeszła z wysokiego wozu, a potem wyciągnęła ręce w górę. Ku zdziwieniu Duncana, osobą, która podała jej małego Penna, był Skanawati. Potem Onondaga zszedł, pobrzękując łańcuchami. Uśmiechnął się samymi oczami, gdy rozpoznał Duncana, a później położył rękę na sercu i wyciągnął ją ku niebu.

– Ja również usłyszałem twoich dziadów – rzekł. – Moje serce wzniosło się wysoko.

Duncan przez chwilę uśmiechał się do niego, a potem, bez zastanowienia, próbował obejrzeć skaleczenia i siniaki na ręce wodza, pozostawione przez Wirginijczyków. Skanawati się odsunął, usiadł na kłodzie i wypił dzbanek wody przyniesionej przez Mokie. Duncan z zaciekawieniem obserwował małą grupę zgromadzoną z przodu wozu. Sędzia pokoju Brindle odprawiał dla kwaków poranne nabożeństwo, a jego bratanek Felton czytał teraz Biblię.

– W wiosce mojej rodziny – oznajmił nagle Skanawati, patrząc na północ – to jest księżyc śpiewających... – Urwał i poruszał ręką.

– Żab – podsunął Duncan.

– Śpiewających żab. Dzieci łapią je na liściach, na których mieszkają. Przynoszą je do długiego domu, aby słuchać, jak śpiewają w nocy, i śmiać się na widok ich gardel rozdętych powietrzem. Żaby i dzieci dzielą wielką radość na wiosnę.

Obserwowali woźniców zaprzęgających muły i woły do wozów. Niektórzy już ruszyli w drogę.

– Przy ostatnim granicznym drzewie została zabita młoda kobieta – oświadczył Duncan. – Sądzimy, że była Irokezką. I jej mąż nazwiskiem Cooper.

Ta wiadomość wywołała ból u Skanawatiego.

– Znałeś ich?

– Przyjęliśmy ją do naszej wioski, kiedy jej rodzina została zabita. Moja matka przygarnęła ją jak kolejną córkę.

– Rozumiała stare sprawy? Prastare znaki?

– Rozmawiała ze mną, tak, nawet poszła ze mną do jaskini, gdzie mieszkają starzy bogowie.

– Pomóż mi zrozumieć, czemu zginęła.

Skanawati wzruszył ramionami.

– Została wezwana. Nie nam wiedzieć czemu.

Duncan wyciągnął z sakwy jeden z trybów zegarowych.

– Skąd to pochodzi?

– To europejski przedmiot.

– Co to oznacza, gdy tkwi w czyjejś piersi?

– Zadawanie tylu pytań również jest europejską cechą. – Skanawati odwrócił się i przyjrzał Duncanowi. – Nie martw się o mnie, McCallum – rzekł, wymawiając powoli nazwisko Duncana. – Jestem panem samego siebie.

- Ludzie umarli. Kolejni mogą umrzeć. Muszę odkryć prawdę.
- Skanawati przeżuł kęs chleba, który przyniosła mu Mokie, zanim odpowiedział.
- Chcesz powiedzieć, że musisz odkryć twoją prawdę.

Te słowa dziwnie dotknęły Duncana. Ci leśni ludzie mogli wywodzić się z tego samego pnia co Europejczycy, ale po kilku słowach takich jak te wydawali się pochodzić z innych planet. Pomimo miesięcy spędzonych z Conawago Duncan nadal usiłował zrozumieć różne wymiary prawdy w świecie Indian. Byli najbardziej prostolinijnymi, uczciwymi ludźmi, jakich znał, ale prawda nie była dla nich po prostu przeciwieństwem kłamstwa. Ze świętym pasem wampumu w ręku Irokez prędzej rozłożyłby skrzydła i odleciał, niż skłamał, ale trzeba było ostrożnie podchodzić do wypowiedzianych przez niego słów, których nie można było w pełni pojąć, nie rozumiejąc duszy wypowiadającego je człowieka. Wśród plemion prawda była czymś pomiędzy człowiekiem a Wielkim Duchem, który zawsze z nim był. Każdy człowiek miał swoją prawdę, a najistotniejsza z nich była taka, że każdy, mówiąc językiem Indian, ma własną skórę.

Duncan uświadomił sobie, że spogląda na skrawek gronostajowego futra obszyty czerwonymi i żółtymi piórkami, zawieszony na szyi Skanawatiego. Wewnątrz znajdował się symbol duszy zwierzęcia będącego przewodnikiem woda. Zaczerwienił się, gdy Irokez zauważył jego spojrzenie, a potem odwrócił wzrok, kiedy Skanawati schował amulet za koszulę.

W tym momencie jego uwagę zwróciła biegnąca postać. Hadley, jedzący z Van Grutem, odrzucił kubek i skoczył w kierunku krzaków.

- Puście ją! – krzyknął.

Duncan zerwał się na równe nogi i pobiegł.

Dotarł do zarośli w samą porę, aby zobaczyć Hadleya rzucającego się na jednego z dwóch rosłych mężczyzn w mundurach wirginijskiej milicji. Drugi niósł Mokie, z kneblem w ustach i nogami związanymi sznurem.

Mężczyzna, którego powalił Hadley, przetoczył się po ziemi i zaraz się podniósł, zręcznie wyjmując z pochwy nóż. Zastygł, zmieszany, kiedy rozpoznał napastnika.

– Ona jest własnością Wirginii, panie! – powiedział błagalnie żołnierz. – Własnością pańskiego wuja.

- Postaw ją na ziemi – warknął Hadley.

Mokie zaczęła tłuc pięściami plecy napastnika.

Żołnierz z nożem przykucnął, jakby chciał zaatakować. Nagle jednak rozległ się brzęk łańcuchów i coś poruszyło się u jego boku. Nóż wypadł mu z ręki, a żołnierz nakrył się nogami, lądując na plecach. Skanawati tak mocno przycisnął mu stopą szyję, że nieszczęśnik zaczął się dusić.

Duncan powstrzymał Irokeza, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Dziewczyna jest pod ochroną prowincji Pensylwania – oznajmił milicjantowi trzymającemu Mokie.

- Tylko jej matka i niemowlę – zaprotestował żołnierz.

– Nie od czasu ataku na pobojowisku Braddocka. Była tam, kiedy zabrali ciało waszego kapitana. Ją również chcieli porwać. Wie o sprawach ważnych dla dochodzenia. Stała się świadkiem potrzebnym sędziemu pokoju.

Było to tylko częściowo kłamstwo, wystarczyło jednak, by mężczyzna się zawahał. Mokie szarpnęła się, ugryzła swojego porywacza przez knebel i zsunęła się z jego ramienia. W następnej chwili podniosła kamień i rąbnęła go nim w stopę. Żołnierz odskoczył, ściskając kurczowo but.

– Ty mała czarna suko! – zawył. Zdawał się zastanawiać, czy rzucić się na Irokeza, który przytrzymał jego towarzysza, kiedy u boku Duncana pojawiła się olbrzymia postać. Zobaczywszy McGregora, mężczyzna natychmiast odszedł, kulejąc, a jego przyjaciel pospiesznie podążył za nim, gdy tylko Skanawati podniósł stopę z jego gardła.

Mokie czuła tak głęboką ulgę, że zajęta rozwiązywaniem sznura nie zauważyła, że woreczek, który miała na szyi, wysunął się jej spod koszuli, a papier znajdujący się w środku prawie wypadł. Jednak Duncan to zobaczył i chwycił woreczek, zanim dziewczyna zdążyła zareagować.

– Nie! Nie możesz! – Mulatka była szybka i zaskakująco silna, ale Duncan był przygotowany na takie zawody w przeciąganiu liny. Przytrzymał woreczek jedną ręką, a ramię dziewczyny drugą, aż rzemyk zerwał się w jej ręce. Wybuchła płaczem. Duncan puścił ją i poszedł z powrotem do wozu zaprzęgowego, wiedząc, że Mokie pójdzie za nim.

Znaki na papierze były niezdarnie narysowane, ale czytelne. Skopiowano wszystkie geometryczne symbole z granicznych drzew, które widział. Obie strony kartki były zapisane. Za rzędami symboli skopiowanych z drzew znajdowała się prymitywna mapa szlaku pokazująca jego początkowy punkt i miejsca, w których przecinał Drogę Forbesa.

– Skąd to masz? – zapytał Duncan, kiedy Mokie wpadła w ramiona matki.

Na widok tego, co Duncan trzymał w ręku, w oczach Becki zapalił się gniewny błysk i wydawała się bliska wyrwania mu papieru.

– Sądzisz, że po prostu weszliśmy w dzicz i spodziewaliśmy się wolności? – zapytała z ogniem w oczach. – Wolność jest setki mil stąd. Potrzebujemy zapasów, aby podróżować tak daleko.

– Idziecie na północ, ponieważ Francuzi dają wam wolność i ziemię. Mówisz, że aktywnie pomagali w waszej ucieczce? – zapytał Duncan.

– Co jesteśmy winni twojemu królowi? – spytała z kolei Becca.

Te słowa go dotknęły z wielu powodów.

– Ludzie zostali zabici z powodu drzew granicznych, a te znaki wydają się tkwić w samym środku wyrządzonego tu zła. Może zginąć jeszcze wielu.

– Błagam, panie McCallum. – Brindle wyłonił się zza wozu zaprzęgowego. Słuchał wcześniej. – Nie siej więcej strachu wśród naszego oddziału. Mamy tylko jedną zbrodnię i jedną osobę, która już za nią odpowiedziała.

Duncan odwrócił się i spojrzął w twarz sędziemu pokoju.

– Proszę, nie daj się zwieść pozorom, panie. Do tej pory widziałem te znaki na dwóch drzewach i przy obu ludzie zostali przybici do pnia, a potem uśmierceni. Są powody, by wierzyć, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy w ten sam sposób zginęli inni.

Duncan zauważył, że Brindle nie był tym zaskoczony.

– Nie ma innych ciał. Nie ma innych skarg skierowanych do władz. Mamy tylko jedną zbrodnię – powtórzył. – Z pewnością to i tak wystarczy.

– Ile jeszcze jest drzew granicznych? – zapytał Duncan. – Piętnaście? Dwadzieścia? Kolonii Pensylwanii skończą się geodeci, zanim to się wyjaśni. Może pan uważać to za jedną zbrodnię, ale zabójstw jest wiele. – Ponownie zwrócił się do Becki: – Winston Burke pomógł wam uciec, zgadza się?

Brindle zeszywniał.

– Pomógł wam i być może dlatego zginął – naciskał Duncan.

Wydawało się, że kwakier zaprotestuje, ale tylko spojrzał na swojego szwagra Bythea i skrzywił się.

Ładna twarz Becki nadal miała buntowniczy wyraz. Nagle leżący w koszyku na wozie Penn poruszył się i zaczął gaworzyć, a jej twarz złagodniała. Los syna, córki i jej samej spoczywał w rękach mieszkańców Pensylwanii. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Shamokin – wyszeptała, mówiąc o dużej indiańskiej osadzie na brzegach Susquehanny w jej górnym biegu. – Mężczyzna w Shamokin obiecał nam zapasy, jeśli mu to przyniesiemy. Miał nam dać wskazówki, jak dotrzeć do miejsca, gdzie na francuskiej ziemi osiedlają się niewolnicy.

Objęła córkę, jakby to wyznanie naraziło je znowu na niebezpieczeństwo.

– A drzewa?

– Szlak miał nas zaprowadzić prosto do Shamokin. Po dotarciu do szerokiej Susquehanny miałyśmy powiedzieć Indianom w wiosce, że szukamy wielkiego niedźwiedzia, a oni przewieźliby nas na drugą stronę.

Duncan uświadomił sobie, że w woreczku Mokie było coś jeszcze. Dreszcz przebiegł w dół jego kręgosłupa, kiedy odwrócił woreczek i ze środka wypadł tryb.

– Tam to dostałyśmy – pospiesznie wyjaśniła Becca. – Nie rozumiwałyśmy tego. Jednak to nie było nasze. Nie śmiałyśmy tego wyrzucić.

– Tryby – wyszeptał z przerażeniem Hadley, patrząc na Duncana.

Wirginijczyk zrozumiał powód. Zabójcy powstrzymali Indian przed ściganiem ich, wykorzystując bryłki stopionego metalu. Ten tryb stanowił kolejne zabezpieczenie na wypadek, gdyby niewolnice zostały schwytane.

– Wieść o zabójstwach i trybach w ciałach już się rozniosła. Gdyby znaleźli takie kółko przy uciekających niewolnicach, pomyśleliby, że to one zabiły tych ludzi. Żadna nigdy nie zostałaby oddana żywa – rzekł ze zgrozą Hadley.

Zanim Duncan omówił swoje odkrycia z Conawago, ciężki wóz sędziego pokoju odjechał już prawie pół mili drogą, a karawana negocjatorów rozciągała się na ponad pół mili przed nim i za nim, z szeregi Indian idących po obu stronach jak

honorowa straż więźnia. Shamokin to największe skupisko plemion znad Susquehanny i z południowych wiosek Sześciu Plemion, rodzaj południowej stolicy imperium Irokezów, pospiesznie wyjaśnił Conawago. Są tam przedstawiciele co najmniej tuzina plemion oraz handlarze sprzedający towary Indianom, misjonarze, kupcy futer oraz pensylwański Fort Augusta, strzegący północnej granicy kolonii, czasem wspomagany przez milicję.

– Ta wiadomość o Shamokin znowu cię zmartwiła. Dlaczego? – rzekł Duncan, obserwując twarz przyjaciela.

Conawago wyraźnie nie miał ochoty odpowiadać.

– Powinniśmy iść, Duncanie. Wrócić do lasu. Tam jest nasze miejsce, tam czeka na mnie praca.

– Dlaczego? – naciskał Duncan.

– Ponieważ Shamokin jest pełne renegatów i wyjętych spod prawa.

I może być tam wielu, którzy sprzeciwiają się nowemu ziemskiemu traktatowi, obojętne, czy Wielka Rada chce go podpisać czy nie.

Duncan pobiegł w kierunku wozu Brindle'a, zamierzając ostrzec sędziego pokoju, ale zanim do niego dotarł, zdał sobie sprawę, że najpierw musi porozmawiać z kimś innym. Długi Wilk, wódz Irokezów żyjących na ziemiach Ohio, szedł obok zaprzęgu, podziwiając silne muły.

– Zeszłej nocy mówiłeś o francuskim szamanie – rzekł Duncan. – Gdzie go znajdzie?

– To człowiek mający wielką moc. Chodzi tam, gdzie chce.

– Gdybyś chciał go poszukać, gdzie byś zaczął?

– Nie próbuj przeszkadzać w pracy plemion – skarcił go głos za plecami.

Odwrócił się i spojrzał w pomarszczoną twarz Starego Pasa.

– Czy nie przybyłeś tutaj, ponieważ uważasz, że traktat jest ważny? – zapytał Duncan.

– Są więzy przyjaźni, która łączy nasze ludy od czasów ojca mojego ojca. My pilnujemy granic. Brytyjczycy dostarczają nam ubrania i towary.

Stary Pas rzucił przeciągłe, zmartwione spojrzenie w stronę wozu, na którym leżał skuty Skanawati.

– Co się stanie z tymi więzami przyjaźni, kiedy Brytyjczycy dojdą do wniosku, że Irokezi zabijają ich geodetów? Nie będzie kolejnego traktatu.

– Ale my nie zabijamy geodetów. Powiemy to Brytyjczykom.

– Jeśli umiesz płonący węgiel w twojej ręce i powiem ci, że to lód, czego posłuchasz, swojego ucha czy dłoni? Ktoś się stara, aby wyglądało na to, że Irokezi zabijają geodetów. Jeśli mu się uda, wróćcie do domu z pustymi rękami, Skanawati umrze, a więzy przyjaźni zostaną zerwane.

Dwaj wodzowie rozmawiali ze sobą cicho, wyraźnie zmartwieni.

– Shamokin – oświadczył w końcu Stary Pas. – Francuz, którego szukasz, jest w Shamokin.

Duncan spędził kolejne pół godziny na poszukiwaniu sędziego pokoju, który pojechał konno do przodu, aby przyspieszyć pochód. Kiedy wreszcie odnalazł dużą

karą klacz Brindle'a, prowadził ją jego bratanek. Felton wyjaśnił, że wuj dołączył do grupy woźniców próbujących podnieść ciężki wóz, aby zmienić złamane koło.

– Niemożliwe – odpowiedział sędzia pokoju, kiedy Duncan wyjaśnił mu swoją propozycję. – Nie przekażę ci zbiegłych niewolnic. I nie pozwolę, żebyś wpakował nas w jeszcze większe tarapaty. Traktat i tak już wisi na włosku, Wirginijczycy są gotowi wykraść Skanawatiego, by go powiesić, a Irokezi są gotowi ich zaatakować, jeśli spróbują to zrobić. Nie zamierzam słuchać pańskich rojeń o jakimś spisku.

– Tylko Mokie musiałyby iść z nami. Proszę pozwolić panu Hadleyowi nam towarzyszyć, tak aby mógł pan powiedzieć Wirginijczykom, że dziewczyna jest pod opieką członka rodziny Burke'ów.

– Z nami?

– Van Grut i Conawago pójdą ze mną.

– Pan Hadley jest oficjalnym kronikarzem przebiegu traktatu. I procesu.

– Przy takim tempie, w jakim jadą wozy, droga do Lancasteru zajmie wam prawie tydzień, a przygotowanie procesu kolejnych kilka dni. Proszę dać nam szybkie konie, a dotrzemy nad rzekę wcześniej i spotkamy się tam z wami, nie zaburzając pańskiego harmonogramu.

– Nie pozwolę ci zniszczyć mojego traktatu z powodu kilku plotek – odpowiedział stanowczo Brindle.

– Rząd tej kolonii nie może bagatelizować procesu. Pan wie, że musi on być dokładny, prawidłowy w każdym szczególe, jeśli chce pan wymierzyć sprawiedliwość i utrzymać dobre stosunki z Irokezami. Pozwalając nam pojechać, pokaże im pan, że Europejczycy starają się dotrzeć do sedna sprawy. Proszę nie zapominać, że mogą sporządzić dokładny naukowy raport.

Brindle spojrział na Duncana z nowym zainteresowaniem, ale nic nie powiedział.

– Oczywiście naukowiec jest zobowiązany do opowiedzenia całej historii – kontynuował Duncan – powiem o drugim morderstwie, przy innym drzewie granicznym, wykazując tę samą metodę. Powieszenie jednego człowieka za jeden dramatyczny czyn niczego nie rozwiąże. Irokezi będą rozgniewani, podobnie jak Wirginijczycy. Kiedy prawda dotrze do Filadelfii, przez całe lata nie znajdzie pan geodety gotowego postawić nogę w puszczy. A kiedy traktat zostanie zrujnowany, wieści dotrą do króla i Parlamentu, do właściciela – dodał, mówiąc o dziedzicu wspaniałego Williama Penna. – W pojedynek doprowadzi pan do największego pogorszenia stosunków z Irokezami od czasu, gdy przed ponad stu laty nawiązano z nimi więzy przyjaźni.

Po raz pierwszy, od kiedy Duncan znał kwakra, zobaczył gniew na jego twarzy. Posunął się za daleko.

– Jesteś bezczelny, McCallum! Zdziczały Szkot nie będzie dyktował polityki państwa! – Kiedy Brindle mierzył Duncana gniewnym wzrokiem, nadjechał Felton, prowadząc jego konia.

– Opór mieszkańców szkockich wyżyn został złamany w ciągu zaledwie kilku krótkich lat – odparował Duncan. – Pustkowiec Pensylwanii i zachodni las są znacznie

większe. Podbicie ich zajmie dwadzieścia, a może trzydzieści lat, jeśli Irokezi podejmą walkę. Zginą tysiące ludzi. Rozwój pańskiej prowincji pozostanie tylko marzeniem, jeśli zrazicie do siebie plemiona. Fort Pitt padnie w jeden dzień, jeśli postanowią go zaatakować.

– Największym zagrożeniem dla naszej konferencji w sprawie traktatu jest pan, McCallum. Powinienem wziąć pod uwagę ostrzeżenia majora Latchforda i wygnąć pana z naszej kompanii. – Brindle zamilkł na chwilę. – Zanim opuściliśmy Ligonier, major poinformował mnie, że wysłał do Filadelfii posłańca z pisemnym zapytaniem o pana.

Brindle dosiadł konia, ale zanim odjechał, gestem odprawił Feltona i odwrócił się do Duncana.

– Przez wiele tygodni pan Bythe prowadził dochodzenie w sprawach, które tak pana martwią. Potrafi tak zinterpretować fakty, że uspokoi to plemiona. Przekonają się, że my, z Filadelfii, jesteśmy ich prawdziwymi przyjaciółmi, a armia może przestać się fatygować.

– Armia? – zapytał niespokojnie Duncan.

– Nie możesz użyć młota kowalskiego na szerszenia, kiedy żądli.

– Słucham?

– Wojsko nie radzi sobie z podstępami, ze szpiegami. Bythe zna plemiona i naturę wojny. Nie przypadkiem został wysłany przez władze prowincji na placówkę w Forcie Pitt. Zbierał tam dowody działania francuskich sabotażystów. A jeśli puścisz o tym parę z ust, zakuję cię w łańcuchy.

– Francuzi mają teraz najlepszą sposobność, żeby zwrócić Irokezów przeciwko nam – zauważył Duncan.

– Jestem boleśnie świadomy tego, że jeśli stracimy narody irokeskie, rzeź będzie trwała dziesięciolecia. Są setki odważnych młodych rodzin na granicy. Wiele lat temu miałem nieszczęście przybyć do przygranicznej wioski tuż po ataku. Pozostała tam tylko jedna stara szlochająca kobieta, dwadzieścia innych osób zostało porąbanych na kawałki, w tym kilkoro moich krewnych. Powiedziała, że nie było żadnego ostrzeżenia, nawet pies nie zaszczekał. Powiedziała, że po prostu wyrosli jak spod ziemi nasłani przez samego diabła. – Brindle zamilkł, jakby wrócił myślami do tamtego okropnego dnia. Po chwili odwrócił się i powiedział niemal szeptem: – Bythe znalazł wśród nas francuskiego szpiega.

– W konwoju? – zapytał z niepokojem Duncan. – Skąd mógł wiedzieć?

– Ten człowiek to nicpoń, Delawar, który czasem obraca się wśród armii zwiadowców. Bythe zobaczył u niego strzelbę kapitana Burke'a z jego inicjałami na kolbie. Uciekł na północ, kiedy Bythe próbował go przycisnąć.

Duncan rozejrzał się, szukając krzepkiego kwakra.

– Panie sędzio, błagam. Proszę mi pozwolić porozmawiać z Bythe'em – namawiał. – Chętnie mu pomogę.

– Wyjechał przed świtem. Zeszłej nocy usiadł z twoim przyjacielem Van Grutem i przejrzał jego dziennik. Później poprosił o mały ostry nóż i powiedział, że wie, co trzeba teraz zrobić.

Było prawie południe i siedzieli we dwóch na skalnej półce, obserwując konwój zjeżdżający na dno rzecznej doliny, gdy nagle Conawago wskazał jeźdźca nadjeżdżającego galopem ze wschodu. Nawet z tej odległości widzieli szkarłatny mundur wojskowego kuriera. Wbrew oczekiwaniom żołnierz nie minął galopem czoła karawany, ale wstrzymał konia i powiedział coś do woźnicy pierwszego wozu.

– Chodźmy stąd, Duncanie – rzekł Indianin. – To nie będą dla nas miłe wiadomości.

Zamierzali zbadać drzewo graniczne oddalone nie więcej niż o milę, przy jednym z miejsc, gdzie Ścieżka Wojowników biegła blisko drogi. Conawago wskazał wcześniej jego przypuszczalne położenie, blisko rzeki, gdzie droga zawijała się ostrym łukiem poniżej wąskiego wodospadu.

Duncan jednak nadal obserwował. Poślaniec najwyraźniej szukał Brindle'a. Popatrzył na duży wóz Conestoga oraz jego eskortę złożoną z oddziału McGregora i indiańskich wojowników. Wirginijczycy, idący przed wozem, trzymali muszkiety przy piersi, jakby gotowi do działania. Poprzedniej nocy ktoś narobił szkód w ich obozie: porozcinał worki z mąką, podziurawił buty, nawrzucał ziemi na panewki muszkietów. Ich cierpliwość była na wyczerpaniu. Duncan miał złe przeczucia i znów czuł się bezsilny. Nikt nie chciał jego pomocy, nikt zdawał się nie wyczuwać wybuchu przemocy, który jego zdaniem z pewnością nastąpi.

– Mamy inne sprawy w lesie – przypomniał mu Conawago, jak gdyby teraz proponował, aby zupełnie opuścić konwój.

Duncan westchnął ze zniechęceniem, a potem wstał i spojrzał na północ. Po kilku krokach tą drogą mógł powrócić do życia, które nauczył się kochać, i przemierzać lasy ze spokojnym starym Indianinem mogącym go nauczyć jeszcze wielu rzeczy.

Nagle z dna doliny dobiegły przeraźliwe krzyki. Wszystkie wozy się zatrzymały. Ludzie z przodu i z tyłu biegli ku środkowi konwoju.

Conawago pociągnął Duncana za rękę, a potem zobaczył zdeterminowany wyraz twarzy towarzysza i skrzywił się.

– Dziesięć minut, nie więcej – rzekł i wskazał Duncanowi drogę w dół.

Znaleźli Brindle'a siedzącego na kłodzie przy strumieniu, który spływał ze skalnej ściany wodospadem o wysokości co najmniej trzech stóp. Wojskowy kurier dołączył do McGregora powstrzymującego gapiów, którzy gromadzili się z jakiegoś powodu.

Sędzia pokoju surowo skinął dłonią, w której trzymał kopertę.

– Mam rozkaz cię aresztować – oznajmił głuchym głosem, gdy Duncan się zbliżył.
– Jeden z czołowych obywateli Filadelfii podpisał ten nakaz.

– Filadelfii? – zapytał z niedowierzaniem Duncan.

– Nie znieważaj mnie, McCallum, udając, że nic nie wiesz o umowie wiążącej cię z lordem Ramseyem. – Brindle wydawał się dziwnie znużony, jak gdyby nie miał siły się

podnieść. – Za twoją głowę wyznaczono nagrodę w wysokości trzydziestu funtów. Błagam, powiedz, co mu zrobiłeś?

Zanim odpowiedział, Duncan zmierzył wzrokiem odległość od zarośli u podnóża urwiska, przysuwając się do nich i zerkając na żołnierzy.

– Sprawilem, że stracił swój majątek w Nowym Jorku. Sprawilem, że jego córka zerwała z nim kontakty.

– Ta nagroda jest wyższa od wszystkich, o jakich słyszałem, nawet za mordercę.

– Zraniłem dumę Ramseya – rzekł Duncan, wiedząc, że to było jego najcięższe przestępstwo.

Patrząc na Brindle'a, Duncan ujrzał w jego oczach coś nieoczekiwanego. Wydawało się, że to rozpacz. Uświadomił sobie, że kwakier usiłuje zapanować nad emocjami.

– Opatrzność ma jednak inne plany – rzekł powoli sędzia pokoju.

Duncan zawahał się, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– Słucham?

Nawet gdy Brindle wskazał środek wodospadu, Duncan nie zrozumiał, zrazu nie pojął dziwnie rytmicznego ruchu okrągłej skały pośrodku nurtu, zanim Van Grut, osłaniając oczy przed słońcem, nie jęknął z przestachu.

Duncan wszedł w cień i ponownie spojrzął w górę na dziwny kształt w wodospadzie. Był to Henry Bythe, szwagier sędziego pokoju. Jego ciało, wrzucone do strumienia powyżej, utknęło między skałami, tak że głowa wystawała z pędzącej wody. Zaklinowany, szarpany przez kaskadę wody, martwy kwakier kiwał do nich głową.

– Jedź – udręczonym głosem polecił Duncanowi sędzia pokoju. – Idź do Shamokin i przywieź mi twoją straszną prawdę.

Rozdział 7

Dziki ostępy Pensylwanii ciągnęły się całymi milami, aż długie szeregi wzgórz w końcu ustąpiły szerokiej Susquehannie, olbrzymiej rzece, która przez wieki pełniła w tym rejonie funkcję głównego szlaku łączącego północ z południem. Wiosłowali teraz bezustannie po jej płytkich wodach, mijając setki porośniętych drzewami wysepek, ich kanu mknęły jak strzały w serce irokeskiego narodu.

Podczas rzadkich chwil odpoczynku Duncan przyglądał się cichym, zdeterminowanym mężczyznom w przepaskach biodrowych, którzy im towarzyszyli. Kiedy pozostali spotkali Duncana przy drzewie granicznym powyżej wodospadu, gdzie studiował świeżo wyrte symbole, Van Grut wyjaśnił, że Conawago stanowczo odrzucił propozycję Brindle'a, który chciał im przydzielić eskortę pensylwańskiej milicji. Stary wódz Irokezów miał propozycję, która bardziej odpowiadała Conawago. Johantty i młodzi Onondagowie, którzy kiedyś napadli Duncana, a później zostali oczarowani jego grą na dudach, dołączyli do nich godzinę później i poprowadzili z powrotem na Drogę Forbesa przed konwojem, gdzie Felton czekał ze świeżymi końmi. Wydawało się, że młodzi Indianie jakby się postarzel, spoważnieli, a ich grubiańskie żarty zastąpiła czujna determinacja. Starszyzna porozmawiała z nimi i teraz wkroczyli na wojenną ścieżkę z niewidzialnym wrogiem.

– Igrasz ze śmiercią – ostrzegł Duncana bratanek Brindle'a, kiedy przekazywał mu konie. – Jeśli cenisz swój skalp, śpij z jednym okiem otwartym. Henry Bythe zginął, ponieważ nie pojmował głębi zdrady.

Duncan obserwował, jak Felton czujnie przygląda się ich eskorcie.

– Z pewnością nie podejrzewasz tych Irokezów. Bythe był przekonany, że za morderstwami stoją Francuzi.

– I zginął, ponieważ nie rozumiał, że granica pomiędzy nimi została zatarta. Irokezi znajdują się między nami a Francuzami. Więcej niż kilku wżeniło się we francuskie rodziny.

– Skanawati jest Irokezem – przypomniał Duncanowi Felton. Kwakier zamilkł i popatrzył na chmurę kurzu, którą wzbili odjeżdżający towarzysze Duncana. – Shamokin to gniazdo żmij. Co masz nadzieję tam znaleźć?

– Nie wiem. Zegar. Strzelba.

– Strzelba Burke'a? Przepadła, przyjacielu. Widziałem ją w rękach irokeskiego handlarza futrami zmierzającego w głąb lasów Ohio.

Duncan z nowym zainteresowaniem spojrział na kwakra.

– Nie wypytałeś go?

– Zobaczyłem u niego strzelbę, rzucającą się w oczy broń, ale nie wiedziałem, co widzę, dopóki nie usłyszałem, jak Wirginijczycy mówili o rzeźbionej kolbie. Do tej pory już zniknął.

– Co wodzowie powiedzieli na temat tego człowieka?

Felton skrzywił się.

– Dlaczego miałbym mówić o tym Irokezom?

– Ponieważ oni również byli mordowani. W podobny rytualny sposób.

– Bzdura. Jeśli tak ci mówią, to bawią się z tobą. Wszystko, co robią irokescy wodzowie, jest związane z negocjacjami, kolejnym ruchem na jakiejś wielkiej szachownicy. Ich prawdy są jak rtęć.

– Czy zamordowanie Bythe'a było ruchem na szachownicy?

– Pokój jego duszy, tak. Bythe zamierzał zdemaskować sympatyków Francuzów wśród plemion, aby wzmocnić sojusz. Przynależem uroczyć wujowi, że wyrównamy nasze rachunki, zanim ta wojna się skończy.

– Bythe'a zamordowano w prawie identyczny sposób jak Burke'a – zauważył Duncan. – Skanawati był w tym czasie w łańcuchach.

– Skanawati ma wspólników – odpowiedział Felton. – I kiedy jedno morderstwo może oznaczać osobistą waśń, więcej niż jedno z pewnością oznacza, że jest to część wojny. Irokezi spostrzegli, że jeśli Francuzi przegrają, nic już nie powstrzyma angielskiej ekspansji. Nie zastanawiałeś się, dlaczego wojsko nie znalazło żadnych śladów oddziału, o którego obecności zameldowałeś? – Kwakier nie czekał na odpowiedź Duncana. – Ponieważ wojskowi zwiadowcy to Indianie sprzymierzeni z Irokezami. Armia jest ślepa i jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Duncan rozważył słowa Feltona.

– Czy Bythe to rozumiał?

– Oczywiście. Właśnie dlatego byłem jego zaufanym człowiekiem przez wiele miesięcy.

Duncan dosiadł konia. Felton jechał przez chwilę obok niego.

– Podziwiam twoją odwagę, Szkocie. Przed tobą mordercy, a za tobą łowcy nagród.

– Lord Ramsey jest w Filadelfii – odparował Duncan.

– Jego pieniądze sięgają daleko poza granice miasta. Wieści w dziczy rozchodzą się, jakby miały skrzydła – rzekł Felton, okręcając konia. – Każdy woźnica w tym konwoju do jutra dowie się o nagrodzie. Będziesz miał najwyżej kilka dni, zanim wiadomość dotrze do Shamokin. Trzydzieści funtów to wystarczająco dużo, aby skusić nawet najbardziej świątobliwego chrześcijanina. Niezależnie od tego, czy schwytają cię dla nagrody, czy zabijają, aby powstrzymać cię przed ujawnieniem ich zdrady, przed końcem tygodnia będą walczyć o resztki twojej skóry.

Kwakier spał konia i odjechał. Duncan patrzył, jak Felton galopuje, zastanawiając się nad groźnym tonem jego głosu, a potem okręcił rumaka, aby dogonić przyjaciół. Nagle jednak znów zawrócił konia, aby popatrzeć w ślad za odjeżdżającym Feltonem. Bythe powiedział wcześniej sędziemu pokoju, że strzelba Burke'a została zabrana na północ przez renegata z jednego z małych plemion. Felton, zaufany człowiek Bythe'a,

który wydawał się namawiać Duncana do ucieczki, twierdził, że jakiś Irokez podążył z tą bronią na zachód. Któryś z nich kłamał: albo martwy urzędnik prowincji, albo nadgorliwy zwiadowca kwakrów.

Kiedy pokonali łańcuchy wzgórz, Duncan opanował strach przed łowcami nagród, odtwarzając w myślach morderstwa. Można było zakładać, że stanowiły one konsekwencję toczącej się wojny, ale instynkt mówił Duncanowi co innego. Bythe doszedł do wniosku, że zna winnych, i zapewnił rząd Pensylwanii, że zdemaskuje francuskich agentów stojących za morderstwami. Były to jednak pobożne życzenia, ponieważ takie rozwiązanie nie wzbudziłoby wrogich uczuć między Indianami a Anglikami. Po śmierci Burke'a Brindle i Bythe mieli nadzieję na rozwiązanie, które dowiodłoby, że Skanawati został zmanipulowany przez Francuzów, co pozwoliłoby uznać go za nieświadomą ofiarę ich wspólnego wroga. Jednak przy drzewie, gdzie Bythe został zaatakowany, nie było żadnych znaków francuskich napastników, jedynie ślady dwóch ludzi w mokasynach, i nikt poza konwojem nie mógł wiedzieć, że Bythe wybierze się do drzewa. Wysłannik kwakrów przypłacił życiem swoją błędną ocenę sytuacji.

Duncan zaczął się zastanawiać, dlaczego kwakier tak nagle postanowił udać się do drzewa granicznego. Przypomniawszy sobie swoją rozmowę z Brindle'em. Bythe zobaczył wcześniej dziennik Van Gruta, po czym powiedział Brindle'owi, że już wie, co należy teraz zrobić. Odkrył na tych stronach nowe informacje, które zmieniły jego poglądy w sprawie morderstw. Szyfr. To, co zobaczył na tych stronach, było szyfrem. Bythe rozpoznał szyfr, złamał go i udał się do drzewa z pożyczonym nożem, aby go użyć.

Nad plamą krwi na drzewie znajdowały się cztery symbole i jeden niekompletny, wszystkie przekreślone na ukos, oraz drugi i dłuższy zestaw ukończonych znaków, wyrytych wyżej. Na podstawie szkiców Van Gruta mieszkaniec Pensylwanii sądził, że odkrył sposób pozostawiania wiadomości dla zabójcy. Przy drzewie zastał jednak samego mordercę, który uznał, że Bythe, chociaż nie geodeta, wie wystarczająco dużo, aby stanowić zagrożenie.

W zakrwawionym drewnie był otwór trzy stopy nad ziemią. Bythe walczył, wyrывая gwóźdź, którym przybito mu rękę. Duncan poszedł po śladach krwi aż do strumienia powyżej wodospadu. Kwakier potknął się i wpadł do wody, gdzie zabójca go dobił i wrócił, aby na drzewie wyryć swą wiadomość.

Czterech towarzyszących im wojowników nadawało bezlitosne tempo. Nalegali, by wiosłować w nocy w jasnym świetle księżyca znajdującego się między pełnią a pierwszą lub trzecią kwadrą, kiedy inni spali na dnach dwóch dużych kanu. Duncan próbował do nich dołączyć i utrzymać rytm, ale w końcu się poddał i położył z powrotem na paczkach. To była jedna z najpiękniejszych nocy, jakie przeżył w ciągu ostatnich lat, i przypomniawszy mu nocne żeglowanie z dziadkiem na Hebrydach w jego chłopięcych latach. Dwa mocne kanu, ochoczo zaoferowane im w indiańskiej wiosce

przy zachodnim brzegu rzeki, były jak stworzenia nocy, woda śpiewała pod ich dziobami, a srebrne wstęgi kilwateru wciąż wskazywały północ.

Przez długą, uspokajającą chwilę Duncan nie myślał o strasznej tajemnicy będącej powodem ich podróży, lecz o głębszych sekretach skrytych w duszach tych silnych, milczących ludzi puszczy. Zdał sobie sprawę, że poezja w duszach Conawago i Skanawatiego, a nawet tych czterech indiańskich wojowników w kanu, jest czymś, co zawsze będzie umykać logice Europejczyków. Duncan mógł jedynie mieć nadzieję, że doświadczy tego w taki sposób, w jaki artysta postrzega nieprawdopodobny karmazyn i złoto zachodu słońca.

– Kiedy śpi, wódz trzyma przyciśniętą do serca skórę węża – rzekł niepewny głos nad jego uchem.

Odwrócił się i w świetle księżycy zobaczył twarz Mokie. Była przestraszona.

– Masz na myśli Skanawatiego.

Dziewczyna przytaknęła.

– Mama przeraziła się prawie na śmierć, kiedy zobaczyła to pierwszy raz.

Duncan skinął na dziewczynę, aby podeszła bliżej.

– Indianie uważają, że ptaki noszą wiadomości do bogów – wyjaśnił. – Jednak węże są szczególnie święte. Węże przynoszą sny, a w snach, jak mówią plemiona, odwiedza się świat duchów.

– Chcesz powiedzieć, że on rozmawia z duchami? – W głosie dziewczyny było teraz więcej ciekawości niż strachu.

Jej słowa sprawiły, że Duncan zamilkł. Prawie zapomniał o tym, co powiedział Skanawati pierwszego dnia, kiedy go spotkali. Wyruszył wcześniej Ścieżką Wojowników, aby rozmawiać z duchami, i nie tylko z nimi porozmawiać, ale też dowiedzieć się, jak Irokezi mają zakończyć niewolę u angielskiego króla.

– Tamtej nocy przemawiałem do duchów moimi dudami – rzekł Duncan.

Dziewczyna ponownie przytaknęła, ziewając.

– Sądzę, że to one sprowadziły mnie z powrotem z tego ciemnego miejsca. – Wtuliła się w ramię Duncana, aby zasnąć. – Mam nadzieję, że wezmą go tam, gdzie powinien być.

Ostatnie słowa dziewczyny dziwnie zaniepokoiły Duncana. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że prawda, której tak rozpaczliwie szuka, istotnie jest ściśle związana ze Skanawatim i jego duchami.

Kiedy ponownie oderwał wzrok od nieba, zobaczył, że Conawago nie śpi i spogląda na rzekę za kanu. Podczas tej podróży Duncan niejedną raz widział go oglądającego się przez ramię.

– Jesteśmy śledzeni? – zapytał Indianina.

– Czuję to, tak. Jednak to ruchliwa rzeka. Mogę się mylić.

– Zabójca uderzał jedynie na Ścieżce Wojowników – przypomniał Duncan przyjacielowi.

– Zabójca dokonuje rytualnych morderstw na szlaku. Poza szlakiem może nie być tak drobiazgowy – odparował Conawago.

Zanim następnego ranka wyszli na brzeg poniżej Shamokin, Mokie powtórzyła, nieproszona przez Duncana, co ona i matka miały robić, aby dotrzeć żywe do indiańskiego miasta. Kazano im odnaleźć szlak, który biegł nad południowym skrajem miasta, i pójść do fortu, który wcale nie był fortem, a tam ponownie zapytać o wielkiego niedźwiedzia.

– Czy to kapitan Burke dał wam te instrukcje? – zapytał.

– Były na kawałku papieru od kapitana Burke’a – potwierdziła dziewczyna. – Kazał nam go później spalić. Kapitan Burke oraz pan Hadley nauczyli mamę i mnie pisać i czytać. Kapitan Burke powiedział, że dopilnuje, abyśmy zawsze miały pracę w domu, a nie pod gołym niebem.

– W takim razie dlaczego zmienił zdanie? – zapytał Duncan. – Co spowodowało, że pomógł wam uciec.

– Nie wiem. Nie mogliśmy tego zrozumieć. Po prostu zabrał nas do letniej kuchni i powiedział, że zasługujemy na coś lepszego, że ma sposób, aby nam pomóc, pomóc wszystkim. Mama kazała mu przysiąc na Biblię, że nas nie oszukuje.

– Pomóc wszystkim? Co miał na myśli?

Jednak dziewczynka tylko wzruszyła ramionami.

Kiedy Van Grut i Hadley wysiedli, Duncan stanął przy brzegu i posepnie spoglądał na osadę. Jej istnienie zdradzały liczne słupy dymu wznoszące się nad niskim rzędem wzgórz widniejących dalej. Głośno powtórzył po angielsku instrukcje, które otrzymała Mokie, aby wszyscy je usłyszeli. Te słowa rozbawiły Johantty ego, który przetłumaczył je swoim towarzyszom, wywołując głośny śmiech.

– Znasz tego niedźwiedzia? – zapytał Duncan.

Johantty podniósł rękę i wskazał wzgórze w oddali.

– Legowisko tego niedźwiedzia znajduje się na grani – oznajmił młody Irokez i wyczerpany ułożył się do snu na mchu.

Duncan bywał wcześniej z Conawago w irokeskich wioskach i w Shamokin spodziewał się czegoś podobnego, tylko na większą skalę: długich domów z kory wśród poletek, kabaczków i dyń. Jednak to, co zobaczył, kiedy wspięli się na grzbiet, nie było zbiorowiskiem długich domów. Miasto wydawało się składać z części zapożyczonych od kilku różnych społeczności, przypadkowo stłoczonych razem. Nad rzeką, na długiej, zagiętej nizinie przy skrzyżowaniu jej północnej i zachodniej odnogi, istotnie stało kilka długich domów, chociaż połowa wydawała się opuszczona. Tu i tam wyrastały skupiska chat z bali, połączone błotnistymi drózkami i przeważnie otoczone prymitywnymi płotami z drągów, niepozwalającymi uciec krowom. Tu i ówdzie wśród żyznych pól na dnie doliny stały lepiej wyglądające chaty, a nawet kilka okazałych domów z kamienia. Mały kamienny kościół wznosił się przy cmentarzu. Z dala od tego wszystkiego, tuż powyżej rozwidlenia, widniała palisada fortu obsadzonego przez milicję.

Zadźwierał młot w kuźni nad rzeką, gdzie kilku mężczyzn pracowało nad nowym podobnym do barki statkiem, spoczywającym na kozłach. Z jednego z wielkich

transportowych kanu, jakie kursowały po rzece, wytaczano beczułki. Duncan obserwował rozładunek i zobaczył solidną chatę, przy której stał już stos takich beczulek. Tawerna. Dwie znajome postacie wyszły zza drzew i ruszyły w kierunku kościoła. Van Grut i Hadley zgodzili się rozejrzeć po mieście, gdy Duncan i Conawago odprowadzali Mokie na jej tajemnicze spotkanie.

Kiedy po raz pierwszy spojrzął w dół na ogrodzony teren pod gąszczem wawrzynów, Duncan pomyślał, że znalazł kolejny wojskowy fort, a potem zobaczył, że budowla jest stara i zrujnowana, wzniesiona nie dla obrony rozwidleń rzeki, ale dla widoku na miasto. Kiedy się zbliżył, stwierdził, że nie wszystko się tam wali. Główna brama została niedawno odnowiona, a najważniejszy budynek wyglądał na powstały przez dobudowanie dużej sali do starszej konstrukcji przypominającej kościół. Duncan podejrzewał, że przed wieloma laty zbudowano tutaj misję. Teraz panował tam ożywiony ruch: mężczyźni w kamizelkach z kozłej skóry i przepaskach biodrowych liczyli i wiązali futra w paczki, inni obsługiwali jedną z ciężkich, skręcanych śrubami pras, aby przygotować stosy skór do transportu. Kilka indiańskich kobiet zawieszało ryby na długich stojakach do suszenia. Na ścianie nowej przybudówki Duncan zobaczył wielką niedźwiedzią skórę. Walcząc ze złymi przecuciami i żałując, że schodząc na brzeg, zostawił broń w kanu, Duncan odwrócił się, aby powiedzieć Mokie, żeby została z Conawago, kiedy on dokładniej będzie badał teren. Jednak dziewczyna znikła. Rozejrzał się gorączkowo i ujrzał ją wbiegającą przez otwartą bramę i truchającego za nią Conawago.

Kiedy chwilę później wpadł za bramę, o mało nie zderzył się z przyjacielem. Conawago zastygł, wpatrując się w ogromne urządzenie zrobione z drewna, skóry i kości. Obracało się, wprawiając w ruch kilku Indian, którzy siedzieli na krótkich deskach zawieszonych na linach. Duncan z niedowierzaniem spoglądał na tę maszynę, którą skonstruowano z ciężkiego koła wozu, zamocowanego poziomo na grubym słupie pełniącym rolę osi. Do szprych koła rzemieniami przywiązano drągi, na których wisiały ławeczki huśtawek. Końce drągów zdobiły jelenie rogi i małe czaszki. Niewiarygodne, ale była to karuzela, a dokładnie indiańska karuzela. Troje indiańskich dzieci huśtało się z okrzykami radości, kiedy stary Indianin wprawiał maszynę w ruch, pociągając za linę zwisającą z jednego z dobudowanych drągów. Na pozostałych siedzeniach siedziały dwie nastoletnie dziewczynki i kobieta, nie wydając żadnych dźwięków, z oczyma pełnymi zdumienia.

Ich zauroczenie przerwał pisk dobiegający ze środka wielkiego budynku. Duncan i Conawago rzucili się tam, mijając śpiącego Indianina opartego o beczułkę obok drzwi, który obudziwszy się, wydał okrzyk zdziwienia i niezdecydowanego protestu. Gdy wpadli do dużej izby, Conawago ścisnął w rękę pałkę, a Duncan tomahawk.

Usłyszeli perlisty śmiech. Duncan dopiero po chwili uświadomił sobie, że śmieje się Mokie, z rozbawieniem pokazująca ich palcem, jakby byli aktorami występującymi na scenie. Siedziała przy długim stole, jedząc chleb z miodem z drewnianego talerza, obok mężczyzny z wielką czarną brodą. Ten, oparłszy jedną nogę na ławie obok dziewczyny, stroił skrzypce.

Nieznajomy zaczął grać skoczną melodię i nie przestając, uklonił się na powitanie. Pochylił się nad Mokie, grając z ogromną szybkością i wprawą, kończąc z rozmachem i serdecznym śmiechem, który wstrząsnął jego dobrze odżywioną postacią. Skinął głową nowym gościom.

– Panienska czuje pierwszy smak wolności. To z pewnością należy uczcić.

– Jak dla mnie ta uczta składa się tylko z chleba i miodu – zauważył Duncan.

– Gospodarze plantacji są daleko stąd – odpowiedział mężczyzna, poważniejąc. – Góry są wysokie.

– Jesteś Francuzem – rzekł Duncan, od razu zażenowany tą niepotrzebną uwagą, ale nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

– Nie można zaprzeczyć etykietce nadawanej przy urodzeniu.

Mężczyzna przysunął Mokie słoik z miodem.

Conawago przeszedł wokół długiego stołu, przypatrując się mężczyźnie równie nieufnie jak Duncan. Zatrzymał się przy jedynym wytwornym meblu w izbie, stoliczku z wiśniowego drewna, na którym stał krzyżyk i leżała Biblia. Czubkiem palca narysował dwie litery w kurzu na stole. S i J.

Uśmiech Francuza przyciągnął go na chwilę. Podeszedł do stołu i zmasał znaki szerokim ruchem ręki.

– Z tej etykietki zdołałem zrezygnować.

– Dla zysków kupca – odparował Conawago.

Duncan popatrywał na jednego i drugiego, nie pojmując, co się między nimi dzieje.

– Przybyłem do tej dziczy, aby pomóc ostatnim niezepsutym ludziom na ziemi.

– Wierzę, że doktryna mówi, że wszyscy jesteśmy zepsuci – rzekł Conawago.

– Ta doktryna została obmyślona w Europie przez artretycznych starców, którzy nigdy nie chodzili po ogrodach Edenu. – Mężczyzna spoważniał, prawie sposepniał. – St. Louis? – zwrócił się do Conawago. – Swegatchy?

Conawago nie odpowiedział.

Duncan podeszedł do ławki i stanął za Mokie. Dziewczyna popchnęła w jego stronę piętękę chleba.

– Więc opuściłeś Towarzystwo Jezusowe w poszukiwaniu Adama i Ewy? – zapytał jego przyjaciel.

Jezuita. Wreszcie Duncan zrozumiał. Francuz jest jezuickim księdzem i pyta o dwie jezuickie misje, które działały na północnych ziemiach Irokezów. Pomimo że Conawago nigdy całkowicie nie przyjął ich wiary, przez większość swojej młodości znajdował się pod opieką jezuitów w Kanadzie i Europie i miał dla wielu z nich ogromny szacunek.

Francuz położył skrzypce na stole i obszedł wkoło starego Indianina, obserwując go uważnie.

– Nie przybyłem tu szukać Adama i Ewy, lecz dopilnować, by Eden stał się fortecą, jakiej potrzebują, aby stawić opór atakom z zewnątrz.

– Zatem misja pod inną nazwą – odpowiedział Conawago.

– Mam na imię Rideaux, starcze. Jezuicka szata została zdarta z moich pleców, zanim zdążyłem ją zrzucić. I mam zwyczaj przyjmować krytykę tylko od przyjaciół, nie intruzów.

Conawago posłał mu nikły, gorzki uśmiech.

– Ratujesz Indian, budując karuzele i prasy na futra? – wtrącił się Duncan. – Twoja misja robi wrażenie zdecydowanie komercyjnej. – Przyjrzał się gęstej brodzie mężczyzny zakrywającej większość jego twarzy. – Jesteś wielkim niedźwiedziem?

Oczy Rideaux rozbliły.

– Kim jesteście? – zapytał, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – Nikt was nie zapraszał pod mój dach.

– Tak jak ty jesteśmy poszukiwaczami prawdy – odparł Duncan. – Wierzącymi w nowe początki. Eskortą młodej niewolnicy.

– Już nie niewolnicy. Prawa własności Wirginii nie sięgają naszego kraju.

– Waszego kraju? – zapytał Duncan.

– Irokezji.

– Sądziłem, że jesteśmy w prowincji Pensylwanii.

– Zostałeś źle poinformowany. Nigdy nie zrzeczono się prawnie tej ziemi. Formalnie rzecz biorąc, granica kolonii przebiega kilka mil na południe. Nie uznajemy tu władzy żadnego europejskiego monarchy.

– My?

Rideaux nie odpowiedział, ale spojrział za Duncana. Duncan powoli się odwrócił i zobaczył kilkunastu Indian, mężczyzn i kobiet, patrzących z ciemności na końcu izby.

– Wasze sprawy tutaj są zakończone – wymamrotał Francuz. – Dziękujemy za dostarczenie dziewczyny.

Mokie wzięła Duncana za rękę.

– Obiecano nam zapasy – rzekła. – W Shamokin miały być zapasy.

– Nie tutaj, panienko. W mieście. Chata z bali z dwoma piętrami. Zabiorę cię tam.

Mokie pokręciła głową.

– Jestem z nimi. Jeśli powiedzą, że muszę wracać do Wirginijczyków, zrobię to – powiedziała z przekonaniem, które bardzo zdumiało Duncana.

Rideaux spochmurniał. Zdawał się przekazywać coś spojrzeniem Indianom. Duncan wstał i stanął obok Conawago. Cisnące mu się na usta pytania nagle wydały się znacznie mniej ważne od znalezienia bezpiecznego wyjścia z tego dziwnego miejsca. Kilku mężczyzn, krzepkich wojowników, zaczęło do nich podchodzić, jeden z kawałkiem sznura, drugi z żelaznym prętem, inny z toporem.

– Skanawati! – wypaliła nagle Mokie.

Zostawiła Duncana i stanęła między nim a Indianami. Wymówiła jeszcze raz to imię jak głośny rozkaz. Tamci się zatrzymali.

Rideaux spoglądał na to oniemiały.

– Co powiedziałaś, *ma petite*?

– Przybyliśmy od wielkiego wodza Irokezów! – powiedziała głośno i pospiesznie, jakby chcąc wyznać wszystko, zanim opuści ją odwaga. – Pan McCallum i pan

Conawago próbują uratować go przed powieszeniem w Pensylwanii! Pan Conawago miał umrzeć, gdy mój pan został przybity do drzewa, a pan Skanawati zajął jego miejsce, i Huroni nas zaatakowali na polu pełnym czaszek, aby zabrać stare śmierdzące ciało, i próbowali zabrać mój skalp, ale przegoniłam ich kamieniami!

Oczy Rideaux zaokrągliły się ze zdumienia, rzucił kilka słów Indianom na końcu izby. Dwaj mężczyźni wybiegli na zewnątrz. Do gości podeszła kobieta z ciężkim glinianym dzbanem i kilkoma drewnianymi kubkami. Groźny błysk w oczach Francuza znikł, a na jego usta powrócił nikły uśmiech, gdy wskazał ręką stół.

– Myślę, że powinniśmy się napić jabłecznika – oświadczył.

Duncan już wiedział, że opowiadając jakąś historię, Indianie nigdy nie robią tego w chronologiczny sposób, jak Europejczycy. Teraz się przekonał, że bardzo podobnie słuchają. Zaczął mówić o śmierci wirginijskiego oficera, a jeden z Indian chciał posłuchać o polu pełnym czaszek. Opisał aresztowanie Conawago i proces w Ligonier, a oni przerywali mu pytaniami o to, czy Irokezi byli zwiadowcami w garnizonie. Kiedy Mokie wspomniała o narodzinach Penna w noc poprzedzającą przyznanie się wodza, jakaś Indianka zaczęła się dopytywać o gwiazdy i księżyc tamtej nocy, na co Conawago z aprobatą skinął głową. Wreszcie, po prawie godzinie, dramatyczne i dziwne wydarzenia minionego tygodnia zostały wyjawione i opowiedziane siedzącym przy stole, gdzie w dalszym ciągu były wnikliwie rozbierane i przetrawiane.

– Czy Skanawati był pomalowany, kiedy się przyznawał? – zapytał jeden z mężczyzn.

Twierdząca odpowiedź Duncana wywołała gwar pospiesznych, zaniepokojonych szeptów wśród Indian.

– Te drzewa, o których mówisz – zagadnęła sędziwa kobieta. – Wszystkie znajdują się na starej Ścieżce Wojowników?

Conawago powoli przytaknął.

– Próbowali już wcześniej – odpowiedziała.

– Czego konkretnie próbowali? – Chciał wiedzieć Duncan.

– Wirginijczycy próbowali zabrać naszą ziemię. W 1744. Przybyli na naradę w sprawie traktatu i zabrali od kilku Indian Oneida kawałek papieru, który mówił, że są właścicielami całego Ohio.

– Co się stało?

– Wszyscy kłamali – odpowiedziała kobieta.

– Sześć Plemion zgodziło się sprzedać prawa do doliny o nazwie Shenandoah – wyjaśnił Rideaux. – Później Wirginijczycy powiedzieli, że sformułowanie obejmowało wszystkie ziemie na zachodzie.

Conawago i Duncan wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wydawało się, że wódz Irokezów miał aż za wiele powodów, żeby zabić mężczyznę z Shenandoah.

– Sześć Plemion nie miało prawa tego robić – wtrąciła kobieta. – To zawsze był kraj Szaunisów, nie Irokezów.

Jej słowa uciszyły wszystkie rozmowy. Jeden z mężczyzn z włosami wygolonymi na modłę Mohawków warknął na nią z irytacją. Po raz pierwszy Duncan uświadomił sobie, że wśród zebranych są członkowie kilku różnych plemion.

– Jest bezpieczny? – zapytał w końcu Rideaux.

– Skanawati? Teraz jest chroniony w konwoju zmierzającym na rozmowy traktatowe w Lancasterze. Potem jednak odbędzie się proces.

– Powiedziałeś, że się przyznał.

– Nawet gdyby był zabójcą, mogą istnieć okoliczności pozwalające uniknąć powieszenia.

– Mówisz, jakbyś mu nie wierzył. Jest wodzem Wielkiej Rady.

– Zabójstwa nadal trwają. Przy południowym drzewie granicznym znaleźliśmy dwoje ludzi zabitych zeszłego lata. Czy Skanawati był nad Monongahelą zeszłego lata?

Rideaux przetrawił słowa Duncana.

– Pozostawał blisko swojej rodzinnej wioski – wyjął cicho. – Panowała tam choroba, wielki smutek. Nie rozumiesz jednak Wirginijczyków – dodał po chwili Francuz. – Dla ich przywódców świat dzieli się na tych, którzy mają ziemię, i tych, którzy są w taki czy inny sposób niewolnikami. Znają zwyczaje plemion.

– Słucham?

– W ich mniemaniu taki potężny wódz jak Skanawati jest doskonałym zabójcą.

– Jednak powieszenie go tylko wzburzy plemiona – odparował Duncan. – Nie będą mogli mieć nadziei na żadną nową ziemię ani żaden nowy traktat.

– Wprost przeciwnie, Skanawatiemu nigdy nie pozwoli się umrzeć – rzekł Rideaux. – Słyszałeś o kondolencjach? Kiedy ktoś z plemienia zostaje zabity, rodzina zabójcy ma prawo zaproponować zapłatę. Koce. Krzemienie. Kosze kukurydzy. Gdy rodzina ofiary przyjmie dary, morderstwo zostaje wybaczone, a harmonia przywrócona.

– Wirginijczycy nie potrzebują koców ani kukurydzy.

Francuz wzniósł oczy, jakby się modlił o cierpliwość potrzebną do rozmowy z tym tępym Szkotem.

– Dla Wirginii ten traktat ma tylko uzasadnić ich roszczenia do zachodnich ziem. Irokezi zaprotestowali, że nowa umowa nie jest ważna, bo została podpisana przez drugorzędnych wodzów w jakiejś tawernie. Jednak po samym Starym Pasie Skanawati jest najbardziej szanowanym Wodzem z Sześciu Plemion. Zrobią prawie wszystko, aby uratować mu życie.

– Ziemia – wyszeptał Duncan. – Jego życie ma być stawką w grze o ziemię?

– Według tego, co mi powiedziałeś, przez kilka ostatnich miesięcy życie wielu ludzi było stawką w tej grze. A teraz Skanawati stał się najważniejszą kartą przetargową w negocjacjach – zakończył Rideaux. Były jezuita zdawał się wpadać w dziwnie smutny nastrój. – Przybyliście z misją z góry skazaną na niepowodzenie. Te morderstwa nie są ważne. Tu chodzi o ziemię.

– Skanawati nie wymieniłby indiańskich ziem za swoją wolność.

– Może zrobi to za życie swoje i swoich pobratymców.

Duncan obserwował Francuza.

– Powiedziałaś, że panował tam wielki smutek.

– Trzydzieści mil w górę zachodniej odnogi rzeki. Ich zeszłoroczne cierpienia miały biblijne rozmiary. Choroba. Niesnaski. Nieurodzaj. Powódź. Pod dziesięcioma Indianami załamał się lód, gdy w zimie przechodzili przez rzekę. Porwał ich prąd. Jeśli Irokezi rozpoczną negocjacje, jego życie zostanie ocalone, a wtedy traktat zostanie uratowany i Skanawati otrzyma zapasy, aby ocalić swój lud.

– Tylko że on miał na sobie farbę – zauważyła Szauniska.

Duncan odwrócił się i popatrzył na nią pytająco.

– Barwy wojenne – powiedziała krótko.

Duncan przez długą chwilę wpatrywał się w kubek. Był pewny, że nie usłyszał całej prawdy, jednak większość tego, co powiedział były jezuita i jego wierni, wydawała się prawdziwa. Z roztargnieniem spojrzął w stronę paleniska. Mokie głaskała jednego z wielkich czarnych psów, które tam spały. Conawago zniknął.

Wstał od stołu, zaniepokojony o przyjaciela, i zrobił krok w kierunku drzwi. Nagle Mokie krzyknęła.

Przerażona dziewczyna wskoczyła na stojącą w pobliżu beczkę, gdy jeden z psów zaczął szczekać i skakać na nią. Rideaux zaklął, a dwaj Indianie rzucili się do drugiego zwierzęcia, które rycząc z przerażenia, pobiegło w stronę drzwi. To nie był pies, ale młody niedźwiedź.

– Jest bardzo niespokojny, odkąd zmarła jego matka – rzekł Francuz, wzruszając ramionami, a potem wybiegł na zewnątrz za zwierzęciem.

Krzyki Mokie szybko ucichły, gdy Duncan zdjął ją z beczki i postawił na parapecie okna, skąd mogła oglądać pościg za niedźwiedziem. Zwierzę biegło między stosami futer, przewracając beczułki, rozrzucając sterty skór, a potem stojak z suszonymi rybami, gdy ścigający ślizgali się na miękkiej, mokrej ziemi. Łkanie Mokie przeszło w cichy chichot. Szybko uwolniła się z objęć Duncana i wybiegła na zewnątrz, aby dołączyć do zamieszania.

Duncan już miał za nią podążyć, gdy zdał sobie sprawę, że tylko on pozostał w pomieszczeniu. Szybko podszedł do drzwi na jego końcu i znalazł za nimi kuchnię z wiszącymi na belkach suszonymi jabłkami i ćwiartkami dziczyzny oraz stołem zastawionym koszami z cebulą i młodymi pędami paproci. W spiżarni na podłodze stały kosze ze zbożem, a spod sufitu zwisały liście tytoniu.

Trzecie pomieszczenie było pogrążone w ciemności. Duncan wszedł do środka, otwierając drzwi i wpuszczając wystarczająco dużo światła, żeby dostrzec trzy ławy i stół. Dalej zalegał gęsty mrok, który zdawał się skrywać ogromną przestrzeń. Duncan zrobił kolejny ostrożny krok i przywarł plecami do ściany, a jego serce nagle zaczęło bić mocniej. Coś żywego czało się w ciemności za stołem. Nie mógł tego dostrzec, ale czuł jego obecność, a nawet – nie do wiary – słyszał cichy odgłos podobny do bicia serca.

Przyciskając się do ściany, Duncan bokiem dotarł do drzwi, a później prześlizgnął się przez nie i zatrzasnął je za sobą. Zamknął na moment oczy, opanowując strach, a potem zapalił świeczkę i ponownie otworzył drzwi.

Płomień oświetlił krąg o średnicy trochę większej niż jard. Duncan przeszedł wzdłuż ławek, obserwując staranne rysunki zwierząt na ścianach, po czym podniósł z ławki papier z wyrazami zapisanymi w trzech kolumnach. *Księżyc, lunę, ehnita*, napisano w pierwszym rzędzie. *Mężczyzna, homme, ronkwe*, oraz *woda, eau, ohneka*, w dwóch następnych. Ktoś nie tylko uczył tu angielskiego i francuskiego, ale również opracował system zapisywania irokeskiego języka.

Stół, co teraz zobaczył, był raczej warsztatem, ze strużynami, nożami do krojenia mięsa, pilnikami, sztabkami ołowiu używanego do wyrobu kul oraz kilkoma zatłuszczonymi szmatami.

Przystanął, wpatrując się w ciemność. Serce biło mu coraz mocniej. Wiedząc, że grupka z zewnątrz może wrócić w każdej chwili, zacisnął zęby i ruszył naprzód.

Po dwóch krokach sapnął z przerażenia, prawie upuścił świecę i uciekłby, gdyby nie sparaliżował go widok stojącego przed nim potwora. Serce podskoczyło mu do gardła, a nogi miał jak z ołowiu.

Był to jakiś pradawny leśny zwierz, niedźwiedź i coś więcej niż niedźwiedź, czarny i szczerzący kły stwór z koszmarów, otwierający i zamykający paszczę, jakby szykował się do skonsumowania Duncana, wodzący tu i tam żółtymi ślepiami, jakby wypatrywał jeszcze jakiegoś nadchodzącego świeżego mięsa.

Wreszcie ciekawość Duncana zaczęła brać górę nad strachem. Ślepia poruszały się bez ustanku, a szczęki zamykały w rytm ich ruchów i zgodnie z biciem serca. Duncan, podchodząc, podniósł wyżej świecę, widząc teraz, że skórę niedźwiedzia naciągnięto na ramę, która przesadnie powiększała bark i utrzymywała przednie łapy wyciągnięte jak do objęcia. Był to niedźwiedź, a zarazem nie niedźwiedź. Na jego ramieniu udrapowano inne skóry z nienaruszonymi łbami: rudego lisa, norki i kuny. Tu i tam do przednich łap przyszyto pióra drapieżnych ptaków. Ostrożnie obszedł stwora, odkrywając, że cały tył jest odsłonięty i ukazuje skomplikowany szkielet z drewnianych części połączonych paskami ścięgien i nadających stworowi kształt. Serce było pudełkiem trybów mechanizmu zegarowego, z którego zwisało drewniane wahadło o trzonie przechodzącym przez skrzynkę do głowy, tak że każdy jego ruch nie tylko poruszał czarno-żółtymi dyskami umieszczonymi w oczodołach, ale także przesuwiał dźwignię otwierającą i zamykającą paszczę. Od tyłu wyraźnie było słyhać rytmiczne tykanie mechanizmu zegarowego. Futro tłumilo dźwięk, zmieniając go w bicie serca, które wcześniej słyssał.

Wrócił do stołu roboczego, odłożył świeczkę i podniósł szmaty. Pod spodem znajdował się drugi mechanizm, w znacznej mierze rozmontowany, ze stosikiem trybów, przekładni i śrub leżących obok. Z dreszczem emocji wywołanym tym odkryciem podniósł jeden z trybów, o identycznej wielkości i kształcie jak ten największy, jaki znalazł na miejscach morderstw. Kiedy obrócił go w palcach, zaskrzypiała podłoga. Za późno wyczuł ruch i odór zwierzęcego tłuszczu, którym

indiańscy wojownicy smarowali ciała. Kiedy się odwracał, pałka spadła na jego czaszkę i Duncan osunął się na podłogę.

Rozdział 8

Wstrząs może uszkodzić mózg, czasem wywołać paraliż wszystkich kończyn, recytował głos w oddali. Pęknięcie kości czaszki powoduje krwawienie wewnętrzne i powolną śmierć oraz nasilające się objawy choroby umysłowej. Duncan unosił się w jakimś odległym miejscu, gdzie głosy wykładowców zdawały się dochodzić przez długą rurę. Miał wrażenie, że jest niesiony, ale czuł dziwną niechęć do reagowania, chcąc po prostu trwać w ciepłym, przyjemnym letargu tego ciemnego miejsca. Nie odzyskał przytomności, on tylko śnił, że jest przytomny. W tym śnie dobiegł go dźwięk wody pluskającej na kamieniach, moczącej mu nogi. Został upuszczony na coś twardego i jakiś sterczący przedmiot tak boleśnie wbijał mu się w brzuch, że wydawał się budzić nowy głos krzyczący na niego, żeby się obudził.

– Duncan! – rozległ się rozpaczliwy, żaloszny okrzyk, a po nim kolejne pluski. – Musisz do nas wrócić!

Zamrugał i otworzył oczy. Odpływając, Duncan sennie patrzył, jak Conawago baraszkuje w sadzawce.

Podmuch wiatru cisnął mu w twarz zimną wodę. Znowu zamrugał i zobaczył rzekę oraz kłodę, która szybko wciągała go w zdradliwy główny nurt. Duncan potrząsnął głową i zobaczył Conawago walczącego z prądem i próbującego go ocalić, a potem zobaczył, jak jego przyjaciel znika pod wodą. Nagle był boleśnie przytomny i ujrzał przed sobą śmierć. Stoczył się z kłody i zanurkował.

Conawago nigdy nie nauczył się pływać. Powiedział Duncanowi, że jego duchowy opiekun był stworzeniem lądowym, jakby to go usprawiedliwiało. Płynąc, Duncan nie widział w przezroczystej wodzie przyjaciela, tylko jedną z wielu głębokich dziur, jakie znaczyły dno Susquehanny. Wypłynął na powierzchnię, nabrał powietrza i znów zanurkował. Popłynął w dół, głęboko w dziurę, poruszając nogami jak foki, z którymi pływał jako chłopiec, aż światło zaczęło przygasać. Potem wreszcie znalazł tam Conawago, który nawet nie próbował płynąć, z rękami wyciągniętymi, jakby chciał kogoś objąć, z oczami otwartymi i zdziwionymi, zawieszony w półmroku.

Duncan, kaszląc, wynurzył się z wody, ledwie znajdując siłę, by wyciągnąć ciało przyjaciela na kamienisty brzeg, przerażony widokiem nieruchomej klatki piersiowej Conawago. Przewrócił go i zaczął tłuc po plecach, ze zdziwieniem słysząc obok jakiś nieznajomy głos, aż uświadomił sobie, że rozpaczliwa modlitwa w języku Irokezów dobywa się z jego ust.

Potem nagle, cudownie, staruszek zakaszłał, wypływając mnóstwo wody, a gdy Duncan osuwał się na ziemię, czyjeś stopy biegły po otoczakach, a ręce wyciągały się do niego i Conawago.

Zbudził się pod stertą koców na pryczy przy płonącym kominku, pławiąc się w łagodnym, wspaniałym cieple.

– Rany boskie, McCallum, obaj prawie umarliście.

Van Grut podał mu kubek z parującą zawartością.

– Conawago...

– Jest tuż za drzwiami, suszy się na słońcu.

Duncan usiadł i pił małymi łykami. Nie była to herbata, ale rosół wołowy. Wypił połowę, a potem pospiesznie przyjrzał się otoczeniu. Znajdował się w ubogim, ale wygodnym pokoju. Na rozłupanej kłodzie, służącej za gzyms kominka, stał drewniany krzyżyk, a na stole z desek, wokół którego ustawiono toporne ławy, leżała Biblia. Na zawieszanej przy drzwiach makatce było wyhaftowane błogosławieństwo w języku niemieckim. Przez jedne z dwojga niedomkniętych drzwi znajdujących się za nim niósł się zapach świeżego chleba.

– Morawianie? – zapytał Duncan, kiedy wysączył płyn z kubka, mówiąc o niemieckich misjonarzach, którzy często mieszkali wśród Indian Pensylwanii.

Jakby w odpowiedzi, do domu wkroczyła dziewczynka z blond warkoczami w towarzystwie dwojga indiańskich dzieci, chłopca i dziewczynki. Wszyscy nieśli małe tabliczki do pisania, pokryte napisanymi kredą i pochodzącymi z Biblii słowami po angielsku i niemiecku.

Dzieci z widoczną fascynacją obserwowały, jak Duncan opuszcza stopy na podłogę. Chłopiec wytarł swoją tabliczkę do czysta i zaczął pisać po niej kawałkiem kredy.

– Widziałeś, kto to zrobił? – Duncan zapytał Van Gruta, pocierając pulsującą głowę.

– Greta... – Holender ruchem głowy wskazał jasnowłosą dziewczynkę – ...zobaczyła, jak Conawago wbiega do wody, krzycząc ze strachu, i przybiegła po nas, gdy siedzieliśmy tu z jej rodzicami. Zobaczyliśmy cię leżącego bezwładnie, dryfującego na kłodzie, i zrozumieliśmy, że Conawago usiłował cię ratować.

– On nie umie pływać – rzekł Duncan, wzdrigając się na wspomnienie przyjaciela zawieszonoego jak nieżywy w przezroczystej wodzie rzeki.

– Ale ty! – wykrzyknął Holender. – Ty byłeś jak stworzenie wodne.

– To bliskie prawdy – rzekł w zadumie Duncan, podchodząc do drzwi i sprawdzając swoje ubranie. Mała sakiewka, która zwykle zwisała z jego pasa, znikła, a wraz z nią dowody zebrane z miejsc morderstw. – Nasz klan pochodził z wysp.

Teraz już widział Conawago siedzącego z podwiniętymi nogami na płaskim występie skalnym sterczącym nad szeroką rzeką.

– Sądzisz, że mógłbym dostać jeszcze jeden? – zapytał, wyciągając kubek w stronę Van Gruta.

Odkrył, że drży. Zimno wody weszło mu w kości.

– Kuchnie Holendrów i Niemców są pełne ciepłych mikstur – odpowiedział z uśmiechem Van Grut i zniknął za drzwiami obok kominka.

Duncan odwrócił się do Greta.

– Sprowadziłaś nam pomoc – rzekł z wdzięcznością.

– Modliliśmy się o wasze wybawienie – padła odpowiedź nie z ust Grety, lecz indiańskiej dziewczynki obok niej.

Chłopiec uniósł tabliczkę. Na górze narysował wielką rybę wypluwającą dwóch mężczyzn. Duncan obserwował to trio. Indiańskie dzieci były równie zadbane i dobrze odżywione jak niemiecka dziewczynka.

– Bóg czuwał nad nami, podobnie jak nad Jonaszem – przyznał Duncan, a potem patrzył, jak chłopiec zakrywa ręką rybę, pokazując drugi obrazek na dole: serię koncentrycznych kółek.

Chłopiec, najwyraźniej niemający umiejętności językowych swojej siostry, wskazał dziwne okręgi.

– Lenni Lenape – rzekł, a potem powtórzył te słowa, rodzime określenie na Delawarów.

Duncan miał właśnie poprosić dziewczynki, aby mu to wyjaśniły, kiedy Van Grut wrócił z drugim parującym kubkiem, ogłaszając, że niedługo zostanie podany posiłek.

Duncan wziął pożywny rosół na zewnątrz i usiadł obok Conawago.

– Dziękuję – powiedział.

– Byłem starym głupcem – wymamrotał Conawago. – O mało nie zabiłem nas obu.

Rzeka zmęczyła go i zmroziła do szpiku kości. Duncan nigdy wcześniej nie widział swojego towarzysza tak bladego, nigdy wcześniej nie słyszał tak głuchego tonu w jego głosie. Przez długą chwilę milczał, obserwując przelatujące gęsi i wpatrując się w żywe, falujące wody potężnej rzeki, z całego serca martwiąc się o starego Indianina.

– Chłód głębokiej wody jest jak żaden inny – rzekł. – Widziałem, jak przedziwnie potrafi działać na ludzi.

Conawago nie odpowiedział ani nie zareagował, gdy Duncan postawił gorący kubek na jego nodze i oplótł wokół niego palce Conawago.

– Wypij. Proszę.

Po chwili stary Nipmuk nagle spojrzał w dół na kubek, jakby nie usłyszał słów Duncana, tylko wyczuł ciepło.

– Musisz wypchnąć chłód z brzucha – nalegał Duncan i w końcu Conawago uległ, popijając najpierw małymi łyżkami, a potem szybko wlewając zawartość do gardła.

Duncan obserwował z ulgą, jak na policzki Conawago powoli wracają rumieńce.

– Widziałeś, kto położył mnie na kłodzie?

– Tylko ich plecy. Dwaj młodzi Indianie, jeden z orlim piórem w warkoczu, drugi w czerwonych nogawicach i z tatuażem na plecach.

– Widziałeś, jak wynosili mnie z faktorii Rideaux?

– Nie. Byłem poza ogrodzeniem, chodziłem wokół i starałem się to zrozumieć. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego miejsca.

– Ja również – zgodził się Duncan i pospiesznie opisał mechaniczne stworzenie, które znalazł.

– Miało być niedźwiedziem?

– Raczej amalgamatem wielu stworzeń lub symbolem wszystkich.

– Albo matczynym duchem lasu.

– Tak – powoli rzekł Duncan. Stały tam ławki zwrócone w kierunku stworzenia, jakby było ono ołtarzem. Opowiedział o trybach, które znalazł na stole, oraz tych w maszynie. – W tych dzikich ostępach gdzie jeszcze zabójca mógł znaleźć takie tryby? – zastanawiał się na głos.

– W tych dzikich ostępach – powiedział Conawago, jakby go poprawiając – po co zabójca zadawałby sobie trud szukania trybów?

Dźwięk dzwoneczka przerwał pełną zakłopotania ciszę.

Stół jadalny został wyniesiony na zewnątrz i przedłużony deskami, aby pomieścić nie tylko czterech gości, ale również sześcioro indiańskich uczniów i czworo ich rodziców, w tym posepnego Onondagę w średnim wieku o imieniu Moses, który poprowadził długą modlitwę, zanim połamano chleb. Duncan nagle odkrył, że umiera z głodu, ale i tak z trudem nadązał za Hadleyem i Van Grutem, podczas gdy dobroduszna Niemka dokłada im na talerze. W rzece roilo się od ałoz i gospodyni wydawała się mieć niewyczerpane zapasy tej smacznej ryby usmażonej w panierce z mąki kukurydzianej.

Duncan uprzejmie wypytywał wielebnego Macklina, gospodarza, o historię misji i rozległej osady Shamokin, która – jak się dowiedział – była w tym rejonie drugą pod względem wielkości społecznością po Filadelfii. To najbardziej kosmopolityczne z indiańskich miast było domem tuzina różnych plemion, jak również europejskich osadników, traperów i kupców. Pewien przedsiębiorczy Walijczyk otworzył tu interes, zatrudniając Indian do wyrobu koszy i mioteł wysyłanych do osad przybyszów z Europy, a niemiecki osadnik najął kilku innych do zbierania i suszenia ałoz, które, rozkrojone i posolone, można było zobaczyć suszące się na długich stojakach wzdłuż brzegu rzeki.

– Wygląda na to, że ma pan tu dobrze zorganizowane miasteczko – rzekł Van Grut do misjonarza.

– Ja? – roześmiał się Macklin. – Ja zajmuję się naszą małą parafią. Tym miastem i całym regionem rządzi Konfederacja Irokezów. To jakby ich południowa stolica. Plemiona Conoy, Conestoga, Delawarowie, Szaunisi, Nanticoke i inni podlegają Wielkiej Radzie Irokezów reprezentowanej przez wodzów zamieszkujących w pobliskiej wiosce długich domów.

– To brzmi tak, jakby Irokezi mieli imperium z podległymi im stanami – rzekł Hadley pomiędzy kęsami ałozy i wiosennych warzyw.

– Bo mają, chłopcze. Wiele indiańskich wiosek nad rzeką spłynęło w ubiegłym wieku krwią, dopóki plemiona nie zażądały pokoju z Ligą Irokezów. Miejscowe plemiona mogą się zajmować lokalnymi sprawami, ale nie mogą mieszać się w stosunki z innymi narodami, europejskimi lub innymi. Żaden traktat dotyczący państwa, od Rzeki Świętego Wawrzyńca po Ohio, nie zostanie podpisany bez aprobaty Wielkiej Rady i podpisów jej czołowych wodzów. Kilku z nich przybyło właśnie w zeszłym tygodniu, aby dołączyć do negocjatorów traktatu.

– Stary Pas – powiedział Duncan. – Długi Wilk.

Niemiec powoli przytaknął, obserwując gości z nowym zainteresowaniem.

– Zajmujecie się polityką?

– Czy wódz o imieniu Skanawati kiedykolwiek podpisał taki traktat? – zaryzykował pytanie Duncan, z niepokojem spojrzawszy na Conawago.

Jego stary przyjaciel, który milczał przez cały posiłek, zdawał się popadać w coraz głębszą zadumę. Snuł ponure myśli, wpadłszy w posepny nastrój. Stało się coś, czego Duncan nie rozumiał. Zaczęło się to, gdy Skanawati przyznał się do zabójstwa, i dziwnie przybrało na sile, kiedy Conawago o mało nie utonął w rzece.

– Śmiem twierdzić, że żaden traktat nigdy nie został podpisany bez jego aprobaty – wyjaśnił Moses. – Może nie siedzieć na pierwszym miejscu, które zawsze pozostaje wolne na cześć dawno zmarłego Dekanawida, założyciela naszej Ligi, ale zawsze jest jednym z pięciu wielkich wodzów zasiadających w radzie.

Duncan słuchał go uważnie.

– Jest najważniejszą osobą w tym rejonie – kontynuował Moses. – Urodziłem się w Onondadze, stolicy Ligi Irokeskiej – dodał. – I nawet jeśli Skanawati jest dopiero piąty w hierarchii, nie ma drugiego takiego wodza.

Duncan zerknął na Conawago, który nadal wydawał się zatopiony w innych, mroczniejszych myślach.

– Wodzowie naszej rady są nazywani wodzami pokoju – kontynuował Moses głębokim, starannie modulowanym głosem. Nie po raz pierwszy Duncan dziękował w duchu misjonarzom, którzy od dziesięcioleci uczyli Indian mówić po angielsku. – To oni są mędrkami, którzy kierują plemieniem, w porozumieniu ze swoimi żonami i matkami. Nie jest dobre dla ludu, aby rządili nim ci, którzy czują presję wojny, zatem naczelnicy wodzowie, tacy jak Stary Pas, nigdy nie dowodzą wojownikami, a nawet rzadko podnoszą wojenny topór. Z jednym wyjątkiem. Jeśli dobrze pamiętam, tylko Skanawati miał zaszczyt być zarówno wodzem wojennym i wodzem pokoju, ponieważ jego umiejętności są potrzebne w obu dziedzinach.

Conawago nagle wstał i odszedł od stołu.

Hadley wznowił rozmowę, kiedy kolejne talerze z ałożą zostały puszczone w obieg wokół stołu.

– Dołączacie czasem do misji na wzgórzu? – zapytał Morawian Wirginijczyk.

Jego słowa ledwie dotarły do świadomości Duncana, ponieważ obserwował przyjaciela znikającego za rogiem obory.

– Misji? – zapytał wielebny Macklin.

– Zdaje się, że nad miasteczkiem znajduje się misja jezuitów, czyż nie? – zapytał Hadley.

Teraz z kolei zaniemówili Morawianie. Indianie rozgrzebywali jedzenie na talerzach, niespokojnie zerkając na swojego duchowego przywódcę.

– Nie ma żadnej misji – poprawił z naciskiem wielebny Macklin. – Nie ma żadnego jezuitę. Jest udręczona dusza, o której wybawienie modlimy się co dnia.

Z tymi słowami Niemiec wstał i kazał dzieciom posprzątać ze stołu. Pozostali dorośli, którzy wydawali się niecierpliwie czekać na jakiś pretekst, by odejść, pospiesznie do nich dołączyli. Tylko Moses, siedzący naprzeciw Duncana, zwlekał.

– Jednak Rideaux był jezuitą – rzekł Duncan do Onondagi. – Misjonarzem.

Irokez kiwnął głową.

– Chociaż jezuita był sojusznikiem Francuzów, mój lud pozwolił im prowadzić misję w naszym kraju, pod warunkiem że nie będą pomagali ich wojsku ani królowi. Byłem tam, kiedy to się stało – dodał.

Żona Onondagi, urodziwa kobieta w średnim wieku, ubrana w czerwoną sukienkę ozdobioną piórkami, pojawiła się i usiadła na ławie obok niego.

– Kiedy co się stało?

– Kiedy z jego pleców zdarto habit – odpowiedział Moses. – Zmusili go nawet, żeby oddał krucyfiks. Myśleliśmy, że się zabije.

Żona Indianina smutnie pokiwała głową.

– Dlaczego mieliby mu zrobić coś takiego?

Moses spochmurniał. To pytanie wydawało się dlań bolesne. Jego żona powiedziała coś cicho i szybko w ich ojczystym języku. Mąż skinął głową.

– Ponieważ zbyt mocno kochał swoich parafian.

Hadley, który pomagał dzieciom, usiadł obok Duncana. Van Grut wycofał się na ławkę obok szopy i rysował w szkicowniku.

– Chcesz powiedzieć, że Irokezi stali się dla niego ważniejsi niż Kościół – zaryzykował po długiej chwili Duncan.

– Zegar. Stracił swoją czarną szatę z powodu zegara.

Hadley drgnął. Duncan pochylił się bliżej.

– Byłem na misji jako chłopiec – wyjaśnił Moses. – Nauczyli mnie pisać, mówić po francusku i po angielsku, żeby nie drażnić Anglików, którzy czasem nas odwiedzali. Był tam nieużywany budynek starego kościoła, mała kaplica z ołtarzem i pokojem z tyłu, gdzie zamieszkał jeden ksiądz w podeszłym wieku, który przebywał na tych ziemiach od ponad pięćdziesięciu lat. Miał zegar z Francji, który bił co kwadrans. Umieścił go na ołtarzu w tej starej kaplicy, a na nim krzyż. Była to sztuczka, do jakiej uciekały się Czarne Suknie w ubiegłym wieku, kiedy po raz pierwszy przybyli do Huronów i innych północnych plemion. Nadal miał we krwi stare metody i czasem traktował nieochrzczonych Indian jak nierozumne zwierzęta. Zegary były magiczne, miały magiczną moc i plemiona nie były w stanie ich pojąć. Ten zegar świadczył o potędze europejskiego Boga. Pamiętam, jak wuj zabrał mnie do tej kaplicy, kiedy sięgałem mu zaledwie do pasa. Wielu naszych starych ludzi nie uczestniczyło w rytuałach Czarnych Sukni, ale siedzieli godzinami przed tym zegarem i ilekroć bił, wykrzykiwali chrześcijańskie słowa, których nauczył ich stary ksiądz. Zegar stał się dla nich bogiem. Wuj powiedział mi, że w tym pudełku mieszka mały święty człowiek, który w nocy przemawia do Europejczyków. Indianie składali mu ofiary: kawałki futer i pióra, małe rzeźby. Za każdym razem gdy zegar bił, wuj wykrzykiwał: „Alleluja! Alleluja!”

– Rideaux kochał nasz lud jak nikt inny spośród jezuitów, zaraz po przybyciu zaczął się uczyć naszego języka i szybko mówił lepiej wszystkimi naszymi dialektami niż jakikolwiek inny ksiądz. Potrafił przesiedzieć całą noc przy chorym, nie powstrzymując szamanów przed wykonywaniem ich pracy, jak to robili inni jezuiti, próbował nawet nauczyć się indiańskiej medycyny.

Żona Mosesa ponownie powiedziała mu coś na ucho. Najwyraźniej rozumiała angielski, ale nie potrafiła w nim swobodnie mówić.

– Ona pamięta, że inni usiłowali przeszkadzać w naszych pogrzebach – powtórzył Moses. – Próbowali kropić swoją świętą wodą naszych umierających, gdy ci wydawali ostatnie tchnienie, i wkładać różańce w ich dłonie, kiedy umarli. Jednak Rideaux nigdy tego nie robił. Przychodził na nasze ceremonie pogrzebowe, ale nigdy nie recytował chrześcijańskich słów, chyba że został o to poproszony.

– A zegar? – naciskał Duncan.

– Ojciec Rideaux spędzał dużo czasu w innych obozowiskach, podróżując z plemionami. Nic o nim nie wiedział, sądził, że to tylko starzy Indianie przychodzą się modlić z księdzem, który tutaj mieszkał. Aż pewnego dnia próbował znaleźć starego księdza. Wszedł do środka i znalazł dwudziestu Irokezów oddających cześć zegarowi oraz pijanego księdza na pryczy w pokoiku z tyłu. Był wściekły i zaczął krzyczeć tak głośno, że zbiegli się inni księża. Oznajmił, że Irokezi nie są marionetkami, żeby tak z nimi igrać, że czczenie maszyn to bałwochwalstwo, a jego rodacy są aroganckimi grzesznikami udającymi, że posiadanie lepszych maszyn czyni z nich lepszych ludzi. Powiedział, że przedkłada duszę Irokeza nad duszę Francuza. Rozbił zegar toporem i rozrzucił tryby po całej podłodze. Był skończony. Niektórzy księża chcieli go spalić za herezję. Nie czekali na reakcję biskupa. Jeszcze tego samego dnia wyrzucili Rideaux z zakonu.

– Ale teraz on sam pracuje z zegarami – zauważył Duncan.

– Teraz dąży do tego, by Indianie zrozumieli, że maszyny nie są magiczne i oni także mogą je tworzyć – poprawił go Moses. – Kupił zegar od jakiegoś osadnika i rozebrał na części, tak żeby wszyscy to zobaczyli, a potem nabył narzędzia, aby pracować nad tym zegarem. Ma rzeźbiarzy wśród Irokezów i Delawarów, którzy robią dla niego drewniane tryby, a on pokazuje im, jak je złożyć. Dowiódł, że takie rzeczy są jedynie wytworami rąk, jak dobry łuk lub kanu.

– Mówisz, że on chce, aby Indianie zrozumieli, że mogą żyć bez pomocy Europejczyków – podsunął Hadley.

– Tak samo jak Afrykanie mogą żyć bez Europejczyków – dodał Moses.

Zona Mosesa wreszcie wypróbowała swój angielski:

– On... powstrzymał rum – rzekła. – On powstrzymał broń.

– Przepędza handlarzy bronią i rumem, ilekroć ich tu znajdzie – wyjaśnił Moses.

– Czy on zna Skanawatiego?

Moses zawahał się, zanim odpowiedział ze zmartwioną miną:

– Zeszłej jesieni Skanawati zwołał zgromadzenie wodzów. Przybył pomalowany farbą wojenną. Zażądał, aby wyrzucili pewnego przyrodnika z Filadelfii, który... –

Moses szukał słów – ...robił eksperymenty z Indianami. Sądzę, że to wtedy Rideaux spotkał Skanawatiego i obaj uświadomili sobie, że dążą do tego samego celu, próbując odzwyczaić Irokezów od europejskich zwyczajów.

– To właśnie dlatego ja też próbuję do niego dotrzeć – wtrącił nowy głos. Macklin stał przy końcu stołu. – Mówię Francuzowi, że to, co on i ja robimy, wcale się tak bardzo nie różni. Jednak on mną pogardza, pyta, czemu nawróceni przez nas noszą europejskie ubrania, mieszkają w europejskich domach, dostają europejskie narzędzia. Tłumaczę mu, że to po chrześcijańsku dzielić się z potrzebującymi. Ale on się śmieje, mówi, że jego Biblia bierze pod uwagę wygodę dusz, ale nic nie mówi o niemieckich kuźniach ani brytyjskiej herbacie. Mówi, że jedyne, co ja robię, to zmuszam ich do kosztowania zakazanego owocu. Twierdzi, że nie umiemy pojąć cudów puszczy. Kiedy ostatnim razem, przed kilkoma miesiącami, próbowałem porozmawiać z jego Indianami, wyrzucił mnie. Widywałem, jak robił wiele dobrego. Niczym święty Franciszek ma dar porozumiewania się ze zwierzętami. Potrafi też być jednak jak wściekły pies. Wykorzystał naszą technologię, aby stworzyć tę ohydę w swoim domu, potwora z trybów i futra.

– Wzdłuż linii granicznej są zabijani ludzie, z trybami zegara wbitymi w serce – oznajmił Duncan.

Moses znieruchomiał. Ochryplym głosem przetłumaczył wypowiedź żonie.

– Będą szukać w Shamokin – rzekł. W jego głosie słychać było lęk.

Towarzysze szybciej od Duncana pojęli w czym rzecz. Teraz nie było już co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli europejscy osadnicy wiedzą o trybach w sercach – a wieść o tym szybko się rozejdzie – i o dziwnym zastosowaniu zegara w Shamokin, nie będą czekali na żołnierzy ani sędziego pokoju, tylko rozjątrzeni i przestraszeni pomaszerują na Shamokin ze strzelbami i pochodniami. Indiańskie osady palono z bardziej błahych powodów.

– Pierwszym miejscem, do którego pójda, będzie siedziba Rideaux – zauważył Van Grut, który dołączył do stołu. – Wiadomość już obiegnęła konwój, gdy odjeżdżaliśmy. Śmierć Bythea może być iskrą, która zapali beczkę prochu.

– Mokie! – zawołał Hadley. – Masz strzelbę, McCallum?

Duncan spojrzał na niego.

– Na kanu z naszym ekwipunkiem.

– Musimy wydostać stamtąd Mokie.

Duncan nie zapomniał o Mokie, ale odkrył, że przeraża go perspektywa powrotu do faktorii Rideaux. Zwlekał przez moment, pospiesznie wypytując Mosesa, a potem poprowadził Van Gruta i Hadleya.

Dwupiętrowa chata z bali służąca jako magazyn wyglądała na dobrze prosperującą placówkę ze stosami beczek i skrzyń z towarami ułożonymi wzdłuż werandy. Duncan nie zawahał się, kiedy zauważył tęgiego Europejczyka w fartuchu zamiatającego werandę.

– To zuchwalstwo tak jawnie zaopatrywać zbiegłych niewolników – oznajmił głośno, stając blisko, kiedy mężczyzna się odwrócił.

Mężczyzna chwycił miotłę jak laskę, jakby chciał się nią obronić.

– Nic nie wiem o...

Duncan chwycił miotłę i pchnął kupca do tyłu, przyciskając go do ściany.

– Nie szukam niewolników, ale dowiem się, kto płaci za ich zapasy.

– Jestem tylko sprzedawcą, panie. Jeśli przybywa jakiś czarny, właściciel bierze go na zaplecze i daje mi listę towarów. – Sprzedawca niespokojnie zerknął na Hadleya i Van Gruta, którzy dołączyli do Duncana.

– Gdzie znajdziemy właściciela?

– Pana Wallera nie ma. Wyjechał do Filadelfii. Nagle powiedział, że musi wyjechać, chociaż ostatniej nocy rozmawialiśmy o tym, że dzisiaj razem porządnie wyszorujemy wędzarnię.

– W takim razie przejrzę jego księgi.

Sprzedawca wziął głęboki oddech i rozejrzał się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Nie ma potrzeby, panie. Sam ukradkiem do nich zajrzałem. Nie ma tam nic oprócz salda. Odlicza wydatki na uciekinierów, a kiedy stan konta jest niski, dostaje pieniądze z Filadelfii.

– Powiedz mi coś – rzekł Moses. – Kiedy dokładnie wyjechał pan Waller?

– Niecałe dwie godziny temu.

– Dwie godziny temu ktoś próbował cię zabić, Duncanie – rzekł Van Grut, kiedy odeszli.

– Ściśle mówiąc, dwie godziny temu komuś się to nie udało – zauważył Moses.

Członkowie małego oddziału mieli pochmurne twarze, gdy w końcu z karabinami gotowymi do strzału dotarli do palisady na grani. Oczy Van Gruta zaokrągliły się ze zdziwienia, kiedy zobaczył karuzelę na podwórzu. Wszystko wyglądało mniej więcej tak jak przedtem: Indianie czyścili skóry i pakowali futra, lecz kiedy mężczyźni na dziedzińcu zobaczyli Duncana, przerwali swoje zajęcia, spoglądając ze zdumieniem i szepcząc do siebie. Wielebny Macklin i Moses wyszli z zarośli przy bramie, aby stanąć u boku Duncana i go ubezpieczać. Conawago, chociaż nadal zamknięty w sobie, im towarzyszył. Indianie, wszyscy wyglądający na członków mniejszych plemion, wydawali się ignorować misjonarza, ale niespokojnie kłaniali się Mosesowi. Spojrzenia, jakie ten z nimi wymienił, przypomniały Duncanowi o skomplikowanych relacjach w plemiennych społecznościach. Napięcie między nimi mogło być po prostu spowodowane stosunkiem ochrzczonego do pogan albo tym, że Moses był Onondaga, a oni pochodzili z plemion podległych Irokezom.

Rideaux wydawał się ich spodziewać. Zaprowadził ich do stołu, gdzie czekał dzbanek i kubki, a potem przyłożył palec do ust i wskazał palenisko, gdzie przed węglami znów leżały dwa wzgórki czarnej sierści. Koło nich zwinięta w kłębek Mokie spała z głową opartą na grzbiecie młodego niedźwiedzia. Kiedy Macklin wszedł do środka, Francuz się zawahał i najpierw obrzucił misjonarza chłodnym spojrzeniem, a potem marszcząc brwi, odwrócił się do Duncana.

– Jak widzisz, broń palna nie jest potrzebna – rzekł prawie szeptem Rideaux.

Van Grut natychmiast odłożył strzelbę myśliwską, wyciągnął szkicownik i zaczął rysować śpiące postacie.

Duncan nie odłożył strzelby.

– Kiedy ostatnio cię odwiedziłem, ktoś próbował mnie zabić.

– Uważam, że kiedy byłeś tutaj ostatnio, przeraziłeś nas bardziej niż my ciebie.

Duncan odwzajemnił baczne spojrzenie Rideaux, powstrzymując chęć zabrania Mokie i ucieczki od tego nieobliczalnego człowieka. Jednak nagle wielebny Macklin zakrztusił się ze zdziwienia. Trzymał jedną z tabliczek, którą Duncan widział wcześniej w wielkiej izbie.

– Opracowujesz alfabet Irokezów? – zapytał.

– Używamy rzymskiego alfabetu tylko po to, aby zredukować dźwięki do liter – odpowiedział Francuz z jednym ze swoich niepokojących uśmiechów. – Tak aby nie utrudniać Europejczykom.

– My?

Rideaux otworzył drzwi prowadzące do kuchni, ukazując dwóch Indian siedzących z gęsiami piórami i papierem przy dużym stole, przypominali Duncanowi mnichów iluminujących manuskrypty. Moses wbiegł do pokoju, witając tych dwóch jak starych znajomych, i pochylił się nad stołem, aby obejrzyć ich pracę. Conawago się temu przyglądał.

– Kiedy skończymy, stworzymy wielką bibliotekę, aby upamiętnić cywilizację Irokezów – oznajmił Rideaux.

– Cywilizację? – Macklin miał sceptyczną minę.

Powątpiewanie w jego głosie sprawiło, że Rideaux poczerwieniał.

– Przybyłeś, aby kazać im marzyć o krwi zbawcy, ale ostatecznie nałożysz na nich łańcuchy tak samo prawdziwe jak te, które nosi rodzina tej biednej dziewczyny. Europejczycy na setki różnych sposobów każą im czuć się gorszymi, podczas gdy to my powinniśmy czuć się gorsi od nich, bo mają niezepsute dusze.

– Owieczki Boga przychodzą do Jego stadka różnymi ścieżkami – zauważył Macklin.

– Pewnego razu udzieliłem ostatniego namaszczenia starej kobiecie z plemienia Mohawków – odparował Rideaux. – Powiedziała, że wie, iż pójdzie do piekła. Zapytałem, czemu mówi takie straszne rzeczy, a ona rzekła, że tak powiedzieli biali ludzie, a oni są tymi, którzy potrafią czytać słowa i wiedzą takie rzeczy.

Były ksiądz przerwał, przyglądając się swoim zaniepokojonym słuchaczom, a potem z gzymsu nad kominkiem wziął drewnianą szkatułkę, tradycyjne pudełko na Biblię. Wyjął z kieszeni klucz, otworzył szkatułkę i zaczął rozkładać na stole wystrzępione papiery.

– 1705 – rzekł. – List od gubernatora Pensylwanii przekazujący plemieniu Nanticoke ziemie w dolnym biegu Susquehanny do stałego użytkowania. Dzisiaj pełno tam osad. 1720 – kontynuował, podnosząc kolejny papier. – Kwakerski akt prawny rzekomo dowodzący, że Delawarowie oddali im ogromne tereny w rozwidleniu rzeki Delaware, chociaż Indianie upierają się, że nigdy nie podpisywali takiego dokumentu.

– Wyjął ze szkatułki kolejną kartkę. – Ktoś w Lancasterze dał to rodzinie Conestoga w zamian za połowę ich zbiorów kukurydzy, mówiąc, że zapewni im to na zawsze bezpieczną przeprawę przez wszystkie europejskie ziemie. To rewers na wóz drewna, ale oni o tym nie wiedzieli. Przez dwadzieścia lat pieczołowicie go przechowywali i chronili, owinięty w pas świętego wampumu. Pewien stary Irokez powiedział mi kiedyś, że wszystkie burze i wojny minionego wieku spowodowały jedynie drobne kłopoty w porównaniu ze spustoszeniem uczynionym przez pióra kolonistów. Gęsim piórem i atramentem popełniamy grzechy, które łamią dusze tych szlachetnych ludzi. Mimo takiego samego kształtu serca Europejczyków i Indian są jak serca różnych stworzeń.

– Ci szlachetni ludzie wyróżnili tysiące osadników – przypomniał cicho Hadley. – Świadkowie widzieli, jak wycinali serca żywych ludzi i je zjadali.

– Zwyczaje lasu są bezwzględne. Równie dobrze możesz potępić niedźwiedzia za jego pazury lub lwa za kły. Może wytoczą krew niektórym z nas, ale my kreślimy słowa, które pozbawiają cały ich naród przyszłości. To ma oznaczać osiemnaście wieków chrześcijaństwa? To, że potężniejszy kraj ma święte prawo niszczyć słabszy? – Rideaux zmierzył spojrzeniem Duncana. – McCallum to szkockie nazwisko. Gdzie dzisiaj jest twój klan? – zapytał wymownie.

Duncan pokręcił głową.

– Nie ma tu człowieka, który jest wrogiem plemion.

– W takim razie przestań się wtrącać.

– Do czego? – zapytał Duncan. – Do twojej potajemnej ochrony zbiegłych niewolników? Twoich prób powstrzymania Europejczyków przed pomaganiem Indianom? Mordowania niewinnych ludzi na Ścieżce Wojowników? Niepotrzebnego wieszania wodza rozpaczliwie potrzebnego swojemu ludowi? Ci, którzy stoją za morderstwami, chcą obciążyć nimi Indian z Shamokin. A konkretnie twoich Indian, gdyż zabójcy wykorzystują niewolników, którym udzielasz schronienia, do podrzucania trybów zegara. Nie chcesz, żebyśmy się wtręcali, kiedy przybędzie tu tłum, zamierzając przelać krew Indian? Zaczną od Shamokin, mówię ci. Zniszczą tę osadę. A twoja faktoria będzie iskrą, która zapali płomień.

– Nic nie rozumiesz.

– Rozumiem, że twoje poglądy na temat społeczeństw i cywilizacji w wielkiej ramie historii są dla ciebie ważniejsze od śmierci niewinnych tu i teraz.

Oczy Rideaux ponownie rozbłysły.

– W takim razie, Szkocie, rzeczywiście zaczynasz mnie rozumieć.

Mówiąc to, Francuz spojrział w stronę okna i na jego twarzy pojawił się niepokój.

Odgłosy na zewnątrz wciąż przybierały na sile, dręcząc podświadomość Duncana, aż nagle je zarejestrował. Conawago podniósł głowę, a potem wypadł z budynku razem z Rideaux. Duncan był krok za nimi. Francuz zaklął, gdy zobaczył, że podwórce opustoszało, a jeszcze głośniejszy, gdy rozpoznał hałas dobiegający zza grani. Wielebny Macklin i Moses przecisnęli się obok nich, biegnąc w stronę miasta. Słysząc było

krzyki, strzały z muszkietów i głośne pohukiwania. Bitwa, której bał się Duncan, już się rozpoczęła.

Rideaux rzucił się z powrotem do domu, w jego oczach widniał teraz strach.

– *Tewarathon* – zawołał do Indian znajdujących się wciąż w środku. –
Przygotujcie się!

Rozdział 9

Duncan pobiegł za mężczyznami z factorii Rideaux, z przerażeniem patrząc, jak ściągają zbędne ubrania i wyjmują zza pasów noże i topory. Zaczęło się. Nie będzie żadnego traktatu, żadnego ratunku dla Skanawatiego. Francuz przebiegł obok, niosąc bandażę i mamrocząc coś, co mogło być gorączkową modlitwą. Mężczyźni przed nimi dotarli na niskie wzniesienia powyżej jednego z szerokich pól i Indianie z chóralnym okrzykiem ruszyli do boju. *Tewaarathon!* – krzyknął Rideaux. Wojna!

Duncan sprawdził proch na panewce strzelby i zobaczył, że to samo robią Hadley oraz Van Grut, którzy sapiąc, przybiegli do niego. Potem popatrzył na pole. Towarzyszący mu wcześniej Indianie nie biegli, by walczyć, ale w stronę grupy kobiet i dzieci na końcu długiego prostokątnego pola. Duncan się zawahał. *Tewaarathon*. To słowo oznaczało nie tylko wojnę. Również brata. Młodszego brata.

Indianie rzucili broń na koc, na którym leżała już sterta innej broni. W zamian każdy chwycił długi krzywy kij z siatką sięgającą od wygiętego końca do punktu znajdującego się niemal w połowie drzewca. Każdy mężczyzna na polu trzymał taki kij, a na środku toczyła się walka o małą skórzaną piłkę.

– Nie bez powodu Irokezi nazywają to młodszym bratem wojny – rzekł Macklin, kiedy dotarł do Duncana, niosąc więcej bandażę. – Zdarzały się bitwy z mniejszą liczbą ofiar.

– *Tewaarathon* to gra? – zapytał z niedowierzaniem Duncan.

– Tak nazywają ją Mohawkowie. Onondagowie mówią *dehuntshigwa'es*, co tłumaczy się jako „mężczyzna uderzający okrągłą rzecz”. Na szczęście to tylko zaimprovizowane ćwiczenia. Później, zwłaszcza po zbiorach, mecze lacrosse – to francuska nazwa tej gry – będą rozgrywane codziennie, nawet przez kilka dni.

Kiedy to mówił, kilku mężczyzn rzuciło się na tego z piłką. Gdy grupa się rozdzieliła, dwaj zawodnicy leżeli na ziemi, jęcząc.

– Jakie są zasady? – zapytał Hadley, a zakłopotanie na jego twarzy zastąpił rosnący entuzjazm.

– Nie ma ich wiele – rzekł Macklin. – Przeciwna drużyna musi umieścić piłkę w waszej bramce, aby zdobyć punkt. Dzisiaj bramkami są te stare pniaki... – Morawianin wskazał dwa duże pieńki na końcach pola, oddalone od siebie o ponad trzydzieści jardów. – Nie wolno łapać piłki rękami. Zgarniają ją i przenoszą w rękawie albo podbijają nogami lub stopami, a przeciwnicy próbują ich powstrzymać, używając jedynie ciał lub rakiet.

– Tam są Europejczycy! – wykrzyknął Van Grut, wskazując kilkunastu półnagich mężczyzn o jasnej skórze na drugim końcu pola.

– Gra prawie każdy krzepki mężczyzna w wieku poniżej czterdziestu lat. Dzisiaj wygląda na to, że Irokezi grają przeciwko mniejszym plemionom i Europejczykom.

– Ci na ziemi – rzekł Duncan, wskazując dwie ofiary ostatniego starcia – potrzebują pomocy.

– Niepodobna. Przeważnie jedyne, co może powstrzymać gracza, to złamana kość.

– Macklin rzucił zaniepokojone spojrzenie w kierunku tawerny. – Później piwo będzie się lało godzinami.

Jakby na dany sygnał, dwaj leżący na ziemi, w tym jeden jasnoskóry i rudowłosy, chwycenie wstali i ruszyli powolnym, kuśtykającym truchtem w kierunku tłumu, który otaczał piłkę. Upadli kolejni zawodnicy, niektórzy po celnych uderzeniach raketami przeciwników w kolana lub żebra, a inni w rezultacie umyślnych zderzeń, które powaliłyby konia. Mimo to Duncan nie widział na twarzach graczy urazy, jedynie uduchowioną radość.

Pierwszy zawodnik ze złamaną kością został zniesiony z pola przez dwóch Szaunisów, którzy zauważyli Rideaux i zostawili ofiarę pod opieką Francuza. Wygolone skronie mężczyzny, krótki warkocz i ciemna skóra utwierdziły Duncana w przekonaniu, że to Indianin, dopóki nie wziął jego złamanej ręki w łubki.

– Rany boskie, człowieku! – fuknął pacjent z silnym walijskim akcentem. – Zostaw mnie i weź mój kij! Nie możemy pozwolić, żeby ci Mingo tak zbierali piłki!

Duncan odpowiedział cichym śmiechem, ale potem zobaczył niecierpliwość w oczach Hadleya. Podniósł raketę mężczyzny i rzucił Wirginijczykowi, który złapał ją z szerokim uśmiechem i zaczął ściągać koszulę.

Duncan odkrył, że koncentruje się na małej piłce z jeleniej skóry, podziwiając umiejętności Indian, którzy zręcznie nią zonglowali w biegu, wiwatując, kiedy kolonista przemknął przez linię irokeskich obrońców i zdobył punkt. Gdy przyniesiono Szweda z połamanymi palcami, również Van Grut ściągnął koszulę i przyłączył się do gry z niepewnym, ale radosnym okrzykiem.

Godzinę później, kiedy dzwony zaczęły wzywać ich do obowiązków i na kolację, poturbowani i uśmiechnięci gracze chwycenie zeszli z pola. Wygrali Irokezi, ale tylko jedną bramką. Trzej gracze nadal leżeli na polu i Duncan dołączył do Rideaux i Macklina, którzy ich badali. Dwaj mieli popękane żebra. Trzeci, Delaware, leżał nieruchomo na boku. Duncan usłyszał zasmucony okrzyk Macklina, zanim dotarł do młodego wojownika, i gdy tylko zobaczył fioletowy kolor twarzy mężczyzny, wiedział, że nie ma żadnej nadziei.

– Tchawica została zmiażdżona – oznajmił, wskazując ciemny, nieregularny siniak na szyi.

– To miała być gra – westchnął Macklin, a potem wymamrotał cichą modlitwę.

– Ktokolwiek to zrobił, nie grał w żadną grę – odpowiedział Duncan.

Rideaux ze zdumieniem na niego spojrział.

– To na pewno był wypadek.

– Uwierz mi. W szkole medycznej zajmowałem się zwłokami. Coś takiego wymaga umyślnie wymierzonego ciosu, zadanego z ogromną siłą.

– Z pewnością zwykły pech – orzekł Rideaux.

Ktoś wyciągnął rękę, aby przewrócić zmarłego na brzuch, i odsłonił duży tatuaż z koncentrycznymi okręgami na jego ramieniu.

– Widziałem dzisiaj ten wzór na brzegu rzeki. Umarł w sposób, jaki wybrał dla ciebie – oznajmił Conawago. – Udusił się.

Duncan spojrział na zmarłego, a potem przypomniał sobie, jak indiański chłopiec naszkicował takie okręgi na tabliczce, próbując powiedzieć Duncanowi coś o jego niedoszłym mordercy. Lenni Lenape, rzekł chłopiec, co oznaczało Delawarów. Indianin, który kilka godzin wcześniej usiłował zabić Duncana, zginął właśnie na boisku do lacrosse.

– Nie zdołał cię zabić, więc sam musiał umrzeć – powiedział Conawago.

Odwiązał od pasa zmarłego znajomo wyglądającą sakiewkę z jeleniej skóry i wręczył Duncanowi, który wysypał jej zawartość na ubitą ziemię pola do gry. Wypadły dwa gwoździe z granicznych drzew, guziki, które Duncan zebrał, jego krzemień i stal. Chyba niczego nie brakowało. Rideaux ostrożnie sięgnął i obrócił gwoździe w palcach, oglądając główki, a potem wziął jeden z guzików z wytłoczoną w metalu rybą.

Duncan zauważył, że na twarzy Francuza pojawia się niepokój.

– Poznajesz je?

– Znałem kogoś... – mruknął Francuz i umilkł.

– Był pewien zacy młodzienc z Connecticut, nazywał się Cooper – odpowiedział za niego wielebny Macklin. – Próbował zarabiać na życie jako geodeta. Siedział przez kilka miesięcy tutaj i po drugiej stronie rzeki w małej angielskiej osadzie o nazwie Penns Creek. Zaprzyjaźnił się z córką wioski Onondagów. Okazywali sobie nawzajem wielkie uczucie... – rzekł z zakłopotaniem Morawianin.

Rideaux podjął wątek:

– Obrazili żonę wielebnego Macklina. Powiedziała kongregacji, że widziała ich kąpiących się w świetle księżyca, nagich jak ryby. Cooper natychmiast poprosił wielebnego, aby udzielił im ślubu, żeby nikt nie uważał ich za grzeszników. Geodeta kazał zrobić te guziki jako prezent dla panny młodej. Wszyscy się śmiali, kiedy zobaczyli rybę.

Rideaux wpatrywał się w guziki na dłoni, obserwując w milczeniu, jak Duncan je zabiera i wkłada z powrotem do sakiewki.

– Ona nie pochodziła z jakiejś wioski – przypomniał Macklin. – Była z wioski Skanawatiego, z jego domowego ogniska.

Rideaux podniósł dwa długie gwoździe.

– A one?

– Przybito nimi ręce ofiar do drzew. Jeden przebił dłoń Coopera. Ten zapewne jeszcze żył, kiedy zamordowali jego żonę.

Twarz Rideaux się wydłużyła. Patrzył na gwoźdź, ściskając go tak, że zbieleły mu palce.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał głuchym głosem.

– Wysłałeś tego mężczyznę, żeby mnie zabił?

– Jak wielu innych, ten Indianin pojawiał się co kilka tygodni, żeby powłóczyć się po mieście. Nazywali go Ohio George.

– Wysłalesz go, żeby mnie zabił? – powtórzył Duncan.

– Nie. Chciałem tylko, żebyś zostawił nas w spokoju. Są inne sposoby pozbycia się ciebie bez popełniania takiego grzechu.

– Takie jak ukrywanie powiązań ze zbiegłymi niewolnikami. Jak ostrzeżenie kupca Wallera, żeby opuścił miasto. Jak udawanie, że nic nie wiesz o intrygach dotyczących roszczeń terytorialnych.

– Nie ostrzegłem Wallera – rzekł sucho Rideaux. – O ile wiem, wypełnia jedynie swój chrześcijański obowiązek, pomagając niewolnikom.

– Możesz mieć do czynienia albo z nami, albo z dwustoma żądnymi zemsty osadnikami, kiedy usłyszą o Indianach z Shamokin brutalnie uśmiercających geodetów. Co wiesz o tym Ohio Georgeu?

– Wiem, że nie powinniśmy rozmawiać nad jego zwłokami – rozległ się głos. Moses klęczał obok ciała, wyjmując kij do lacrosse, który nieboszczyk nadal ścisnął w ręku.

Duncan skinieniem głowy przyznał mu rację.

– Czy on ma tutaj rodzinę?

– Niepodobna. Był Delaware z Ohio. Zabierzemy go do faktorii. Jego ciało powinno zostać oczyszczone przed podróżą na drugą stronę.

Była to powolna, cicha procesja w górę wzgórza, z ciałem umieszczonym na kocu, który nieśli, trzymając go za rogi. Położyli je na stole rozstawionym na podwórzu faktorii Rideaux. Gdy jakaś staruszka przyniosła wodę, aby umyć zmarłego, Rideaux skinął na Duncana, aby wyszedł za nim na zewnątrz, i poprowadził go ścieżką do miasta. Zatrzymali się przy kuźni. Francuz podniósł pozostawiony na kowadle młot, który leżał obok pół tuzina świeżo wykutych gwoździ, i wyciągnął w stronę Duncana. Stropiony Duncan obrócił go w rękach, a potem zrozumiał, gdy Rideaux pokazał mu jeden z nowych gwoździ. Główka miała toporny kraciasty wzór, identyczny jak na gwoździach użytych w morderstwach.

– Kowal robi to, znacząc swoje wyroby. Uderza w główki młotem. Nigdy nie widziałem tego gdzie indziej.

Duncan zobaczył, że płaski koniec młota znaczą skrzyżowane linie.

– Każdy mógł wziąć od niego gwoździe – zwrócił uwagę Rideaux. – Osadnicy je kupują. Przechodźcień mógł je ukraść z koszyka.

– Ohio George nie działał sam. Ktoś tutaj go uciszył, nie tylko dlatego, że nie zdołał mnie zabić, ale ponieważ gdyby został schwytany, miałby za dużo do wyjawienia. – Duncan mierzył Rideaux badawczym spojrzeniem. – Czy jest tu ktoś, kto mógł zatrudnić takiego człowieka jak Ohio George, dać mu pracę, która od czasu do czasu wymagała podróży na zachód? Ktoś, kto być może kupił gwoździe od kowala?

– Niewielu stać na gwoździe. W większości konstrukcji używa się kołków. Gwoździe zazwyczaj wykorzystuje się do robienia solidnych drzwi. – Francuz przez

chwile się zastanawiał. – Niektórzy kupcy używają gwoździ do robienia schowków, w których przechowują swoje towary.

– Kupcy, którzy mogą handlować na zachodzie i wiedzą o Europejczykach podróżujących po pograniczu – zaryzykował Duncan. – Geodeci robiący zapasy.

– Czasem zatrudniają Indian z Ohio do pomocy w przewożeniu dóbr do zachodnich fortów i placówek handlowych. – Rideaux ponownie popatrzył na miasto. – Za jednym z magazynów Wallera znajduje się szopa, gdzie niektórzy z nich śpią, kiedy tu przebywają.

Duncan pochylił się i jednym z gwoździ narysował na ziemi figury, pięć geometrycznych symboli skopiowanych z drzewa, przy którym zabito Burke'a.

– Poznajesz je?

Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Sekretne znaki. Kod.

– Jezuiti i szpiedzy używają kodów – podkreślił Duncan.

– Często – zgodził się Rideaux. – Jednak jezuiti używają kodu alfabetycznego opartego na fragmencie Biblii. To jest coś zupełnie innego.

– To nie jest indiańska sprawa.

– Oczywiście, że nie. Europejska. Używają ich tajne stowarzyszenia. MASONI. Bractwa.

– Gdzie w Ameryce są masoni?

Rideaux ponownie wzruszył ramionami.

– W Nowym Jorku. Filadelfii. Wirginii.

Szopa, do której Rideaux i Moses zaprowadzili Duncana, była pełną przeciągów przybudówką wzniesioną przy magazynie za sklepem, który odwiedzili wcześniej. Znaleźli się o dwa kroki od przystani, do której przybijały łodzie podążające do osad w górze rzeki, w Wyoming. Kiedy Moses badał ciemne wnętrze, Duncan obserwował barkę powoli płynącą w górę rzeki. Szybkie kanu mogło w dwa dni dopłynąć stąd do Edentown, gdzie Sarah Ramsey i jej kompania szkockich robotników budowali nowe życie.

Moses wyszedł po chwili, prowadząc muskularnego Indianina, który używał rakiety do gry w lacrosse jako prowizorycznej kuli. Młodzian kłął, tuląc do piersi gliniany dzbanek z piwem, i chwiejnie dotarł do ławki pod ścianą. Puścił kulę i dotknął palcem wystrzępionej sakiewki przy pasie, ozdobionej lubieżnymi postaciami. Przesunął ją na plecy, siadając. Moses skinął na Rideaux i Duncana, aby podeszli.

– Ten grzesznik na początku twierdził, że nigdy nie słyszał o Ohio George'u – oznajmił z dezaprobatą Moses, gdy młody Indianin wlał sobie do gardła więcej piwa. – Powiedziałem mu, że w takim razie nie ma prawa do rzeczy zmarłego, które wcześniej upchnął pod swoją pryczą, i że chętnie weźmiemy ten dobytek na użytek Kościoła.

– On też jest Indianinem z Ohio? – zapytał Duncan.

– Czerwona Ręka jest Szaunisem znad zachodniej odnogi Susquehanny – rzekł Moses. – Znam go od małego. Jego rodzice zmarli i wzięliśmy go do misji, aby

mieszkał z nami, ale on wciąż uciekał do lasu. Zadaje się z grupą renegatów, w większości sierot, które uciekły od misjonarzy. Są gotowi pracować dla każdego, kto kupi im rum. – Potrześnął pijanym Szaunisem. – Zabiłś Ohio George'a? – zapytał.

Czerwona Ręka parsknął pijackim śmiechem.

– Nie miał żadnej rodziny – rzekł drwiąco. – Nikogo, kto mógłby złożyć skargę.

Te słowa, niemal równoznaczne z przyznaniem się, w pierwszej chwili zaskoczyły Duncana. Potem uświadomił sobie, że Czerwona Ręka mówił, iż w plemiennym świecie nie ma potrzeby wyjaśniać tego zabójstwa, ponieważ nie ma przed kim za nie odpowiadać.

Moses z zimną furią spoglądał na Szaunisa. Chrześcijańscy Indianie mieli zupełnie inny pogląd na morderstwo.

Duncan wszedł do przybudówki, pospiesznie oglądając wystrzępione futra wiszące na ścianach, wiązki cedrowych gałęzi używanych jako prycze, łuki bez cięciw i sfatygowane kije do gry w lacrosse stojące w kącie. Wziąwszy plecak ozdobiony wyblakłym wzorem koncentrycznych kręgów, który wystawał spod pryczy, zrobił krok w kierunku drzwi i przystanął. Kopniakiem odrzuciwszy na bok gałęzie, odkrył znacznie mniejszy, niezdarnie zrobiony plecak z kozłej skóry z podobnym wzorem.

Wyniósł oba na zewnątrz i rzucił pod nogi pijanego Szaunisa. Kiedy wysypał zawartość na ziemię, Indianin zaczął nucić coś cicho. Słowa, niezrozumiałe dla Duncana, zapaliły błysk gniewu w oczach Mosesa. Warknął coś do Czerwonej Ręki, który go zignorował. Wtedy, ku zdumieniu Duncana, chrześcijański Indianin spoliczkował pijanego tak mocno, że rozciął mu wargę.

– Ten Szaunis nie ma honoru! – prychnął Moses.

– Nie rozumiem. – Duncan przyjrzał się twarzom swoich towarzyszy, jakby szukając wyjaśnienia.

– Przywoływał mściwych bogów – wytłumaczył Rideaux, kiedy Czerwona Ręka zaśmiał się z Mosesa, a potem dotknął krwawiącej wargi. Z wyzywającym błyskiem w oczach własną krwią zaczął kreślić linie na swoim policzku.

– To święta rzecz przywoływać te duchy – rzekł Moses głosem nabrzmiałym wściekłością. – Niegodna kogoś, kto zabiłby własną matkę za kolejny dzban piwa.

– Co zrobisz, chrześ... cijaninie? – drwił z Mosesa Szaunis, przeciągając słowa. – Twój pan zabrania bić drugiego człowieka. Biegnij teraz i błagaj o przebaczenie. Twój biały bóg robi z ciebie kobietę! – kpił.

Kiedy mówił, z przybudówki wyszedł Rideaux, niosąc strzelbę.

– To zbyt kosztowna broń jak na kogoś takiego jak on – rzekł. – Była ukryta pod gałęziami przy ścianie.

Czerwona Ręka spochmurniał, gdy Rideaux wręczył broń Duncanowi. Była pięknej roboty, z misternie wyrzeźbionymi na kolbie inicjałami właściciela. WB. Podsunął kolbę pod nos Czerwonej Ręki.

– Zabiłś go? Zabiłś Winstona Burke a?

Czerwona Ręka w milczeniu sączył piwo z dzbana. Duncan przyglądał się broni, którą Moses zabrał i oparł o ścianę. To oznaczało, że jeden lub obaj renegaci przybyli z

Drogi Forbesa, prawdopodobnie ich śledzili i niewątpliwie ostrzegli Wallera. To oznaczało, że Samuel Felton okłamał Duncana.

Duncan czujnie obserwował mężczyznę na ławce, przeglądając jego dobytek. Para wystrzępionych mokasynów. Piłka do gry w lacrosse z włosiem sterzącym z głębokiego rozdarcia z jednej strony. Pęknięta forma do odlewania kul. Owalny kawałek drewna z kilkoma przyczepionymi nitkami. Szklana kulka o prawie calowej średnicy. Wiązka skórzanych pasków. Sześć długich gwoździ z pocieniowanymi główkami. Prymka tytoniu. Podniósł tytoń i powąchał. Nie był to miejscowy tytoń uprawiany przez plemiona ani tani z przydrożnego składu, ale szlachetny gatunek, jaki Winston Burke mógł przywieźć z domu w Wirginii.

Kiedy Duncan spoglądał na skromny dobytek zmarłego, Moses przejrzał rzeczy, a potem zajrzał do pustej sakiewki. Zobaczył pytającą minę Duncana.

– Żaden z naszych misjonarzy nie został zabity w trakcie posług duszpasterskich wśród plemion. Zaginęła jednak pewna kobieta, jedna z naszych nielicznych misjonarek, stara przyjaciółka rodziny Macklinów, która dwa lata temu wyjechała z Bethlehem do Ohio i nigdy więcej jej nie widziano. Szukamy jakiegokolwiek jej śladu. Wielbny wkrótce wyjeżdża na spotkanie ze starszyzną kościelną, aby przedyskutować wznowienie jej poszukiwań.

Mówiąc to, ponownie potrząsnął sakiewką. Na ziemię wypadł drugi, bardzo mały mieszek.

Kiedy Duncan go otworzył i przechylił nad ręką, na jego dłoń wypadły cztery srebrne guziki. Na dwóch była wyryta taka sama ryba jak na tych, które znalazł nad Monongahelą, a dwa pozostałe zdobiły skrzyżowane miecze.

– Martwemu Wirginijczykowi odcięto od kamizelki srebrne guziki – wyjaśnił towarzyszom.

Sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął guzik, który zabrał nieżyjącemu Burkeowi. Był identyczny jak te dwa z mieczami z sakiewki Ohio Georgea.

Potem Duncan zaczął wyciągać papiery z drugiej, mniejszej torby, którą znalazł ukrytą w przybudówce. Postrzępione listy od prawnika w Filadelfii do Francisca Townsenda z żądaniem zwrotu długu. Mały podniszczony Nowy Testament z nazwiskiem Townsenda na wewnętrznej stronie okładki. Wręczył go Mosesowi. Ulotka reklamująca publiczny pokaz eksperymentów doktora Franklina z naturalną błyskawicą, na której odwrocie widniał początek jakiegoś listu. *Droga Catherine, napisano starannym pismem. Ładna pogoda umożliwia szybką podróż. Z niecierpliwością czekam na powrót z wystarczającymi zasobami, aby zatrudnić cieśli.*

– Ten Townsend był w Shamokin więcej niż raz – rzekł Moses. – Ostatni raz jako geodeta zmierzający na Ścieżkę Wojowników. Udał się na zachód i nigdy nie wrócił. Sędzia pokoju wszczął dochodzenie, ale nie znaleziono po nim żadnego śladu.

Czerwona Ręka zaczął się śmiać.

– Jego również zabiłeś? – zapytał Duncan. – Czy zrobił to Ohio George?

– Nie my – zanucił Szaunis. – Powiedział, że to jego zadanie wymierzyć karę.

– Kto? Kto go zabił?

Czerwona Ręka pochylił się do przodu, kołysząc się, jakby miał zwymiotować.

– Byłem tam. Widziałem, jak zabił Townsenda. Widziałem, jak zadźgał Townsenda. – Szaunis zakręcił ręką nad swoją klatką piersiową. – Podpisałem papier, który o tym mówi.

– Kto? – krzyknął Duncan.

– Skanawati.

To imię wstrząsnęło nimi jak wystrzał z armaty.

– Z pewnością się my... – zaczął Duncan, ale nie zdążył dokończyć.

Indianin zerwał się, uderzył swoją prowizoryczną kulą w kolana Mosesa i kopnął w udo Rideaux, już nie taki pijany, jak się wydawało. Obaj mężczyźni upadli na ziemię, krzywiąc się z bólu. Duncan bez powodzenia próbował złapać Indianina i wylądował na ziemi, a Szaunis zniknął za rogiem magazynu.

Księżyc stał wysoko nad szeroką rzeką, kiedy Duncan odważył się wyjść z domu Morawian, pozostawiając pryczę przy palenisku, którą przydzielono mu po tym, jak Hadley i Van Grut zaoferowali się zostać z Mokie i Rideaux. Nie mógł spać, nie mógł zgłębić tajemnic, które go dręczyły, nie mógł nawet skupić na nich myśli z obawy o przyjaciela. Conawago znów zamknął się w sobie i opuścił chatę, mruklawie podziękowawszy za wieczorny posiłek, którym podzielili się z nim Morawianie, ale nie odzywając się słowem do Duncana.

Znalazł starego Indianina na skalnej półce sterczącej nad oświetloną światłem księżycą wodą i przez kilka minut siedział z nim w milczeniu.

– Musisz mnie uważnie posłuchać, Duncanie – powiedział w końcu Conawago. – Błagam cię, abys wziął pod uwagę moje słowa.

– Niczyje słowa nie są dla mnie ważniejsze – odpowiedział Duncan, nagle przerażony słabością w głosie przyjaciela.

– Musisz odejść. Wrócić do Edentown. Ukryć się gdzieś przed tymi, którzy chcieliby wtrącić cię do więzienia. Opuść to miejsce, idź dokądkolwiek, byle nie do Filadelfii, gdzie Ramsey cię zabije. Zostaw plemienne tajemnice plemionom.

Duncan musi go opuścić, mówił Conawago.

– Wiesz, że staram się pomóc zapobiec morderstwom, zapobiec egzekucji.

– Pomagasz jedynie zwiększyć ból.

Zaboląta go ta nagana z ust towarzysza i mentora, lecz nie potrafił znaleźć żadnej odpowiedzi.

– To, co powiedział ten Francuz o tym, że serca Indian różnią się od serc Europejczyków, to prawda. I nie możemy udawać, że jest inaczej.

W głosie Conawago słychać było przygnębiającą nutę rezygnacji.

– Widziałem małżeństwa Europejczyków i Indian tworzących razem rodziny – zapewnił Duncan napiętym głosem. – Morawianie przynieśli pociechę sercom niektórych członków plemion.

Lecz wypowiedziane przez niego słowa brzmiały nieprzekonująco. Na to, na co powoływał się Conawago, nie było żadnych kontrargumentów.

– Sprowadzisz więcej śmierci, Duncanie. Duchy mają swoje sposoby rozprawiania się ze złem. Martwię się, że im przeszkadzasz.

– Jest zbyt dużo śmierci – rzekł Duncan chrapliwym głosem. – Mój lud stał się jak liście na jesiennym drzewie. Nie chcę, aby leśne klany również wyginęły.

– Sądzę, że to, czego ty i ja chcemy, ma niewielkie znaczenie dla losu plemion.

Przez moment Duncan chciał zapłakać. Nie mógł znieść myśli, że to koniec życia, jakie zaczął zaledwie kilka miesięcy temu, koniec jego wędrówek z tym nadzwyczajnym starcem.

Siedzieli przez długi czas, wpatrując się w gwiazdy odbijające się w rzece.

– Powiesz mi jedną rzecz, Conawago? Co się stało dzisiaj w wodzie?

Przyjaciół wydał drżący jęk. Milczał tak długo, że Duncan przestał już oczekiwać odpowiedzi.

– Nigdy nie byłem tak głęboko w wodzie – rzekł wreszcie Conawago. – Nie jest jak lądowy świat. Tak zimno. Ciemno, jednak nie całkiem. Znalazłem przejście na drugą stronę.

Duncanowi zjeżyły się włosy na karku.

– Przejście?

– Moja matka tam była, Duncanie. Widziałem ją wyraźnie, wyglądała tak jak tamtego dnia, kiedy jako małego chłopca zabrano mnie od niej. Uśmiechała się i skinęła na mnie, żebym do niej przyszedł. Trzymała koszyk, jakby chciała razem ze mną pójść na jagody.

Duncan pojął sens tej wypowiedzi Conawago, która przeszła go jak lodowate ostrze.

– Nie umrzesz, przyjacielu. Przed tobą jeszcze wiele lat życia. Plemiona potrzebują cię bardziej niż kiedykolwiek. Ja cię potrzebuję.

– Moja matka mnie potrzebuje. Sądzę, że po drugiej stronie mają jakiś problem. Może to tam rozstrzyga się los plemion, może to tam mogę najbardziej się przydać. – Conawago odwrócił się do Duncana. – Tamtego dnia w Ligonier moim przeznaczeniem było umrzeć – dodał. – Byłem gotów przejść na drugą stronę. Ten mały chłopiec urodził się, aby zająć moje miejsce. Skanawati nie powinien się wtrącać. Sądził, że powinien mi pomóc, ochronić mnie ze względu na to, co ty i ja robiliśmy. Jednak on jest ważniejszy dla plemion niż jakiś pomarszczony stary Nipmuk. Oszukałem śmierć, nie widzisz? I przez to sprowadziłem śmierć na wodza, który jest dla tych ludzi jak święty, jedyne go wodza, który ma szansę poprowadzić nasz lud z powrotem do starych zwyczajów. W Ligonier śmierć została oszukana przez kłamstwo. Dzisiaj została oszukana przez zbieg okoliczności, przez to, że byłeś blisko. Źle jest oszukiwać duchy.

Nawet gdyby Duncan zdołał wymyślić jakąś odpowiedź, słowa nie przeszłyby mu przez ściśnięte gardło.

– Spotkamy się znowu, Duncanie. Odwiedzę cię z drugiej strony.

Indianin wstał i zszedł ze skały. Duchy pokazują się tylko członkom najbliższej rodziny, powiedział mu pewnego razu Conawago.

Łza spłynęła po policzku Duncana. Jakby wysłane przez świat duchów pojawiło się wielkie kanu i przybiło do znajdującej się poniżej kamienistej plaży. Jak we śnie patrzył, jak Conawago wsiada do łodzi, a czterech czerwonoskórych wioślarzy kieruje ją na srebrzyste wody.

Rozdział 10

Niemożliwe! – prychnął Rideaux. – Upieką cię żywcem!

– W takim razie wykrzyczę moje pytania ze stosu – odparował Duncan. – Tak czy inaczej, zobaczę się z rodziną Skanawatiego. – O świcie stanął przy drzwiach Francuza, szukając przewodnika. – Zachodnia odnoga, trzydzieści mil w górę rzeki.

Znużony i przygnębiony Rideaux gestem zaprosił go do środka na kubek brzozonej herbaty.

– I w czym oni mogą ci pomóc?

– Muszę wiedzieć, co Skanawati robił przez ostatnie tygodnie. Muszę wiedzieć, dlaczego jego przybrana siostra i jej świeżo poślubiony małżonek zostali wysłani do zachodniego drzewa granicznego. Muszę wiedzieć, dlaczego Skanawati wysłał ludzi, aby zbadali stare oznakowania na Ścieżce Wojowników. Czego zamierzał się dowiedzieć od tamtejszych duchów.

Duncan nie śmiał wyjawić najważniejszego powodu. Poprzedniej nocy jeszcze przez godzinę siedział nad rzeką, obserwując cienie tam, gdzie zniknął Conawago, i rozmyślając o tym, że wszyscy Indianie w kanu pochodzili z wioski Skanawatiego. Ponownie rozpatrywał każdy kawałek układanki. W końcu zrozumiał, że Irokez został zmuszony do popełnienia aktu przemocy, ponieważ jego matka miała sen.

– Sam będę wiosłował, jeśli nie uda mi się znaleźć pomocy – zaklinał się Duncan.

– Nie sam – rozległ się głos z ciemności.

Van Grut usiadł na poślaniu.

– Głupcy! – Rideaux stracił panowanie nad sobą. – Każdy, kto zgodzi się być twoim przewodnikiem, stanie się wrogiem klanu Skanawatiego. Nic o nich nie wiesz, o udrękach, jakie przecierpieli. Nikt nie może zagwarantować ci bezpieczeństwa.

– Wczoraj pytałeś, jak możesz pomóc.

Rideaux na moment ukrył twarz w dłoniach.

– Wieści o nagrodach rozchodzą się jak pożar lasu, McCallum – rzekł, podnosząc głowę. – Trzydzieści funtów to zawrotna kwota. Kupiec z Lancasteru przyniósł tę wiadomość zeszłej nocy. Zostań w pobliżu Shamokin, a jeśli nie wykończą cię zabójcy, to z pewnością złapią łowcy nagród. Trzydzieści funtów rozwiązałoby większość problemów wioski Skanawatiego – ostrzegł.

– Pytałeś, jak możesz pomóc – powtórzył Duncan.

– Twój upór cię zabije – westchnął Rideaux. – Dam ci zapasy i kanu. Moi ludzie już szukają Czerwonej Ręki. Udał się na południe.

– Rzeką?

– Szlakiem w kierunku osad. Tulpehocken. Reading. Ukradł konia. Jedzie szybko.

– Co jest za Reading?

– Droga do Filadelfii – rzekł Rideaux, mając złe przeczucia.

Van Grut zaczął upychać swój dobytek w plecaku.

– To zbyt niebezpieczne – powiedział Duncan do Holendra.

– Jeśli nie powiesz im, że jestem geodetą, ja nie powiem, że za twoją głowę jest nagroda – rzekł Van Grut z niepewnym uśmiechem.

Duncan posłał mu ponury uśmiech i gestem wskazał śpiące postacie między psem a osieroconym niedźwiedziem, który przytulił się do dziewczynki.

– Powiedz Hadleyowi i Mokie, żeby tu na nas poczekali – rzekł do Francuza.

Kiedy nieśli kanu do wody, ze ścieżki spośród olch wyszła wysoka postać.

– Jeśli tam popłyniecie, to, co zobaczycie, będzie przez lata nawiedzać was w koszmarach – ostrzegł ich Moses.

Van Grut zawahał się i pobladł, patrząc na morawiańskiego Indianina. Moses wydawał się teraz dzikszy, a przynajmniej mniej cywilizowany. Poprzedniego dnia był jednym z wielu Indian w misji, ale teraz bardziej przypominał krzyżowca.

– Nie pozwolę, żeby powieszono Skanawatiego – rzekł Duncan, idąc za Holendrem do kanu. – Są sekrety, które zna tylko jego rodzina, tajemnice, które mogą go uratować.

– Ta wioska prawie wymarła. Wkrótce nie będzie jej wcale – westchnął Moses, robiąc krok w stronę ich łodzi.

Duncan uświadomił sobie, że to jedyne wyjaśnienie, jakiego mogli oczekiwać od Indianina. Nie mówiąc nic więcej, Moses zepchnął kanu z brzegu i wskoczył do środka.

Gdy słońce wznosiło się na niebie, ciężko pracowali, walcząc z prądem zwężającej się rzeki, wiosłując zawzięcie, zapuszczając się w pustkowia, które plemiona nazywały bezkresnymi górąmi. Było wczesne popołudnie, gdy Moses skierował kanu do północnego brzegu. Duncan nie widział żadnych osiedli, ale z ulgą spostrzegł rząd wyciągniętych na brzeg łodzi, wśród których znajdowała się ta, w której poprzedniej nocy odpłynął Conawago.

Przeszli zaledwie pięćdziesiąt kroków po wydeptanym szlaku biegnącym wzdłuż płytkiego strumienia, kiedy Moses przystanął. Zdawał się wyczuwać coś, czego nie umieli wyczuć jego towarzysze. Wydłużyła mu się mina.

– Tego obawiałem się najbardziej. To nie jest dobry dzień, żeby tu przybyć. Musimy odejść i rozbić obozowisko aż do jutra.

– Jego rodzina jest tutaj czy nie? – zapytał Duncan.

W oddali słyszał teraz dźwięk, który wcześniej zaskoczył morawiańskiego Indianina: ciche i miarowe bicie bębna.

Moses melancholijnie skinął głową.

– Dzisiaj jest tu zbyt wielu zmarłych.

Van Grut spowaźniał i wycofał się kilka kroków w dół szlaku, zanim zobaczył zdeterminowaną minę Duncana. Skrzywił się, sprawdził panewkę strzelby i przepchnął się obok Mosesa, aby pójść za Duncanem w górę szlaku.

Wyszli na skraj dużego pola rozciągającego się przypięciu długich domach otoczonych walącym się palisadowym płotem. Wioska wyglądała na opuszczoną, tylko nędzny kundel zaszczekał na nich i uciekł. Duncan powoli ruszył w kierunku budynków, daremnie wypatrując innych oznak życia. Van Grut nerwowo podniósł broń, kiedy przechodzili przez bramę ze spróchniałych kłód. Tłące się przed jednym z długich domów ognisko słało w niebo smugę dymu. Jedynym widocznym teraz żywym stworzeniem był samotny kruk na wieży wartowniczej.

Duncan przystawał przy wejściu do każdego długiego domu. Dwa, z ziejącymi dziurami w dachach pokrytych wiazową korą, wyglądały na opuszczone. W pozostałych znajdował się skromny dobytek ubogich ludzi, ułożony przy paleniskach zarezerwowanych dla poszczególnych rodzin. Na kołkach we wspornikach dachu wisiały wystrzępione ubrania. Obok spróchniałej beczki z wodą leżały grzechotki z wysuszonej, pozginanej kory. Na sznurkach przywiązanych do krokwi obok udźców dziczyzny wisiały suszone jabłka. Brzozowe wiadra z pokrywkami z kory były oblepione ociekającym syropem klonowym wysoko cenionym przez Irokezów. Na ziemi leżała obszarpana lalka z liści kukurydzy, sprytnie owiniętych i zawiązanych. W największym budynku wymarłej wioski większość dobytku najwyraźniej owinięto w koce i związane skórzanymi paskami, jakby przed podróżą. W oddali, za drugą bramą, ciche dudnienie bębna było jak bicie serca.

Widząc cień na ścianie, Duncan błyskawicznie się odwrócił, podnosząc broń. Moses podniósł rękę, jakby chciał go powstrzymać.

– Ta wioska w zeszłym roku wiele wycierpiała, straciła wiele dzieci i starszych. Pola nie są już żyzne. Ludzie zaczęli się przenosić do nowej wioski, ale najpierw muszą się pożegnać.

Nadal nie rozumiejąc, Duncan powoli podszedł do odległej bramy, przystając, by popatrzeć na milczącego kruka, który zdawał mu się uważnie przyglądać. Wreszcie na równinie poniżej wioski zobaczył jej mieszkańców, nie więcej niż pięćdziesięcioro mężczyzn, kobiet i dzieci. Wydawali się poruszać w monotonnym rytmie, pochylając się, podnosząc i kopiąc, podczas gdy jeden z nielicznych młodych mężczyzn uderzał w wielką wydrążoną kłodę.

– To starożytny obyczaj – wyjaśnił Moses. – Wielu Irokezów go zarzuciło, ale Skanawati nalegał, aby przestrzegali go w tym roku. Łatwiej jest, kiedy używa się platform, ale to nie leży w zwyczaju tych klanów. Czekali na powrót Skanawatiego, ale wiedzą, że nie mogą dłużej czekać, jeśli chcą obsiać pola w nowym miejscu.

Van Grut osłonił ręką oczy, usiłując lepiej zobaczyć mieszkańców wsi.

– Chryste w niebiesiech! – jęknął, gdy w końcu pojął, na co patrzą.

Indianie wykopywali swoich zmarłych.

– To podniosła uroczystość – kontynuował Moses. – Przypomina się imiona zmarłych. Ich kości zostaną wyczyszczone i troskliwie zapakowane, po czym

przeniesione do nowego zbiorowego grobu. Zmarłym zostaną złożone dary. Musi nastąpić ostatnie rozstanie, ponieważ zmarli nie będą już w zasięgu głosów kobiet i śmiechu dzieci. Skanawati pomógł wykopać nowy grób, zanim odszedł, a przez całą zimę pomagał zastawiać sidła i gromadzić futra, aby obłożyć nimi grób.

- Skąd o tym wiesz? – wyszeptał Duncan.
- Mój brat poślubił kobietę z tej wioski.
- Jest tutaj?
- Zginął, walcząc z Brytyjczykami w Forcie Niagara.

Duncan nie usłyszał żadnego powitania, gdy się do nich zbliżył, pozostawiwszy broń i plecak przy bramie. Podchodząc, uświadomił sobie, że zna dobosza. Johantty, pokryty sadzą, zmarszczył brwi na widok Duncana. Najstarsza z kobiet, najwyraźniej przywódczyni wioski, zerwała się z miejsca i zaczęła krzyczeć na Duncana. Nie rozumiał słów, lecz jej gesty były zrozumiałe. Wszyscy się wyprostowali i spojrzeli na Duncana. Jeden mężczyzna podniósł żelazną łopatę jak broń, inny uniósł zaostrowany kij, którego używał do wruszania ziemi. Nagle energiczny głos coś do nich zawołał i niedoszli napastnicy zawahali się, gdy Johantty zostawił bęben i pobiegł do kobiety, wskazując na Duncana i mówiąc coś cicho, pospiesznie. Kobieta zmarszczyła brwi, a potem wypowiedziała kilka cichych słów, po których Indianie znów zajęli się swoim ponurym rytuałem.

– Kamienny Kwiat. Od kilkudziesięciu lat jest niekwestionowaną przywódczynią wioski – wyjaśnił stojący obok Duncana Moses.

Duncan z niepokojem patrzył, jak Moses wychodzi naprzód i wygłasza cichy, żarliwy apel do twardej, wiekowej kobiety. Znów zmarszczyła brwi, ale nie sprzeciwiła się, gdy Morawianin zaczął pomagać w układaniu starych kości w futrzanych zawiniątkach. Chociaż atmosfera była ponura, to jednak nie całkiem smutna, bardziej przypominała spotkanie starych przyjaciół, którzy wiele wycierpieli, od kiedy widzieli się ostatnio. Jedynymi osobami, które wyglądały na poruszone, były kobiety odkrawające nożami mięso z kości pochodzących z najświeższych grobów. Duncan zacisnął zęby i podszedł do nich z ręką na rękojeści własnego noża.

– Powiedz im, Moses – rzekł. – Powiedz im, że w moim kraju jestem uważany za przyjaciela zmarłych.

Kobiety się cofnęły, patrząc czujnie, pozostawiając swoje zajęcie Duncanowi. To niczym się nie różni od pracy ze zwłokami na edynburskiej uczelni, powiedział sobie, przecinając nożem pierwsze włókna mięśni.

Patrzył, jak Van Grut odsuwa się, gotowy w każdej chwili rzucić się do ucieczki, a Indianie obserwują go gniewnie i podejrzliwie. Kiedy Duncan skinął na niego, Van Grut przysunął się do niego bokiem, wyraźnie się brzydząc. Duncan podniósł się i zaczął mu szeptać do ucha.

- Van Grut westchnął ze zniechęceniem, gdy usłyszał propozycję Duncana.
- Zrób to – rzekł Duncan – albo wracaj do kanu. To nie miejsce dla widzów.
 - Nie wystarczy mi papieru – zaprotestował Van Grut.
 - Rysuj małe postacie.

Holender westchnął i sięgnął do plecaka.

Po dziesięciu minutach Duncan odłożył nóż i zwrócił się do Kamiennego Kwiatu:

– Znasz angielskie słowa? – zapytał.

– Trochę – niechętnie odparła kobieta. – Mój syn Skanawati mnie uczy.

Duncan zamilkł, ale zaraz zrozumiał, że nie powinno go dziwić, że kobieta będąca przywódczynią wioski jest zarazem matką Skanawatiego.

– Duchy kierują rękami mojego przyjaciela – rzekł. – On chce pomóc wam pozostawić trochę was utraconym bliskim.

– Przygotowaliśmy już dla nich dary – powiedziała zbita z tropu kobieta. – Już od świtu odmawiano dawne modlitwy nad ich nowym grobem.

Duncan zobaczył, że Holender podchodzi do nich, wrywając kartkę z notatnika. Kobieta z wahaniem wzięła ją od niego i krzyknęła ze strachu, gdy zobaczyła swój portret. Rzuciła kartkę na ziemię i zaczęła mamrotać coś, co brzmiało jak klątwa.

Moses nagle stanął obok Duncana i przemówił do niej uspokajającym tonem. Ochłonęła, pochyliła się i ostrożnie dotknęła rysunku. Jakaś młodsza kobieta też się nad nim nachyliła, zrobiła wielkie oczy i podniosła go z okrzykiem podziwu.

– W tych plemionach czasem pali się czarownice, tak samo jak w starej Europie – rzekł Moses. – Kamienny Kwiat zawołała, że to czary, ale powiedziałem jej, że nie, to duchy przemawiają przez tego obcego, który przybył z za wielkiej wody, żeby uhonorować wioskę Skanawatiego. Powiedziałem, że on robi tatuaż jej wspomnienia, aby go zostawić jej ukochanym.

Duncan z wdzięcznością skinął głową. Nauczył się szanować chrześcijańskich Indian nie tylko za ich duchowe męstwo, w którym często przewyższali Europejczyków, ale także za zręczność, z jaką poruszali się pomiędzy dwoma światami.

Teraz praca posuwała się szybciej i przenoszono kolejne duchy, gdy Van Grut sporządzał jeden portret po drugim. Młode dziewczęta poszły do wioski i przyniosły kukurydziany chleb, wędzonego węgorka i garnki ze źródlaną wodą. Gdy inni jedli, Duncan poszedł do nowej zbiorowej mogiły, kierując się zapachem palonego tytoniu i innych ziół.

Conawago siedział z podwiniętymi nogami na kocu, kołysząc się i modląc, aby uświęcić nowy grób. Duncan usiadł na głazie w cieniu sasafrasu i patrzył, a Nipmuk najwyraźniej nie wiedział o jego obecności. Jego łagodny głos działał jak balsam na znużone, obolałe ciało Szkota. Nie wiedział, jak znajdzie siłę, aby nadal podążać tą zdradliwą ścieżką bez Conawago u boku, ale przynajmniej teraz jego przyjaciel znalazł się tam, gdzie było jego miejsce, zastępując Skanawatiego jako ojca, którego wioska utraciła.

W końcu Duncan uświadomił sobie, że jest głodny jak wilk, i wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Zjadł wielką porcję węgorka z chlebem kukurydzianym, a potem pomógł Indianom zawijać ostatnie kości w futra, gdy Van Grut kończył ostatni rysunek.

Usłyszał nowy ton w głosach Indian, nowe napięcie, i zobaczył, że teraz zwracali się do wiązek kości, żegnając się z nimi przed zawiązaniem węzłków, wsuwając między nie rysunki sporządzone przez Holendra. Łzy lały się obficie i niektóre kobiety tuliły węzłki do piersi, szepcząc swym dzieciom ostatnie matczyne słowa.

W końcu pochód powoli ruszył ścieżką do mogiły na brzegu rzeki.

– Jestem ci wdzięczny, McCallum – powiedział cichy głos obok niego. Moses posepnie obserwował idących rzędem żałobników. – Każdy znany mi Europejczyk, który zetknął się z tym zwyczajem, brzydził się i potępiał go jako barbarzyństwo. Ja zawsze uważałem, że to bardzo cywilizowany obyczaj. Znam chrześcijan, którzy błogosławią nowe domy, ale zawsze mi się wydawało, że lepiej święcić domy przodków. Jeśli nie będziemy szanować tych, którzy odeszli przed nami, jak możemy szanować siebie?

Duncan, przytakując skinieniem głowy, przypomniał sobie inny cmentarz, własnego klanu, rozkopany i zbezczeszczone przez angielskich siepaczy. Powiesili na drzewie ciało wuja uznanego za zdrajcę i zniszczyli większość nagrobków. Jednak jego rodzice i dziadkowie poradzili sobie z tym, wykopując nowe groby i gromadząc cały klan – wbrew angielskiemu prawu – na ich ponowne poświęcenie.

Nie była to odpowiednia chwila na zadawanie Indianom pytań, które tak bardzo chciał im zadać. Musi minąć kilka godzin.

– Dokąd pójda? – zapytał Mosesa. – Gdzie jest ich nowa wioska?

Morawianin ostrzegawczo zmrużył oczy.

– Nie pytaj ich. Są ukryte doliny na terenach, których nie ma na mapie. Skanawati chce, żeby przebywali daleko od angielskiego rumu i angielskich kupców. Poprosił mnie, żebym odwiedził ich z kilkoma Delawarami od Rideaux i nauczył jego lud zapisywać dźwięki na papierze. Chce, by jego wioska zapisała wszystkie dawne opowieści i imiona wszystkich starych duchów.

– Wierzysz, tak jak Rideaux, że członkowie tego plemienia mają niezepsute dusze?

Moses przez długą chwilę się zastanawiał.

– Wierzę, że wielu Europejczyków zagubiło drogę serca.

– Zgubili swoje prawdziwe skóry.

Te słowa same wyrwały się z ust Duncana.

Moses skinął głową.

– Miałeś dobrego nauczyciela.

Duncan spojrział na ścieżkę wiodącą do nowego grobu, przy którym wciąż śpiewał Conawago. W tym momencie niczego bardziej nie pragnął, jak wymknąć się ze starym Nipmukiem do jednej z ich górskich kryjówek, zostawiając cały świat za plecami.

Kiedy w końcu wrócił do nowego grobu, podążając za powolną, mamroczącą procesją, Kamienny Kwiat siedziała obok Conawago. Umieszczając kolejne zawiniątka w szerokiej dziurze wyłożonej futrami i mchem, podnosili je ku niebu i wypowiadali imię zmarłego, czasem dwu- lub trzykrotnie, zanim położyli szczątki wraz z darami, które miały być zakopane razem z nimi.

Duncan zobaczył mocno wytatuowaną staruszkę sięgającą po węzełek z białego futra, w które owinięto pierwszy zestaw kości, jakie oczyścił. Znalazł miejsce za nią i usiadł, aby słuchać, gdy podniosła zawiniątko i zaczęła mówić. Jej słowa wywołały nowe lamente Indian i wielu zaczęło odmawiać własne modlitwy. Kiedy skończyła i szykowała się do umieszczenia kości na niedźwiedziej skórze na środku zbiorowego grobu, ostatni raz je podniosła i zawołała:

– Skanawati! Skanawati! Skanawati!

Dreszcz przebiegł Duncanowi po krzyżu. Rozejrzał się, usiłując zrozumieć. Skanawati był w rękach sędziego, czekając na powieszenie. Skanawati przez sześć ostatnich miesięcy przebywał w Shamokin na północnych ziemiach, a jednak Czerwona Ręka twierdził, że wódz był na zachodzie i zabił geodetę. A teraz Skanawati był chowany jako zmarły przed wieloma miesiącami.

Gdy Indianie poukładali garnki, noże i grzebienie będące pożegnalnymi darami dla zmarłych i zaczęli zasypywać grób, Duncan zwrócił się do Mosesa:

– Pytam ciebie, przyjacielu. Wyjaśnij mi, jak Skanawati może przebywać jednocześnie w tylu miejscach.

– Skanawati był zawsze – odparł enigmatycznie Moses. Potem zobaczył udręczoną minę, z jaką Duncan spoglądał na węzełek z białego futra znikający pod warstwą ziemi. – Może jest coś, czego powinieneś się dowiedzieć o wodzach należących do Wielkiej Rady. Kiedy ktoś zostaje do niej wybrany, przyjmuje jedno ze starych imion.

Duncan przez moment rozważał te słowa.

– Mówisz, że Skanawati przetrzymywany przez sędziego pokoju nosi to imię zaledwie od paru miesięcy?

– Niecały rok. Stary wódz umarł na ospę i tytuł otrzymał jego siostrzeniec, który przez wiele lat przygotowywał się, żeby przejąć te obowiązki.

Duncan gorączkowo myślał. Wódz oczekujący egzekucji nie mógł zabić pierwszego geodety, Townsenda, lecz poprzedni Skanawati mógł to zrobić.

– Jaki on był, ten poprzedni wódz?

– Był wielkim i szlachetnym wojownikiem, jak nakazywał mu obowiązek. Kamienny Kwiat mówi, że istnieje esencja duchowa przechodząca od jednego Skanawatego do następnego.

Duncan w końcu sformułował najważniejsze pytanie:

– A kto był nieprzyjacielem ostatniego wojennego wodza?

Moses nie odpowiedział, tylko spojrział na starą kobietę, która – co Duncan teraz zauważył – przysłuchiwała się ich rozmowie.

– Spotkaliśmy Skanawatego na starym szlaku – wtrącił znajomy głos. Zerknąwszy niespokojnie na Duncana, Conawago usiadł obok staruszki. – Mówiliśmy i słuchaliśmy.

W oczach kobiety zapalił się błysk, jakby radosnego oczekiwania.

– Wiedziałam tylko o tym, że znasz dawne modlitwy. Johantty nie mówił mi, że to ciebie mój syn spotkał na szlaku!

Duncan w pierwszej chwili nie pojął, gdy wskazała na ramię Conawago, lecz jego przyjaciel zrozumiał. Rozpiął guziki i zsunął koszulę z ramienia. W milczeniu patrzyła na znak gońców świtu, a na jej twarzy pojawił się taki sam podziw jak u Skanawatego, kiedy spotkali go na szlaku.

– *Jiyathondek!* – zawołała nagle dostatecznie głośno, by wszyscy ją usłyszeli. – *Hearken!*

Po chwili kilkunastu mieszkańców wioski tłoczyło się wokół, z takim samym podziwem spoglądając na tatuaż. Kobieta zawołała Johantty ego i dudnienie przycichło na moment, gdy dobosze zmieniali się przy bębnie.

– Johantty i jego wuj, Johantty i Skanawati znaleźli to, co uważają za początek ścieżki gońców świtu – oznajmiła, znowu spojrzawszy na tatuaż Conawago, podniecona tym doniosłym odkryciem.

Jego wuj. W świecie Irokezów wuj był znacznie ważniejszą osobą w życiu chłopca niż ojciec. Johantty stał u boku wodza w Ligonier i od tamtej pory odgrywał istotną rolę w każdym akcie tego dramatu. Skanawati go przygotowywał.

– Powiedz im – poleciła młodzieńcowi staruszka.

– Skały jak... – odwrócił się i zadał pytanie Conawago, który odpowiedział szeptem – ...jak komin. Symbole zwierząt wyryte na skałach pod znakiem wschodzącego słońca.

– Olbrzymie bawełniane drzewo po drugiej stronie polany – wtrącił Conawago, a Johantty z podnieceniem skinął głową.

– Skanawati był jak chłopiec, kiedy wrócił tamtego dnia – ciągnęła kobieta. – To był znak. Poszedł do Wielkiej Rady w Onondaga – wyjaśniła, mówiąc o stolicy Konfederacji. – Powiedział, że teraz możemy powiedzieć Europejczykom nie.

– Nie? – zapytał Duncan.

– Nie. Nie na wszystko.

Duncan zrozumiał, że to był początek wysiłków wodza chcącego, by jego lud powrócił do swoich tradycji.

– Co się stało?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Tamtej nocy mówił godzinami i przekonał wielu wodzów. Jednak następnego dnia przybyli brytyjscy kupcy z nowymi strzelbami, rumem i belami czerwonej wełny. Kiedy wrócił, powiedział, że źle zrozumiał ten znak, który był przeznaczony tylko dla naszej wioski. Dlatego przenosimy się, aby być bliżej dawnych świętych miejsc.

Gdy Johantty pochylił się z drewnianym szpadlem, aby rzucić ostatnią bryłę ziemi na grób, zakłósały się w powietrzu przedmioty, które nosił na szyi: woreczek z amuletem oraz coś, co było zawieszane na osobnym rzemyku i czego Duncan wcześniej nie widział. Przypomniawszy sobie wrażenie, że długie włosy dotykają jego karku tamtego wieczoru, kiedy Johantty na niego napadł. Wówczas założył, że były przyszyte do amuletu. Teraz zobaczył, że był to inny przedmiot, kawałek drewna z przyczepionymi nitkami, a nie włosami. Identyfikacja widział poprzedniego dnia wśród rzeczy ukradzionych przez Ohio Georgea.

Kiedy Johantty skończył, Duncan wskazał ten dziwny naszyjnik.

– Ty go zrobiłeś?

Młodzieniec pokręcił głową.

– Magiczny pajak. Tańczy w zimie.

Nie pojmując, Duncan ostrożnie wyciągnął rękę. Johantty pozwolił mu dotknąć naszyjnika. Był niewiarygodnie lekki. Teraz Duncan zobaczył, że nie było to drewno, lecz owalny kawałek korka, a nitki były jedwabne.

– Skąd go masz?

Odpowiedziała mu Kamienny Kwiat:

– Jego wuj przyniósł go z osad. Tam podarował mu go przyjaciel, żeby Johantty o nim pamiętał.

– Z osad? Mówisz o Shamokin?

Pokręciła głową.

– Z miasta kwakrów.

– Dlaczego? – pospiesznie spytał Duncan, wiedząc, że znów otarł się o tajemnice granicznego szlaku. – Po co wódz Wielkiej Rady udał się do Filadelfii?

Kamienny Kwiat popatrzyła na nowy grób.

– Podoba mi się, że słyhać tu szum rzeki. Ona śpiewa na głazach.

Jest niezgłębiona jak stary mnich, pomyślał Duncan. Spojrzał na odchodzących mieszkańców wioski. Ujrzał smutek, ale nie rozpacz. Wszędzie wokół, w tej osadzie wykazującej najmniej europejskich wpływów ze wszystkich, jakie widział, panowała harmonia, jakiej nie doświadczał, od kiedy opuścił wyżyny Szkocji. Kobieta wstała i poszła ku otoczonemu palisadą miastu, a Johantty dołączył do kilkorga dzieci siedzących na zboczu poniżej i zaczął coś do nich mówić, pokazując na niebo. Słońce szybko zachodziło.

– Skanawati kazał temu młodzieńcowi przez rok brać udział w posiedzeniach Wielkiej Rady – rzekł stojący za Duncanem Moses. – Johantty codziennie godzinami siedział ze starcami i starymi kobietami, słuchając ich opowieści o rytuałach i imionach dawno zmarłych wodzów. Skanawati pokładała w nim wielkie nadzieje.

W wiosce zrobiło się cicho, gdy słońce zaszło, a mieszkańcy zebrali się przy ogniskach. Przy największym z nich niewielka grupka Indian z Kamiennym Kwiatem nadal modliła się do duchów. Dwie godziny później, kiedy skończył się wieczorny posiłek i inni mieszkańcy wioski położyli się na posłaniach, Duncan podszedł do siedzącej przy ognisku staruszki, rzucając na ziemię przed nią przedmiot, który wyjął z plecaka.

Kobieta w pierwszej chwili nie zareagowała na widok brudnego i pogniecionego mokasyna. Wyglądał jak coś pięknego, lecz martwego, jak zeschnięty leśny kwiat.

– Została zabita razem ze swoim nowo poślubionym mężem przy granicznym drzewie nad krwawą wodą – zaczął Duncan. – Myślę, że zaczęła usuwać gruz, pod którym było ukryte jedno ze starych świętych miejsc.

– Babka mojej babki – powiedziała w końcu kobieta – i wszystkie babki przed nią uczyły nas, że takie miejsca to korzenie trzymające nasz lud na ziemi, tak jak... –

spojrzała na siedzącego w pobliżu Mosesa, szukając pomocy – ...jak ciężar przytrzymujący łódzie w miejscu.

– Kotwica – odpowiedział Moses.

– Jak kotwica, która zapewnia nam bezpieczeństwo w każdą pogodę. Przez wieki dbano o te świątynie i nasz lud żył w jedności z duchami ziemi. To moja wina oraz moich braci i sióstr, że za naszego życia święte miejsca zostały zapomniane, a dzieci i wnuki przestały się nimi interesować i opiekować.

– Posłałaś swoją przybraną córkę, żeby oczyściła świątynię – powiedział Duncan.

– Była jedną z niewielu, które chciały się nauczyć dawnych zwyczajów. – Kobieta ze smutkiem spojrzała na mokasyn. – Już czas, żebyśmy poszli dalej. Zbyt wiele naszych pąków uschło, zanim zdążyły rozkwitnąć. – Obróciła się do Duncana. – Wzięli chrześcijański ślub w Shamokin, ze względu na jej męża, po ceremonii zaślubin w naszej wiosce. Była wielka uroczystość. To wtedy Skanawati i ja dowiedzieliśmy się, że wyrusza z mężem na odległy koniec Ścieżki Wojowników. – Kobieta spojrzała najpierw na Mosesa, a potem na Conawago, zanim znów zwróciła się do Duncana: – Sądziłyśmy, że jeśli zdołamy otworzyć stare świątynie i zawiadomimy Wielką Radę, że zostały odnalezione, wszyscy wielcy wodzowie znajdą w sobie siłę, żeby zaprzestać sprzedaży naszych ziem.

Kamienny Kwiat podniosła mokasyn i na próżno próbowała zetrzeć plamy z jasnej jeleniej skóry.

– To ja zrobiłam je dla niej w zimie. Wychodziłam spod koców w środku nocy i robiłam je, żeby nie widziała. Przy ognisku w śniegu nuciłam nad nimi stare pieśni, żeby przyniosły jej szczęście.

Łza spłynęła jej po policzku i spadła na mokasyn.

Duncan spojrzał na jej udręczoną twarz.

– Babko, ilu z waszej wioski posłaliście na poszukiwanie tych dawnych świętych miejsc? – zapytał po chwili.

– Troje. Tych trzech, którzy najwięcej lat spędzili, ucząc się dawnych zwyczajów. Potem poszła moja córka z mężem. Wszyscy odeszli. Kiedy mój syn powiedział mi o śmierci pierwszych dwóch, uznałam, że widocznie duchy potrzebowały ich po drugiej stronie bardziej niż my tutaj. Rzekł, że to może być prawdą, ale może również oznaczać, że ktoś nie chce dopuścić do ponownego otwarcia dawnych świątyń przy Ścieżce Wojowników. Nie wierzyliśmy w to, co ci wszyscy głupcy mówili, że te kawałki metalu są resztkami ich dusz. Powiedział, że jesteśmy winni im zadośćuczynienie, że powinniśmy dotrzeć do nich po drugiej stronie.

A przecież zadośćuczynienie zapewniają winowajcy. Duncan jednak wiedział, że nie może domagać się od staruszki wyjaśnienia. Gdy próbował zrozumieć jej słowa, znajomy głos rozwiązał ten problem.

– Skanawati jest jednocześnie wodzem czasu wojny i pokoju – przypomniał mu Conawago.

Duncan nie wiedział, jak długo przyjaciel przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Nasz Skanawati ma w sobie więcej pokoju. Może jego wuj miał więcej wojny.

Dzień spędzony ze zmarłymi uspokoił Conawago. Nadal był nieobecny duchem, lecz niepokój i dziwna tęsknota już znikły z jego oczu.

Kamienny Kwiat skinęła głową i następna łza spłynęła jej po policzku. Duncan nagle wrócił myślami do słów wypowiedzianych przez Czerwoną Rękę i patrząc na starą kobietę, zrozumiał, że renegat zapewne mówił prawdę. Poprzedni Skanawati, który umarł na ospę rok wcześniej, zabił pierwszego geodetę. Indianie może nie kontynuowali zabójstw na granicy, ale mogli je rozpocząć, co było na rękę nieznanemu spiskowcowi.

– Duchy, których potrzebujemy, nie są tymi, które budzi się krwią – powiedziała udreńczonym głosem staruszka.

Siedzieli w milczeniu. Moses nazbierał więcej drewna i dołączył do nich, gdy patrzyli, jak iskry mieszają się z gwiazdami. Kumkały wiosenne żaby.

– Kiedy zginął pierwszy geodeta, czy wiedzano o tym w Shamokin? – zapytał Duncan.

– Nie rozumiem – odparła Kamienny Kwiat.

– Zabójcy starają się, żeby wyglądało na to, iż zabójstw dokonali Irokezi z Shamokin.

Odpowiedział mu Moses:

– Ekwipunek geodety. Jeden z wojowników poprzedniego wodza sprzedał go w Shamokin za rum. Kiedy się upił, nie omieszkał powiedzieć, co on i jego wódz zrobili, zabijając wroga całego narodu.

Kamienny Kwiat wstała i znikła w najbliższym długim domu, aby po chwili wrócić i rzucić Duncanowi na kolana coś owiniętego w jelenią skórę.

– Miałam to spalić – powiedziała. – Jest splamione.

Odwinął skórę i odkrył elegancką drewnianą szkatułkę z rodzaju tych, jakie są przeznaczone na biżuterię lub pamiątki. Była pięknej roboty, z intarsjowanym wzorem diamentów z przodu. Na wieku niezdarnie wydrapano jednak symbol żółwia. Na dnie widniały inne znaki – duże i starannie wycięte litery. F. TOWNSEND 1756.

Gdy Duncan miał zadać kolejne pytania, od nowego grobu dobiegł ich cichy pomruk. Ktoś bił w bęben z wielkiej wydrążonej kłody.

– Johantty powiedział, że musisz dołączyć do niego po wschodzie księżyca, żeby zaśpiewać zmarłym.

Kamienny Kwiat pokazała ciemny kształt na skraju kręgu. Conawago przyniósł jego plecak z dudami.

Duncan poważnie pokiwał głową.

– Czy możesz mi powiedzieć, kiedy Skanawati się dowiedział, że ma negocjować nowy traktat?

– Już był na szlaku – odparła matka wodza. – Stary Pas posłał za nim gońca z tą wiadomością. Johantty jest jednym z naszych najszybszych biegaczy. Mimo to Skanawati był już daleko na zachodzie.

– Jednak Skanawati przebywał tutaj, przygotowując rytuały, szykując się do przenosin.

Duncan nie śmiał bardziej zgłębiać snu, który spowodował zmianę planów wodza. Kamienny Kwiat długo spoglądała w ogień.

– Nie znam cię dostatecznie dobrze – powiedziała.

– Wszyscy przywódcy mojego klanu zostali zabici – szepnął do niej Duncan. – Nie pozwolę, żeby tak się stało z waszymi.

Staruszka przyjrzała mu się z nowym zainteresowaniem.

– Wiadomość przyszła z tamtej strony. Kiedy mu ją pokazałam, wiedział, że wszystko się zmieniło.

– Co mu pokazałaś, babko?

– Zabrałam go do świętego miejsca, które niegdyś było kotwicą naszej wioski. Pokazałam mu pęknięcie świata.

Chociaż wyruszyli już przed świtem następnego ranka, gdy wciągnęli dwa kanu na brzeg dwie mile w górę rzeki, Johantty już tam był z trzema towarzyszami i dokładał do ognia przed drewnianą łaźnią. Duncan był pewny, że młodzieniec nie spał, gdyż obaj długo w noc grali na cmentarzu, patrząc na rzekę. Obawiając się zadawać więcej pytań, Duncan patrzył, jak Conawago rozbiera się do przepaski biodrowej, a Johantty pokazuje porośniętą lasem wysepkę naprzeciw. Musieli się oczyścić przed wizytą w świętym miejscu. Kamienny Kwiat wyłoniła się zza krzaków, mając na sobie tylko wełnianą przepaskę, i weszła do łaźni, do której młodzieńcy zanosili na kijach rozgrzane w ognisku kamienie. Johantty rzucił Duncanowi kawałek wełny. Szkot zdjął ubranie i owinął się wełną jak kiltem, zanim wszedł do łaźni, aby oczyścić się w parze.

Godzinę później czujnie obserwował wyspę, podchodząc do niej z Conawago i Kamiennym Kwiatem. Z daleka wydawała się jeszcze jednym skalnym garbem na środku rzeki, wysepką mającą najwyżej dwieście stóp długości. Jednak na rzece pełnej małych, porośniętych drzewami wysepek, ta wyróżniała się wysoką formacją skalną i kępą zdeformowanych buków na północnym końcu.

Duncan był równie milczący jak jego przewodnik. Obserwował staruszkę i poszedł za jej przykładem, gdy ułamała gałązkę z niskiego cedru. Pomimo to, gdy przystanęła, położyła ją na płaskim kamieniu w najwyższym punkcie skalnej formacji i spojrzęła na Szkota wyczekująco, nie zrozumiał. Zaraz jednak usłyszał za plecami westchnienie zdumienia i odwróciwszy się, ujrzał Conawago spoglądającego na skały u ich stóp.

To, co Duncan wziął za pęknięcia i szczeliny, okazało się rysunkami, dziesiątkami prymitywnych symboli zwierząt i ludzi, drzew i ryb. Były bardzo stare, a nawet prastare, a ich wyźłobienie narzędziami z drewna i kamienia musiało wymagać ogromnego wysiłku. Petroglify różniły się stylem i wielkością, niektóre były tak zatarte przez erozję, że ledwo widoczne. Niemal żaden nie był wyraźny z powodu zniszczeń.

Atakowano je młotami lub toporami, krusząc i rozbijając skałę, zacierając rysunki tak, że po niektórych zostało tylko nierówne, płytkie wgłębienie świeżo odłupanej skały.

Nie to jednak było najgorsze. Z przeciągłym, drżącym jękiem, od którego Duncanowi dreszcz przebiegł po krzyżu, Kamienny Kwiat uklęka przy największym z rysunków, obrazie kruka o trzech stopach wysokości. Znajdował się w centralnym punkcie, jakby był najważniejszym z bogów. Kruk jednak był martwy, rozerwany na dwoje pęknięciem biegnącym aż do samego końca skalnej półki. Gdy staruszka oparła dłoń po bokach szczeliny i nachyliła się, szepcząc, Duncan podążył za pęknięciem na krawędź występu i zobaczył tam czarne, osmalone skały. Świadomość tego, że skałę rozsadzono za pomocą prochu, nie osłabiła wrażenia, jakie robił widok pęknięcia. Duncan aż się skręcił. Najświętsza z indiańskich świątyń, jakie widział, została zniszczona, zbezczeszczona europejskimi narzędziami. Nie mógł się spierać ze stwierdzeniem Kamiennego Kwiatu, iż zapowiada to coś okropnego dla jej świata.

– To tutaj przychodziliśmy w święta – wyjaśniła Kamienny Kwiat, gdy skończyła szeptać. – Kiedy byłam dzieckiem, kiedy byłam młodą kobietą, gdy byłam żoną i matką. Nawet jako chłopiec Skanawati przychodził tu i przesiadywał godzinami. To zawsze było miejsce wielkiej mocy.

Jej głos był stłumiony z emocji, gdy spoglądała na dzieło zniszczenia. Kiedy znów przemówiła, odezwała się w swoim języku, odpowiadając na pytania cicho zadawane przez Conawago.

Duncan chodził po szerokiej skalnej półce, z której rozciągał się doskonały widok na całą rzekę. Symbole widniały wszędzie, a znalazłszy kilka nietkniętych na samym skraju występu, podziwiał dzieło tych rąk, które przed wiekami z szacunkiem wykłuły je w kamieniu. Dotknął jednego z rosnących wyżej buków, karłowatego i powykręcane przez rzeczne wiatry, i zobaczył, jak gruby jest jego pień. To drzewo też było bardzo stare. Widziało, jak oddawano tu cześć, słyszało pieśni mające nadać moc ukończonym symbolom.

Przystanął, patrząc, jak skała opada stromo po północnej stronie. Wykuto w niej toporne stopnie, które już dawno porosły mchem. Schylił się i przecisnął przez wawrzyny na skraju, zeskoczył z półki i podążył ledwie widoczną ścieżką wiodącą od ostatniego stopnia. Połamane gałęzie krzaków wskazywały, że inni też niedawno znaleźli płytką jaskinię na jej końcu.

Ręce pradawnych artystów pozostawiły ślady także na ścianach jaskini, zarówno dłuta jak na półce powyżej, jak i barwników. Większość obrazów niedawno zdrapano ostrzem, inne pomazano sadłem, lecz tu i ówdzie widział zarysy myśliwych z włóczniami, olbrzymich podobnych do mułów zwierząt o krótkich rogach, łosi i niedźwiedzi trzykrotnie większych od ludzkich postaci. Gdy wszedł do środka, poczuł charakterystyczny smród dolatujący z głębi jaskini. Ktoś wypróżnił się pod ścianą.

– Ona płacze – powiedział za nim Conawago. Odciągnął grubą gałąź, żeby wpuścić do jaskini więcej światła. – Ona płacze – powtórzył.

Na twarzy przyjaciela malował się tak straszny ból, że Duncan się spodziewał, że i po jego policzkach popłyną łzy. Jednak żal Conawago zagłuszyła głęboka fascynacja, nabożny podziw, którego nie mógł ukryć. Patrząc z szacunkiem, zatrzymał wzrok na najmniej zniszczonym z małych rysunków. Przedstawiał ludzką postać stojącą przed

ogromnym niedźwiedziem i trzymającą nie włócznię, ale coś, co wyglądało jak czaszka innego zwierzęcia.

– Oto, kim byliśmy – rzekł. – Powoli przeszedł wzdłuż ścian, przystając przy każdym rysunku. – Ona mówi, że przez pokolenia, na długo przed utworzeniem konfederacji, ludzie z jej klanu przychodzili tutaj, składali dary, siadali pod pełnym księżycem i śpiewali pieśni. Nawet podczas wojny wrogowie mogli tu przyjść i siedzieć razem.

Duncan słyszał ekscytację w głosie Conawago. W trakcie wspólnej kilkumiesięcznej wędrówki szukali takich świętych miejsc.

– Oto, kim byliśmy – powtórzył Indianin, znów patrząc na postać człowieka wyciągającego ręce do niedźwiedzia, po czym wskazał na odchody plamzące inny rysunek na ścianie. – Oto, kim się staliśmy.

– To z pewnością zrobili Europejczycy.

– Kamienny Kwiat wie, kto to zrobił. Indianie z Shamokin, Indianie z miasta. Kilku Irokezów i Delawarów, którzy wyprawili się zastawiać sidła. Łowy niezbyt im się powiodły i wracali do domu. Angielski kupiec płynący w górę rzeki znalazł ich obozujących tutaj i wymienił baryłkę rumu na kilka skór, które zdobyli. Pili tu przez cały dzień. Jeden z Indian nasłuchiwał się misjonarzy i powiedział pozostałym, że to te rysunki przyniosły im pecha. Godzinami pili i je niszczyli. W pewnej chwili jeden przypomniał sobie, że stare obrazy można sprzedać zbieraczom w Filadelfii, więc próbowali kilka odłupać. Była tu kaplica ze starych ludzkich czaszek należących do świętych indiańskich mężów, czasem sprzed wielu pokoleń. Powrzucaли je wszystkie do rzeki. Kiedy Skanawati się o tym dowiedział, pobił kilku z nich prawie na śmierć. Powiedział matce, że to był znak, że należy przenieść wioskę w bezkresne góry, w inne miejsce, które znalazł, aby ją chronić i trzymać w tajemnicy.

– Mówisz o ukrytej dolinie?

– Ona mówi, że jest tam inna świątynia, pod wysoką skalną półką, z podobnymi rysunkami, w której kruk wije gniazdo.

– Zatem powinni się tam przenieść.

– To wymaga wielu przygotowań. Musieli poczekać, aż się ociepli, zebrać syrop z wiosennych klonów, zrobić nowy grób.

Conawago potarł jeden z pomazanych tłuszczem rysunków, zobaczył, że farba schodzi wraz z tłuszczem, i zrezygnował.

Zastali Kamienny Kwiat na kolanach, znów spoglądającą na zniszczone obrazy. Na ich widok wstała, przywołała ich gestem, a potem wzięła za ręce.

– Zostaliście oczyszczeni w ciepłe naszej łaźni – powiedziała. – Obaj rozmawialiście z naszymi zmarłymi. Przybyliście tutaj różnymi ścieżkami.

Spojrzała na nich wyczekująco.

– Jakie jest twoje życzenie, babko? – zapytał Conawago.

– Musicie nam pomóc przez to przejść. Razem – rzekła z naciskiem, uważnie mu się przyglądając. Zauważyła rozpacz Conawago. – Śniłam o dwóch obcych przybywających na pomoc naszej wiosce. Nie widziałam ich twarzy, aż do teraz.

Conawago znieruchomiał i na moment zamknął oczy, zanim spojrzął na Duncana.

– Jesteśmy tu – szepnął.

– Żadnemu z przewodników, których wysłaliśmy, nie udało się znaleźć naszej drogi – powiedziała. – Jednak wy dwaj razem wiecie o sprawach, których nie znacie osobno.

Staruszka poważnie skinęła im głową, a potem puściła ich ręce i schyliła się, aby podnieść wiązki trzciny, których nazbierała na brzegu rzeki. Duncan i Conawago wzięli od niej po jednej i uklękli z Kamiennym Kwiatem, aby oczyścić wizerunki dawnych bogów.

Dopiero kiedy skończyli, Duncan się odezwał:

– Dlaczego w tak ważnej dla wioski i jego klanu chwili Skanawati udał się do Filadelfii?

Nowy wódz dopiero co objął władzę po swoim poprzedniku, ale już powiedział swojemu ludowi, że muszą przenieść wioskę.

Conawago powtórzył pytanie Duncana kobiecie w jej języku, rozpoczynając cichą i pospieszną rozmowę.

– Ona mówi, że w zeszłym roku pewien angielski traper zatrzymał się w Shamokin – wyjaśnił w końcu przyjacielowi. – Przybył z bezkresnych gór. Skanawati rozmawiał z nim w domu Rideaux. Ten człowiek powiedział Rideaux, że widział starą świątynię na skalnej półce, świątynię Skanawatiego.

Duncan spojrzął na niego z rozpaczą.

– Chyba nie próbował zniszczyć także tamtej?

– Ależ nie. Powiedział tylko, że w tych górach nie ma już dobrych futer.

– To jednak nie wyjaśnia... – zaczął Duncan, ale kobieta już skończyła i poszła do kanu.

– Zeszłej nocy Moses opowiedział mi resztę – rzekł Conawago i w jego głosie znów słyhać było udrękę. – Tym Anglikiem był Francis Townsend, geodeta zabity kilka miesięcy później na Ścieżce Wojowników. Skanawati dowiedział się od Rideaux, że on nie tylko zastawiał sidła. Townsend był wykształcony, umiał szukać minerałów. Narysował szczegółową mapę i zamierzał ją sprzedać w Filadelfii. Był w tej świątyni i zaznaczył ją na swojej mapie. Napisał także, że w tej dolinie znajdują się bogate złoża kruszcu i indiańskie dzieła sztuki.

– Zatem Townsend wrócił do Filadelfii, żeby sprzedać swoją mapę?

– Ten kawałek papieru mógł być wart więcej niż wóz skór. Skanawati wyruszył do Filadelfii godzinę po tym, jak dowiedział się o mapie, pomimo że nigdy tam nie był i nie miał pojęcia, jak znaleźć tego człowieka.

Gdy jego brat się dowiedział, że Skanawati udał się do Filadelfii, też tam wyruszył, dzień później. Skanawati wrócił po miesiącu, sam. Nic nie mówił o tym, co się stało, aż do chwili, gdy trzy tygodnie temu opuszczał wioskę. Wtedy powiedział matce, żeby modliła się za dusze jego brata i jej drugiego syna, gdyż zginął śmiercią wojownika w mieście kwaków.

Duncan rozważył te słowa.

- Dlaczego brat podążył za nim do Filadelfii?
- Zarabiał pieniądze, żeby kupić ziarno na siew dla wioski.
- O czym ty mówisz?
- Nie rozumiał znaków, które Townsend stawiał na papierze. Nic nie wiedział o planach Skanawatego. Dopiero po powrocie dowiedział się, że brat zamierza przenieść wioskę. Był jednak przewodnikiem Townsenda, gdy ten rysował mapę.

Rozdział 11

W świecie Europejczyków Conawago występował jako Socrates Moon, śniadoskóry podróżnik, który kilkakrotnie przepłynął Atlantyk, w razie potrzeby wyglądający i mówiący jak wykształcony dżentelmen. Duncan ze znużonym uśmiechem patrzył, jak przyjaciel kończy swoją przemianę, wkładając na lnianą koszulę wymięty kubrak, który trzymał zwinięty w plecaku, teraz zakrywający jego długie włosy związane z tyłu.

– Zawstydzisz mnie w zajazdach – skarcił go Duncan.

– Nie. Ponieważ ty zostaniesz tutaj – rzekł Indianin, wskazując na polankę, którą znaleźli w lesie powyżej miasta. Ten spór powracał coraz częściej podczas kilku dni ich pospiesznej podróży z Shamokin. – Gdzieś po tych ulicach krąży lord Ramsey – przypomniał ponownie mu Conawago. – Jak tylko cię zobaczy, każe zakuć w kajdany. I jeśli cię dopadnie, Duncanie, będziesz zgubiony.

Stary Nipmuk powiedział kiedyś Duncanowi, że Ramsey jest uosobieniem złych duchów zamieszkujących niektóre zakątki dzikich pustkowi i mordujących podróżnych.

Spojrzeni na rozpościerające się w dole miasto.

– To duże miasto – zauważył Duncan. – A on jest tylko jeden. W całym mieście tylko on zna moją twarz.

– W angielskim świecie tylko Londyn jest większy – rzekł Conawago. – Jednak do miejsc, które musimy odwiedzić, może zachodzić Ramsey. On tobą gardzi. Uważa cię za zdrajcę, wie, że przez ciebie stracił miłość córki oraz nowojorskie dobra. Jego zła nie można pokonać, Duncanie, można go tylko unikać.

– Nie będę się krył. Z każdą godziną stryczek coraz bardziej zbliża się do szyi Skanawatiego. Z każdą godziną zabójca jest bliższy popełnienia kolejnego morderstwa.

Conawago zmarszczył brwi.

– Czyż nie ma słów, którymi mógłbym cię przekonać?

– Zdaje się, że Kamienny Kwiat powiedziała, że naszym przeznaczeniem jest znalezienie ścieżki razem.

Conawago westchnął, a potem sięgnął do juków konia i wyjął drugi kubrak pożyczony od Rideaux. Był poprzecierany, ale zasłonił koszulę Duncana, postrzępioną i brudną po ciężkiej podróży.

– Townsend wrócił po paru tygodniach jako geodeta – potwierdził Francuz. – Spokojny, inteligentny człowiek. Chudy jak patyk.

Townsend zatrzymał się u Rideaux w drodze do Filadelfii i zachwycił się pięknem gór, a także pokazał swoją mapę. To Francuz powiedział Skanawatiemu o znakach na mapie Townsenda.

– Jakbym kopnął go w brzuch – przypomniał sobie. – Chciał wiedzieć, kto jeszcze ją widział. O ile było mi wiadomo, to nikt, i tak mu powiedziałem. Wtedy poprosił mnie, żebym nikomu więcej o tym nie mówił, nigdy nie wspominał o istnieniu tej mapy. Poprosił, żebym napisał nazwisko Townsenda na kartce. Wziął trochę żywności i zapasową parę mokasynów.

– Mokasynów? – zdziwił się Duncan.

– To oznaczało, że wybiera się w długą podróż. Spakowałem mu to wszystko i pobiegł rącho jak jelen. Następnego dnia przyszedł jego brat, zadowolony i roześmiany. Jednak gdy tylko usłyszał, że Skanawati nagle wyruszył do Filadelfii, przestał się śmiać. Pomimo złożonej obietnicy wiedziałem, że muszę powiedzieć mu o mapie, i kiedy się dowiedział, że jest na niej zaznaczona ukryta dolina Skanawatego, nagle sposepniał. Po kilku minutach poszedł sobie. Już nigdy więcej go nie widziałem. Później odkryłem, że poprosił o farby, jakby wybierał się na wojnę.

Rideaux badawczo patrzył na ich twarze i widział w nich niepokój.

– Najszybciej dotrzecie do Filadelfii konno – powiedział w końcu. – Szlakiem do Reading.

– Nie mamy koni – rzekł Duncan. – Nie mamy pieniędzy.

Francuz zostawił ich, by zająć się grupą Indian pracujących na zewnątrz, lecz wkrótce wrócił i wyjął z szafy ciężką drewnianą skrzynkę. Odliczył stosik monet i podsunął Duncanowi.

– Konie za kilka minut będą na dziedzińcu. Kanu zabierze waszych przyjaciół z powrotem do negocjatorów. Jedźcie z Bogiem.

Teraz, idąc powoli, prowadzili konie ku rozległemu miastu. Kiedy staną na jego brukowanych ulicach, może się wydarzyć mnóstwo najróżniejszych rzeczy, niemal bez wyjątku niedobrych. Duncan miał tak złe przeczucia, że dopiero kiedy usłyszał targującego się Conawago, zauważył krępego brodatego mężczyznę, który zaproponował stajnię dla koni.

Kilka minut później, powierzywszy stajennemu bagaże i broń za dodatkową opłatą, Duncan niespokojnie szedł przez amerykańską metropolię. Nad dachami unosił się dym z setek pieców i kominków. Małe, zadbane farmy ciągnęły się aż po przedmieścia i na wielu dzieci okopywały warzywa. Zaprzężone w muły wozy wyładowane stertami drewna opałowego, węgla drzewnego lub workami zboża ciągnęły do miasta.

Duncan niemal zapomniał, że odwiedzając jakiegokolwiek miasto, najpierw poznaje się je nosem. Przez odór ścieków i palonego drewna przebijała się przyjemniejsza woń tłuszczu, świeżo wyprawionej skóry i wosku. Wkrótce usłyszał stukot kopyt na bruku, kowalskich młotów w kuźniach i młotków przybijających deski nowych domów.

Bruk pod nogami sprawiał dziwne wrażenie, jak ziemia po wielu miesiącach na morzu. Wymienili z Conawago niespokojne spojrzenia i szli dalej. Jakaś dziewczyna przeganiała kury z rabaty tulipanów. Chłopiec sprzedający gazety głośno zachwalał

swój towar. Młodzieniec w białym fartuchu pchał wózek pełen bochenków świeżego chleba.

Conawago podszedł do niego, wręczył mu monetę i porozmawiał z nim, biorąc mały bochenek, którego połowę dał Duncanowi.

– Zapytałem go, dokąd pójść, żeby znaleźć mapy pogranicza – powiedział. – Odparł, że nie ma pojęcia, ale jeśli szukamy uczonych ludzi, to powinniśmy iść do budynku rządu i tam, gdzie te wieże.

Conawago wskazał białe wieżyczki wznoszące się nad drzewami w oddali.

Pół godziny później stali przy błyszczącej wieży Kościoła Chrystusowego i obmywali twarze wodą z kamiennego koryta. Duncan dwukrotnie zatrzymywał przechodniów i pytał o pana Townsenda, ale za całą odpowiedź otrzymywał tylko zmarszczenie brwi. Potem wypatrzył mężczyznę w czarnej sutannie, pielącego groby na małym cmentarzu.

– Przepraszam, ojciec – zaczął, a potem zobaczył lekki grymas na twarzy mężczyzny i poprawił się: – Wielebny. Jesteśmy podróżnikami i szukamy rodziny Townsendów.

– Przychodzi mi na myśl tuzin rodzin o takim nazwisku – ostrożnie odparł pastor.

– Nasz człowiek jest geodetą. W zeszłym roku był na zachodzie.

– Francis Townsend! – Twarz pastora spochmurniała. – Co za tragedia. – Przyjrzał się Duncanowi, jakby nagle nabierając podejrzeń. – Przekonajcie się sami – powiedział i wskazał w głąb ulicy. – Trzy przecznice prosto i jedna na zachód.

Kiedy szli, ulicą przemaszerował oddział żołnierzy. Minął ich mężczyzna w ciemnym ubraniu i z długą pałąką, najwidoczniej konstabl wykonujący obchód. Dotarli do skrzyżowania i popatrzyli na budynki.

– Rezydencja Townsendów? – zapytał Conawago starszą panią z laską, a dama wskazała nią kierunek i pospiesznie odeszła.

Zmieszani popatrzyli na to, co im pokazała. Były to ruiny domu spalonego niemal do fundamentów. Kilka pozostałych osmalonych belek i resztek ścian wybieliły deszcze i porosły chwasty. Od pożaru musiało minąć wiele miesięcy.

Conawago wskazał gospodę po drugiej stronie ulicy, gdzie z ulgą opadli na krzesła przy stole pod oknem.

– To był dom Townsenda? – zapytał Duncan, gdy właściciel przyniósł im dwa kufle mocnego cydru.

– Taak. Cholerna szkoda.

– Czy rodzina wyszła z tego cało?

– Mieszkał tu tylko Townsend oraz jego niezamężna siostra i nic im się nie stało. To smutne, zawsze miał pecha. Wiecie, wykształcony człowiek, ale niespokojny duch. Wciąż się włóczył po puszczy. Łowił zwierzynę w sidła, szukał złota, próbował sprzedać swoją książkę o ptakach i hodowli zwierząt gospodarskich.

Kiedy zamówili drugą kolejkę, właściciel przyniósł im kawałek suchej kiełbasy, deskę do krojenia i nóż. Usiadł przy nich, ukroił kilka plasterków i zjadł jeden, po czym podsunął resztę klientom.

– To była noc, której nikt prędko nie zapomni. Wciąż mam koszmarne sny. Wycie tej pogańskiej bestii, bieganina strażaków, sąsiedzi wynoszący w panice swój dobytek, pewni, że cała dzielnica pójdzie z dymem.

– Pogańskiej? – zapytał Duncan, obawiając się odpowiedzi.

– Tak. Prawdziwej. – Barman się skrzywił, patrząc na zgłiszcza. – Chociaż było w tym też trochę udawania, tak mi się zdaje, kiedy o tym myślę. Coś teatralnego, jeśli mnie rozumiecie.

– Nie jestem pewien, czy rozumiemy – powiedział Conawago, powoli żując kawałek twardego, dobrze przyprawionego mięsa.

– Było ich dwóch. Mówię o Indianach. Nie mam pojęcia, dlaczego pozwolono im wejść do miasta. Chyba z powodu łączącej nas braterskiej miłości, oto dlaczego – dodał zjadliwie.

– Ten pożar? – sondował Duncan.

– Ci dwaj zapukali do drzwi po południu, z kocami narzuconymi na ramiona, jakby chcieli się ukryć. Chcieli coś od Townsenda, ale on ich nie wpuścił. Krzyknął coś przez drzwi, coś o tym, że to jest zamknięte w jego biurku i tam pozostanie. Potem, wieczorem, jeden z nich wrócił. Zaczął od tego, że rozebrał się do przepaski biodrowej pod latarnią na rogu – powiedział barman, wskazując uliczną lampę na wielorybi tłuszcz – a potem nałożył farbę. Na twarz, na ramiona i piersi, przez cały czas coś nuąc. Jak żywcem wzięty z opowieści, jakie się czyta o dzikich Indianach. Posłałem mojego chłopaka po konstabla. Potem zobaczyłem, jak spokojnie Indianin zapala pochodnię od latarni i zaczyna podpalać wiązki chrustu i gałęzi, które poukładał pod ścianami domu. Otworzył drzwi i zawołał do ludzi w środku, żeby wychodzili, jakby chciał na nich napaść, a potem zaczął tańczyć przy ogniskach, nieludzko wyjąc, wzywając swoich bogów wojny, jak mówią.

– I zrobił to? Napadł na nich?

– To było cholernie dziwne. Kiedy wyszli, umilkł i pokazał im, żeby biegli ulicą, po czym znów zaczął swój taniec. Zanim przybyła straż pożarna, mogła już tylko polać wodą sąsiedni dom. A ten poganin przez cały czas tutaj był, gadając coś w swoim diabelskim języku.

– Aresztowano go?

– Większość chciała powiesić go na miejscu. Jednak tak nie robią kwakrzy, którzy rządzą w tym mieście. Najpierw trzeba odmówić modlitwę, żeby wszystko było jak należy. Związali go jak dzikiego byka i po tygodniu odbył się proces. On się nie opierał ani nie tłumaczył.

– I co?

– Powiesiliśmy go oczywiście. Przyszło prawie całe miasto. Był jednym z tych, którym nie pękają kręgi. Po prostu wisiał i powoli się dusił.

Conawago ukrył twarz w dłoniach. Duncan zapatrzył się w kubek.

– Powiedział coś przedtem?

– Ani słowa. Tylko kiedy wchodził na szubienicę, wydał jakiś okrzyk, nie protestu, ale zawołał coś do nieba. Jeden z farmerów, który trochę mówi w tym pogańskim języku, rzekł, że podał duchom swoje imię, żeby wiedziały, że do nich idzie.

Duncan i Conawago wymienili udręczone spojrzenia. Nie potrzebowali dalszych wyjaśnień. Było oczywiste, że brat Skanawatiego nie rozumiał, co Townsend zaznacza na swojej mapie. Nie wyobrażał sobie, że biały człowiek może narysować na papierze święte miejsce. A jednak tak się stało i aby powstrzymać Skanawatiego przed podjęciem jakichś samobójczych działań, zrobił to sam, malując się w wojenne barwy i naprawiając swój niewybaczalny błąd – spalił dom, żeby zniszczyć mapę.

– I co się potem stało z tym Townsendem? – dociekał Conawago.

– Jak powiedziałem, to niespokojny duch. Tydzień po pożarze przyszedł i oznajmił, że ma nową pracę jako geodeta. Znów miał pieniądze. Powiedział, że wkrótce wyjedzie, i chciał zapłacić z góry za zakwaterowanie i wyżywienie siostry przez trzy miesiące. To było kilka miesięcy temu. Nigdy więcej go nie widziałem. Ludzie mówią, że zginął w puszczy. Bez jego wsparcia siostra musiała pójść na służbę.

– Chyba potrzebna jest praktyka, żeby zostać geodetą – zauważył Duncan.

– Ta kolonia cierpi na głód ziemi. Codziennie powstają prywatne kompanie, żeby obejmować ziemię, zwykle ze sobą rywalizujące. I wszyscy doświadczeni geodeci mają pełne ręce roboty na miejscu. Można powiedzieć, że kompanie potrzebują jakichkolwiek danych. Ogólnych map terenów, przeważnie sporządzanych w tajemnicy. Im bardziej szczegółowe roszczenie, tym większe ryzyko, że sądy je oddalą. Do licha, myślę, że teraz każdy, kto umie czytać i pisać i ma odwagę stawić czoło Indianom, znajdzie zatrudnienie.

– Gdzie trzeba iść, żeby zatrudnić geodetę? – spytał Duncan. – Mają jakąś siedzibę?

– Chłopcze, to jest Ameryka. Tu nie ma siedzib gildii. – Uśmiechnął się, wstając z krzesła. – Jednak są zajazdy. Nad rzekę, poniżej Walnut Street, oto, dokąd chodzą. Przeważnie do „Pękniętego Dzbana”, po wieczery.

Duncan wyjął z sakiewki jeden z trybów zegara i obrócił w palcach.

– Tymczasem szukamy zegarmistrza.

– Którego? To Filadelfia. Tutaj robi się większość amerykańskich zegarów. Możecie spędzić cały dzień i nie odwiedzić wszystkich warsztatów.

– Powiedz, gdzie jest najbliższy – poprosił Duncan.

Kwadrans później stali przy stole warsztatowym mężczyzny w średnim wieku i w okularach, pochylonego nad małym imadłem i posługującego się świecą osadzoną przy szkiełku ogniskującym światło na obrabianym trybie. Kiedy weszli do warsztatu, obrzucił ich taksującym spojrzeniem i najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie są potencjalnymi klientami, ponieważ kazał im czekać, pracując pilniczkiem.

W końcu podniósł wzrok z lekkim zniecierpliwieniem, które przeszło mu dopiero, kiedy Duncan wyjął jeden tryb i zakręcił nim jak bączkiem na ladzie.

Mężczyzna wytarł ręce o skórzany fartuch, złapał tryb i oglądał przez chwilę, zanim im go oddał.

– Nie do mnie z tą skargą – powiedział.

– Najmocniej przepraszam? – pytająco rzucił Conawago.

Jego ton wykształconego człowieka sprawił, że zegarmistrz się zawahał i zmarszczył brwi.

– Kiedy zjawia się ktoś z kawałkiem mechanizmu zegarowego, chodzi o skargę. Uważają, że jeśli zegar przestał chodzić, bo go upuścili albo przewozili po wyboistych drogach, winny jest zegarmistrz.

– Skąd pan wie, że to nie pana robota? – chciał wiedzieć Duncan.

Wyciągnął dłoń, na której leżała inna część, wrzeczono zębatki.

– Większość części sprowadzam z Anglii. Wasza jest od farmerskiego zegara, pospolitego i taniego mechanizmu. Chociaż nigdy nie widziała wnętrza skrzynki.

– Skąd pan to wie?

Zegarmistrz westchnął, wyciągnął rękę po część, a potem wziął narzędzie przypominające maleńkie szydło i pokazał wadę zębatki, miejsce, w którym ktoś źle pociągnął pilnikiem, tworząc nieregularne wgłębienie.

– Nieudolny czeladnik – mruknął zegarmistrz.

– A ilu takich nieudolnych czeladników jest w Filadelfii? – zapytał Duncan.

Zegarmistrz prychnął.

– W warsztatach robiących tanie kominkowe mechanizmy? Pewnie w każdym co najmniej jeden.

– Dlaczego kominkowe?

– To jest tryb dla wahadła o długości do dziewięciu cali. – Mężczyzna zauważył niewyraźną minę Duncana i wziął od niego drugi tryb. Pokazał im ten mniejszy. – Wrzeczono zębate, które pasuje do tego kółka, ma sześć zębów... – Przyłożył większy tryb do wrzeciona, zazębiając je. – Duże koło ma siedemdziesiąt dwa zęby. To połączenie dla krótkiego i szybkiego wahadła do zegara kominkowego. – Zegarmistrz przez moment wpatrywał się w świecę. – Co pozostawia trzech lub czterech kandydatów, same tanie warsztaty na brzegu rzeki, poniżej Walnut.

– W pobliżu „Pękniętego Dzbana”? – zapytał Duncan.

– Wszystkie o kilka kroków od starego „Dzbana” – potwierdził zegarmistrz, a potem stropiony popatrzył na Conawago. Kiedy wychodzili na brukowaną ulicę, tamten nadal spoglądał na maleńki kopczyk trybów, który Conawago ułożył na jego stole i wetknął w nie żółte pióro.

Wykluczyli jeden z warsztatów zegarmistrzowskich i szli do drugiego, gdy obok nich przebiegł sprzedający gazety ulicznik, krzycząc o nowej egzekucji. Duncan zadrzał i zobaczył, że przyjaciel spogląda na duży, niczym się niewyróżniający ceglany budynek po nadrzecznej stronie ulicy. Wyglądał na magazyn portowy, chociaż nie było tu szyprów doglądających załadunku, kręcących się marynarzy ani ciężkich wozów, tylko jeden elegancki powóz stojący w pobliżu drzwi.

Conawago bez słowa szybko przeszedł przez ulicę i próbował otworzyć frontowe drzwi, a potem zaczął walić w nie pięścią, gdy okazały się zamknięte. Duncan zerknął

na przechodniów, już rzucających na nich podejrzliwie spojrzenia, i próbował odciągnąć przyjaciela. Jednak Conawago przycisnął twarz do szyby i zajrzał do środka.

– Zapominasz, że tu są konstable! – ostrzegł go Duncan. Od kiedy wyszli z warsztatu pierwszego zegarmistrza, widzieli kilku postawnych mężczyzn z pałkami. – Jeśli zobaczą, że zaglądasz przez okno, na pewno zechcą cię przesłuchać!

Conawago zastygł, a potem pozwolił Duncanowi odciągnąć się na drugą stronę ulicy, w kierunku następnego warsztatu zegarmistrzowskiego. Najpierw jednak przystanął, aby obejrzeć ten dwupiętrowy budynek, jakby zainteresowany jego architekturą. Duncan daremnie usiłował zrozumieć sens tych dziwacznych poczynań. Patrząc na budynek, zauważył dziwne metalowe kolce zamontowane wzdłuż dachu, uchwyty na bocznych ścianach niegdyś używane do przewlekania grubych lin, przymocowany pod dachem kołowrót do wciągania ładunków przez drzwi na górze. Conawago dotknął jego ramienia i wskazał główne wejście budynku.

Wokół framugi biegły skomplikowane, abstrakcyjne wzory z cegieł na holenderską modłę, lecz nadproże było ozdobione inaczej. Czerwoną i białą farbą ktoś starannie odrysował postacie z wampumu, symbole przedstawiające Indian i Europejczyków przyjaźnie trzymających się za ręce. Pas pokoju.

Gdy spoglądali na ten zaskakujący wzór, w oknie na piętrze mignął rozbłysk światła, jakby ktoś zapalił proch. Nie było jednak eksplozji, tylko dał się słyszeć przeciągły jęk bólu, dostatecznie głośny, żeby przebić się przez okienną szybę. Duncan wziął Conawago pod rękę i pociągnął ulicą w kierunku warsztatów zegarmistrzowskich.

Piąty warsztat, który odwiedzili, podupadał i znajdował się tuż przy samym „Pękniętym Dzbanie”. Kiedy szli do drzwi, Duncan przystanął, by przyjrzeć się budynkowi po drugiej stronie ulicy. „Wyrób miedzianych kotłów”, głosił szyld, a na tyłach znajdował się budynek z piecem do topienia metalu, czyli miejsce, gdzie można znaleźć kawałki stopionej miedzi.

W warsztacie zastali dwóch młodych ludzi, nieudolnie obrabiających kawałki orzechowego drewna na małych szlifierkach, wśród stert trocin i kilku niedokończonych szafek zegarów kominkowych. Starszy z nich sennie spojrzął na przybyłych.

– Poszedł się odświeżyć – oznajmił. – Trzy bramy dalej, we „Dzbanie”.

– Mam problem – rzekł Duncan, wyjmując wadliwy tryb.

Czeladnik obejrzał tryb, dopiero kiedy Duncan podsunął mu go prawie pod nos, a potem nerwowo zerknął w kierunku słabo oświetlonego pomieszczenia na tyłach.

– Chyba nie chce pan naprawiać go sam – rzekł drwiąco. – Potrzebny nam cały mechanizm.

– Jediną wadą jest ten źle wypilowany ząb – rzekł z niezadowoleniem Duncan.

Wyciągnął rękę, pokazując wadę. Młodzieniec stracił całą pewność siebie. Spojrzął na towarzysza, który nie podnosząc oczu, pochylał się nad swoją pracą, i zaczerwienił się.

– W innych warsztatach mają specjalne lampy, a nawet soczewki i dobre narzędzia, jak jubilerzy – poskarżył się.

Duncan patrzył na niego wyczekująco.

– Obedrze mnie ze skóry, jeśli wezmę dobry tryb z jego zapasów.

– Powiedz mi coś – spróbował Duncan. – Handlujecie z Shamokin?

– Co? Czy sprzedajemy zegary tym przeklętym poganom? Za cholere nie. – Spojrzał przez okno w kierunku tawerny, a potem przez chwilę z niepokojem spoglądał na Conawago. – Dam wam nowy – zaproponował. – Tylko niech to zostanie między nami, dobrze?

Duncan też spoglądał na tawernę.

– Jak często przyprawiasz tu swoich kompanów od butelki?

Milczący młodzian uśmiechnął się pod nosem.

– Tego nie wolno mi robić.

– Czasem jednak twój mistrz wyjeżdża z miasta – podsunął Duncan.

– Dam wam nowy – powtórzył czeladnik i znikł w warsztacie swojego mistrza.

Duncan w milczeniu wziął nowy tryb od ponurego młodzieńca i już miał wyjść, gdy Conawago podszedł do stołu.

– Ten stary ceglany magazyn po drugiej stronie ulicy – rzekł. – Kto tam mieszka?

– Większość mówi, że wariat. Na wizytówce ma napisane, że jest przyrodnikiem. Ze względu na to, co robi z naturą, powinien raczej zwać się Lucyferem.

Drzwi z tyłu budynku nagle się otworzyły i zamknęły. Chłopak wyskoczył zza stołu i popchnął Duncana i Conawago do drzwi.

– Tych, którzy zadają za dużo pytań, wzywają konstable – ostrzegł odchodzących.

Szybko poszli ulicą, z dziwnym poczuciem winy oglądając się za siebie na warsztat, podążając wraz z innymi pieszymi w kierunku małego placu, gdzie było stoisko z ulotkami, gazetami i ogłoszeniami. Duncan z roztargnieniem patrzył na tablice ogłoszeń, usiłując się domyślić, czym jest ogłaszająca się tam Kompania Biblioteczna, gdy Conawago pokazał mu niedawno umieszczone ogłoszenie na końcu. Trzydzieści funtów nagrody za schwytanie zbiega, głosiły wielkie litery. Duncanowi zaschło w ustach, gdy przeczytał nazwisko. *Duncan McCallum. Szkot*. Pod spodem podano jego dokładny rysopis i polecenie, by kontaktować się z Ramsey House. *Niebezpieczny*, napisano na końcu. *Zakuć w kajdany*.

O zachodzie słońca siedzieli w kącie „Pękniętego Dzbana”, powoli jedząc skąpe porcje zapiekanki owczarza, popatrując na krzepkiego niemieckiego karczmarza, którego współpracę kupili jedną z pozostałych im monet. Radził im nie wyjawiać, jaki teren ma być przedmiotem pomiarów, jeśli zamierzają zatrudnić geodetę, i rozmawiać tylko o okresie trwania umowy i wynagrodzeniu. Najwyraźniej zatrudnianie geodety w Filadelfii stało się niezwykle skomplikowane.

– Jeśli to daleko na zachodzie, mogą poprosić o przydzielenie ochrony – dodał karczmarz.

Kiedy skończył się dzień pracy, strużka gości zmieniała się w regularny potok. Mężczyźni o dłoniach poplamionych tuszem z pras drukarskich usiedli przy stole w kącie z dzbankiem piwa. Dwaj inni wchodzący wytrząsnęli strużyny z włosów, rozmawiając o dostawie mahoni z Indii. Duncan poczuł, że ogarnia go dziwna tęsknota. Ci filadelfijczycy żyli w innym świecie, bez morderców, listów gończych i dłoni przybijanych do drzew.

Po godzinie, gdy napływ gości osłabł, karczmarz zrobił sobie przerwę i przysiadł się do nich.

– A jeśli to kraina Indian? – spytał nagle Conawago tonem wykształconego Anglika.

Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie, pochylając się, jakby dopiero teraz zauważył brązową skórę swojego klienta.

– Nie rozgłaszajcie tego. Wciąż toczy się wojna.

– Słyszeliśmy o panu Townsendzie.

– Przepadł przed kilkoma miesiącami. Niektórzy mówią, że udał się do Karoliny. Nie posłał jednak po swoją siostrę.

– Dla kogo pracował ostatnio? – zapytał Duncan.

– Jak już mówiłem, kompanie działają w tajemnicy. Chodzi o konkurencję.

– Jak długo po pożarze wyruszył?

– Został tylko na egzekucji tego poganina, który to zrobił. Gdybyście mnie pytali, zbyt wielu pijanym dzikusom pozwala się chodzić po ulicach.

– Byłeś tam? – spytał Duncan. – Podczas egzekucji?

Barman skinął głową, wyglądając na zadowolonego ze zmiany tematu rozmowy.

– Przybył wielki tłum. Ludzie zbierali się od świtu, żeby zająć najlepsze miejsca, chociaż musieli czekać potem wiele godzin. Sprzedałem dwie beczki i przeklinałem się, że nie zamówiłem jeszcze dwóch.

Duncan spoglądał na niego, starając się opanować emocje.

– Sprzedawałeś piwo podczas egzekucji?

Karczmarz wstał i wytarł szmatą stół.

– To tradycja tego miasta. Wieszanie jest równie dobre jak państwowe święto. Stragany z piwem i ciastkami. Chłopcy dmuchają w gwizdki. Jaja idą tuzinami.

– Jaja? – zdziwił się Duncan.

– Do rzucania, ciemniaku. Zabawne, kiedy to się zaczęło, sam Townsend był jedynym, który usiłował to powstrzymać. Miał na sobie tyle samo żółtek co ten przeklęty dzikus. Ludzie mówili, że postradał rozum po stracie domu.

W ciągu następnej godziny tawerna prawie się wypełniła. Duncan przyglądał się każdemu nowo przybyłemu, coraz bardziej pewny, że znaleźli miejsce, gdzie zatrudniono geodetów, którzy potem zginęli, chociaż nie wiedział, czy jest bliżej odkrycia tego, kto ich wynajął. Kilku mężczyzn weszło i usiadło samotnie przy stolikach, jedni z kuflami piwa, inni czytając gazety. Jeden kreślił coś rysikiem na blacie. Kilku innych zebrało się na drugim końcu izby, rzucając nożykami w połupane

deski z podobiznami rysia i niedźwiedzi. Dwaj mężczyźni w trój graniastych kapeluszach podbijali stopami piłkę, podając ją sobie i skacząc wokół stolików.

Duncan uzmysłowił sobie, że jego spojrzenie pobiegło w na pół zagrodzony kąt, gdzie barman nalewał drinki. Nad jego głową wypchana wrona siedziała na półce, na której znajdowały się inne niezwykle rzeczy. Wysoki kanciasty kapelusz z ubiegłego wieku, który mógł nosić sam stary Penn. Drewniany but. Namalowany na desce portret arystokraty w peruce, o wielkim nosie i wybałuszonych oczach, po których można było poznać, że to król Jerzy II. Duncan znów spojrzał na mężczyzn kopiących piłkę oraz innych zakładających się o to, kiedy upadnie na ziemię. Ich zachowanie przypomniło mu zawody lacrosse.

Samotny mężczyzna z rysikiem z pijackim zdziwieniem patrzył na wypchaną wronę, jakby się poruszyła. Przegarnął palcami długie włosy, a potem znów z niepokojem spojrzał na ptaka. Szturchnięty przez Conawago, Duncan przyjrzał mu się uważniej. Mężczyzna nie miał ucha.

– Powiadają, że jesteśmy nowym rodzajem najemników – oznajmił Duncan, opadając na krzesło obok niego.

Tamten spojrzał na niego tępo i niechętnie, a wtedy Duncan odgarnął włosy na skroni, pokazując mu długą, poszarpaną bliznę.

– Na Boga! – jęknął mężczyzna, łapiąc Duncana za rękę. – Postradałeś zmysły? Dla tych mieszczuchów ślad ręki dzikusa jest jak znak diabła.

– Zatem nie jesteś z tego miasta?

Mężczyzna odpowiedział ostrożnie, nagle zupełnie trzeźwy:

– Z Bethlehem na północy.

Duncan znał je tylko ze słyszenia.

– Miasto Morawian?

– Ja. Jednak uczyłem się tutaj – wyjaśnił głuchym głosem nieznajomy.

– Na geodetę?

Mężczyzna skinął głową.

– Jestem wspaniałym geodetą. Chociaż obawiam się, że straciłem ekwipunek w dziczy.

– Razem z uchem?

Niemiec mrugnął.

– Pewnie jakiś dzikus nosi je teraz jako naszyjnik. Mój ojciec stwierdził, że to znak, iż powinienem wrócić do pracy misyjnej. Misjonarzy chroni Bóg.

– Słyszałem, że Wirginijczycy potrzebują geodetów w związku ze swoimi roszczeniami na zachodzie.

– A ja słyszałem, że potrzeba im tyłuż grabarzy, ilu geodetów – odpalił bezuchy.

Wziął jabłko od służącej, która chodziła między klientami z koszykiem owoców. Duncan sączył piwo, gdy mężczyzna wyjął scyzoryk i pokroił jabłko.

– A gdyby ktoś był zdesperowany, z kim powinien rozmawiać? – spytał Duncan.

Morawianin podsunął mu kawałek jabłka i sam też zjadł jeden, obserwując tłum.

– Jest pewien kupiec handlujący tytoniem, który sprzedaje liście i fajki z Wirginii, człowiek znad Potomacu.

– Ilu zatrudnił?

– Chyba kilku.

Duncan zadawał sobie pytanie, czy ci ludzie wciąż przebywają w puszczy, nieświadomie zmierzając w objęcia śmierci.

– Ja dawno... – zaczął, lecz słowa uwięzły mu w gardle.

Mężczyźni z piłką przestali ją odbijać, zdjęli kapelusze i stanęli w kącie, gdzie nalewano napoje. Przed nimi stała znajoma postać, patrząc prosto na Duncana. Ogłoszenia o nagrodzie za jego schwytanie nic nie mówiły mieszkańcom miasta, ponieważ nie wiedzieli, jak Duncan wygląda. Jednak Samuel Felton, bratanek sędziego pokoju, go znał. Wystarczy jedno jego słowo i wszyscy obecni w tawernie rzucają się na Duncana.

Chudy kwakier pochwycił spojrzenie najpierw jednego, a potem drugiego ze swych towarzyszy, barczystych i brzuchatych mężczyzn o opalonych twarzach, jakie zwykle mają ludzie pracujący na rzece. Conawago podniósł się z krzesła, odruchowo sięgając za pas, gdzie zwykle miał topór. Zostawili jednak broń w stajni. Byli nieuzbrojeni i słabo się orientowali w labiryncie zaułków i uliczek tej dzielnicy. Spojrzenia wszystkich skierowały się na Conawago, który wziął ciężki kij ze sterty drewna obok paleniska, szykując się do walki.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich zakapturzona postać, widoczna tylko jako ciemna sylwetka na tle palących się ulicznych latarni. Ludzie w tawernie szeptali między sobą, najwidoczniej poznając przybysza, i cofnęli się, gdy wszedł do środka, niosąc dużą drewnianą skrzynkę. Skraj jego obszernej szaty sięgał niemal podłogi, a cień kaptura skrywał twarz.

– *Ave, Caesar! Morituri te salutamus!* – zawołała chrapliwie tajemnicza postać. Niewiarygodne, ale przemawiała po łacinie. – *Ecce ignis! Ecce ignis!* – powtórzył przybyły.

Duncan wstał i zaczął powoli przesuwając się do drzwi, obserwując nie przybysza, lecz tłum, rozpaczliwie usiłując dostrzec, gdzie się podział Felton. Ze zdumieniem popatrzył na nieznanego. „Bądź pozdrowiony, cesarzu” – powiedział po łacinie mężczyzna. – „Idący na śmierć pozdrawiamy cię”. Zacytował zawołanie gladiatorów, a potem dodał: „Strzeżcie się ognia”. Goście, którzy cofnęli się przed nim, zatrzymali się w bezpiecznej odległości. Karczmarz obserwował to ze swojego kąta z wyczekującą, niemal rozbawioną miną.

Przybysz powtórzył łacińskie słowa, podnosząc głos do krzyku. Pijak przy jednym ze stolików z przodu rzucił w niego piętka chleba. Nieznajomy szybkim i zręcznym ruchem uniósł wieko skrzynki, wyjął coś w rodzaju laski zakończonej kulka i wycelował w pijaka, podsuwając mu ją pod nos.

Z kulki wytrysnęła błyskawica i uderzyła opoja.

W tawernie wybuchło zamieszanie. Porażony mężczyzna z wrzaskiem spadł z krzesła i wczółgał się pod stół, skamłając z przerażenia. Jego kompani zerwali się i

uciekli na koniec sali. Poza Conawago i Duncanem nikt nie pozostał w tej połowie sali, która znajdowała się bliżej drzwi. Przybysz wycelował różdżkę w Duncana, wymamrotał: *Apage!*, czyli „Odejdź” i szybkim ruchem wskazał ulicę, po czym podszedł do tłumu. Kilku gapiów zaczęło się żegnać, a jeden nawet zdjął z szyi krzyżyk i trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce.

– *Tanta stultitia mortalium est!* – zawołała zakapturzona postać, gwałtownym ruchem wyciągając laskę ku innemu pijakowi, który na ten widok zemdlał. „Jakimiż głupcami są śmiertelnicy”. Jeden wystraszony widz zamachnął się wziętym z kominka pogrzebaczem na przybysza, który posłał weń następną błyskawicę. Trafiła w żelazny pogrzebacz i mężczyzna z okrzykiem bólu upuścił go na podłogę. Z tyłu sali dobiegły okrzyki rozbawienia, a od stojących bliżej słowa modlitwy.

Duncan odwrócił się i wybiegł przez drzwi.

Rozdział 12

Nie wiedział, w jakim kierunku będzie biegł ciemnymi ulicami, i nie dbał o to, świadomy tylko tego, że Conawago mu towarzyszy. Po kilku minutach przystanęli, zdyszani, po jednej stronie mając nabrzeże rzeki z szeregami przycumowanych statków, a po drugiej okazały budynek z rzędem niskich drewnianych przybudówek, podobnych do klatek, przy tylnej ścianie.

– Dokąd się... – zaczął Duncan, gdy Conawago sprawdzał zasuwę tylnych drzwi.

W jednej z klatek rozległo się złowrogie warczenie.

Przyjaciel uciszył Duncana gestem ręki, gdy drzwi otworzyły się bezgłośnie.

– Nie budźmy całej okolicy, gdy wolność jest tak blisko – ostrzegł i wszedł do środka.

Teraz Duncan zdał sobie sprawę, że znaleźli się w magazynie z irokeskimi znakami nad frontowymi drzwiami.

Przeszli przez duże pomieszczenie będące połączeniem kuchni z warsztatem na korytarz łączący frontową i tylną część budynku, a potem usiedli na podłodze w pobliżu płamy księżycowego blasku. Wodząc oczami od tylnych do frontowych drzwi, ledwie widocznych w mroku, Duncan odtwarzał w myślach rozmowę z morawskim geodetą. Nagle zazgrzytała zasuwa frontowych drzwi. Wszedł przez nie mężczyzna, zaśmiewając się pod nosem i powtarzając łacińskie słowa, które Duncan słyszał w tawernie. Postawił skrzynkę na stole obok wejścia.

Ostrożnie wstali i cofnęli się w cień, gdy nieznajomy zapalił świeczkę, po czym ruszył korytarzem. Duncan dotknął swojej jedynej broni – noża, który miał za pasem.

Nieznajomy nie wyglądał na zdziwionego ich widokiem.

– Doskonale! – wykrzyknął. – *Veni, vidi, vici!* – stwierdził radośnie. – Nie wiedzą, jakim cudownym darem jest ponowne naenergetyzowanie kanałów w ich mózgach – dodał, ściągając kaptur.

Wręczył lichtarz Conawago, zaprowadził ich do drzwi w połowie korytarza, po czym skinął, by zaczekali, a sam potruchtał zamknąć tylne drzwi. Zapaliwszy drugą świecę od pierwszej, gospodarz otworzył drzwi i poprowadził ich po stromych i krętych schodach do przestronnej izby, gdzie zaczął zapalać kilka lamp naftowych.

– Doktor Henry Marston – przedstawił się, wyciągając rękę.

Duncan nie odpowiedział od razu. Ze zdumieniem spoglądał na jedno z najdziwniejszych pomieszczeń, jakie widział w życiu. Stojące pod dwiema ścianami długie koryta przeznaczone do karmienia bydła były wypełnione solą. Na środku stało wielkie, przedziwne urządzenie z drewna i szkła. Wzdłuż frontowej ściany, obok ciężkiego drewnianego fotela mającego przy poręczach jarzma do mocowania rąk, stał

długi stół, a na nim kilka dużych słoików ze sterzącymi metalowymi prętami. Coś, co wyglądało jak mosiężna kula unosząca się nad ich głowami, przy bliższych oglądzinach okazało się połączone z długim mosiężnym prętem przechodzącym przez sufit. Na dwóch mniejszych stolikach stały szklane pojemniki, leżały paski metalu i krążki czegoś, co wyglądało na stwardniałą żywicę.

Pytanie na ustach Conawago nagle zmieniło się w okrzyk podziwu.

– Elektryczność! – wykrzyknął.

Energicznie potrząsnął ręką Marstona, a potem przedstawił siebie i Duncana.

Marston promieniał.

– Każdy proces tworzenia można sprowadzić do czterech głównych elementów: ziemi, ognia, wody i powietrza – mówiąc to, w końcu zdjął płaszcz i okazał się szczupłym mężczyzną w okularach, po czterdziestce. – Jednak to elektryczność wiąże je wszystkie, ta wielka wspólna esencja. Pobieramy ją z powietrza, aby tworzyć ogień, a wiążemy w wodzie butelek lejdeckich – rzekł, wskazując szklane pojemniki na stole – po czym wykorzystujemy, aby zredukować dowolne minerały do ich podstawowej formy. Pewnego dnia zmienimy dzięki niej świat!

– My? – zapytał oszołomiony Duncan.

– Doktor Franklin i ja. Oczywiście dziś są już inni eksperymentatorzy, ale byłem tu w pięćdziesiątym drugim i pomogłem puścić latawiec w tamtą pierwszą cudowną noc, gdy złapaliśmy moc burzy w słoik. Co za spektakl! Newton miał swoje jabłko, Archimedes wannę, a doktor Franklin latawiec! Kiedy wróci z Anglii, będę potrzebował kilku dni, żeby zademonstrować mu postępy, jakie poczyniłem od jego wyjazdu!

Conawago podszedł do przedziwnego urządzenia na środku izby, długiego na prawie sześć stóp i niemal równie wysokiego. Jego bliższy koniec stanowiła wieżyczka z dwóch drewnianych kolumn, między którymi na drewnianych osiach była zawieszona szklana kula o średnicy prawie dwunastu cali. Na drugim końcu było duże ozdobne koło osadzone między dwoma krótszymi słupkami, z nałożonym na brzeg skórzanym pasem połączonym z jedną osi kuli.

– Rodzaj maszyny Nolleta – oznajmił Marston, jakby powinni znać to nazwisko.

Conawago dotknął rączki sterzącej ze środka koła i spojrzał na gospodarza. Marston nie potrzebował innej zachęty. Nie chciał odpowiadać na żadne pytania Duncana, dopóki nie podzieli się z nimi swoimi zdumiewającymi odkryciami.

– Dziś po południu – powiedział Duncan, gdy Marston pokazywał Conawago, jak kręcić kołem, żeby obracać kulę – widzieliśmy rozbłyśki światła w tych oknach.

– To wtedy zauważyłem, jak podchodzicie do budynku i oglądacie znaki na nadprożu. Od razu wiedziałem, że odczytaliście moją wiadomość. Gdy odchodziliście, zauważyłem schowany warkocz i brązową skórę pańskiego przyjaciela. Przyszedłbym natychmiast, gdybym nie miał pacjenta.

Duncan był jeszcze bardziej zagubiony.

– Praktykuje pan także medycynę?

Marston opuścił palec na cal od szklanej kuli.

– Oto podwaliny wszelkich przyszłych nauk – dumnie oznajmił, gdy skra przeskoczyła mu na palec. – Doktor Franklin i ja już przed laty zaczęliśmy leczyć paraliż fluidami elektrycznymi. Teraz przychodzą do nas pacjenci z bólem zębów, kurczami, rwą kulszową. Mamy nawet pewne sukcesy w leczeniu głuchoty.

Naukowiec przywołał Duncana do stołu, wziął go za rękę i wyciągnął jego otwartą dłoń nad jednym ze szklanych pojemników.

– Butelka lejdejska, w której pozostał bardzo mały ładunek – wyjaśnił, a gdy powoli opuszczał dłoń Duncana ku mosiężnej kuli na końcu sterzącego ze słoika pręta, wystrzeliła z niej mała błyskawica, tworząc łuk między kulą a wskazującym palcem Szkota. Przestraszony Duncan odskoczył. Przez moment piekła go dłoń, ale szybko się przekonał, że nie ma na niej żadnej rany.

– Dziś wieczorem – rzekł, rozcierając sobie dłoń i dziwiąc się, że wciąż czuje w niej mrowienie – nie przyszedł pan do tawerny szukać pacjenta. – Zajrzał do pustego słoja. Na dnie leżał miedziany łańcuszek, którego koniec przechodził przez duży korek i był owinięty wokół zakończonego kulą pręta. – Szukał pan nas.

– Spacerowałem nad rzeką i zobaczyłem, jak tam wchodzić.

– Przecież nie mógł pan wiedzieć, że grozi nam niebezpieczeństwo.

– W końcu zjawiliby się w tawernie tacy, którzy by rozpoznali, kim jest pan Conawago, możecie mi wierzyć – mówiąc to, Marston wskazał im boczne drzwi prowadzące do przytulnego salonu z widokiem na ulicę. – Więcej niż kilku bywalców „Pękniętego Dzbana” walczyło z Indianami w puszczy. Czerwonoskórzy w europejskich strojach nie zawsze bywali naszymi przyjaciółmi.

Duncan badawczo przyglądał się ekscentrycznemu uczonemu, gdy Marston zapalał lampy.

– Słyszeliśmy, że było tu wielkie święto, kiedy ostatnio powieszono Indianina – mruknął.

Te słowa wyraźnie wstrząsnęły Marstonem. Odwrócił się do okna i zapatrzył w noc.

– To pan zrobił ognistego ducha w Shamokin – domyślił się Duncan.

– Nigdy nie używałem takiego określenia.

– Dlaczego przebył pan dwieście mil, żeby przeprowadzić ten eksperyment?

– Mój wspólnik uważał, że to będzie dobry sposób, żeby dowiedzieć się czegoś o naszym kraju. Naszym nowym kraju.

– Waszym kraju? – powtórzył Duncan.

Marston odwrócił się ze zmieszana miną.

– Zawarliśmy przymierze, my dwaj. On zgłosi nowe roszczenia dla naszej kompanii, sprzeda połowę z nich w Filadelfii i za uzyskane pieniądze wybuduje dom. Będę miał własną świątynię nauki, gdzie będę mógł przeprowadzać eksperymenty.

Duncan niespokojnie popatrzył na uczonego, zastanawiając się, czy zostali zwabieni w pułapkę.

– Czy pański wspólnik ma jakieś nazwisko?

– To Francis Townsend oczywiście.

Duncan spojrział na niego z niedowierzaniem. Wprost trudno uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

– Pan i Townsend założyliście kompanię ziemską?

Marston wzruszył ramionami.

– Wiele takich kompanii powstaje przy kieliszku w filadelfijskich tawernach. Większość nie przetrwa ostatniej kolejki, inne najwyżej kilka miesięcy. Holendrzy mają swoje tulipanowe szaleństwo, Londyn bańkę mydlaną South Sea – dodał, mówiąc o dwóch dobrze znanych krachach finansowych w Europie. – Filadelfia ma kompanie ziemskie. – I dorzucił w zadumie: – Nasza bańka też pękła. – Westchnął ciężko. – Zużyłem resztę mojego spadku na pokrycie naszych wydatków. Francis, jak zawsze żądny przygód, wyruszył w góry szukać odpowiedniej ziemi i minerałów mogących mieć jakąś wartość. Ja zostałem w Shamokin z moimi projektami.

– Projektami?

– Jest wiele ważnych rzeczy do zrobienia. Koresponduję z doktorem Franklinem. Uzgodniliśmy kierunek naszych badań, aby zgłębić tajemnice ujemnych i dodatnich cząsteczek oraz rolę elektryczności w ludzkim ciele. Są doniesienia z Francji, że dawkami elektryczności ożywiono zmarłych. Jednak nie wszyscy ojcowie tego miasta podzielają nasz entuzjazm – dodał Marston.

Duncan usłyszał, jak stojący za nim Conawago głośno wciąga powietrze.

– Rany boskie! – wykrzyknął Indianin. – Używał pan Indian jako zwierząt laboratoryjnych!

Marston podszedł do fotela i osunął się nań.

– Nikogo nie zmuszaliśmy. Zawsze dostawali rekompensatę.

– Co dokładnie pan tam robił? – zapytał Duncan napiętym głosem.

– Puszczalem latawce na drutach połączonych z miedzianym proszkiem. Sporządzałem wykresy osobniczej tolerancji na ujemne i dodatnie fluidy. Energizowałem otwarte rany. Przywróciłem życie kilku oposom i wielu żabom. – Naukowiec podniósł wzrok. – Doktor Franklin raz zabił tą maszyną indyka – wyznał, lecz Duncan nie miał pojęcia, czy były to przeprosiny czy usprawiedliwienie.

– Dlaczego więc opuścił pan taki dogodny teren badań jak Shamokin? – chciał wiedzieć Conawago.

– Miałem tam zostać, aż Townsend wróci z gór. Był tam człowiek, którego nazywano francuskim niedźwiedziem. Miał duże wpływy u niektórych wodzów. Wyjaśniłem, że Francuzi rywalizują z nami, Anglikami, w rozwoju nauk i ich obowiązkiem jest pomóc brytyjskim sojusznikom. Jednak on powiedział im, że ja poszukuję sposobu na to, by pozbawiać Indian dusz.

Duncan wetknął świece w cynowy lichtarz i oświetlił mroczny salon. Na stołach i komodach stały kolejne butelki lejdejskie. Na warsztatowym stole pod oknem leżały kawałki korka wykrojone w owale, szpulka jedwabnych nici oraz cztery ukończone pająki identyczne jak ten, którego tak cenił sobie Johantty. W zimie pająki mogą tańczyć rzekł młodzieniec.

– Nasz testament naukowy – wyjaśnił Marston. – Pomoce naukowe, które dają niewtajemniczonym. – Zauważył minę Duncana i wskazał sąsiedni stół. – W największym słoju jest jeszcze ładunek.

Wciąż nie rozumiejąc, Duncan podniósł jednego pająka za uchwyt przyklejony do grzbietu i przytrzymał go nad mosiężnym prętem wystającym ze słoja. Odnóża pająka zaczęły się poruszać w górę i w dół, kiedy umieścił go tuż nad prętem.

– Kiedy jest zimno i sucho, można pocierać o futro lub wełnę z bardzo podobnym skutkiem – rzekł Marston.

Duncan zafascynowany patrzył na małego pająka, poruszając nim w niewidzialnym polu elektrycznym. Jednak gdy to robił, przed oczami stanął mu Johantty, ponuro i desperacko walący w żałobny bęben, oraz Kamienny Kwiat oplakująca zniszczoną świątynię na wyspie.

Odłożył pająka i usiadł na krześle obok Marstona.

– Po raz pierwszy spotkał pan Skanawatiego w jego wiosce czy w Shamokin?

Marston drgnął i podejrzliwie spojrzał na Duncana.

– Kim wy jesteście?

– Przyjaciółmi Irokezów. Niezbyt wielu ich jest w Filadelfii.

Marston wydał usta, a potem powoli skinął głową.

– Poznałem go w Shamokin. – Głos mu drżał, gdy uczony mówił o wodzu Onondagów. – Był zafascynowany moją pracą i przyprowadził kilku ze swego klanu, żeby patrzyli. Błagał mnie, żebym wrócił z moim sprzętem do jego wioski.

– I wrócił pan?

– Wielu chorowało tam na ospę wietrzną – wyjaśnił Marston. – Myślał, że jeśli przepuszczę ładunki elektryczne przez zarażonych, może im to pomóc. Wiedziałem, że nie ma nadziei, ale nie mogłem odmówić.

Chciał mi zapłacić w futrach, ale odmówiłem. Oni wszyscy mieli taką rozpaczliwą nadzieję w oczach, kiedy dotykałem ich moimi słoikami. Piękne dzieci. Starcy i staruszki, a nawet kilku twardych jak skała wojowników, których opuściły siły. Ośmiu na dziesięciu miało nie przeżyć tygodnia. Nie spierałem się już z francuskim niedźwiedziem. Wkrótce potem spakowałem sprzęt i wróciłem do domu.

– Jednak Skanawati wiedział, gdzie pana znaleźć.

– Dałem mu kartkę z moim adresem, a potem namalowałem irokeskie znaki nad drzwiami. Jego lud mnie poruszył. Widziałem zbyt wielu indiańskich pijaków i żebraków na naszych ulicach. Miasto staje się dla nich pułapką. Misjonarze napełniają ich umysły wspaniałymi ideami o równości wszystkich ludzi, a karczmarze upijają rumem. Niektórych trzymają w piwiarniach jak tresowane niedźwiedzie, żeby popisywali się sztuczkami: rzucali tomahawkami, strzelali z łuków i robili tym podobne rzeczy. Większość umiera z pijaństwa albo na jakieś choroby białych ludzi. Chciałem zrobić, co w mojej mocy...

Duncan uświadomił sobie, że Townsend i Marston na własny szczególny sposób byli przyjaciółmi Irokezów. Może nie był to aż taki zbieg okoliczności, że wspólnik Townsenda zjawiał się pod „Pękniętym Dzbanem”, gdyż to właśnie tam ci dwaj się

poznali, i nie był to przypadek, że Marston rozpoznał Conawago i przyszedł mu z pomocą.

Gdy jego goście przetrawiali te niepokojące słowa, Marston zdawał się rozmyślać o Duncanie, marszcząc brwi.

– Odniosłem wrażenie, McCallum, że w tawernie to nie Conawago był w niebezpieczeństwie, ale ty.

– Mieszka tu pewien dżentelmen, który zdaje się sądzić, że jestem z nim związany umową. Wieczorem w tawernie niespodziewanie zjawił się człowiek, który mnie zna.

Marston zmarszczył brwi.

– Prawo nie jest litościwe wobec tych, którzy uciekają od zobowiązań.

– Ta umowa została przepisana na jego córkę. Ona liberalnie podchodzi do moich zobowiązań. On jednak zeznał pod przysięgą, że jest inaczej. To mściwy człowiek, a przeze mnie w zeszłym roku najadł się wstydu.

– Mogę poznać jego nazwisko?

– Ramsey.

Marstonowi opadła szczęka.

– Z tytułem lorda? Kuzyn króla?

– Daleki kuzyn.

Uczony oklapł.

– Dobrze wybierasz sobie wrogów. Od kiedy w zeszłym roku Ramsey przybył do miasta, kupił sobie stanowisko w radzie miejskiej i ma wpływy u gubernatora. Jego dom jest jak pałac, a on sam niczym udzielny filadelfijski książę. Jeśli się dowie, że jesteś w mieście, postawi swoich ludzi na każdej ulicy.

– Wkrótce opuścimy miasto – powiedział Conawago. – Szukamy tu tylko Szaunisa zwanego Czerwoną Ręką.

Marston pokręcił głową.

– Jak powiedziałem, Indianie przychodzą tu i odchodzą. A będąc w mieście, przeważnie trzymają się w cieniu.

– Możemy pozostać najwyżej dzień. – Conawago posłał Duncanowi przeproszające spojrzenie. – To w Lancasterze mamy sprawę do załatwienia.

Marston nadstawił ucha.

– W Lancasterze?

– Konferencja w sprawie traktatu. Tam Skanawati czeka na proces. Chcemy uratować go od stryczka.

Marston sposepniał, wysłuchawszy wieści. Kilkakrotnie otworzył usta, ale nie mógł znaleźć słów. W końcu wstał, wziął gazetę ze stolika pod oknem i rzucił na kolana Duncanowi. Była to „Pennsylvania Gazette” z poprzedniego dnia. Niemal całą pierwszą stronę zajmowały ogłoszenia o przyplływających i wypływających statkach, wykazy ładunków i portów przeznaczenia. Był tylko jeden nagłówek. „Negocjacje traktatu przeniesione do Filadelfii, aby powiesić irokeskiego mordercę”.

Gdy Marston w końcu się odezwał, jego głos zdradzał targające nim uczucia:

– Umrze, gdy tylko filadelfijski sędzia wysłucha świadków i zatwierdzi wyrok. To formalność. Ma dwa, może trzy dni.

Duncan tępo spoglądał na gazetę i nawet nie zauważył, jak gospodarz wyszedł, zobaczył go, dopiero gdy wrócił, niosąc kieliszki i butelkę, którą bez słowa odkorkował.

– Wysłuchajmy wyjaśnień, wszystkiego, co wiadomo – zaproponował poważnie, napełniając kieliszki winem.

Duncan i Conawago pierwsi opowiedzieli swoją historię, zaczynając od znalezienia umierającego kapitana Burke'a i kończąc na obchodzie warsztatów zegarmistrzowskich tego popołudnia, przerywając tylko na widok służącej w granatowej sukni i fartuszkach, która zostawiła tacę z szynką i chlebem. Słuchając, Marston jadł, a potem wyczyścił okulary serwetką i spojrzał na nich z zaniepokojoną miną, gdy skończyli.

– Gubernator tej prowincji zażądał traktatu i przekonał dowódcę wojsk, że sukces brytyjskiej armii na północy nie miałby znaczenia, gdyby nie załatwiono wielu spornych kwestii związanych z zachodnimi ziemiami – zauważył. – Kiedy sędzia pokoju Brindle doniósł, że indiańska delegacja zagroziła zerwaniem rozmów po uwięzieniu Skanawatego, gubernator zaprosił wszystkich delegatów do Filadelfii. Tu może osobiście podjąć Indian i spróbować naprawić szkody, które – jak mówią – wyrządził Brindle. Dziś wieczorem gubernator wydał kolację dla wodzów w siedzibie władz stanowych. Wirginijczycy martwią go jednak tak samo jak Indianie. Wciąż są żądni zemsty.

– Gubernator rozumie plemiona. Na pewno zaaranżuje odpowiednie zadośćuczynienie, żeby uwolnić Skanawatego – powiedział Conawago.

– I zrazić Wirginijczyków? Za taką cenę byłby to pozorny sukces. Chociaż wirginijska kompania sprawia wiele kłopotów, jej właściciele to prywatne osoby. Jeśli im się nie powiedzie, gubernator Wirginii zgłosi oficjalne roszczenia w imieniu królewskiej kolonii. Nie zapominajcie, że Pensylwania jest tylko prywatną kolonią, podczas gdy Wirginia reprezentuje interesy króla.

Duncan przełknął ślinę. Dobrze wiedział, jak cierpią ludzie, gdy dzierżący władzę powołują się na władców i właścicieli.

– Sędzia pokoju Brindle to rozsądny człowiek – rzekł. – Gdybym tylko mógł z nim porozmawiać...

– Ta sprawa już nie leży w jego gestii. I gdyby widziano go z tobą, który ucieka przed sprawiedliwością, jego stanowisko byłoby poważnie zagrożone. Może być szanowanym sędzią, ale Ramsey zasiada w radzie rządzącej całą Filadelfią i często jada obiady z gubernatorem.

– Chce pan powiedzieć, że trzyma się w cieniu, jak Indianie – odpalił Duncan.

Marston sączył wino.

– Mówicie o szyfrach na drzewach – rzekł z zaciekawieniem naukowiec. – Opowiedzcie mi o nich. – Z głębokim zainteresowaniem wysłuchał relacji Duncana,

po czym rozpromienił się. – Szyfr masonów! – wykrzyknął. – Prostokąty i niedokończone kwadraty? Otwarte trójkąty i kropki?

Podeksytowany Duncan nachylił się do niego.

– Potrafi go pan odczytać?

Entuzjizm Marstona wyraźnie osłabł.

– Wiem, że taki jest. To rodzaj matrycy, na którą nakłada się litery alfabetu, zastępując je innymi znakami, na przykład trójkątami lub kropkami. Nie wiem jednak, jaka to matryca i jak odczytać ten szyfr.

Duncan westchnął z rozczarowaniem.

– Zapewne w Filadelfii są inni uczeni, ludzie znający takie szyfry?

– Zapewne. Jednak te szyfry są tajne i ci, którzy ich używają, także się z tym kryją.

Gdy Duncan wziął nóż i widelec, po czym zajął się szynką, Marston obserwował go z zaciekawieniem.

– Tnie pan z precyzją chirurga.

– Ukończyłem trzyletnie studia medyczne w Edynburgu.

– Edynburg! Och, to stolica nauk medycznych! Oto ręka przeznaczenia! – wykrzyknął Marston. – Może pan mi asystować. Potrzebuję...

– Traktat – przypomniał mu Duncan.

– Proszę wybaczyć – przeprosił gospodarz. – O czym to ja...? Gubernator zakłada, że Wielka Rada Sześciu Plemion w końcu pójdzie na kompromis, nie chcąc się okryć wstydem, wracając do domu bez nagrody.

– Kompromis?

– O niczym innym się tu nie mówi, od kiedy usłyszeliśmy, że konwój dotarł do Lancasteru. Wirginia nie dostanie ziemi, ale wieszając Indianina, zaspokoi się ich żądze zemsty. Irokezi unikną zerwania więzów przyjaźni, przyjmując, że zbrodnia była dziełem jednego człowieka, a nie wypowiedzeniem wojny. Pensylwania utrzyma pokój, przekonawszy wszystkich, że te zabójstwa uknuli Francuzi, i podkreślając potrzebę trzymania się razem w walce o wspólną sprawę. I dowodząc konieczności stacjonowania oddziałów w Forcie Pitt. Oto polityka naszego stanu – z goryczą powiedział Marston. – Tak postępujemy z przyjaciółmi Francuzów.

Te słowa wywołały nieoczekiwany skutek: z mroku dobiegło zduszone łkanie. Służąca pozostała na korytarzu.

– Catherine! – jęknął Marston. – Nie chciałem...

Daremnie szukał słów, po czym gestem przywołał służącą. Była pospolitej urody, krzepką kobietą po trzydziestce, o znużonej troskami twarzy, którą odwróciła, powoli wchodząc do pokoju.

– Czy panowie życzą sobie czegoś jeszcze? – zapytała napiętym głosem. – Może przynieść wina?

Duncan pojął, że rozpaczliwie próbuje zapanować nad swoimi uczuciami. Niepewnie spojrział na Marstona, nie rozumiejąc, co tak poruszyło kobietę ani zmieszania uczonego.

– Czego pragnąłbym najbardziej – powiedział – to zapytać, czy zna pani inne służące w tym mieście. Szukam niezameężnej kobiety, siostry pana Townsenda.

Catherine wybuchła płaczem.

– Sądzę, Duncanie – rzekł Conawago, sadzając ją w fotelu – że właśnie ją znaleźliśmy.

Duncan poczerwieniał ze zmieszania. Powinien był się domyślić. Marston zatrudnił siostrę wspólnika, gdy ten zaginął.

– Jak nieustannie przypomina mi Catherine, nie ma niezbitego dowodu na to, że jej zacny brat nie żyje – rzekł Marston.

Duncan westchnął i na chwilę odwrócił wzrok, obawiając się, że jego słowa wywołają ból.

– Pani brat miał elegancką drewnianą szkatułkę z odsuwającym wiekiem i intarsjowanym wzorem diamentów z przodu.

– Ja mu ją dałam, kiedy skończył naukę! – zawołała panna Townsend.

– Mam tę szkatułkę w plecaku. Zwrócili mi ją Irokezi. Z wydrapanymi na niej plemiennymi znakami.

Kobieta gwałtownie odwróciła głowę. Przycisnęła fartuszek do twarzy.

– Nikt nie znalazł jego ciała – przypomniał Marston.

– Obawiam się, że puszcza pochłania ciała – zauważył Conawago.

Duncan przypomniał sobie, że kobieta zareagowała tak gwałtownie nie wtedy, gdy on mówił o jej bracie, lecz gdy Marston wspomniął o Francuzach.

– Wielu dobrych ludzi zginęło na zachodzie w ciągu minionych miesięcy – powiedział. – Kapitan Burke. Geodeta nazwiskiem Cooper i jego indiańska żona. Pan Bythe.

Słyszając nazwisko kwakra, kobieta zapomniała o smutku.

– Diabeł w końcu upomniał się o swoje – prychnęła i dopiero teraz Duncan usłyszał w jej głosie ślad irlandzkiego akcentu.

– Bythe badał sekretny udział Francuzów w tych zabójstwach – powiedział jej Duncan.

– Niech go zaraza! Mój brat nie był zdrajcą! Był kierownikiem zespołu, mającym dopilnować, aby inni byli bezpieczni i dobrze pracowali. Postąpił jak dobry chrześcijanin, pomagając innym znaleźć pracę.

Marston podał kobiecie kieliszek wina.

Duncan wziął jedno z krzeseł o skórzanych oparciach i usiadł przy niej.

– Pana Bythe'a spotkał taki sam los jak kapitana Burke'a – wyjaśnił. – Ciała tych dwóch widziałem. Co dokładnie sugerował pan Bythe?

Na to pytanie niechętnie odpowiedział Marston:

– Kiedy geodeci zaczęli znikać, sędzia Brindle zwołał zebranie. To wojna, powiedział nam, cena, którą płacimy, kiedy królowie się wadzą. Ostrzegł, że powinniśmy po prostu trzymać się z dala od pogranicza, dopóki trwają walki. Ktoś zapytał jednak, jak Francuzi zdołali rozpoznać w tych ludziach geodetów, skoro ich nie znali. Ktoś dodał, że to tak, jakby pół tuzina ptaków umieścić w różnych miejscach

tej ogromnej puszczy, a Francuzi wszystkie je znaleźli i upolowali. Wybuchło zamieszanie. Ludzie zaczęli krzyżeć, że ktoś powiedział Francuzom, że geodeci zostali zdradzeni. Pewien kupiec przypomniał, że Francuzi mogą swobodnie przybywać do Shamokin i je opuszczać. Jakiś traper powiedział, że Townsend kilkakrotnie był w Shamokin, to on wysłał pierwszych geodetów na zachód i był jedynym, który znał ich wszystkich.

– Głupcy! – wykrzyknęła panna Townsend. – Francis nigdy nie powiedział złego słowa o królu!

Marston, wyraźnie skrepowany, szybko dokończył swoją opowieść:

– Przydział do Fortu Pitt pozwolił Bythe'owi prowadzić dochodzenie. Niektórzy mówią, że właśnie po to go dostał. Był oficerem milicji i czasem prowadził patrole, mając nadzieję schwytać i zmusić do mówienia napastników współpracujących z domniemanym szpiegiem. Nawet w „Gazette” były doniesienia o zbiegłych niewolnikach przynoszących wiadomości dla Francuzów. Sprytny pomysł. Zbiegły niewolnik będzie ze wszystkich sił starał się nie rzucać w oczy. Wiadomo, że łowcy nagród z Wirginii czasem wypatrują ich nawet w Shamokin.

– Czy pani brat miał jakiś powód, żeby rozmawiać ze zbiegami? – zapytał Conawago.

Kobieta powoli pokręciła głową.

– Zatem proszę powiedzieć mi coś jeszcze – ciągnął Conawago. – Pani brat zatrudnił geodetów. A kto zatrudnił jego?

– Jest taki kupiec z Wirginii – rzekł Marston. – Jego statki z tytoniem i drewnem pływają po zatoce Delaware.

Marston nie odpowiedział na zadane pytanie.

– Czy to on zatrudnił pani brata, panno Townsend? – naciskał Duncan.

– Nie ten kupiec. On tylko odbierał wiadomości. Wszyscy geodeci byli zatrudnieni przez kompanię, bezpośrednio przez jednego dżentelmena – odparła. – Nawet zaprosił nas na obiad w jego łoży w City Tavern. Francis był kluczem. Znał dzikie pustkowia, właśnie stamtąd wrócił i powiedział, że jest tam bezpiecznie, Irokezi zachowują się jak prawdziwi dżentelmeni, a nasz spalony dom to zupełnie inna sprawa. Francis się wahał, czy zostawiać nas tak szybko po niedawnym powrocie, ale straciliśmy dom, a ten dżentelmen powiedział, że po zakończeniu pomiarów opublikuje jedną z jego książek o ptakach Ameryki.

– Dżentelmen?

– Właściciel Monongahela Company, wirginijskiego przedsiębiorstwa ziemskiego. Winston Burke. Kiedy mój brat się zgodził, razem zatrudnili innych. Młodzieńca z Connecticut. Holendra z dwoma zegarkami. Paru innych.

Duncan popatrzył na kobietę, a potem podszedł do tacy, nalał sobie następny kieliszek wina i wypił. Nie dopasował fragmentów układanki, tylko znalazł następne niepasujące do siebie.

– Jest tu grupka Indian – rzekł Conawago, przerywając głuchą ciszę, która zapadła w pokoju. – Skrzyknęli się w niegodziwych celach. Gdzie w tym mieście tacy ludzie mogą znaleźć schronienie?

Marston wzruszył ramionami.

– Przybywający tu w uczciwych zamiarach odwiedzają mnie albo zatrzymują się w budynku rządowym. Inni mogą być wszędzie.

– Słyszałam o takich miejscach – wtrąciła panna Townsend. – Szczególnie o jednym. Bardzo nieprzyjemnym. Słyszałam, jak pewien dżentelmen mówił, że to nora równie okropna jak palarnia opium w Londynie, ale dobrze, że jest, bo dzięki temu pijane dzikusy nie włóczą się po naszych ulicach.

– Znasz to miejsce, Catherine? – z niedowierzaniem zapytał Marston.

Kobieta wyprostowała się z godnością.

– Jako gospodyni stykam się ze służbą pracującą w wielu domach. Niektórzy mielią ozorami.

– Czy w tym miejscu mógłby schronić się zbieg? Może słyszałaś o takim wojowniku jak Czerwona Ręka? Albo Ohio George? – spytał Duncan.

Kobieta zrobiła wielkie oczy.

– Ohio George? Szukacie Ohio George’a?

– Chyba nie zna pani tego człowieka?

– Przed kilkoma miesiącami urządzono tu pokaz. Prawdziwi wojownicy demonstrowali swoje dzikie zwyczaje, okrzyki wojenne, strzelanie z łuków, tańce wokół ognia rozpalonego w wielkim żelaznym kotle. – Panna Townsend zaczerwieniła się. – Kilku mówiących po angielsku opowiadało o wojnach z innymi plemionami. Ten Ohio George mówił, jak walczył z pięćdziesięcioma Huronami, został schwytany i wywieziony na wielki zachodni ocean, gdzie zmagął się ze straszliwymi morskimi potworami. Płasał prawie nagi, mając tylko przepaskę na łądźwiach!

Wszystko to oznaczało, że Ohio George dał się poznać w Filadelfii jako groźny, mówiący po angielsku Irokez, niewzdragający się przed oszustwem, jeśli ktoś wsunie mu pieniądze do kieszeni.

– Ta nora, ta kryjówka plemiennych wyrzutków, czy może nam pani powiedzieć, gdzie ona jest? – zapytał Duncan.

– To wielka stodoła na polu nad północnymi dokami, w której trzymano mleczne krowy, zanim wyprowadzono je z miasta.

– Nie pójdziesz do tego gniazda żmij! – zaprotestował Conawago. – Jeśli chcieli cię zabić w Shamokin, tym bardziej zechcą zamordować cię teraz.

– Czerwona Ręka zna wszystkie odpowiedzi – odparł Duncan. – Nie będę tchórzyl, gdy mają powiesić Skanawatiego. Wrócimy do stajni po broń. Noc jest jeszcze młoda.

Po chwili Conawago przemówił spokojniej i z większym namysłem. Badawczo spojrzął na Marstona.

– Nie. Nie potrzebujemy broni, jeśli mamy dostatecznie mocną tarczę.

Rozdział 13

Konstabile nie będą się interesować rodziną wracającą z wieczornego spotkania, tak więc Marston i Catherine Townsend włożyli bardziej eleganckie stroje, by wraz z Conawago i Duncanem kroczyć po bruku Market Street. W trójgraniastym kapeluszu i pożyczonym od gospodarza płaszczu Duncan dobrze grał swoją rolę, nawet potakując Marstonowi wychwalającemu niezrównanego doktora Franklina, gdy przechodzili obok zgrabnego domku, wyglądającego na wygodny, w którym ten wielki człowiek mieszkał, kiedy przebywał w Filadelfii. Gdy dochodzili do ceglanego muru otaczającego duży budynek będący celem ich wycieczki, Conawago wszedł w cień i zdjął kubrak, odsłaniając ukryte pod nim warkocze, w jeden z nich wetknął pióro i wyjął amulet spod koszuli. Zanim we dwóch podeszli do posterunku milicji, sennie strzegącego bramy, Marston i panna Townsend znikli w mroku, a Conawago i Duncan rozpoczęli ożywioną i głośną rozmowę w języku Irokezów.

– Czy widzieliśmy cię wśród delegatów na naradę? – zapytał żołnierz, który wydawał się dowodzić tym oddziałem straży.

Trzymał muszkiet przy piersi i zagradzał im drogę.

– Rany boskie, kapralu – zaśmiał się inny wartownik – dla mnie oni wszyscy wyglądają tak samo.

Conawago wyrzucił z siebie potok niecierpliwych irokeskich słów, dwukrotnie wymieniając nazwisko Brindle'a.

– Ty nie jesteś czerwonoskórym, panie – zwrócił się kapral do Duncana.

– Delegacje plemienne mogą mieć doradców – z irytacją odparł Duncan. – Byłoby naprawdę niefortunne, gdybyśmy musieli wezwać sędziego pokoju Brindle'a.

Żołnierz zawahał się, a potem ich przepuścił.

Rządowy budynek przydzielony delegatom był przestronnym, dwupiętrowym domem z cegieł, skromnie umeblowanym, lecz dostatecznie dużym, aby pomieścić kilkunastu gości. Conawago zdawał się dobrze orientować w jego wnętrzu. Poprowadził Duncana przez duży salon, jadalnię i kuchnię, gdzie cztery osoby ze służby siedziały, grając w wista w oświetlonym świecami kącie. Podnieśli głowy, ale nic nie powiedzieli, gdy Conawago wyprowadził Duncana przez tylne drzwi.

Duncan powinien się domyślić, że Indianie nie zostaną pod dachem. Pod ceglanym murem na końcu podwórza ułożono posłania z koców i materaców wyciągniętych z budynku i teraz większość z nich zajmowali śpiący członkowie delegacji. Jednak ci, których szukali, siedzieli przy ognisku rozpalonym na środku ogrodu na tyłach domu.

Duncan czekał z boku, gdy Conawago podszedł do wodzów i rozmawiał z nimi cichym, pełnym szacunku głosem. Po kilku minutach sam Stary Pas odwrócił się i

gestem zaprosił Duncana do kręgu. Szkot opadł na wonną rabatę rumianku i słuchał, jak Conawago kończy tradycyjne powitanie wędrowców spotykających się po długiej podróży. Duncan przyjrzał się szanowanym przywódcom plemion i dostrzegł na ich twarzach nowe zmarszczki zmartwienia. W końcu Stary Pas westchnął. Wziął kunsztownie rzeźbioną fajkę z czerwonego kamienia, nabił tytoniem z woreczka, a potem dwoma zielonymi patykami podniósł węgiel z ogniska, aby zapalić tytoń. Zaciągnął się głęboko i pozwolił, by aromatyczny dym rozszedł się w małym kręgu siedzących, zanim podał fajkę Duncanowi.

– *Denighroghkwayen* – zachęcił poważnie. Zapalmy razem.

– Odbyleś trudną podróż od czasu naszego ostatniego spotkania – rzekł Stary Pas, kiedy wszyscy w kręgu zaciągnęli się dymem.

– Trzeba się wiele dowiedzieć, a czasu jest mało – odparł Duncan.

– Bardzo się martwisz o ludzi, którzy zostali wezwani przez duchy – wtrącił Długi Wilk.

Duncan wiedział, że Indianin w ten sposób przypomina mu, że kwestionowanie śmierci niewiele się różni od kwestionowania bogów.

– Mój klan, moje siostry i brat, matka, ponad pięćdziesięcioro bezbronnych dzieci i kobiet zginęło od kul i ostrzy wroga mojego ludu – rzekł Duncan, ponownie zaciągnąwszy się dymem. – Nie zostali wezwani przez duchy na drugą stronę, nieprzygotowani zostali wepchnięci na tamten świat przez ludzi noszących zło w sercach. Ponieważ nikt nie próbował powstrzymać tego zła, mój lud wyginął. Od tej pory, ilekroć napotkam na swej ścieżce zło, staram się z nim walczyć. Tego żądają ode mnie duchy mego ludu.

Długi Wilk zdawał się rozważać jego słowa, a potem powoli i z aprobatą skinął głową.

– To ciężkie brzemie – zauważył Stary Pas.

Duncan spojrział w gwiazdy, zanim odpowiedział:

– Czasem cięższe niż inne – odpowiedział.

– Czy to prawda, że Kamienny Kwiat zabrała cię na świętą wyspę? – zapytał Stary Pas, pyknąwszy fajkę.

– To prawda.

Długi Wilk sięgnął do sakwy i z powagą położył krótki pas białych paciorków na przegubie Duncana.

– Chcemy usłyszeć, co powiesz o swojej podróży.

Duncan oparł rękę na kolanie i wyciągnął ją tak, żeby wszyscy dobrze widzieli pas. Ten zdawał się jarzyć w blasku księżyca. Z wampumem na ręce nie mógł kłamać.

– Zajrzałem w szczelinę świata – zaczął – i podążyłem śladem krwi, która z niej wypływa.

Przez ponad godzinę Duncan i Conawago wyjaśniali, co odkryli na północy. Odpowiedzieli na wiele pytań słuchających ich wodzów, a Conawago także spytał ich o postępy negocjacji i wysłuchał wieści o zamieszkaniu, jakie wybuchło, gdy delegacja rozbiła obóz w koszarach w Lancasterze tylko po to, żeby nazajutrz gubernator

weszał ją do Filadelfii. Kiedy kilka plemiennych delegacji poskarżyło się na uwięzienie Skanawatiego, Wirginijczycy rozdali im gąsiory z rumem. Stary Pas kazał pijanym Indianom wracać do domów.

Nie było żadnego wahania, gdy Duncan wyjaśnił, czego potrzebuje. Opuścili teren ze Starym Pasem i czterema irokeskimi strażnikami, uzbrojonymi jak do ataku przed świtem.

Wielka stodoła z kamieni i belek niegdyś była okazałą budowlą, lecz teraz mocno zaniedbaną. Wciąż trzymano w niej konie, lecz smród odchodów w kącie zagrody jasno dowodził, że większość jej mieszkańców to ludzie. Przez otwarte wrota płynęły chmury dymu z taniego tytoniu, urywki sprośnych angielskich piosenek i bełkotliwe okrzyki w kilku indiańskich językach. W przegrodzie znajdującej się najbliżej wejścia, na belach siana nakrytych workami po mące, siedzieli mężczyźni – czterej Indianie i dwaj Europejczycy – grając w karty na kawałku deski. Jeden z Europejczyków wstał i chwiejnie ruszył ku przybyłym.

– Rum w następnej przegrodzie, szanowni panowie – oznajmił z walijskim akcentem. – Na kufle lub dzbany, jeśli macie pieniądze – dodał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

Stary Pas szepnął coś do swojej eskorty i dwaj Indianie zajęli pozycje przy wejściu. Pijany Walijszyk już miał zaprotestować, lecz gdy spojrział na ich topory, rozmyślił się i pospiesznie wrócił do gry. Jeden z dwóch pozostałych członków eskorty zdjął z kołka rzucającą słabe światło latarnię i poprowadził Starego Pasa, Conawago oraz Duncana głównym przejściem przez stodołę. Ci wojownicy znają Czerwoną Rękę z widzenia, wyjaśnił Stary Pas, więc Duncan się nie wtrącał, gdy dwaj Irokezi prowadzili poszukiwania w zatęchłych przegrodach. W pierwszej kilku Indian leżało pogrążonych w pijackim śnie na belach siana. W następnej to samo, choć tam byli też dwaj Europejczycy w podartym i brudnym odzieniu i jeden z nich wykonywał chwiejnego giga, aby dostać od Indian łyk rumu. W trzeciej rozległ się gniewny okrzyk i naga Indianka rzuciła w nich męskim butem, zakrywając kocem twarz leżącego obok niej na posłaniu Europejczyka, resztę jego kredowobiałego ciała pozostawiając odsłoniętą.

Z ostatniej przegrody wystawały łby dwóch koni, a słysząc ciche jęki dochodzące z sąsiedniej, Duncan spodziewał się zobaczyć kolejne ofiary rumu. Jednak na widok wymizerowanych postaci w sianie pospieszył naprzód. W półmroku leżały trzy Indianki i troje dzieci. Jedna oparta o ścianę kobieta miała bóle porodowe, ale obserwowała ich w milczeniu, nie skarżąc się. Druga najwyraźniej była chora i leżała między dwojgiem dzieci, które trzymały ją za ręce, próbując pocieszyć. Trzecia trzymała w ramionach cztero- lub pięcioletniego chłopczyka, kołysząc go i usiłując sprawić, by zapomniał o bólu. Duncan uklęknął przy chorej i skinął na Indian, by poświecili latarnią, po czym zmierzył jej puls, uniósł powiekę, położył dłoń na czole i pogładził je, gdy jej ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze.

– Stójcie! – huknął gniewny głos. – Niech nikt nie dotyka kobiet, dopóki nie... – Krępy mężczyzna z bokobrodami, który wpadł do przegrody, zawahał się na widok Starego Pasa. – Nikt...

Zamilkł na widok dwóch wojowników, którzy wyszli z mroku. To nie byli Indianie z miasta, osłabieni pijaństwem i chorobami, jakich przywykł oglądać, lecz ogromni dzicy wojownicy w pełni sił. Jeden z Irokezów stanął za nim, odcinając mu drogę ucieczki.

– To nie ulica, żeby tak sobie chodzić – wymamrotał mężczyzna.

Duncan powstrzymał chęć rąbnięcia go w szczękę.

– Przyniesiesz wodę pitną dla tych ludzi, ale już! A potem świeże siano.

– Nie macie prawa.

– Już! – powtórzył Duncan.

Conawago pospiesznie wydawał polecenia jednemu z wojowników, by towarzyszył właścicielowi stodoły, który zbladł jak płótno, widząc, że wojownik wyjmuje topór z za pasa. Kiwnął głową i wycofał się.

– Ona ma malarię – wyjaśnił Duncan. – To atak. Peruwiańska kora może złagodzić objawy. – Odwrócił się do Starego Pasa. – Sędzia Brindle niewątpliwie usłucha, jeśli zażadasz, żeby jutro lekarz przyniósł tutaj korę. – Irokez skinął głową. – Poproś, żeby przyniósł większy zapas. Tę kobietę trzeba stąd zabrać z powrotem do Irokezów, gdzie będzie miała opiekę z dala od miazmatów tego miasta.

Kobieta z chłopcem nie pozwalała Duncanowi go dotknąć, dopóki Stary Pas nie podszedł bliżej. Wtedy wydała okrzyk zdziwienia i szacunku, najwyraźniej poznając wielkiego wodza, i kiwnęła głową. Duncan natychmiast stwierdził, że chłopczyk ma złamaną rękę, która miała paskudną sinozieloną barwę od zakrzepłej krwi, a z ciała sterczała kość.

Conawago łagodnym głosem porozmawiał z kobietą, a potem wyjaśnił sprawę towarzyszącej:

– Chłopiec wnosił jedzenie po drabinie i spadł. Ona się boi, że już nigdy nie wydobrzeje. W wiosce jej młodości chłopca, który nie mógł strzelać z łuku, uznano za bezwartościowego i pozostawiono na pastwę losu.

– On znów będzie strzelał z łuku – obiecał Duncan, a potem rzekł do Conawago: – Potrzebna mi zepsuta uprzęż, którą widziałem wiszącą na ścianie, dwie deszczułki i kilka worków po mące z pierwszej przegrody.

Zanim Conawago wrócił, Duncan już ułożył chłopczyka na sianie, a matka trzymała malca za zdrową rękę. Uciął czterocalowy kawałek grubej skóry i kazał chłopcu go zagryzać, ilekroć poczuje ostry ból, a potem zaczął przygotowywać łubki, podczas gdy Conawago darł worki. Duncan zaczął nucić szkocką żeglarską pieśń z czasów swojej młodości, cicho powtarzając refren. Przesunął palcami po złamanej kości, a potem – skinąwszy na chłopca, żeby zacisnął zęby – jednym zdecydowanym pociągnięciem nastawił złamaną rękę. Owinął ją warstwą prowizorycznego bandaża, a potem mocno przywiązał łubki drugim i w końcu zrobił temblak z rzemienia.

– Przez dwa księżyce – rzekł do Conawago, nie ufając swojej znajomości języka. – Powiedz jej, żeby nie zdejmowała tego przez dwa księżyce, a chłopiec wyzdrowieje.

Duncan się uśmiechnął, gdy kobieta ujęła jego dłoń, dziękując mu raz po raz.

– Złamał rękę, niosąc jedzenie na strych – przypomniał Conawago.

Staremu Pasowi nie musiał mówić nic więcej. W oczach wodza zapalił się błysk, jak u starego konia, który przypomniał sobie sztuczki z czasów młodości. Na moment pochylił się nad najstarszym dzieckiem, szepcząc.

– Tam jest ukryty pokój – rzekł, kiedy się wyprostował. – Z krzesłami, posłaniami i europejskimi rzeczami. A na końcu stodoły jest drabina, po której wejdziemy tam niepostrzeżenie.

Duncan miał ochotę wspiąć się tam sam, ale nie protestował, gdy jeden z irokeskich wojowników go wyminął i bezszelestnie znikł w ciemnościach poddasza. Kiedy po chwili weszli po drabinie na górę, zobaczyli na końcu strychu wartownika, który popatrzył na nich i natychmiast znikł, gdy muskularna ręka owinęła się wokół jego szyi i wciągnęła go w ciemność.

Drugi wojownik wyszedł naprzód i zajął stanowisko przy drzwiach, gdy Duncan przeszedł przez nie i znalazł się w pokoju. Pomieszczenie z surowych desek zręcznie obito od wewnątrz heblowanymi, tworząc wygodne pomieszczenie. Zgrzebne płótno przybito do podłogi jako dywan i wstawiono kilka najwyraźniej przeznaczonych do wyrzucenia mebli. Jeden z Indian spał z głową na oparciu krzesła, a czterej inni siedzieli na kocu na środku podłogi, rzucając kolorowymi kamykami będącymi indiańską odmianą kości. Przy każdym z nich leżała kupka europejskich monet.

Na widok wchodzącego Duncana wszyscy czterej zerwali się na nogi, chwytając za noże zawieszane na piersiach. Duncan z niepokojem patrzył, jak się rozstawiają, preżąc mięśnie, trzymając w dłoniach noże. Nie zamierzali paktować ani nawet grozić intruzom, tylko atakować. Stojący najbliżej Duncana zamachnął się długą pałką zakończoną szpikulcem – marszpikiem służącym do prac przy olinowaniu statku. To była śmiertelna broń i Duncan już się szykował do obrony przed ciosem, gdy nagle tamci czterej zastygli. Ze zdumieniem spojrzeli na Starego Pasa, który pojawił się w progu, mierząc po kolei każdego z nich surowym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Poznawszy go, opuścili broń, a dwaj z nich zaczęli mamrotać coś z szacunkiem do wielkiego wodza Irokezów.

– Zabierzemy Szaunisa zwanego Czerwoną Ręką – spokojnie oznajmił Stary Pas.

Duncan pochylił się nad posłaniem pod ścianą.

– Jeszcze ciepło – powiedział.

Śpiący na krześle, Nanticoke, sądząc po ozdobach z muszli, obudził się i z kwaśną miną spojrzął na intruzów.

– Nie znamy nikogo takiego, starcze, więc wy...

Nie zdołał dokończyć. Jeden z wojowników towarzyszących Staremu Pasowi rąbnął go w głowę obuchem topora i Indianin runął na podłogę. Nikt nie zareagował.

– Zabierzemy tego, którego zwą Czerwoną Ręką – powtórzył Stary Pas.

Widząc, jak jeden z Indian zerknął w ciemny kąt na końcu izby, Duncan rzucił się w tym kierunku. Dwoma susami znalazł się w krótkim i wąskim korytarzyku wiodącym do magazynu, a tam zobaczył otwarty właz służący do wciągania ładunków za pomocą lin i wielokrążka. Doskoczył do otworu i złapał równowagę, chwytając się liny, która opadała w ciemność.

Czerwona Ręka, który tędy uciekł, stał w plamie księżycowego blasku piętnaście jardów dalej, podnosząc ręce ku niebu i drwiąc z Duncana. Nie mieli szans go schwytać. Zanim Duncan zsunąłby się po linie i dobiegł do niego, Indianin już zdążyłby zniknąć w labiryncie ulic.

– Przychodzi i odchodzi – powiedział mu Conawago, gdy Duncan wrócił do przyjaciół. Nipmuk rzucił na stół wystrzępioną sakwę, na której stare plemienne wzory zamalowano lubieżnymi rysunkami, Czerwona Ręka nosił ją w Shamokin. – Jego rzeczy.

Duncan wysypał zawartość sakwy na stół. Talia brudnych i podniszczonych kart. Złoty krzyżyk ze sznurem paciorków. Pozostałe dwa srebrne guziki od munduru Winstona Burke'a. Trzy gwoździe z kratkowanymi łebkami, robione w Shamokin. Obtłuczona porcelanowa głowa lalki. Kilka poplamionych jedwabnych wstążek, dwie związane na loku delikatnych blond włosów. Skromny, makabryczny dobytek indiańskiego renegata. Duncan odsunął wstążki na bok i podniósł przedmiot leżący pod nimi. Szklaną kulę, o średnicy jednego cala, większą i ładniejszą niż kulka do gry, identyczną jak ta znaleziona przy Ohio George'u.

Schował ją do kieszeni, a potem odwrócił się do Indian, którzy byli w pokoju i stali teraz rzędem pod ścianą. W tym momencie pojawił się jeden z irokeskich wojowników, popychając przed sobą jakiegoś Indianina i mówiąc coś cicho do Starego Pasa.

– Ten był w wygodce – wyjaśnił wódz. – Z tym.

Strażnik podał mu czarną książeczkę – modlitewnik. Prawie połowa kartek była wydarta, poczynając od końca.

– Niektórzy zabierają takie księgi, ponieważ są święte – z westchnieniem rzekł Conawago. – Inni wyrrywają strony, żeby się podetrzeć.

Duncan wziął poplamioną krwią książeczkę i otworzył na pierwszej stronie. Na górze wprawna ręką napisano datę, 1749, oraz nazwisko. Henry Bythe.

Conawago przeszedł wzdłuż rzędu Indian pod ścianą, którzy lękliwie obserwowali Starego Pasa, a potem cicho powiedział do każdego kilka słów, od stojącego na końcu szeregu otrzymał odpowiedź.

– Czerwona Ręka jest mu winien pieniądze – przetłumaczył po chwili – i powiedział mu, że wkrótce będzie je miał. Przechwalał się, jaką to będzie miał zabawę, zarabiając te pieniądze.

– Zabawę? – spytał Duncan.

– Czerwona Ręka powiedział mu, że może się spodziewać tych pieniędzy jutro wieczorem, ponieważ musi je zarobić przed procesem Skanawatiego. Mówił, że ma zabić czarną dziewczkę, uciekinierkę z Wirginii – złowieszco wyjaśnił Conawago.

To sam Stary Pas nalegał, żeby pomimo późnej pory zejść do sędziego pokoju. Brindle udzielił w swoim domu schronienia Becce, Mokie i małemu Pennowi do czasu, aż gubernator zadecyduje o ich losie. Co więcej, sędzia wyznał wodzowi Irokezów, że co noc ślęczy długo nad księgami z dziedziny prawa i filozofii, szukając odpowiedzi na swój dylemat związany z traktatem.

Drzwi okazałego domu z bali szybko otworzyła surowa kobieta w białym fartuchu i czarnej sukni. Nie powitała ich i nie zareagowała na obecność rosłych wojowników, którzy stanęli po obu stronach drzwi jak wartownicy, po prostu zaprowadziła gości do rozległego pokoju zastawionego rzędami regałów z książkami. Sędzia Brindle siedział, patrząc w ogień na kominku, a na oświetlonym blaskiem świec stoliku przy jego fotelu piętrzyły się dokumenty z woskowymi pieczęciami sądowymi, obok kodeksu, którego kartkami lekko poruszał wietrzyk wpadający przez otwarte okno obok kominka.

Stary Pas, gestem każąc Conawago i Duncanowi poczekać, wyszedł naprzód. Kwakier podniósł głowę i melancholijnie nią skinął.

– Służba mówi, że powinienem już być w łóżku. Jednak my, konie pociągowe, w każdej godzinie dnia nosimy uprzęż.

Wódz nic nie powiedział, tylko położył na stoliku modlitewnik Bythe'a. Sędzia drżącą ręką podniósł zakrwawiony tomik. Otworzył go i przez długą chwilę wpatrywał się w napis, zanim podniósł wzrok.

– Pański szwagier odkrył, kim są zabójcy – oznajmił Conawago, podchodząc. – Jednak wbrew temu, co podejrzewał, nie byli to Francuzi.

Duncan trzymał się w cieniu, nagle uświadamiając sobie, że jest zbiegiem w domu szanowanego sędziego. Kiedy Brindle przemówił, prawie szeptem, jakby zwracając się do małej kwakerskiej książeczki:

– Kiedy wyciągnęliśmy jego ciało ze strumienia, znaleźliśmy tryb zegarowy z długą osią wbity w oko. – Załamał mu się głos. – Wokół oka były krwawe wybroczyny. Sądzę, że twój przyjaciel medyk powiedziałby, że to oznacza, iż jeszcze żył, gdy mu to zrobiono.

– Widzieliśmy inne takie tryby – przypomniał sędziemu Conawago. – A w Shamokin byliśmy świadkami śmierci jednego z tych, którzy są za to odpowiedzialni. Drugi chodzi ulicami tego miasta. Być może zatrudniony przez kupca nazwiskiem Waller.

Twarz Brindle'a odzwierciedlała burzę uczuć.

– Już nie zajmuję się sprawą tych zabójstw. Ponieważ zamordowano członka mojej rodziny, uznano, że traktowałbym te zbrodnie nazbyt osobiście.

– Co jest niezwykle korzystne dla stojących za tymi zabójstwami – zauważył Conawago.

Brindle podniósł głowę.

– Nie rozumiem.

– Czy nadal odpowiada pan za negocjowanie traktatu?

– Nie zwolniono mnie z tego obowiązku. Codziennie rozmawiamy godzinami, ale niewiele z tego wynika – wyznał Brindle. – Ustawiamy i przestawiamy krzesła przy stołach, organizujemy posiłki, słuchamy przemówień o tym, dlaczego każda z delegacji zasługuje, żeby darzyć ją większą estymą.

– Nie wszyscy przy tym stole mówią prawdę – podsunął Conawago. – Co mówi o tym psalterz? „Jego oblicze jest gładsze niż masło, lecz serce jego gotowe do walki”.

– „Jego słowa łagodniejsze niż olej, lecz są to obnażone miecze” – dokończył cytat Brindle.

Nachylił się. Irokezi mieli wampum gwarantujący uwagę słuchacza. Sędzia pokoju Brindle miał swoje psalmy.

– Odsunięcie od sprawy morderstw nie pozwala panu dostrzec, że są one tylko jeszcze jednym środkiem do manipulowania traktatem.

Nawet skryty w mroku Duncan usłyszał, jak kwakier głośno wciągnął powietrze. Po chwili wstał z fotela i dołożył polano do ognia.

– „Dzień dniowi głosi opowieść, a noc nocy przekazuje wiadomość” – zacytował.

Podniósł pióro, aby uzupełnić notatki, a potem skinął na Conawago.

– Mów, przyjacielu.

Gdy stary Nipmuk zaczął relacjonować wydarzenia ostatnich dziesięciu dni, polano buchnęło ogniem i Duncan cofnął się głębiej w mrok. Serce podeszło mu do gardła, gdy ktoś dotknął jego łokcia. Surowa kobieta, która otworzyła im drzwi, wyrosła jak spod ziemi za jego plecami i gestem zaprosiła do przestronnej kuchni z ogromnym kamiennym paleniskiem, po czym wzięła z szafki szklanek mleka i mu wręczyła. Duncan już miał podziękować jej szeptem, gdy zobaczył postać skuloną na stołku przy ogniu dogasającym w wielkim kominku.

Duncan nie odpowiedział na powitanie Van Gruta, który wstał ze stołka, tylko złapał go za koszulę i przyciągnął do siebie.

– Okłamałeś mnie! – warknął. – To ty byłeś z Burkiem w Filadelfii! To on cię zatrudnił!

Kiedy Duncan go puścił, Holender oklapł.

– Wydawało mi się to nieważne. I niekoniecznie skłamałem. Mówiłem ci, że zatrudniła mnie kompania z Wirginii. On był jej częścią.

– Słyszałeś, jak się zastanawiałem nad powiązaniem z Filadelfią, i nawet nie zająknąłeś się o tym, że Burke był tutaj, w Filadelfii. Wiedziałeś, że zabójcy próbowali obciążyć Indian z Shamokin, i nie pisałeś słowa.

Van Grut opadł z powrotem na stołek.

– Z pewnością to tylko przypadek, że był w Filadelfii. A w Shamokin naprawdę byli Indianie, którzy zabijali.

Holender zamilkł, jakby zaczął pojmować, że obecność Burke’a w Filadelfii mogła mieć kilka powodów, niekoniecznie niewinnych.

– Wynajęci przez kogoś innego – warknął Duncan. – Gdybym wiedział o powiązaniu Burke’a z Filadelfią, szukałbym tu wcześniej, zanim tylu łowców nagród zaczęło deptać mi po piętach.

– Z pewnością jego pobyt tutaj nie miał nic wspólnego z zabójstwami. To była robota Indian – powtórzył Van Grut.

– Jesteś pewny? Ryzykujesz własne życie, opierając się na tym przekonaniu.

– Duncanie, ja nie... – zaczął Holender i nagle zrozumiał znaczenie słów Szkota. – Własne życie? Przecież zabójcy są na pograniczu.

– Instynkt mówi mi, że nie. Ta zdrada została wyreżyserowana w Filadelfii. Jeśli ktoś tutaj pragnął śmierci wszystkich geodetów Wirginii, jak sądzisz, co zrobią, kiedy zobaczą jednego przechadzającego się po ulicach?

Przy drzwiach zaszeleściły płótna. Ponura gospodyni słuchała, ale teraz znikła.

Przez chwilę, patrząc na załamane Holendra, Duncan prawie mu współczuł. Nie wierzył, by Van Grut był jednym ze spiskowców, on tylko chciał wykorzystać wszystkie możliwości zarobienia na życie. Ryzyko tego, że Duncan kiedykolwiek odkryje prawdę, było niewielkie, a Van Grut chciał mieć możliwość pobierania zapłaty od tej kompanii, która wyjdzie zwycięsko z negocjacji traktatowych.

– Nie – powiedział Holender. – Przecież to Filadelfia – dodał, jakby chciał przekonać samego siebie. – Ulice są bezpieczne. Są tu konstable. – W przypływie energii podniósł głowę. – Pomogę ci, Duncanie, przysięgam. Powiedz mi, co mam robić.

Duncan zmarszczył brwi.

– Ten kupiec z Shamokin, Waller. Sprawdź, czy możesz go odnaleźć. – Zawahał się, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął szklaną kulę zabraną Czerwonej Ręce. – Dwaj z zabójców mieli takie. To nie paciorki. Nie zrobili ich Indianie. Są rzadkością nawet w miastach. – Upuścił kulkę na dłoń Holendra. – Jeśli chcesz pomóc, opowiedz mi jej historię.

– Dobra robota – rzekł Van Grut, niespokojnie zerkając na Duncana i obracając kulkę w palcach. – Twarde szkło, bez skazy. Założę się, że zrobione w Ameryce. Tutejsi wytwórcy narzędzi rozpoznają, czyja to robota, i będą znali producenta.

Duncan zostawił Van Gruta patrzącego na szklaną kulkę i ponownie podkraść się tam, skąd mógł słyszeć rozmowę trzech starszych panów konferujących przy kominku w bibliotece. Widział coraz większy niepokój na twarzy Brindle'a, zauważył, jak Conawago, a czasem nawet Stary Pas, rzucali pełne podziwu spojrzenia na dziesiątki książek na regałach. Podszedłszy bliżej, nadstawił ucha, aby zrozumieć ciche słowa.

– Chyba nie sugerujecie, że rząd Wirginii lub Pensylwanii jest skorumpowany! – protestował Brindle.

– To nie rządy czerpią największe bezpośrednie korzyści z nadań ziemi – przypomniał Conawago.

Te słowa zdawały się ranić gospodarza. Gdy sędzia nie rozwinął tego tematu, Conawago przedstawił ostatni rozdział swej opowieści, kończąc ją opisem wydarzeń w stodole i godzinę wcześniej.

– Filadelfia jest siedliskiem różnej maści łajdaków – stwierdził Brindle. – To nie znaczy, że człowiek, którego szukacie, uciekł właśnie do Filadelfii.

– To będzie można ustalić, kiedy zostanie złapany. A tymczasem, jak już wyjaśniałem, zamierza zabić dziewczynę, która przebywa pod pańską opieką.

– Natychmiast zaalarmuję konstabli.

– Nie. On jest za sprytny, żeby go złapali pańscy konstable.

– Nic więcej nie mogę zrobić. – Brindle przyjrzał się Indianom. – Chyba nie sugerujecie, że powinienem zostać aktorem tego dramatu?

– Już pan nim jest, tak jak był nim pana szwagier.

– Nie sądzicie, że złamię prawo mojej prowincji!

Duncan wyszedł z cienia.

– Zatem śmierć Skanawatiego obciąży pańskie sumienie.

To były szorstkie, brutalne słowa, ale najwyraźniej poruszyły sędziego, który się odwrócił, żeby zobaczyć, kto je wypowiedział.

– To ty! – jęknął Brindle. – Jak śmiesz, McCallum! Zbieg wyjęty spod prawa w moim domu! Nie pozostawiasz mi wyboru, muszę posłać po konstabli.

– To o konstablach musimy porozmawiać.

Na twarzy Brindle'a szalała burza uczuć, gdy podniósł się z fotela.

– Mam obowiązek powiadomić sądy o twojej obecności, powiedziec o tym temu, kto pod przysięgą złożył obciążające cię zeznanie.

Stary Pas stanął u boku Duncana.

– Odpowiedz mi, przyjacielu. Czy do czasu podpisania traktatu nie masz wirginijskich zbiegów pod swoim...

Odwrócił się i szeptem zapytał o coś Conawago.

– Nadzorem? – dokończył za niego Nipmuk.

Jakby na dany sygnał, w sąsiednim pokoju rozległ się stłumiony płacz dziecka.

– Mam.

– Zatem ja będę miał pod nadzorem McCalluma – odparł wódz Mohawków.

Brindle się skrzywił.

– Pan McCallum ma odpowiadać przed znacznie wyższą władzą.

– Koniec końców w tej sprawie właśnie to będzie problemem, nieprawdaż? – rozległ się cichy głos Conawago.

Brindle zmarszczył brwi.

– Słucham?

– Ponieważ jest władza wyższa niż wielkich rodów Filadelfii.

Kwakier znowu opadł na fotel i zapatrzył się w płomienie na kominku.

Duncan podszedł dostatecznie blisko, by przeczytać dokument na stoliku.

– Dokumentacja Susquehanna Company – zauważył, z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem obserwując sędziego. Kompanie tworzono jedynie na rozkaz króla. Brindle zabrał te akta z rejestrów sądowych. – Dlaczego w trakcie kryzysu rokowań traktatowych główny negocjator przegląda akty własności filadelfijskiej kompanii?

Brindle się skrzywił.

– Nie daj się zwieść pozorom, jak sam mi kiedyś powiedziałeś.

– Nawet w Starym Testamencie były wilki w owczej skórze – zauważył Conawago.

– Ta kompania stała się największą i najaktywniejszą w zgłaszaniu roszczeń – rzekł Brindle. – Jeśli roszczenia Wirginii zostaną odrzucone, będzie to oznaczać, że Pensylwania stanie w kolejce do tych ziem.

– A jeśli Skanawati zawiśnie za zabicie Wirginijczyka, to nie ma mowy, by Irokezi kiedykolwiek scedowali ziemie na Wirginijczyków. Co oznacza, że Susquehanna Company zyskałaby najwięcej, gdyby go powieszono – zakończył Duncan.

Widząc udręczoną minę, z jaką Brindle patrzył na dokumenty, zdał sobie sprawę, że sędzia doszedł już do tego samego wniosku.

Brindle westchnął.

– „Czyni wielkie rzeczy, niepojęte dla nas”.

– Jeśli się nie mylę, to te słowa napisano o Bogu, a nie o lordzie Ramseyu – rzekł Duncan.

Brindle zmierzył go spokojnym spojrzeniem.

– Uraza wywołana zniewoleniem nie pozwala ci na trzeźwy osąd sytuacji, panie.

Duncan wskazał papiery.

– Kim oni są? – zapytał. – Kim są właściciele?

– Dokumenty są niekompletne. Znajduję tylko pierwotnych zwolenników i właścicieli kompanii – wyjaśnił Brindle. – Dobrych i porządnym obywateli. Ze starych filadelfijskich rodzin. Czołowych kupców. Samych chrześcijan.

– Udziały są sprzedawane – podsunął Conawago. – Szczególnie kiedy pojawiają się nowe pieniądze.

Brindle zerknął w kierunku drzwi.

– Uważaj, co mówisz, panie.

– To jest Ameryka, a nie udzielne księstwo paru arystokratów – odpalił Duncan.

– Ośmielę się powiedzieć, że nie wszyscy arystokraci się z tym zgadzają – padła szybka odpowiedź Brindle’a. Kwakier skrzywił się, jakby już pożałował swoich słów. – Ta kompania powstała, zanim lord Ramsey przybył do tego miasta, owszem. – Pozbierał dokumenty. – Nie jestem w stanie dowiedzieć się więcej.

– Oficjalnie – rzekł Duncan.

Brindle nie odpowiedział.

– Nawet jeśli nie wezwę konstabli, żeby cię pojмали, McCallum, nie wiem, czy wyświadcę ci przysługę. Na każdym rogu wiszą plakaty z twoim nazwiskiem.

Duncan milczał chwilę, przyglądając się kwakrowi.

– Dziś wieczorem spotkałem pańskiego siostrzeńca.

– Nie ma co robić, gdy delegacja pozostaje w mieście.

– Ze wszystkich łowców nagród tylko on zna moją twarz.

Brindle spojrział na swoje splecione dłonie i westchnął.

– To dumny chłopak, który chce mieć dobry start w życiu. To nie grzech pomagać prawu.

– Dobry start? Czy nie ma już dobrej posady?

– Chce kupić udział w pewnym komercyjnym przedsięwzięciu na pograniczu.

– Próbował mnie namówić, żebyśmy uciekli, zamiast udać się do Shamokin.

Brindle uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Naczytał się romansideł o szkockich rozbójnikach. Może dlatego ci współczuł. Nie można go jednak winić o to, że dołączył do łowców nagród.

– A jeśli pracował dla lorda Ramseya? – spytał nagle Duncan.

Brindle spojrzał na niego zimno.

– Niemożliwe. Jeśli usiłujesz mnie nakłonić, żebym go powstrzymał, to nie mogę. Sam jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobić.

– Rób, co chcesz, wysoki sędzie – rzekł Duncan. – Byle pojutrze. Po tym jak złapiemy Czerwoną Rękę. Jestem przekonany, że on zna odpowiedzi na wszystkie nasze pytania.

– Jak chcesz dokonać tego cudu, skoro wymknął się tyle razy?

– Trzeba odwołać konstabli z północnych doków. W końcu Czerwona Ręka jest tylko najemnikiem. Jutro wieczorem znajdzie cel, któremu nie będzie mógł się oprzeć, łatwą nagrodę do zgarnięcia. Wejdzie prosto w pułapkę.

– Nie, Duncanie! – zaprotestował Conawago. – To zimnokrwisty morderca!

Brindle popatrzył na Duncana i Conawago, a potem westchnął, gdy zrozumiał.

– Proponujesz, że sam będziesz przynętą?

Gdy to mówił, Stary Pas odwrócił się w kierunku cienia zalegającego za tapicerowanym fotelem na drugim końcu pokoju.

– W tawernach znajdujących się w pobliżu stodoły rozpuścimy wiadomość, że widziano mnie przy statkach – wyjaśnił Duncan. – Jakbym próbował się wymknąć z wieczornym przypływem. Kilku Irokezów może się ukryć na przystani, żeby mi pomóc. To najlepsze, co możemy zrobić – dodał z determinacją.

– Wcale nie – wtrącił młody, łagodny głos. Mokie wyskoczyła zza fotela, za którym najwyraźniej podsłuchiwała. – Wiemy, kogo on szuka.

– Nigdy, dziecko! – jęknął Brindle.

– Jutro o zachodzie słońca! – stanowczo oznajmiła Mokie, przesuwając się w kierunku ściany. – W północnych dokach!

I zanim Stary Pas zdążył ją złapać, wyskoczyła przez otwarte okno i znikła.

W filadelfijskim porcie panował tak ożywiony ruch, że Duncan zmęczył się, obserwując go z wysokiego, wychodzącego na wschód okna strychu Marstona. Statki i łodzie wszelkich rodzajów i rozmiarów żeglowały w równym wiosennym wietrze. Szerokie szalupy pełne aloz i ostryg dostarczały swój ładunek dla kuchni Filadelfii. Wolno sunące barki z drewnem przypływały do miasta z portów w górze rzeki. Tragarze uwijali się przy żaglowcach mających wyruszyć do Europy lub Indii.

Duncan patrzył, jak jeden z wielkich statków holowano na środek rzeki, skąd wypłynął na szeroki Atlantyk. To byłoby takie proste: wybiec z tego domu i wskoczyć na pokład jednego z odpływających statków. Dalekomorskie jednostki zawsze potrzebowały zręcznych marynarzy i nikt nie pytałby go o nazwisko. Mógłby zostawić wszystko za sobą, rozpocząć nowe życie. Może jako gubernator. Może mógłby zostać lekarzem w jakimś dalekim portowym mieście.

Te rozmyślania przerwał mu szmer cienkiej deski drzwi ocierającej się o podłogę.

Spodziewając się, że to Conawago z wieściami o Mokie, Duncan nie odwrócił się od razu. Zrobił to, dopiero usłyszawszy jęk, i zobaczył, jak Conawago z Marstonem niosą Van Gruta do niskiego łóżka pod ścianą. Prawa strona twarzy Holendra była spuchnięta i posiniaczona, a włosy zlepione krwią. Szybko go zbadawszy, Duncan odkrył cztery złamane żebra – nie pęknięte, lecz złamane, będą bardzo bolały, gdy Van Grut odzyska przytomność – długie sińce na przedramionach, którymi zasłaniał się przed uderzeniami pałek, kilka skaleczeń na głowie i ranę kłutą uda.

Holender kilkakrotnie otworzył i zamknął oczy, zanim rozpoznał Duncana. Pomimo bólu widać w nich było poczucie winy.

– Może teraz zrozumiesz – rzekł Duncan. – Nie próbowano ci przekazać żadnej wiadomości. Masz szczęście, że żyjesz.

Van Grut wydobył z siebie kilka bełkotliwych słów i zamilkł, w zmieszaniu, pocierając policzek. Duncan odsunął jego dłoń i obejrzał twarz.

– Złamali ci nie tylko żebra, ale i szczękę – wyjaśnił. – Nie jest to otwarte złamanie, ale potrwa kilka tygodni, zanim się zrośnie.

Pokazał Van Grutowi, gdzie ma ucisnąć szczękę, żeby mówić.

– Pod „Pękniętym Dzbanem” usłyszałem o grze lacrosse na polu na północ od miasta. – Holender mówił niewyraźnie, przeciągając sylaby, bo miał spuchnięty język. – Kilkunastu Indian i tyłuż mieszkańców miasta. Myślę, że chcieli mnie zabić podczas meczu, tak jak zabili Ohio George’a. Kilkakrotnie mnie przewracali, wypychając kije między nogi. Jakiś Indianin rzucił się na mnie, ale Europejczyk go odciągnął i skarcił za to, że zapomniał zostawić nóż, przyłączając się do gry.

Van Grut przerwał, gdy panna Townsend przytknęła mu do ust szklanekę z wodą. Skrzywił się, przelękając.

– Po meczu byłem tak zmęczony, że na nic nie zwracałem uwagi, tylko szedłem do miasta, żeby napić się piwa. Czterej dopadli mnie niedaleko tej wielkiej stodoły, w której nocują Indianie. Jednym z nich był ten Szaunis, który znał Ohio Georgea, Czerwona Ręka. Podjudzał ich, kiedy tłukli mnie pałkami. Wlekli mnie do stodoły i pewnie by wykończyli, gdyby nie pojawiło się kilku białych graczy, którzy mi pomogli. Zaczęli krzyczeć, że Indianie nie powinni się tak zachowywać dlatego, że przegrali, a jeśli chcą wygrać, to nie powinni zaczynać gry pijani.

Van Grut się skrzywił, gdy pociągnął za łańcuszek zegarka, jedynej ozdoby, jaka mu pozostała. Zegarek był zniszczony, szkło strzaskane, a dewizka i cyferblat pogiete. Ze smutkiem na niego popatrzył.

– Mojego ojca – rzekł tylko.

– Pół cala w bok i ostrze przecięłoby tętnicę udową. Jak Burke owi.

Van Grut szeroko otworzył oczy.

– Czerwona Ręka! Stał z boku, trzymał młotek i coś jeszcze. Boże w niebiesiech! – jęknął. – Oni nie nieśli mnie do stodoły, tylko pod ścianę. Zamierzał przybić mnie do ściany!

– A czego się spodziewałeś?

W głosie Duncana było niewiele współczucia. Gdyby Van Grut nie ukrywał prawdy, on byłby kilka dni bliżej znalezienia odpowiedzi, których szukał.

Marston obrzucił ich niespokojnym spojrzeniem.

– Przyniosę więcej bandaży – rzekł i wycofał się.

– Znowu grałeś – wydedukował Conawago. – Byłeś pod „Pękniętym Dzbanem”.

Duncan dopiero po chwili zrozumiał, o czym mówi przyjaciel.

– Mój Boże, Van Grut, chyba nie sądziłeś, że znajdziesz następną pracę?

Holender się skrzywił i ponownie ucisnął szczękę, żeby odpowiedzieć.

– Straciłem wszystko poza tym zegarkiem w grze w karty w Lancasterze – wyznał, spuściwszy wzrok. – Burke miał tu sprzymierzeńców. Pomyślałem, że jeśli zobaczą, że nie dałem się zastraszyć i wciąż jestem gotowy pracować w kraju Indian, to mnie zatrudnią. W razie potrzeby mógłbym zwrócić się do wirginijskiej delegacji i powiedzieć, że muszą honorować umowę zawartą przez kapitana Burke’a. Kiedy roszczenia do ziemi zostaną załatwione traktatem, będą potrzebowali geodetów bardziej niż kiedykolwiek. A wpływowi ludzie w kolonii mogliby załatwić mi posadę wykładowcy w college’u Williama i Mary. – Van Grut chyba dostrzegł gniew w oczach Duncana. – Nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby cię skrzywdzić, przysięgam! Po prostu... muszę jakoś iść przez życie, McCallum. Jakie mam wyjście? – spytał łamiącym się głosem.

Odpowiadając, Duncan spoglądał za okno:

– Będziesz musiał odpocząć przez kilka tygodni. Powiem Marstonowi, że jesteś naukowcem. On szuka współpracownika, który by opisywał jego eksperymenty. Może pozwoli ci tu zostać. Jednak szczękę trzeba unieruchomić. Będziesz jadł tylko jajka z mlekiem, przez słomkę.

Van Grut nie odzywał się już aż do chwili, gdy Marston wrócił z pasami lnianych bandaży i miską parującej wody.

– Próbowałem pomóc – rzekł błagalnie Holender. – Odkryłem, że jest taki producent wyrobów szklanych nazwiskiem Wistar, który specjalizuje się w szklanych pojemnikach i różnych przyrządach.

Duncan spojrział na Van Gruta. Niemal zapomniał, o co go prosił.

– Jego agent w Filadelfii rozpoznał tę szklaną kulkę, kiedy mu ją pokazałem. Powiedział, że to niewątpliwie wyrób Wistara. Jednak reszta jego wyjaśnień nie miała sensu.

Duncan skinął na Marstona i Conawago, żeby podtrzymali Holendra, gdy on będzie bandażował mu zębra.

– Jakich wyjaśnień?

– Mniejsze kule sprzedają jako kulki do gry tym, których stać na coś lepszego niż gliniane – rzekł Van Grut, krzywiąc się z bólu. – Jednak na większe kule ma specjalnego klienta. Zeszłej jesieni sprzedał mu ich wieje. To jeden z filadelfijskich arystokratów.

Duncan spojrział na Conawago.

– Ramsey – szepnął ponuro.

Van Grut skinął głową.

– Ten dołącza je do swoich faktur jako znak handlowy.

Conawago westchnął, po czym wskazał na okno, za którym jeden z ludzi Starego Pasa nadchodził z doków Nipmuk wymknął się z pokoju.

Duncan pokazywał pannie Townsend, jak ma zmieniać opatrunek na szczęce Van Gruta, gdy po dziesięciu minutach Conawago wrócił i opadł na zakurzony stołek pod oknem.

– Mokie kręci się po rynku. Ukradła jabłko z jednego straganu, a na innym przewróciła koszyk z cebulą. Jest w tym całkiem dobra – dodał znacząco.

Duncan natychmiast pojął, co przyjaciel chciał przez to powiedzieć.

– Stara się rzucać w oczy, żeby rozeszła się wieść, że w pobliżu doków zbiegła niewolnica robi zamieszanie.

Kilka osób, w tym Marston, panna Townsend i paru Irokezów, od świtu próbowało znaleźć dziewczynę. Jednak Mokie nie da się złapać, chyba że sama zechce, i chętnie stawi czoło Czerwonej Ręce, jeśli to pomoże jej przyjacielowi Skanawatiemu.

– Czy Brindle będzie współpracował? – zapytał Duncan.

– Czy odwoła konstabli? Niepodobna. Nie sądzę, żeby mógł to zrobić. Nie teraz.

Conawago sięgnął za pas i rzucił na stół egzemplarz „Pennsylvania Gazette”. W dolnym rogu pierwszej strony widniał prymitywny rysunek przedstawiający przywiązanego do pala człowieka z kocim łbem zamiast głowy, otoczonego przez Indian z pochodniami. Na piersi mężczyzny wielkimi literami napisano: Brindle. A pod spodem znajdował się nieprzyjemny podpis: *Przy palu męczarni zaczyna śmierdzieć tchórzem.*

– Zatem będę poległ na Starym Pasie i jego ludziach.

– Nagroda za twoją głowę przyciągnie konstabli jak muchy. Na pewno cię złapią.

Na tej samej stronie, nad rysunkiem, Duncan zauważył krótki artykuł. „Wódz Irokezów gnije w miejskim więzieniu” – głosił tytuł.

– Dziewczyna zginie, gdy tylko Czerwona Ręka ją zobaczy. Ocalenie Mokie i schwytanie go będą warte tej ceny. Na pewno warte kolejnych sześciu lat niewoli.

Conawago w milczeniu obserwował razem ze Szkotem statki.

– Wiesz, że nie przeżyłbyś nawet roku, Duncanie. Gdybyś znalazł się w rękach Ramseya, z dala od ludzi, zabiłby cię. Albo sprzedał jako niewolnika na jakąś plantację cukru na Jamajce. Tak czy inaczej, umarłbyś po kilku miesiącach.

– Sarah się dowie. Jego córka może go powstrzymać.

– Ta perspektywa tylko przyspieszy realizację jego planów.

Odpływał następny statek z ładunkiem tarcicy.

– Zdaje mi się, że powinniśmy się skupić na pewnej śmierci na szubienicy czekającej Skanawatiego za dwa dni, a nie mówić o mojej, która może nastąpi – lub nie – za kilka miesięcy – zauważył w zadumie Duncan.

– Jesteś cholernym głupcem, McCallum. Spytaj Skanawatiego, a każe ci się nie wtrącać, tylko uciekać do puszczy, póki jeszcze możesz.

– No to jesteście zgodni. Jestem cholernym głupcem – odparł Duncan i zaczął przedstawiać swój plan działania na wieczór.

Zapalacze lamp rozpoczęli swój wieczorny obchód, gdy Duncan i Conawago wymknęli się z budynku jako kolejni z usmarowanych sadzą ludzi, niosąc drabinę i baryłkę z wielorybim tłuszczem do napełniania miejskich lamp przed zapaleniem. Marynarze i rybacy wracali do domów po całodziennej pracy, a kobieta sprzedająca świeże ostrygi opuszczała na noc wypełnione nimi kosze do rzeki.

Conawago złapał Duncana za rękę, gdy przeciągły świst przeciął wieczorny gwar Irokescy łucznicy ze strzałami sygnalizacyjnymi byli ukryci na każdej przystani, a ten sygnał nadleciał z doków koło Market Street. Przyjaciele ruszyli szybkim, cichym krokiem, jakim tropili jelenie w puszczy, kryjąc się w cieniu, zwalnając, gdy byli odsłonięci, i przybyli na miejsce po pięciu minutach. Indianin wyłonił się zza sterty skrzyń i wskazał małą postać siedzącą na zwoju grubej liny okrętowej.

Gdzie są konstable? – zadawał sobie pytanie Duncan. Conawago go przekonał, że ta pułapka będzie zastawiona na niego, a jednak przedstawicieli prawa nigdzie nie było widać. Przekradł się pod osłoną rzędu wysokich i wielkich beczek, a potem powoli jadącego wozu, do długiej przystani odchodzącej od nabrzeża. Mokie chyba coś wyczuła, gdyż odwróciła się, ale nikogo nie spostrzegła. Duncan, nie mając już żadnej osłony, zdecydowanym krokiem ruszył do dziewczyny. Był może czterdzieści kroków od niej, gdy w szarym świetle za nią pojawiła się jakaś postać. Czerwona Ręka krył się pod przystanią, schowany między wspornikami, i teraz wygramolił się stamtąd zaledwie parę jardów od dziewczyny.

– Mokie! Za tobą! – krzyknął Duncan i skoczył.

Świsnęła kolejna strzała sygnalizacyjna. Ukryci w cieniu magazynów Irokezi wznieśli okrzyk wojenny. Dziewczyna odwróciła się i wrzasnęła na widok Indianina, który spokojnie podchodził do niej z nożem w ręku.

Duncan poszybował w powietrzu, rzuciwszy się na Szaunisa, który prawie dopadł dziewczynę. Szkot odbił jego rękę, uniesioną do morderczego ciosu. Czerwona Ręka wściekłym kopniakiem obalił Mokie na ziemię, a potem z nienawiścią w oczach odwrócił się do Duncana.

Czekając z ostrzem równie długim jak to, które miał napastnik, Duncan udał, że zamierza go pchnąć, po czym mocno kopnął go w kolano. Czerwona Ręka przetoczył się po deskach przystani, szczerząc zęby w uśmiechu, i natychmiast zerwał się na nogi. Zmierzył Duncana przebiegłym spojrzeniem i zastygł, słysząc tupot nóg. Skrzywił się, nie ze strachu, lecz z rozczarowaniem.

– Następnym razem, Szkocie – prychnął, po czym odwrócił się i uciekł.

Duncan obejrzał się na nadbiegających. Tylko jego indiańscy sprzymierzeńcy, żadnych konstabli. Czyżby Brindle jednak użył swoich wpływów? Obrócił się, żeby ścigać Szaunisa. Ten nie uciekł w kierunku miasta, ale dalej, ku sąsiedniej przystani, gdzie dwa szerokie statki stały tak blisko siebie, że tworzyły pomost, po którym można było przeskoczyć na następną przystań, gdzie nie było nikogo.

Grożąc nożem, Czerwona Ręka odpędził żeglarza stojącego na warcie przy trapie pierwszego statku, co pozwoliło mu wskoczyć na szeroki pokład, lecz grupa żeglarzy wyłaniających się z luku zauważyła intruza, zmuszając go do ucieczki. Duncan wykonał rozpaczliwy skok na dziób statku i odkrył, że właśnie wymieniano olinowanie i kilka lin zwisało z rei. Złapał tę zwisającą najbliżej relingu, cofnął się, a potem z rozbiegu przeskoczył nad wodą na pokład drugiego statku. Zanim Czerwona Ręka się tam znalazł, Duncan już stał przed nim z ciężkim marszpikiem w rękę. Szaunis przez moment mierzył go wzrokiem, zerknął na ścigających go marynarzy, po czym skoczył na wanty grotmasztu. Statek był duży, tak że jego olinowanie zniknęło w mroku nad głową Duncana. Szkot złapał wanty po drugiej stronie masztu i zaczął się wspinać.

Czerwona Ręka poruszał się zręcznie jak pająk, bez wahania przebiegał po rejach, skakał, robił salta i łapał się zwisających lin. Jednak Duncan spędził chłopięce lata, bawiąc się w olinowaniu, na którym czuł się jak w domu, więc znał liny i reje jak każdy doświadczony marynarz.

To była niesamowita zabawa w kotka i myszkę, wysoko w powietrzu. Chwilami Duncan tracił Czerwoną Rękę z oczu, lecz za każdym razem Szaunisa zdradzało światło księżycy odbijające się od jego natłuszczonej skóry. Wspinając się między żaglami i wyblinkami, biegnąc po rei, skacząc na wantę, by na rękach przejść od fokmasztu do grotmasztu i zeskoczyć na jego szeroką platformę, Czerwona Ręka poruszał się ze zdumiewającą zręcznością i szybkością. Zatrzymał się na moment, by spojrzeć na ścigających, przeszukujących stopy ładunków na przystani, zerknął na Duncana i znikł. Dalej był tylko bezanmaszt i ciemne wody Delaware, w których Duncan z pewnością by go zgubił. Szkot złapał inną wantę i na pół się wspiał, a na pół zsunął w kierunku platformy grotmasztu, wypatrując Szaunisa w olinowaniu nad głową. Potknął się, lądując na platformie, stracił równowagę i upadł. Ten upadek uratował mu życie, gdyż Czerwona Ręka ukrył się za szerokim drzewcem masztu i powitał Duncana zamaszystym cięciem, które rozpruło mu brzuch. Szkot uderzył pięścią i Czerwona Ręka zatoczył się, co wystarczyło, by Duncan zerwał się na równe nogi.

Szaunis uśmiechnął się drwiąco, gdy Duncan niezdarnie machnął ostrzem.

– Twój bóg czeka na ciebie – zawołał Indianin.

– McCallum! – doleciał ich z dołu ochrypły głos sierżanta McGregora.

– McGregor! – odkrzyknął Duncan.

Czerwona Ręka, wiedząc, że będzie łatwym celem dla żołnierzy, jeśli go zauważą, zaklął, przeciął jedną z lin i odleciał na niej w ciemność. Duncan nagle uświadomił sobie, że Indianin nie kieruje się w stronę rzeki, ale z powrotem do miasta.

– McGregor! – ponownie zawołał. – Dziewczyna!

Mokie wciąż stała przy zwoju lin, obserwując pościg jak wspaniałe przedstawienie. Nigdzie nie było widać konstabli, lecz pojawił się cały oddział McGregora, biegnąc z gotowymi do strzału muszkietami.

Kiedy uczepiony liny Duncan przeleciał z jednego statku na drugi, Czerwona Ręka dotarł na pokład, a potem skoczył na długi bukszpryt sterczący nad przystanią w

poblizu Mokie. Uczepiony następnej liny Duncan zuchwale rzucił się w pustkę, wołając Mokie. Dziewczyna przeszła kilka kroków po nabrzeżu, niepewnie patrząc na wyłaniającą się z mroku grupkę ludzi. Szukając ochrony, podbiegła do latarnika napęlniającego lampy i wciąż patrzyła na długą przystań, gdy Czerwona Ręka wylądował kilka kroków od niej. Duncan zjechał po padunie, parząc sobie dłonie, wylądował na pokładzie i przesadził reling.

Kiedy Indianin rzucił się w kierunku dziewczyny, latarnik uciekł, pozostawiając baryłkę z tłuszczem i drabinę. Z przeciwnej strony samotna postać pędziła na Czerwoną Rękę. Hadley nie miał broni, tylko pięści. Czerwona Ręka cofnął się o krok, gdy Hadley go dopadł, i uderzeniem tomahawka powalił Wirginijczyka na ziemię. Mokie odwróciła się, słysząc hałas. Wrzasnęła i skamieniała ze strachu.

Duncan był o dwie sekundy od nich, gdy zobaczył, jak jeden z ludzi na ulicy szamocze się z żołnierzem i wrywa mu muszkiet. Zamarł. Żołnierz upadł, powalony przez trzech opryszków, a stojący obok Felton wycelował broń w Duncana, podczas gdy towarzyszący mu obwiesie ruszyli ławą, chcąc go otoczyć. Ci ludzie z ulicy nie ruszyli z pomocą dziewczynie, ale razem z Feltonem chcieli złapać Duncana. Czerwona Ręka, pojmując to, uśmiechnął się szyderczo, ale nagle zobaczył nadciągających nabrzeżem żołnierzy z McGregorem na czele.

Duncan skulił się, słysząc trzask odwodzonego przez Feltona kurka, i zobaczył płomień wystrzału. Kula nie trafiła Szkota ani Czerwonej Ręki, lecz uderzyła w baryłkę z wielorybim tłuszczem, przy której stał Szaunis. Mokie zdążyła czmychnąć, nim beczulka eksplodowała, wyrzucając w górę swoją zawartość. W następnej chwili oblany olejem Indianin stanął w ogniu. Tomahawk wypadł mu z dłoni, gdy Czerwona Ręka rozpaczliwie i daremnie usiłował ugasić płomień. Jego przepaska biodrowa i nogawice płonęły, paliły się włosy i skóra, i całe oblany tłuszczem ciało, gdy z mrozącym krew w żyłach jękiem chwiejnie szedł na Duncana.

– Matko Boska! – stęknął McGregor.

Odór zwęglonego ciała drażnił nozdrza. Sierżant wyrwał muszkiet jednemu ze swych ludzi i strzelił. Czerwona Ręka zatoczył się do tyłu i osunął na kolana, a potem uniósł płonące ramiona ku niebu, zanim wypalił drugi żołnierz. Szaunis jak ognista kula opadł na deski przystani.

Duncan patrzył na to tylko przez moment, po czym dobiegł na skraj nabrzeża i dał nura w ciemną toń.

Rozdział 14

Płynął pod wodą długimi, zamaszystymi ruchami, których nauczył się jako chłopiec. Trzymał się pod jaśniejszym pasem wody, zalegającym między statkami, i płynął, aż jego płuca zaczęły protestować, a wtedy wynurzył się, aby zaczerpnąć powietrza, i znów zanurkował. Z każdym ruchem rąk zbliżał się do drogi wyjętych spod prawa, oddalając się od miasta, z każdym ruchem wizja wolności i nowego życia coraz głośniej przemawiała do jego udreżonego serca. Mógłby wspiąć się na pokład któregoś z tych wielkich statków odpływających z wiosennym nurtem i pozostawić swoje nieszczęścia za sobą. Wynurzywszy się, złapał linę kotwiczną szalupy pozostawionej za stojącymi na redzie statkami i patrzył, jak zapalają się nowe pochodnie, gdy coraz więcej ludzi biegało po nabrzeżu. Niektórych opuszczano na linach, żeby szukali go pod pomostami. Krzyknęła kobieta, a potem druga, gdy tłum zebrał się wokół zwęglonych szczątków Czerwonej Ręki.

Puściwszy linę, pozwolił się nieść prądowi szerokiej rzeki, obok kolejnych przystani, mijając kilka rzędów przycumowanych statków, aż nagle ujrzał przed sobą jedną z wielkich jednostek. Niemal minął i ten żaglowiec, gdy nagle bez zastanowienia złapał zwisającą z relingu linę z węzłami. Gdy wspiął się po niej na tyle, żeby odpocząć przy czarnej burcie, przez moment był wolny i w drodze do Indii. Wystarczyłaby chwila, aby wspiąć się na pokład i wszystko pozostawić za sobą. Światła Filadelfii powoli przesunęły się przed nim, a gdy zaczęły przygasać, tęsknie spojrzął na reling statku i puścił linę. Po kilku minutach znalazł porośniętą glonami drabinę przymocowaną do nabrzeża i wspiął się z powrotem do tego świata.

Zanim Duncan kwadrans później przybył do kwatery Indian, już podwojono strażę. Obserwował je zza pnia wielkiego wiązu, a potem wśliznął się w cień wysokiego ceglanego muru, zaniepokojony, że milicja może zacząć patrolować teren wokół rządowego budynku, a także tym, że ogromna suma wyznaczona za jego głowę może oznaczać, że łowcy nagród będą go szukali w dzień i w nocy. Nie miał gdzie się schronić. Jego znajomość z Marstonem była zbyt łatwa do wykrycia, żeby dom naukowca był dla niego bezpieczny. Stodoły i inne budynki wokół miasta zostaną przeszukane. Spodziewał się, że do tej pory jego broń oraz ekwipunek znaleziono i skonfiskowano. Jeśli zabrali je ludzie Ramsey'a, lord każe spalić jego dudy, co próbował zrobić już rok wcześniej. Duncan oparł się o drzewo, walcząc z obezwładniającą słabością. Był zmarznięty, przemoczony i śmiertelnie zmęczony i nie widział dla siebie żadnej nadziei.

Głęboko oddychając, nie chcąc poddawać się rozpacz, nagle poczuł słodki, gryzący zapach tytoniu palonego przez Indian, który na moment przywołał

wspomnienie łaźni i Conawago. Przeszedł wzdłuż porośniętego bluszczem muru i odkrył furtkę, która jednak okazała się zamknięta. Słyszac na ulicy zbliżające się kroki, niezdarnie podskoczył i zaczął wspinaczkę, chwytając się grubych pnączy. Dotarł na szczyt muru i przetoczył się na drugą stronę, spadając na miękką i wilgotną murawę ogrodu.

W indiańskim obozie było cicho i wszyscy jego mieszkańcy spali, poza dwoma mężczyznami podtrzymującymi ogień palący się w ogródku.

Gdy Duncan podszedł, Conawago nic nie powiedział, tylko wyciągnął ręce i go uściskał.

– Wciąż bawisz się w rybę – zauważył łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Stary Pas dorzucił drewna do ognia, a potem spojrział na światło w oknach kuchni.

– Sądzę, że poprosimy naszą służbę, żeby zaparzyła nam angielskiej herbaty – oznajmił kapryśnie wódz Irokezów.

Indianie powiedzieli, że Mokie została odprowadzona do domu Brindle'a przez McGregora i jego ludzi, a zwęglone szczątki Czerwonej Ręki zawinięto w płótno żaglowe i zabrano na cmentarz dla biedoty.

– Feltonowi przez miesiąc będą stawiać kolejki – zauważył Conawago. – Ten bohaterski kwakier uratował niewinną dziewczynę i zabił zbiegłego mordercę.

Duncan pochylił się nad ogniskiem, grzejąc się w jego ciepłe.

– Gdy zginął ten Szaunis, prawda umarła wraz z nim – stwierdził.

– Gdy zginął ten Szaunis – powtórzył za nim Conawago – możesz zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

Duncan nie miał siły się spierać. W milczeniu siedział przy ognisku, przepędzając rzeczny chłód ze swych kości, a potem z rozbawieniem patrzył, jak Stary Pas prowadzi przez kuchenne drzwi mały orszak służby niosącej tacę z dzbankiem i porcelanowymi filiżankami, krzesła oraz stolik. Spoglądali w milczeniu, jak ustawiano dla nich stolik przy ognisku, i uśmiechali się, gdy jedna z kobiet zręcznie napełniała filiżanki herbatą i kroїła bochenek świeżego chleba, który przyniosła. Duncan szybko posmarował sobie kromkę masłem i zaczął jeść, a Stary Pas opisywał przebieg jałowych rokowań tego dnia.

Nagle wódz umilkł i sięgnął za pas, słyszac krzyk w ciemności. Wyłonił się z niej Długi Wilk, ciągnąc człowieka krwawiącego z licznych zadrapań. Hadley uśmiechnął się nieśmiało na widok Duncana i Conawago i nie opierał się, gdy Długi Wilk wepchnął go w krąg światła.

– Ten głupiec wspiął się na mur i spadł w krzaki róż – oznajmił wódz Mingów.

Duncan przyklęknał przy Wirginijczyk i najpierw obejrzał mu głowę, upewniając się, że tomahawk Czerwonej Ręki nie spowodował ciężkich obrażeń, a potem dał mu serwetkę, żeby otarł krew z rąk.

– Kiedy odzyskałem przytomność, nie było jej – zameldował z niepokojem Wirginijczyk.

– Mokie na razie jest bezpieczna, z powrotem u Brindle'a – rzekł Conawago.

Hadley odetchnął z ulgą, po czym sięgnął za pazuchę i wręczył Duncanowi pomiętą kartkę.

– Chciałeś się czegoś dowiedzieć o właścicielach Susquehanna Company. Nazwisko Burke czasem się przydaje. Porozmawiałem z człowiekiem, który handluje tytoniem i jest agentem wirginijskiej kompanii ziemskiej, a potem z bankierem naszej rodziny. Popytali dla mnie tu i ówdzie. Zanim ruszyłem na nabrzeże, odebrałem od nich sprawozdania.

Na kartce znajdowała się lista złożona z ośmiu nazwisk, a obok każdego cyfra oznaczająca liczbę akcji.

– Ośmiu pierwotnych właścicieli sprzedało swoje udziały. Każdy poniósł poważne straty. Statek zaginiony na morzu. Cukrownia, która spłonęła w kolonii na południu. Niespodziewanie niekorzystny wyrok wydany przez filadelfijskiego sędziego. Odwołane zamówienia na drewno lub terpentynę. Nagle zerwane umowy z wojskiem. Oni wszyscy szybko potrzebowali gotówki.

– A Ramsey wykupił ich udziały – podsunął Duncan.

Hadley skinął głową.

– Obiecał zrobić to po cichu, żeby ich publicznie nie upokarzać. Wygląda na to, że teraz ma pakiet kontrolny w kompanii rywalizującej z Wirginią o zachodnie ziemie.

Odsunął dłoń Duncana, gdy ten próbował oddać mu kartkę.

– Nie – rzekł Duncan. – Daj to Brindle’owi. Opowiedz mu to wszystko. Powiedz, że jeśli sprawdzi, to odkryje, że Ramsey maczał palce w co najmniej kilku nieszczęściach, które zmusiły posiadaczy akcji do ich odsprzedania.

Hadley kiwnął głową i schował kartkę z powrotem za koszulę.

– I poproś sędziego, żeby pomógł ci odszukać Wallera. Musimy wiedzieć, kto go finansuje, kto mu kazał zajmować się zbiegłymi niewolnikami.

Wirginijczyk znów skinął głową.

– Zapytam, czy mogę zostać w jego stajni, żeby pomóc pilnować Beccę, Mokie i małego. – Zawahał się, patrząc na Duncana. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że dziewczyna jest na razie bezpieczna?

– Starając się chronić Mokie, nikt nie zapytał, czemu oni chcą ją zabić. Ona wciąż jest zagrożeniem dla zabójców – odparł Duncan.

– Przecież to jeszcze... – zaczął Hadley i umilkł.

W domu słychać było podniesione głosy. W świetle sączącym się przez otwarte okno kuchni Duncan zobaczył, jak coś przelatuje w powietrzu, usłyszał brzęk tłuczonych talerzy i kobiecy okrzyk przestrawu.

– Cóż to za byka spuścili tam z uwięzi? – zastanawiał się głośno Conawago, gdy przez okno wyleciał garnek.

W następnej chwili Duncan zobaczył, że to najgroźniejszy z byków.

– Idź! – krzyknął na Hadleya. – Znajdź McGregora!

– Uciekaj, Duncanie! – jęknął Conawago.

Jednak Duncan nie ruszył się z miejsca.

– Nie. Jestem zbyt zmęczony – powiedział i spojrzawszy na przyjaciela, zrozumiał, że Conawago pojął prawdziwy powód.

Większość ludzi wychodzących przez kuchenne drzwi miała muszkiety. Gdyby zobaczyli uciekającego Duncana, zaczęliby strzelać w kierunku obozu Irokezów.

W świetle pochodni niesionych przez eskortę lorda Duncan widział, że Ramsey schudł w ciągu ostatnich miesięcy, a jego pulchna twarz wydłużyła się, chociaż mięsiste policzki tylko opadły, nadając mu brzydki wygląd. Jednak oczy, w których paliły się arogancja i nienawiść, wcale się nie zmieniły.

Nawet jego eskorta, czterej żołnierze milicji i dwaj krzepcy mężczyźni o wyglądzie tragarzy, wydawali się zaskoczeni wściekłością Ramseya. Lord, odepchnąwszy stojących przed nim, doskoczył do Duncana i zaczął go bić.

– Ty bezwartościowy wieprzu! – wrzeszczał łamiącym się, piskliwym głosem. – Ty szkocki śmieciu! Ty przeklęty robaku!

Spoliczkował Duncana raz i drugi, a potem zaczął tłuc go pięściami. Każdemu uderzeniu towarzyszyły kolejne obelgi. Duncan nie reagował i nie ruszał się. Ciosy arystokraty były pozbawione siły, a opór tylko zachęciłby jego eskortę do przyłączenia się. Duncan chwiał się, przyjmując uderzenia i odwzajemniając złowrogie spojrzenie Ramseya, aż w końcu Conawago złapał lorda za kołnierz i odciągnął jak niesforne dziecko.

Teraz Ramsey rzucił się na starego Nipmuka i otwartą dłoń uderzył go w szczękę tak mocno, że Conawago potknął się i upadł na ziemię. Duncan zobaczył, że dwaj, a potem czterej irokescy wojownicy zerwali się z posłań, sięgając po pałki. Żołnierze milicji niespokojnie zwarli szyk przed Ramseyem, który wskazał Duncana jednemu z dwóch opryszków. Ten wyjął zza pasa kajdany.

– Co za nieludzki zgiełk w środku nocy – huknął głos za nimi. – Przez was biedni mieszkańcy tego miasta pomyślą, że atakują nas Huroni.

Z kuchni wyszedł sierżant McGregor, a za nim sześciu jego ludzi w kiltach.

– Już tu skończyliśmy – prychnął Ramsey. – Zabieram moją własność i odchodzę.

– Owszem, odchodzisz – oznajmił McGregor, dotarłszy do lorda i jego eskorty. – Mam rozkaz utrzymać tu porządek i zapewnić bezpieczeństwo delegatom – dodał.

– Nie masz nade mną żadnej władzy! – parsknął Ramsey. – McCallum należy do mnie!

– Mam władzę, wasza lordowska mość, nad każdym, kto zakłóca spokój delegacji – odparł Szkot z drwiną w głosie.

Ramsey rzucił się na krępego sierżanta.

– Ty szkocki śmieciu! Powinniśmy was wykończyć podczas ostatniego powstania!

– Powinniście spróbować – odpalił groźnie McGregor.

– Nie wiem, co za głupiec postanowił dać wam mundury, wy małpy w kiltach!

– Tym głupcem, wasza miłość, był król.

Nawet w słabym świetle pochodni Duncan widział, że Ramsey poczerwieniał.

– Ten kundel jest mój! – upierał się. – Mam nakaz.

– Twoje nakazy mnie nie obowiązują, wasza wysokość – spokojnie odparł McGregor. – Tylko rozkazy mojego dowódcy.

Ramsey sypał skry z oczu. Złapał kajdany i uderzył nimi Duncana w policzek, a potem otworzył je, zamierzając go skuć. Ostrze, które nagle nacisnęło ogniwa łańcucha, jakby zmaterializowało się przy jego rękach.

– Jeśli chcesz sprawdzić, co szkockie ostrze zrobi twoim filadelfijskim osiłkom, to bardzo proszę – warknął McGregor.

Milicjanci nerwowo ściskali muszkiety. Żołnierze McGregora otoczyli ich ciasnym kręgiem, tak by nie mogli ich użyć.

Ramsey puścił kajdany i cofnął się.

– Jesteś moim więźniem, McCallum – przypomniał Duncanowi. – Rusz się z tego obozu dzikusów, a będziesz mój!

Złapał jednego z milicjantów, pchnął w kierunku kuchni i podążył za nim.

Duncan patrzył, jak Ramsey znika w głębi domu, a potem dotknął policzka. Krew spływała mu na brodę i kapała na kajdany.

– Musisz uciekać, Duncanie! – ostrzegł Conawago. – Teraz. Wkrótce każe swoim ludziom otoczyć dom.

– Dokąd?

Conawago nie odpowiedział, tylko szybko podszedł do małych drzwi w ceglany murze, odsunął zasuwę i otworzył je. Marston wszedł do środka z osłoniętą latarnią i nerwowo skinął na Duncana.

– Nasz elektryczny przyjaciel mówi, że znalazł dla nas inne schronienie – oznajmił Conawago.

Za bramą na rogu ulicy już widać było organizujących blokadę ludzi Ramseya, gdy Marston, Duncan i Conawago pobiegli w ciemność. Duncan nie miał pojęcia, gdzie są, tylko niejasno zdawał sobie sprawę, że przez kilka minut szerokim łukiem omijali latarnie Market Street, a potem znów się do nich zbliżyli. W końcu Marston doprowadził ich do tylnych drzwi jakiegoś domu, wyjął z kieszeni klucz i je otworzył.

Okna na parterze miały zmyślne zasłony, zwijane lub opuszczane za pomocą dźwigni, i Marston rozwinął je teraz niczym czarne żagle, zanim zdjął osłonę z lampy.

– Właściciel wyjechał – oznajmił. – Nie miałby nic przeciwko temu, żebyście korzystali z jego domu. Prawdę mówiąc, na pewno się ucieszy, kiedy mu o tym powiem.

Dom urządzono skromnie, lecz wygodnie, a jedyną oznaką luksusu były dziesiątki książek w pokoju od frontu. Gdy Marston zapalił świece, Duncan zobaczył, że nie była to tylko biblioteka. Na stole pod jedną ścianą stały rzędy butelek lejdejskich. Drugi stół był zastawiony najróżniejszymi rzeczami: były tam odlane z żelaza figurki, wypchane ptaki, globus, zepsute okulary, dwa zegary, soczewki, wysuszona wałka i drewniana kaszta z ołowianymi literami.

– Nie możecie zwracać na siebie uwagi – ostrzegł Marston. – Łóżka są na piętrze, ale żadnych świateł przy oknach.

Kiedy szli za nim na górę po schodach, Duncan przystanął i spojrzął na dziwną skórzaną czapkę wiszącą przy frontowych drzwiach, wyglądającą jak hełm, ale z szerokim wizjerem.

– Dla straży pożarnej – z roztargnieniem rzekł Marston i wskazał im drogę.

Teraz przystanął Conawago, przyglądając się dziwnemu urządzeniu na ścianie klatki schodowej. Z sufitu wychodziły dwa paski metalu i łączyły się z drewnianym pudełkiem, na którego dnie był mosiężny dzwonek.

– Wynaleźliśmy ten detektor kilka lat temu. Dzwoni, kiedy elektryczny ładunek gromadzi się w powietrzu przed burzą. To zapewne pierwszy taki na świecie, chociaż próbowałem zrobić taki sam na moim strychu.

– To jego? – zapytał Conawago z błyskiem zrozumienia w oczach i uśmiechnął się do Duncana.

– Jak już mówiłem, on od trzech lat przebywa w Londynie jako przedstawiciel rządu prowincji. Nieliczni żyjący członkowie jego rodziny udali się z kilkumiesięczną wizytą do Bostonu. Poprosił mnie, żebym zajął się domem, i pozwolił mi korzystać ze wszystkich instrumentów.

Teraz i oczy Duncana zaokrągliły się z podziwu. Conawago z chłopięcym entuzjazmem przyglądał się urządzeniu z dzwonkiem. Marston ukrył ich w domu Benjamina Franklina.

Byli w sypialni od frontu i sprawdzali, czy na ulicy na zewnątrz panuje spokój, gdy Duncan przypomniał sobie o książkach na dole.

– Korzystasz także z biblioteki, Marston?

– Naturalnie. I wielu jego przyjaciół również. Doktor Franklin przyczynił się do stworzenia biblioteki publicznej znajdującej się niecałe dziesięć minut drogi stąd. On uważa, że nieustanne dokształcanie się jest obowiązkiem każdego obywatela.

– Podręczniki matematyki? Może książki o szyfrach?

– Oczywiście! Ten szyfr na drzewach!

Marston pierwszy zbiegł po schodach, pozostawiając Duncana i Conawago, żeby sami odnaleźli drogę w ciemnościach.

W pierwszej chwili Duncana zbił z tropu przedziwny system, w jakim ułożono książki w bibliotece Franklina, ale Marston szybko znalazł na najwyższej półce szereg traktatów matematycznych, głównie prac Euklidesa, Kartezjusza i Leibniza, oraz rozpraw o różnicach w jednostkach miar kilku krajów Europy. Jednak nic o kodach lub szyfrach.

– Nie jestem pewny, czy zaklasyfikowałby ten temat jako matematyczny – rzekł w zadumie. – Tylko gdzie...? – zadawał sobie pytanie, ponownie przeglądając półki.

Przejrzeni książki o tematyce religijnej, gdyż Franklin uważał, że wszystkie wczesne teksty religijne zawierają jakiegoś rodzaju zaszyfrowane przekazy, a potem zaczęli systematycznie sprawdzać półkę po półce. Minał ponad kwadrans, zanim Conawago zawołał, że coś znalazł.

– Razem z książkami o prasach drukarskich i typografii – wyjaśnił i wyjął cienki tomik zatytułowany *Szyfry starożytnych*. Ten, ku ich przygnębieniu, był niemal w

całości poświęcony greckim metodom szyfrowania – wykorzystywanej przez ateńskich dowódców szachownicy Polibiusza i używanego przez Spartan skytale. Nie było tam ani słowa o szyfrze masonów.

– Nie ma nic więcej? – zapytał rozczarowany Duncan.

Marston nachylił się nad półką.

– Nic – oznajmił, a potem wetknął rękę w pustkę i wyjął kawałek papieru. – *Podręcznik kryptografii* – odczytał z podnieceniem. – Wypożyczony. Po prostu go odbiorę... – Urwał. – Tu napisano, że książka jest u lorda Ramseya – oznajmił.

Duncan z niedowierzaniem patrzył na skrawek papieru. Czuł, że gaśnie ostatni płomyk nadziei.

– Czy to może być tylko przypadek? – zapytał w głuchej ciszy Conawago.

– Jest znany z tego, że ma ogromny zbiór książek – podsunął Marston.

– Zepsucie Ramseya przechodzi na wszystko, czego się tknie – ponuro stwierdził Duncan.

Modlił się, żeby do tego nie doszło, żeby po tych wszystkich cierpieniach, jakich zaznał on i Indianie, ścieżki jego i Ramseya nie zbiegły się z morderstwami. Jednak już w Pensylwanii, gdzie po raz pierwszy padło nazwisko Ramseya, Duncan w głębi serca czuł, że nad tym wszystkim unosi się cień zdradzieckiego lorda niczym skradający się upiór.

– Zło zawsze znajdzie swego – posepnie rzekł Conawago.

Duncan niechętnie skinął głową. Ramsey uważał, że stoi ponad prawem, i rzeczywiście się nim nie przejmował, a choć był jednym z najbogatszych ludzi w koloniach, jego prawdziwą walutą były przemoc i zdrada. Duncan spojrzał na przyjaciela, zastanawiając się nad jego słowami. Conawago przypominał, że są w to zamieszani i inni. Prawo nic nie robi Ramseyowi, ale można powstrzymać tych, którzy wykonują jego polecenia.

Duncan popatrzył na kawałek papieru z nazwiskiem lorda.

– Z pewnością to nie jedyna taka książka w Filadelfii.

– Zapytam w Towarzystwie Bibliotecznym – zaproponował Marston. – Ale wydaje się, że to rzadka pozycja wydana dawno temu. Doktor Franklin często zamawiał jedyne egzemplarze różnych ksiąg u pewnego londyńskiego księgarza.

– Zatem ktoś musi pójść do biblioteki lorda Ramseya – podsumował Duncan.

Marston się zdziwił.

– Na pewno żaden z nas. Nie mam dostatecznie wysokiej pozycji towarzyskiej, żeby zaproszono mnie do tej świątyni wiedzy.

Duncan przechadzał się po pokoju wzdłuż rzędów książek i stołu ze zbiorami doktora Franklina. Jego spojrzenie padło na ozdobnie rzeźbioną szkatułkę stojącą obok kilku starych krzemienych siekier.

– Mój plecak – rzekł do Conawago. – Musisz go odzyskać. Jeśli wpadnie w niepowołane ręce, spróbują wykorzystać szkatułkę Townsenda z wyrytym żółwiem, aby powiązać Skanawatiego z jego zabójstwem. Daj ją Staremu Pasowi na

przechowanie – mówiąc to, spoglądał na puzderko Franklina. – Ona jest swoistym świadkiem pierwszego z popełnionych morderstw – rzekł w zadumie.

– Ohio George nie żyje – powiedział zdziwiony Conawago. – A teraz Czerwona Ręka także.

– Burke posłał Townsenda do puszczy, obiecując opublikować jego książkę, co dla takiego człowieka jak Townsend było ważniejsze od pieniędzy. Tak więc Townsend udał się do Shamokin i na Ścieżkę Wojowników, ponieważ ufał Irokezom. Starszy Skanawati był wojownikiem, ale nie zimnokrwistym mordercą. Kiedy zabił, zabijał wroga swego ludu. Został oszukany. Jeśli odkryjemy w jaki sposób, może się dowiemy, kto był tym podstępny oszustem.

– Znani nam sprawcy nie żyją – ponownie przypomniał Marston.

– Ci, których twarze znamy, owszem. Jest jednak co najmniej jeszcze jeden.

– Skąd wiesz?

– Z szyfru na drzewach. Townsend nie oznakował w ten sposób miejsca swojej śmierci. I nie zrobił tego żaden Indianin. To zrobił Europejczyk. Ktoś znający książkę o szyfrach sprowadzoną do Filadelfii przez doktora Franklina. I jest świadek tego, co zrobiono przy pierwszym drzewie, gdzie zginął Townsend. Zamknięty w więzieniu, pół mili stąd.

– Kąpiel w rzece odebrała ci rozum – zaprotestował Conawago. – Znany nam Skanawati nie jest tym, który zabił Townsenda.

– Kąpiel w rzece przypomniała mi Susquehanę. Kamienny Kwiat powiedziała, że duchowa esencja przechodzi od jednego Skanawatego do następnego. Ty mnie uczyłeś, że u plemion życie ludzi splata się z życiem duchów. – Duncan spojrział na Marstona. – Muszę się z nim zobaczyć.

Dwaj towarzysze popatrzyli na niego tak, jakby Duncan naprawdę postradał zmysły.

– I co? – spytał Marston. – Pójdiesz rzucać kamykami w okno jego celi? Aresztują cię, jak tylko cię zobaczą. Pomimo wysiłków kwaków nasze więzienie nie jest przyjemnym miejscem.

Duncan z zainteresowaniem spojrział na uczonego.

– Wysiłków kwaków?

– Kwakrzy założyli stowarzyszenie na rzecz poprawy warunków w więzieniach. Nazywają je Towarzystwem Dobroczynnym. Uważają, że więźniów można reformować, nie tylko karać, a złe nawyki można leczyć jak chorobę. Byli bardzo pomocni w zwalczaniu nędzy i mnie również udzielili pomocy.

Duncan przez moment rozważał słowa Marstona, a potem nachylił się do niego.

– Mówisz, że masz kontakty z więzieniem?

– Pozwalają mi leczyć niektórych więźniów. Nawet urządzili gabinet lekarski w pustej celi.

– Jak często to robisz? – Duncan już widział, że na usta Conawago cisną się słowa protestu, gdy Marston zastanawiał się nad odpowiedzią. – Jutro pójdziesz do więzienia z nowym asystentem. Muszę się zobaczyć ze Skanawatim.

Rozdział 15

Gdy tylko minęli ciężką drewnianą bramę więzienia przy Walnut Street, Duncan poczuł straszliwy odór. Wysokie ceglane mury dziedzińca nie zapewniały należytej wentylacji wygodkom stojącym pod jedną ze ścian. Przez moment myślał, że ludzie siedzący pod pozostałymi ścianami są otepiali od smrodu, ale potem zobaczył, że udręka na ich twarzach nie jest spowodowana fizycznym cierpieniem. Spędził kilka miesięcy w królewskim więzieniu, a potem na więziennym statku, więc wiedział, że najgorszym zabójcą nie jest żadna choroba, lecz rozpacz.

Marston wyjął i otworzył buteleczkę z octem, skropił nim chusteczkę i zatkał sobie nos. Duncan nie skorzystał z propozycji użycia octu, mocniej ścisnął skrzynkę, którą niósł za naukowcem, i wszedł za nim do budynku.

Towarzystwo Dobroczyńne uprzątnęło narożną celę na ostatnim piętrze, żeby Marston mógł przeprowadzać w niej swoje badania, i przez wysokie zakratowane okienko wpadało do niej trochę powietrza i światła. Strażnik więzienny odpowiedzialny za cały budynek był sumiennym kwakrem, który – choć rzucał czujne spojrzenia na niesioną przez Duncana skrzynkę – entuzjastycznie popierał Towarzystwo. Uprzejmie powitał Marstona i skinął na klucznika, który w milczeniu poprowadził ich schodami na górę. Chociaż więzienie było znacznie gwarniejsze od tych, które znał Duncan – gdzie wszelkie hałasy tłumiono pałkami i kijami – na widok Marstona więźniowie milkli.

– Czarownik! – mruknął jeden przez zakratowane okienko grubych drzwi.

Inny na widok uczonego zaczął się dusić w ataku astmy.

Marston szybko wypakował zawartość skrzynki Duncana na stolik przy małej elektrycznej maszynie, którą Towarzystwo pozwoliło mu postawić w tej celi. Najpierw pokazał swemu nowemu asystentowi, jak podłączyć przyniesione butelki lejdejskie do tych, które już tam stały. Objaśnił też, jak działa uprząż, na której czasami podwieszano więźniów do zabiegu pod sufitem, oraz jak miarowo kręcić kołem obracającym szklaną kulą maszyny. Zanim Marston oznajmił, że jest gotowy, klucznik już stał pod drzwiami z pierwszym pacjentem, mężczyzną w podeszłym wieku ze sparaliżowaną ręką. Ten bez słowa usiadł we wskazanym przez Marstona drewnianym fotelu obok maszyny i nie protestował, gdy uczony przymocował jego bezwładną rękę do oparcia, a potem rozsunął palce, wkładając między nie rolki płótna. Marston umieścił jego dłoń blisko szklanej kuli i skinął na Duncana, by zaczął kręcić kołem, które ją obracało. Po chwili strumień błękitnego płomienia połączył ją ze środkowym palcem więźnia.

Ten patrzył na to z żywym zainteresowaniem i nie reagował nawet wtedy, gdy Marston, założywszy skórzaną rękawicę, wystawił na działanie elektrycznych fluidów najpierw jeden, a potem drugi jego palec.

– Z maszyny w ciało, zawsze z maszyny w ciało – mrucał przy tym do swojego pacjenta.

– Chyba tym razem coś poczułem, doktorze! – wykrzyknął więzień, podnosząc rękę z oparcia fotela, gdy Marston ją odwiązał.

Marston z lekkim roztargnieniem skinął głową, ustawiając urządzenie.

– Z maszyny – powtórzył, jakby to był zwyczajowy refren towarzyszący kuracji.

– Z maszyny? – spytał Duncan, gdy więzień opuścił celę. – Przecież to oczywiste, że z maszyny.

Marston obrzucił go zamyślnym spojrzeniem.

– Były pewne wątpliwości, czy jest to dzieło nauki czy diabła.

Duncan zastanawiał się nad tymi słowami, pomagając Marstonowi ustawić słoje.

– Chcesz powiedzieć, że oskarżano cię, że zabierasz coś pacjentom?

Marston z wahaniem skinął głową.

– To nieuchronne brzemie tych, którzy tworzą nową naukę. Nieśmiertelni Galileusz i Kopernik byli oskarżani przez inkwizycję. – Skrzywił się pod badawczym spojrzeniem Duncana. – Są tacy, którzy utrzymują, iż zabieramy pacjentowi duszę i przechowujemy ją w tej szklanej kuli. – Uczony popatrzył w kierunku drzwi, jakby mając nadzieję, że zjawi się następny pacjent. – Głupcy – mruknął.

– Czy tak było w Shamokin? – naciskał Duncan.

Marston westchnął i odwrócił się do Szkota.

– Nie było mnie, poszedłem na niedzielny obiad u Morawian. Kilku Indian, Delawarów i Szaunisów, postanowiło użyć mojego sprzętu. Był taki stary Indianin, który czuł się bardzo słabo, niewątpliwie miał kłopoty z sercem. Postanowili go leczyć, ale nie mieli pojęcia, jak używać maszyny. Zgromadzili silny ładunek, a potem dotknęli jego piersi. Mówiono mi, że trysnęły skry i rozszedł się okropny swąd spalonego ciała, a mężczyzna stracił przytomność. Kiedy go obejrzel, znaleźli na jego piersi kawałek stopionego metalu. Gdy odzyskał przytomność, był jeszcze słabszy niż przedtem i bełkotał. Najwyraźniej jego serce i mózg doznały jakiegoś wstrząsu. Umarł kilka dni później. Powiedzieli, że moja maszyna wydobyła ducha z jego serca i go stopiła, pozostawiając pustą skorupę ciała. Kiedy wszcząłem śledztwo, dowiedziałem się, że miał na szyi miedziany medalion. Nie mieli pojęcia, jaką energię mają silne ładunki, i stopili miedź. Tak się często zdarza podczas burzy, z mieczami żołnierzy lub świekami w masztach statków. Jednak nie chcieli mnie słuchać, przy obozowych ogniskach mówili, że jestem czarownikiem i zamierzam uniemożliwić im przejście na tamten świat, zmieniając ich dusze w metal. – Marston wzruszył ramionami. – I tak już kończyłem tam pracę.

Przybył drugi więzień, który wyraźnie utykał. Duncan w milczeniu pomógł Marstonowi usadowić go w fotelu i kręcąc kołem, w myślach powtarzał sobie słowa uczonego. Indianie, przynajmniej niektórzy, doszli do wniosku, że kawałek

stopionego metalu przy martwym lub umierającym człowieku jest dziełem czarownika, który wydobyl i zniszczył jego duszę. Wszyscy zamordowani mieli kawałek metalu wepchnięty do gardła. Zabójca wiedział, że to uczyni martwych tabu, zbyt przerażającym, aby ich dotykać, a także zniechęci innych Indian do odwiedzania granicznych drzew.

Następnym pacjentem był posapujący młodzian. Przedstawiony jako kieszonkowiec, trząsł się ze strachu, gdy Marston unieruchamiał go w fotelu, zaklął, kiedy łuk wyładowania dotknął jego dłoni, i ponownie, gdy uczony przytknął mu do ucha pręt jednej z butelek lejdejskich.

– Moi klienci wierzą, że to tam znajduje się część mózgu odpowiedzialna za przestępcze zachowania – wyjaśnił Marston, ignorując przeraźliwe jęki młodzieńca. – I jeśli je wypalimy, dusza odzyska harmonię.

Duncan zauważył, że uczony tylko lekko dotknął ucha pacjenta, używając najmniejszego możliwego ładunku.

Kiedy wyprowadzano kieszonkowca, Marston podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz i skinął głową Duncanowi, który poszedł z rozładowanym słojem do czekającego na dziedzińcu wozu. Klucznik dał strażnikom znak, żeby go przepuścili, a potem wpuścił z powrotem, tylko zerknąwszy znad gazety.

Duncan pospiesznie szedł od jednej celi do drugiej, podchodząc do tych okienek, przez które nie wyglądali więźniowie, ignorując otwarte, których mieszkańcy przebywali na zewnątrz. Przystanął na końcu korytarza, zauważywszy w kącie cień, który okazał się wejściem na klatkę schodową. Zerknąwszy na korytarz, zaczął schodzić. Piwnica ciągnęła się tylko pod połową budynku i mieściło się w niej zaledwie kilka cel. Grube drzwi trzech stały otworem, a za czwartymi, na ile można to było stwierdzić w słabym świetle dwóch lamp wiszących na korytarzu, stały sterty skrzyń.

Duncan zdjął jedną lampę z haka i poświecił na jedne z pozostałych drzwi. Z celi buchał smród odchodów. Jakiś człowiek zaklął, a drugi przeklął Duncana, jakby ten w czymś im przeszkadzał. Szkot podszedł do następnej celi. Z okienka tej też dobywał się smród, ale także słaba woń cedru.

Duncan wydał cichy dźwięk, krzyk gajówki, który wywołał jakieś szmery w ciemności.

– *Jiyathondek* – szepnął dwukrotnie w języku Irokezów. *Hearken*. Słuchaj. – To ja, Duncan. Conawago jest niedaleko.

W słabym świetle pojawiła się jak wykuta z granitu twarz wodza. Skanawati skinął Duncanowi głową na powitanie.

– *Niyawenhkowa kady nonwa* – powiedział. Wielkie dzięki, że bezpiecznie przeszedłeś przez las. – Twoja śmierć miałaby pożałowania godne konsekwencje – ciągnął spokojnym, poważnym głosem.

Duncan ze zdumieniem odkrył, że rozpoznaje te słowa. Były częścią tradycyjnej ceremonii Skraju Lasu, pozdrowieniem indiańskich wędrowców spotykających się po

dłuższej podróży. Usiłował sobie przypomnieć słowa odpowiedzi, których uczył go Conawago i strażnicy leśni.

– Widziałem ślady stóp naszych praojców – wyrecytował po chwili. – Wszystko, co pozostało, to dym ich fajek.

Po raz pierwszy, od kiedy Duncan go znał, Skanawati uśmiechnął się i z aprobatą skinął głową.

– Zatem to prawda, że puszcza wchodzi ci w krew – zauważył Onondaga.

To absurd, krzychał w duchu Duncan. Jest tyle pytań, tyle zagadek do rozwiązania, a my zachowujemy się, jakbyśmy zbierali jagody w lesie. Jednak odkrył, że też się uśmiecha.

– Rzeczywiście – przyznał, po czym pospiesznie dodał: – Marston jest na górze. Pomógł mi.

Skanawati ponownie kiwnął głową.

– Musisz dać znać w moim kraju, że on nie jest wrogiem.

– Są inni zabójcy, Skanawati – wypalił Duncan. – Chcę odkryć prawdę.

– Prawdę? – zapytał Indianin. – Prawda jest taka, że chcę, aby wszyscy geodeci znikli z tego świata. Oni zawsze są początkiem końca duchów ziemi.

– Ludzi nie wiesza się za zło, jakie noszą w sercach, tylko za grzechy, jakie popełniły ich dłonie.

Mówiąc to, Duncan obejrzał się za siebie, gdyż wydawało mu się, że usłyszał skrzypienie schodów. Oświetlił latarnią framugę drzwi, szukając klucza. Zdziwił się, gdy go znalazł na ścianie korytarza.

Skanawati się zawahał, gdy Duncan otworzył drzwi celi. Zrobił tylko dwa kroki i usiadł na podłodze pod ścianą. Duncan dał mu kawałek kiełbasy zabranej z kuchni Marstona, Indianin zjadł połowę, a resztę wepchnął pod brudny kubrak.

– Powiedz mi coś, Szkocie – poprosił. – Czy już świta?

To pytanie wywołało nieoczekiwany ból w sercu Duncana.

– Jest wczesne popołudnie.

Skanawati skinął głową.

– Chcę zrozumieć twojego wuja, poprzedniego wodza. Dlaczego zabił geodetę Townsenda. Czy dlatego, że dowiedział się o narysowanej przez niego mapie? Wielki wódz nie zabija bez powodu.

– Mapa była już wtedy zniszczona – rzekł Onondaga. – To była stara waśń. Jego żona i jej rodzina, wszystkie jego dzieci zostały przed wieloma laty zabite przez Huronów i Francuzów.

– Przecież Townsend nie był Francuzem.

– Wuj często nosił szkarłatny żołnierski kubrak. Kiedy był młodszy, dostał od angielskiego króla medal za to, że walczył za niego na jednej z wojen.

Duncan usiłował znaleźć jakiś sens w tych słowach.

– Chcesz powiedzieć, że tamtego dnia Townsend był z Francuzami?

Skanawati skinął głową.

– Wuj zastał ich przy granicznym drzewie, zobaczył, jak Townsend i francuscy Indianie śmieją się i piją razem. On ponad wszystko nienawidził zdrajców. A to byli zdrajcy, angielscy traperzy opłacani francuskim złotem, którzy przed wieloma laty przyprowadzili morderców do jego wioski. Poprzysiął zemstę wszystkim takim ludziom.

Duncan przechadzał się przed Onondagą, usiłując połączyć jego opowieść z morderstwami.

– Kto wiedział o waśni twojego wuja?

– To nie było tajemnicą.

– A kto był tam wtedy, tego dnia, gdy Townsend był z francuskimi Indianami?

– Jakiś Szaunis przyszedł do niego i powiedział, że znalazł zdrajcę, którego trzeba powstrzymać, zanim skrzywdzi Irokezów. Kiedy o tym usłyszałem, nie uwierzyłem. Townsend nie był złym człowiekiem.

– A czy Townsend miał jakiegoś przewodnika?

– Delawara zwanego Ohio George.

Duncan zrozumiał, że Townsend niewątpliwie nie potrafił odróżnić francuskich Indian od angielskich i pił z tymi pierwszymi, ponieważ byli przyjaciółmi jego przewodnika. To pierwsze morderstwo było wymyślną intrygą, próbą generalną przed następnymi.

– Czy na zewnątrz widziałeś dużego czarnego ptaka? – zapytał wódz.

– Ja... nie wiem – przyznał Duncan.

Zauważył wiadro z wodą, napełnił wiszącą na nim chochlę i podał Indianinowi, usiłując nie okazywać rozczarowania. Przypominał sobie, że rozmowy z Indianami rzadko są proste.

– Ta cela jest jak jaskinia – rzekł po chwili Skanawati. – Sprawia, że myślę o moim ojcu.

Duncan oparł się o słup, zdając sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie słyszał, by wódz tyle mówił.

– Słabo znałem ojca – ciągnął Skanawati – i nikt w wiosce go nie znał. Nigdy go nie było, tylko czasem się pojawiał na świętach cukrowego drzewa lub zielonej kukurydzy.

Duncanowi wydawało się, że go rozumie.

– Mój ojciec też miał wiele obowiązków.

– Nie. To nie dlatego. Żył sam, w lasach, wy, Europejczycy, nazywacie takich pustelnikami, ale on to robił po to, żeby być blisko duchów lasu. Mój lud ma swoje określenie na takich ludzi. Dziki jeleni.

– Trudno dorastać bez ojca.

– Irokeskiego chłopca wychowuje rodzina matki, jego wuj – przypomniał Duncanowi Skanawati. – Jednak coraz częściej myślę o ojcu. Pewnej zimy, gdy byłem młody, przyszedł i zabrał mnie wbrew woli mojej matki. Zaprowadził mnie do wysokiej jaskini, w której mieszkał, tuż zanim rozpętała się straszna śnieżycy. Rankiem wziął mnie do wylotu jaskini, skąd rozpościerał się widok na całe mile. Świat

był biały, zupełnie, wszystko poza jednym stworzeniem – krukiem siedzącym na pobliskim uschniętym drzewie. Ojciec powiedział, że on zawsze siedzi tam po burzy, gdyż wtedy jest to inny świat i w tym świecie jak okiem sięgnąć nic się nie porusza oprócz oka tego kruka. Powiedział, że ten ptak jest najstarszym z naszych bogów. Ze w całym moim życiu najważniejszą rzeczą do zapamiętania jest to, że ten kruk zawsze mnie obserwuje i widzi wszystko, co robię. – Skanawati przerwał, aby napić się wody z chochli. – Widzę go czasem, jak leci wysoko.

– W naszej wiosce kruk obserwował ceremonię chowania zmarłych – ze zdumieniem rzekł Duncan.

Skanawati bez zdziwienia skinął głową, a potem spojrzał w górę.

– Patrz na szlak za tobą – oznajmił nagle.

Duncan zastygł, myśląc, że Indianin chce mu powiedzieć, że przeoczył coś podczas wędrówki. Za późno usłyszał szmer i odwrócił się. Pałka najpierw podcięła mu nogi i runął na kamienne płyty posadzki. Potem posypał się na niego grad kopniaków – w brzuch, nogi, szyję i głowę.

Duchy ognia. One wysysały jego energię życiową, kradły tę iskrę, która utrzymywała go przy życiu. Dziwne mrowienie dłoni eksplodowało setką kłujących igieł. Poderwał głowę i spojrzał prosto w twarz lorda Ramseya.

Duncan wił się w więzach, stopniowo sobie uświadamiając, że znów jest w narożnej celi, zawieszony pod sufitem w uprzęży, której Marston używał do swych kuracji.

– W Pensylwanii człowiek łamiący umowę jest przestępcą – pouczył swego więźnia Ramsey. – Gorzej, w ziemi kwaków jesteś grzesznikiem, ponieważ złamałeś święte słowo.

– Moja umowa... – przez spazmy bólu Duncan mógł wydobyć z siebie tylko kilka sylab naraz – ...jest wystawiona na twoją córkę.

Teraz zobaczył nieprzytomnego Marstona leżącego w kącie.

– Złożyłem zaprzysiężone zeznanie, które mówi co innego.

Ramsey skinął na jednego z czterech towarzyszących mu ludzi, a ten dotknął prętem butelki lejdejskiej krwawiącego skaleczenia na grzbiecie dłoni Duncana. Szkot wyprężył się z bólu. Oprawca zaśmiał się i przytknął pręt do jego brody.

Kiedy Duncan odzyskał przytomność, był nagi. Zużyli ładunki ze wszystkich słoï, dotykając wszystkich części jego ciała. Im głoñniej krzycał z bólu, tym bardziej zaśmiewał się Ramsey. Duncan widział celę tylko w przebłyskach przytomności pomiędzy eksplozjami bólu. Jeden z mężczyzn z oszalałającą prędkością obracał kulę, wytwarzając więcej błękitnych płomieni. Drugi próbował wetknąć pręt słoja w usta Duncana. Ten zaczekał, aż dręczyciel się zbliży, a wtedy gwałtownym uderzeniem barku wytrącił mu z rąk słoï, który roztrzaskał się na posadzce przy głoñnym aplauzie Ramseya. Marston był nagi do pasa i mężczyzna przytknął jeden ze słoï do jego ręki, która podskoczyła spazmatycznie.

Więźniowie zaczęli krzyczeć. Ramsey wymamrotał coś do jednego ze swych pomagierów, który wsunął pieniądze w rękę klucznika. Marston próbował odepchnąć swojego prześladowcę. Miał coś na ramieniu. Metalowy drut przeciągnięto od słoja do brzucha Duncana, który zaczął szamotać się w więzach. Ramie Marstona. Zmusił się, by skupić na nim wzrok. Po wewnętrznej stronie ręki, powyżej łokcia, widniała blizna w kształcie błyskawicy.

– Burke! – jęknął na moment przed tym, zanim jeden z ludzi Ramseya dotknął podeszwy jego stopy butelką lejdejską.

Ramsey uciszył go, wymierzając mu policzek.

– Będzieszgnił w więzieniu, dopóki sędzia mi cię nie odda – poprzysiągł. – A potem będzieszgnił w celi, którą buduję w piwnicy mojego domu. Myślę, że zabierzemy kilka tych niezwykłych urządzeń, żeby zapewnić ci rozrywkę – dodał z rozbawieniem, patrząc na sprzęt Marstona.

Duncan tracił i odzyskiwał przytomność. Wił się i kopał. Był bezradny w upręży, jak marionetka Ramseya. Usłyszał głosy na korytarzu. Ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Marston, wciąż na podłodze, jęczał. Duncan zmagął się z bólem, stale czując przeszywające ukłucia, chociaż wydawało się, że jego dręczyciele odeszli. Walczył z obezwładniającym zmęczeniem.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była wściekłość na twarzy sędziego pokoju Brindle'a, który wszedł do celi.

Rozdział 16

Duncan czuł się tak ukojony łagodnym dotykiem dłoni na czole, cichym śpiewem nad uchem, świadomością tego, że matka jest przy nim, że chciał pozostać w tym ciemnym, spokojnym miejscu. Próbował wyprzeć ze świadomości rozlegające się w pobliżu jęki bólu, łoskot wojskowych buciorów na bruku i dziwne mrowienie całego ciała, dopóki jego snu nie zakłóciła wizja bezwładnych ciał na szubienicy. Wyrwała go z oszołomienia i gwałtownie potrząsnął głową, wykorzystując wywołany tym ból, żeby zupełnie oprzytomnieć.

W końcu wrócił i spojrział w uduchowione oczy kobiety w średnim wieku, w białym fartuszkach na prostej szarej sukni. Ocierając mu twarz zwilżoną szmatką, nuciła psalm.

– Zawsze się zastanawiałem, jak będzie wyglądał pierwszy anioł, którego spotkam – powiedział Duncan ochrypłym głosem. W gardle zupełnie mu zaschło.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Jeszcze nie jest pan w niebie, panie McCallum, tylko w Filadelfii. – Zaczęła sprawdzać bandaż mocno owinięty wokół trzech jego palców. – A wszystkie znane mi anioły są w Towarzystwie Dobroczynnym Humanitarnego Traktowania Więźniów.

– Gdzie mogę się do niego zapisać? – mruknął Duncan.

Jego pielęgniarka znów się uśmiechnęła, a potem przytknęła mu do warg gliniany kubek z wodą. Duncan skrzywił się z wysiłku, siadając, po czym wziął od niej kubek i pił, oglądając otoczenie. Nadal był w narożnej celi, ale teraz na pryczy, sprzęt Marstona zaś, nawet stół, na którym stała aparatura, znikł. Jedyne ślady eksperymentów były haki w suficie, na których przedtem wisiała uprzęż. Duncan znów spojrział na pielęgniarkę i zauważył małą Biblię w kieszeni fartucha.

– Jak długo? – zapytał.

Opuścił nogi na podłogę i spróbował wstać, ale fala mdłości rzuciła go z powrotem na łóżko. Każda część jego ciała pulsowała bólem.

– Był pan nieprzytomny prawie przez dwadzieścia cztery godziny – wyjaśniła kwakierka.

– Conawa... – zaczął Duncan i zaraz się poprawił: – Socrates Moon?

– Pański przyjaciel jest bezpieczny. Kiedy widziałam go ostatnio, siedział w bibliotece sędziego. To on i strażnik więzienia poprosili nas o pomoc.

– Czy został aresztowany?

– Jest bezpieczny, jak już mówiłam.

– Mówię o Ramseyu. Powinien zostać aresztowany.

Oczy kobiety pociemniały.

– Kiedy przybył sędzia, nikogo tu nie było. A pan Ramsey jest członkiem rady i prywatnego klubu właścicieli ziemskich w Londynie – powiedziała ostrzegawczym tonem.

Dopiero teraz Duncan zauważył, że drzwi celi są zamknięte, a na zewnątrz stoi strażnik. Rozpacz, jaką poczuł na ten widok, sprawiła mu większy ból niż wszystkie obrażenia razem wzięte. Był więźniem. Już do końca życia będzie więźniem. Kiedy znów spojrzał na pielęgniarkę i lepiej się przyjrzał jej twarzy, uświadomił sobie, że już ją widział.

– To pani podała mi szklankę mleka – powiedział. – Jak długo służy pani w domu Brindle’a?

– Jestem z domu Brindle, a po mężu Bythe.

Zamroczony umysł Duncana powoli pojął prawdę.

– Proszę mi wybaczyć. Pani mąż. Przykro mi.

– Nam wszystkim również. Bóg zabrał go do siebie.

Zobaczył smutek w oczach kobiety i poczuł się bezradny, nie mogąc jej pomóc.

– Człowiekiem, który zabił pani męża, nie był Skanawati.

– Teraz mówią, że to był wypadek.

– Został zamordowany – rzekł Duncan. – Tak jak wszyscy inni przy granicznych drzewach.

– Kilku woźniców podpisało zeznanie, że spadł ze skały.

Duncan wytrzeszczył oczy.

– Kto odebrał takie zeznanie?

– Jakiś prawnik przyniósł je sędziemu pokoju. Nie mojemu bratu, innemu.

– Prawniki pracujący dla kogo?

– Dla tego przedsiębiorstwa ziemskiego. Susquehanna Company.

Duncan znów zamknął oczy.

– Zatem w Filadelfii prawda stała się towarem, który można kupować i sprzedawać.

Pani Bythe przygryzła wargę, ale nie odpowiedziała. Sięgnęła do koszyka i wyjęła gazetę.

– Pański przyjaciel z Wirginii powiedział, że chciałby pan to zobaczyć.

Gazeta zawierała głównie wiadomości o rejsach statków i przywiezionych towarach. Jednak na dole strony był krótki artykuł. „Kupiec z Shamokin utonął”.

Duncanowi zaschło w gardle, gdy to czytał. *Ciało Matthew Wallera, kupca z Shamokin, wyłowiono z rzeki załoga łodzi rybackiej. Waller zaginął przed dwoma dniami i uważa się, że w nocy spadł z nabrzeża.*

– Prąd w rzece bywa bardzo silny – podsunęła pani Bythe.

– Został zabity – powiedział Duncan. – Zabito go, ponieważ go szukaliśmy i był powiązany z mordercami. – Wszystkie drzwi się zatrzaśniały. – Doktor Marston? – spytał po chwili.

– Dochodzi do siebie w swoim domu nad rzeką.

– Muszę się z nim zobaczyć.

– Mogę posłać chłopca z wiadomością, ale nie potrafię powiedzieć, czy doktor szybko zbierze się na odwagę, żeby wrócić do więzienia. I zostało tylko kilka formalności, których trzeba dopełnić, zanim zostanie pan przekazany lordowi Ramseyowi – powiedziała, zniżając głos i wbijając wzrok w podłogę. – Podpisać kilka dokumentów. Kiedy podpisy zostaną złożone i poświadczone przez urzędników, a lekarz uzna pana za zdrowego, zostanie pan przekazany swojemu właścicielowi.

Duncan ukrył twarz w dłoniach. Ramsey twierdził, że w piwnicy domu zbudował dla niego specjalną celę i zamierza zabrać aparaturę elektryczną, żeby go torturować.

– On nie jest moim właścicielem. Ten dokument został scedowany na jego córkę. Są świadkowie.

– On podpisał oświadczenie stwierdzające co innego. Jest członkiem rady – powtórzyła kobieta i naląła mu drugi kubek wody. Nachyliła się bliżej i szepnęła: – To jego człowiek stoi przy drzwiach.

– Traktat – rzucił Duncan, gdy opróżnił kubek. – Skanawati.

– Wirginijczycy zagrozili odejściem. Indianie zastanawiają się nad wysoką ceną.

– Za uwolnienie ich wodza? – zapytał Duncan z nadzieją w głosie.

– Nie. Za sprzedaż swojej ziemi.

To przygnębiło go jeszcze bardziej.

– Czy już zaczęły się oficjalne negocjacje?

Pani Bythe wstała i wygładziła fartuszek.

– Nie będzie żadnych oficjalnych negocjacji, dopóki nie zakończą się nieoficjalne.

Strażnik zauważył, że kobieta szykuje się do wyjścia, i otworzył drzwi.

– Chcę pożyczyć panu moją Biblię – powiedziała znacząco i wręczyła Duncanowi tomik wyjęty z kieszeni. – Lord Ramsey wie, że musi tolerować nas, kwakrów. Od czasu do czasu pozwala nam na wspólne modły z jego służbą w swojej bibliotece.

Duncan z przygnębieniem popatrzył na zamykające się drzwi. Potem spojrzął na książeczkę i położył ją na stołku, aby otrzeć krew sączącą się spod bandaża na rękę. Wstał i ruszył do drzwi celi. W połowie drogi kolana ugięły się pod nim i upadł na podłogę.

Później dowlókl się z powrotem do pryczy i długo odpoczywał, opierając na niej tylko głowę i rękę, a potem wziął leżącą na stołku Biblię.

W środku znalazł kartkę z dwoma zestawami czterech skrzyżowanych linii tworzących kratki, w których znajdowały się litery i kropki w niedokończonych trójkątach, każda w innym miejscu. Na odwrocie widniały dwa trójkąty z literami i kropkami podobnie ustawionymi po obu stronach linii. Kilkakrotnie obrócił kartkę. Były na niej wszystkie litery alfabetu.

Duncan wstał z trudem, dowlókl się do okna i osunął pod nim, trzymając kartkę w smudze światła. Teraz rozumiał pożegnalne słowa kobiety. Wdowa była w bibliotece Ramseya. Conawago z nią rozmawiał i znalazła szyfr masonów. Duncan pospiesznie poszukał za pasem, a potem na czworakach powłókl się do pryczy, aby przetrząsnąć stertę postrzępionych koców leżących na końcu.

Jego sakwa z szyframi skopiowanymi z drzew znikła wraz ze wszystkimi osobistymi drobiazgami. Przepadła. Jednak znaki z pierwszego drzewa były jak wypalone w jego pamięci. Palcem narysował je w kurzu na podłodze, zaczynając od pustego i otwartego na górze kwadratu, przez niedokończony trójkąt skierowany narożem do poprzedzającego go znaku, a kończąc na całym, lecz pustym kwadracie. Trzęsły mu się ręce, gdy sprawdzał to z kartką od Conawago. Pierwszą literą było B, a następną U. Szybko odczytał wszystkie i ze zmieszaniem spojrzął na rezultat. BURKE. Zabójca po prostu wyrył na drzewie nazwisko ofiary. To nie miało sensu.

Zamknął oczy pod wpływem fali bólu i odkrył, że palce jednej ręki mimowolnie mu drżą. Wywołana tym frustracja jeszcze pogłębiła osłabienie. Tak skończy się jego życie, w piwnicy Ramseya, kolejne części jego ciała będą dygotać konwulsyjnie, aż zupełnie straci nad nimi kontrolę. Z każdym dniem kolejny fragment jego mózgu zostanie wypalony. Jego wolność, a nawet życie zależało od odkrycia prawdy, a tymczasem żaden z fragmentów układanki nie pasował do pozostałych.

Zamknął oczy, pograżając się w rozpacz, oczami duszy widząc tych, którzy umarli na więziennym statku. W tym koszmarze na jawie martwi wracali do życia, mieli pozbawione krwi twarze i spoglądali na niego drwiąco, wskazując kościstymi palcami kartkę, którą trzymał w ręku.

Cztery kroki do ściany, cztery z powrotem. Duncan mierzył godziny kolejnymi wycieczkami z jednego końca celi w drugi, usiłując nabrać sił. Z początku ledwie chwiejnie dochodził od jednej ściany do drugiej, kolana i kostki protestowały przy każdym ruchu, a w palcach nadal czuł dziwne mrowienie. Ćwiczył tak co pół godziny, według widocznego przez okno celi zegara na budynku siedziby władz prowincji, a potem odpoczywał dziesięć minut, jedząc czerstwy chleb i ser pozostawiony przez Towarzystwo Dobroczynne. Nabrał takiego apetytu, że opróżniał nawet miskę cienkiej polewki wsuwaną przez okienko dwa razy dziennie.

Starał się nie myśleć o swojej przyszłości jako niewolnika Ramseya, wspominając długie nocne rozmowy z Conawago o potyczkach z wielokrotnie liczniejszymi wrogami plemionami, o wojownikach, których uczono nie myśleć o strachu, o klęsce czy odwrocie, a tylko mieć w sercach dumne czyny przodków i moc bogów. Wiedział, że niewiele się to różniło od zasad szkockich klanów, które przez stulecia walczyły z wielokrotnie silniejszymi wrogami.

Często spoglądał na wykres przyniesiony przez panią Bythe i przystawał na moment, aby przeczytać kolejne litery. Nie mógł ufać swojej pamięci w kwestii znaków na innych drzewach, tak więc zaszyfrował w kurzu pod oknem nazwiska zabitych. Cooper. Bythe. Burke. Townsend.

Oparł się o parapet, twarzą do okna, patrząc na więźniów przechadzających się po małym dziedzińcu na dole i na dymy unoszące się z setek kominów. Gdy przycisnął twarz do krat, widział nad dachami maszty przypominające mu, że pół mili stąd są statki, na których bez żadnych pytań zatrudniono by zręcznego żeglarza, statki, które mogłyby go zanieść do szkockich osad w Karolinie, w Nowym Jorku, w Holandii,

gdzie miał przyjaciół, do Irlandii, gdzie wielu Szkotów uciekło po czystkach. Znów zaczął sobie wyobrażać, że rozpocznie inne życie, nocą wymknie się z celi i przez mur, a potem odpłynie w dal, pozostawiając za sobą wszystkie troski. Jednak z nadejściem nocy ogarniała go rozpacz, czarna jak ciężki całun spowijający serce. Walczył z nią, wspominając rozmowy z Conawago.

Jego palce wciąż się zaciskały i okiem studenta medycyny stwierdził, że fluidy elektryczne działają nawet na najmniejsze mięśnie. Odwinąwszy lniany bandaż, skrzywił się na widok nacieczonych ran w miejscach, gdzie zeszła spalona skóra, a potem położył palce na parapecie okna i patrzył, jak się kurczą, jakby obdarzone własną wolą.

Nie wiedział, jak długo był obserwowany, ale powoli poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Pokuśtykał do pryczy, usiadł i czekał. Po chwili usłyszał zgrzyt klucza w zamku i drzwi się otworzyły. Marston, utykając, wszedł do celi, podpierając się laską. Uczony spojrzał na klucznika, który zmarszczył brwi, ale wycofał się na korytarz i zamknął drzwi.

Marston pospieszył do nich i zamknął okienko.

– Nie mogą zobaczyć, że chodzisz.

– Słucham?

– Najlepszym powodem, żeby cię tu trzymać, jest stan zdrowia. Strażnik cię nie wypuści, dopóki nie wyzdrowiejesz. Ramsey sądzi, że nie musi się spieszyć z wypełnianiem dokumentów dotyczących twojego przeniesienia do jego posiadłości. Mam jedzenie od pani Bythe.

Duncan zobaczył, że Marston przyniósł koszyk, który postawił obok stołka.

– I wiadomość od lekarza dogląającego Skanawatiego. Wódz chce ci powiedzieć, że nie widział twarzy tych, którzy cię zaatakowali. Sądzi jednak, że dwaj z nich byli strażnikami, a trzeci, ukryty w mroku, wydawał im rozkazy.

– Muszę cię prosić o wybaczenie – rzekł Duncan. – Wpadłeś w pułapkę, którą Ramsey zastawił na mnie.

Marston zbył to machnięciem ręki.

– Przeżyliśmy. To było wstrząsające doświadczenie znaleźć się po drugiej stronie sło. Wstrząsające – powtórzył, śmiejąc się z żartu.

– Może w przyszłości będziesz używał słabszych ładunków.

Marston się zaczerwienił.

– Już doszedłem do wniosku, że duże słoje nie będą opuszczały mojego laboratorium.

– Twój sprzęt przepadł. Żałuję, że wciągnąłem cię w moje problemy.

– Jeśli dobrze pamiętam, to ja przyszedłem do ciebie – rzekł Marston. – Napisałem list do doktora Franklina. Z przyjemnością usłyszysz ekscytujące wieści ze starej Filadelfii. A Towarzystwo Dobroczyńne zgodziło się pokryć koszt nowej aparatury.

Duncan nie zdołał powstrzymać uśmiechu, słysząc tę deklarację dobrej woli.

– Obawiam się, że mam jeszcze jedną prośbę. Możesz podwinąć lewy rękaw?

– Słucham?

– Rękaw. W trakcie tego... zamieszania wydawało mi się, że widziałem znamię. W kształcie błyskawicy.

Marston się skrzywił, ale zaczął podwijać rękaw lnianej koszuli, którą nosił pod kamizelką.

– Nasza odznaka.

Odsłonił ramię, pokazując znak z miną, którą Duncan uznał za dumną.

Była to blizna, wypukła i czerwona, w kształcie zygzakowatej błyskawicy.

– Identyczną widziałem na ręce kapitana Burke'a, kiedy badałem jego zwłoki.

– Jest nas około dwudziestu w Stowarzyszeniu Lejdejskim. Skupia ono przyrodników interesujących się postęпами nauki o fluidach elektrycznych. Kilku z nas pomagało doktorowi Franklinowi z jego latawcami i piorunochronami – dodał. – Spotykamy się przy pełni księżyca i często puszczaemy latawce podczas burzy.

Myśli Duncana galopowały.

– Jak kapitan Burke z Wirginii mógł być członkiem Stowarzyszenia?

– Studiował tutaj. Ojciec go zniechęcał, chciał go mieć w domu, mówił, że dyplom uczelni będzie bezużyteczny w zarządzaniu ich posiadłościami. Raz, będąc tutaj, ojciec siłą wyprowadził go z naszego zebrania. Sądzę, że dlatego kapitan wrócił i przyłączył się do nas. Rzucił mu wyzwanie.

– Kiedy wrócił?

– W zeszłym miesiącu Burke zabawiał nas tą opowieścią na naszym zebraniu. Miał zabrać mapy w Baltimore i spotkać się ze swoim oddziałem w Fort Ligonier, a potem popłynąć łodzią z James przez zatokę Chesapeake do Filadelfii, gdzie można było znaleźć lepsze mapy.

– Wrócił, żeby wstąpić do waszego Stowarzyszenia?

Marston uśmiechnął się z przymusem.

– Powiedział nam, że wrócił, żeby wznieść podwaliny nowego życia. Na przyjęciu sporo wypił i opowiedział nam o swoich zamierzeniach, może więcej niż chciał. Jego ojciec nie wiedział, że on ma tutaj kochankę i w tajemnicy zebrał dość pieniędzy, żeby kupić w mieście dom. Był człowiekiem o wyrafinowanych gustach, jako chłopca wysłano go do londyńskiej szkoły z internatem, i nigdy nie podobało mu się życie na wsi w Wirginii. – Spojrzał na bliznę. – Członkostwo Stowarzyszenia było jego oficjalnym powitaniem w Filadelfii. Urządziliśmy małą ceremonię, w której trakcie do jego ramienia przymocowano mosiężną płytkę i przepuszczono silny ładunek elektryczny. Kiedy zdjęliśmy płytkę, skóra była podrażniona i pozostała blizna.

Duncan spojrział na swoje bandażę.

– To musiało boleć.

– Wypił sporo brandy.

– Skąd wziął taką dużą sumę pieniędzy?

– Nie wiem. Wystarczyło mu nie tylko na dom. Wciąż kupował akcje w kompanii handlowej, zamierzając robić dostawy na pogranicze, i regularnie płacił właścicielowi.

– Przecież powiedziałaś, że nie lubił prostego życia.

– Zamierzał pozostać w Filadelfii. Miał jakiegoś wspólnika, który zająłby się pograniczem. Musiał tylko podpisać końcowy dokument uwzględniający kwoty, które już zapłacił.

– A te pieniądze skąd mogły pochodzić, jeśli nie od jego rodziny? – naciskał Duncan. Ponownie rozważył słowa Marstona. – Sugerujesz, że płacił mu ktoś z Filadelfii?

Marston wzruszył ramionami.

– Dżentelmen nie pyta o takie rzeczy.

Duncan się odwrócił i znów oparł o parapet, spoglądając na gwarne miasto.

– Zatem Burke wyjechał stąd, aby dołączyć do swoich ludzi – głośno myślał.

– Czy to ważne?

– Bardzo. – Duncan uważnie przyglądał się Marstonowi, usiłując ocenić, na ile może mu zaufać, a potem zdał sobie sprawę, że ma niewielki wybór. – Czy mógłbyś znów porozmawiać z Towarzystwem Dobroczynnym? Znaleźć Hadleya?

– Tak na oba pytania.

Duncan zaczął wyjaśniać, czego potrzebuje.

Towarzystwo Dobroczne przybyło tego popołudnia w pełnym składzie i oznajmiło, że rozpoczyna wiosenne porządki w zatęchłych celach. Duncan patrzył, jak strażnik burzy się na nagłe przybycie tuzina sprzątaczy, szybko zaprzestając oporu pod zmasowanym atakiem karcących go trzech szacownych kwakierek, w tym pani Bythe.

Duncan leżał na prycy, kiedy po niego przyszli. Pani Bythe wydawała polecenia dwóm roslým jegomościom, którzy sporządzili prowizoryczne nosze z koca i dwóch długich kijów. Kiedy wnosili go na schody i z nich znosili, Duncan udawał nieprzytomnego i leżał z zamkniętymi oczami, nie otwierał ich, dopóki nie ułożono go na posłaniu w kącie podwórza. Po chwili pojawili się dwaj klucznicy z zaskoczonym, lecz potulnym Skanawatim. Sprzeczekali się tylko chwilę, po czym oddali Irokeza pod opiekę pani Bythe, która rozwiła ich wątpliwości, wciskając w dłonie pieniądze i zapewniając, że będą mogli obserwować więźnia od drzwi. Duncan doszedł do wniosku, że kwakrzy są równie zaradni jak wierzący.

Sprzątacze, przeważnie w czarnych lub szarych strojach, a niektórzy w kapeluszach z szerokim rondem, nisko nasuniętych na czoła, zaczęli znosić brudne posłania oraz nocniki z cel i ustawiać w przeciwległym rogu. Dwie ławy postawiono pod ścianami w pobliżu Duncana i Skanawatego, tworząc mały prostokąt obok wózka ze świeżym sianem, który zasłaniał ich przed oczami patrzących od bramy. Trzy kobiety usiadły i zaczęły wypychać sienniki świeżym sianem, śpiewając przy tym psalm. Skanawati, ze zdziwieniem spoglądając na kwakrów, zrobił krok w tył, jakby zamierzał uciec, lecz jeden z odzianych na szaro mężczyzn dotknął jego ramienia i zsunął kapelusz z czoła.

– Dziękujemy duchom, że zdołałeś przejść przez las.

Był to Conawago.

Irokez powoli skinął głową i poszedł za jego przykładem, gdy stary Nipmuk usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi obok Duncana.

Inni sprzątacze zebrali się w pobliżu z wiadrami wody i szarego mydła, żeby wyszorować nocniki, a pozostali zasiedli na ławach jakby do modlitwy, zasłaniając rozmawiających przed niepowołanymi oczami. Kiedy zdjęli szerokie kapelusze, Duncan nagle sobie uświadomił, że zna ich wszystkich. Byli tam Hadley, Marston, a nawet Mokie, Becca i malutki Penn. Duncan odsunął myśl, że zapewne widzi ich ostatni raz, i skupił się na odkrywaniu prawdy. Pochylił się, wręczył Conawago otrzymany od pani Bythe wykres z szyfrem, po czym zaczął wyjaśniać, czego się dowiedział.

Słuchali, gdy mówił, jak zabójca zostawiał zaszyfrowane wiadomości, przynoszone przez zbiegłych niewolników, o tym, że dowody miały wskazywać na Irokezów, szyfr znało tylko kilku intelektualistów w Filadelfii, a kapitan Burke dołączył do swoich ludzi, nie mówiąc im o tym, że w tajemnicy układa sobie nowe życie w Filadelfii.

– Tylko po co zabójca zapisywał nazwiska ofiar? – zapytał Hadley.

Wyjął kartkę oraz rysik i robił notatki na kolanie. Prowadził własną kronikę wydarzeń.

– Ponieważ za każdego dostawał zapłatę. Od sztuki. Ponieważ nie był w stanie przewidzieć, gdzie będzie, i meldować osobiście o każdym dokonanym ataku. Ponieważ prowadzący nowy interes Burke i jego cichy wspólnik musieli uiszczać stałe opłaty. No i posyłanie pisemnych wiadomości było zbyt niebezpieczne. Tak więc zbiegli niewolnicy zanosili zaszyfrowane wiadomości do Shamokin, gdzie odbierał je kupiec Waller, który korespondował z bankiem w Filadelfii.

Na koniec opowiedział, jak napastnicy zabrali ciało Burke'a.

– Przecież to zrobili wojownicy na wojennej ścieżce – przypomniała pani Bythe.

– Tak mieliśmy myśleć – powiedział Duncan. – Tak samo jak pierwszy Skanawati, ten, który umarł zeszłej zimy, miał sądzić, że Townsend zmawia się z francuskimi Indianami. To jednak nie byli francuscy Indianie. Może niektórzy byli Huronami albo wędrowali czasem z hurońskimi rabusiami, ale byli wyrzutkami pracującymi dla zabójcy, który nie mógł pozwolić, by znaleziono ciało, gdyż blizna by dowiodła, że Burke był niedawno w Filadelfii.

– Pomimo to... – zaczął Hadley.

– Twój kuzyn podpisał tu umowę kupna domu.

– To niemożliwe! – wykrzyknął Hadley. – Obiecano mu szmat ziemi na zachodzie. Nie miał pieniędzy na zakup domu.

– Miał tutaj kochankę. Nigdy nie zamierzał zamieszkać na zachodzie. Prawdę mówiąc, jego poczynania świadczą o tym, że był przekonany, iż Wirginijczycy nigdy nie uzyskają prawa do tych ziem. Nie wiedział, jak głęboko sięga zło, w którym się zanurzył. Zaproponowane tutaj pieniądze pozwalały mu rozpocząć nowe życie. Nie obchodziło go, że mogło to oznaczać przekreślenie szans Wirginijczyków na uzyskanie praw do ziemi, ponieważ nie zamierzał wrócić do Wirginii. Zwerbował Townsenda, obiecując mu, że jego książka zostanie opublikowana. Pomagał zbiegłym

niewolnikom. Jednak za dużo wiedział. I za dużo pił. Może ludzie stojący za tymi zabójstwami od początku zamierzali go wyeliminować. Przecież zawsze stanowiłby dla nich zagrożenie.

– Tylko kto potrafiłby rozpoznać tę bliznę? – spytała pani Bythe. – W Filadelfii jest zaledwie kilku wykształconych ludzi, którzy znają tę błyskawicę.

– Właśnie – rzekł Duncan.

Kwakrzy spojrzeli na niego ze zdumieniem, gdy dotarł do nich sens jego słów.

– A Mokie? – wtrącił po chwili Hadley. – Przecież nie mieli powodu obawiać się Mokie.

Wirginijszyk zerknął na dziewczynę przechadzającą się pod ścianą z małym braciszkiem w ramionach.

– Mokie coś wie – podsunął Duncan. – Ma informację, której zapewne nie uważa za ważną. Jest to jednak coś, czego obawia się zabójca. Strzeżcie jej.

Gdy Duncan mówił, Skanawati spoglądał na obłoki, zdając się nie słuchać, dopóki nie zaczął mówić Hadley.

– Znaleźliśmy prawnika. Napisze oficjalną opinię, że przyznanie się do winy Skanawatiego jest nieważne.

– Przecież zeznał to przy wielu świadkach – rzekł Duncan, niepewnie zerkając na wodza Irokezów.

– Ten prawnik twierdzi, że to, co mówiono przed trybunałem wojskowym w Forcie Ligonier, nie może być wykorzystane w sądzie prowincji. Trybunałowi przewodniczył dowódca fortu. To, że sędzia pokoju Brindle siedział za stołem, niczego nie zmienia.

– Z pewnością negocjatorzy z Wirginii nigdy się z tym nie pogodzą. Trzeba ich ułagodzić, żeby zawrzeć traktat – stwierdził Duncan.

Conawago obrzucił go bystrym spojrzeniem.

– Nasz wirginijski przyjaciel i ja znaleźliśmy kompromisowe rozwiązanie.

Hadley nachylił się do Duncana.

– Każda z trzech stron – Wirginia, Pensylwania i Irokezi – musi odnieść jakąś korzyść z podpisania tego traktatu. Wirginijszyzy chcieli zachodnich ziem, Irokezi dostaw, a Pensylwania bezpiecznej zachodniej granicy.

– Właśnie. Wirginijszyzy nigdy nie zrezygnują z powieszenia Skanawatiego, jeśli nie dostaną tej ziemi.

– Jest jednak coś, co jest dla nich równie ważne, a nawet jeszcze ważniejsze. Żony i dzieci.

– Słucham?

– Conawago rozmawiał z wodzami Irokezów. Wyliczają, że zachodnie plemiona mają w niewoli ponad dwustu mieszkańców Wirginii. Zaproponują, że ich oddadzą. Wirginijszyzy negocjatorzy traktatu zostaliby wytarzani w smole i pierzu, gdyby przedłożyli ziemię nad powrót uwięzionych bliskich. Irokezi otrzymają swoje dostawy, a Wirginijszyzy odzyskają więźniów.

– A Pensylwania?

– Kolonia dostanie forty na zachodzie, potrzebne do zabezpieczenia granicy.

Duncan mówił głośno i powoli, żeby Skanawati go zrozumiał.

– Twierdzisz, że traktat może zostać podpisany bez scedowania ziem przez plemiona, bez zajęcia przez Wirginijczyków ziemi, do której roszczą sobie prawo, bez wieszania?

– Wszystkie traktaty polegają na kompromisie. Tak.

Skanawati powoli przeniósł wzrok na Duncana.

– Możesz wrócić do domu i przenieść swoją wioskę – rzekł Duncan do Onondagi.

– Wirginijczycy żądają, aby wodza trzymano do chwili podpisania traktatu. Dla bezpieczeństwa.

– Zatem trzeba go przenieść z tego lochu, w którym siedzi – upierał się Duncan. – Zamienię się z nim na cele.

Hadley i Conawago wymienili zmartwione spojrzenia.

– Finał negocjacji nie odbędzie się w Filadelfii – oznajmił Wirginijczyk. – Plemiona są tu wzburzone, pamiętają, ilu mieszkających tu Indian umarło na europejską zarazę. Niektórzy może już stąd odeszli. A ojcowie miasta są zaniepokojeni tak wielką liczbą Indian obozujących na jego obrzeżach. Są skargi. Zeszłej nocy przed siedzibą władz odbył się marsz obywateli żądających ich usunięcia. Lord Ramsey spotkał się z gubernatorem.

– Nie rozumiem.

– Negocjacje zostają przeniesione na północ, na granicę Irokei, do miasta Morawian nad rzeką Lehigh. Traktat ma być zatwierdzony w Bethlehem, a wódz wypuszczony po jego podpisaniu.

Duncan w końcu pojał, dlaczego jego przyjaciele się nie cieszyli, przekazując te wieści. Kiedy negocjacje traktatu przeniosą się na północ, on znajdzie się w rękach Ramseya. Ominie go ostatni akt tego wielkiego dramatu.

– Morawianie życzliwiej przyjmują Indian niż ktokolwiek inny – stwierdził obojętnie.

Przy końcu stołu odezwał się nowy głos, jednego ze sprzątających, który dopiero dołączył do zgromadzonych:

– Nadal będzie prowadzone dochodzenie, przynajmniej w sprawie śmierci Bythe'a i Townsenda. A Wirginijczycy żądają, abyśmy byli gotowi przeprowadzić proces, jeśli nie dojdzie do podpisania traktatu. Pan McCallum będzie tam potrzebny jako ważny świadek.

Mówiąc to, mężczyzna zdjął kapelusz, odsłaniając twarz. Dłonie sędziego pokoju Brindle'a były białe od wapna używanego do szorowania cel.

– Nie rozumiem – rzekł Duncan.

– Ślady po dawnych właścicielach Susquehanna Company zostały celowo zatarte w oficjalnych rejestrach. Jednak wysiłki pana Hadleya pozwoliły nam zlokalizować kilku byłych właścicieli, którym bez wyjątku przydarzyły się jakieś nieszczęścia zmuszające ich do sprzedaży udziałów i do których prawnicy lorda Ramseya zgłosili się w ciągu paru dni od katastrofy. – Brindle znacząco spojrział na Duncana. – Dziś rano podpisałem nakaz odesłania cię z nami do Bethlehem – oznajmił kwakier. – Ten

nakaz zostanie dostarczony sądowi, gdy konwój opuści Filadelfię. Czy to się Ramseyowi podoba czy nie, świadek mający zeznawać w moim sądzie nie zostanie wypuszczony, dopóki na to nie pozwolę.

– Dzięki Bogu – wyszeptała pani Bythe.

– A czy pan Felton też do nas dołączy? – zapytał Duncan.

Brindle zeszywniał.

– Oczywiście. Dlaczego...?

– Za każdym razem, gdy zbliżamy się do zdemaskowania jednego ze spiskowców, ten ginie. Ostatniego pański siostrzeniec zabił na oczach wszystkich.

– I uznano go za bohatera.

– Może.

– Otrzymał pan zbyt wiele ciosów w głowę, McCallum – zauważył Brindle, zbierając się do odejścia.

– Niech pan o tym pomyśli – rzucił za nim Duncan. – Rozważy możliwość, że Felton pracuje dla Ramseya. Powiedział pan, że on inwestuje. Jak go na to stać z pensji zwiadowcy?

Brindle przystanął, na moment zwiesił głowę, a potem opuścił więzienie.

Gdy inni też zaczęli wychodzić, a klucznicy odprowadzili Skanawatiego, Hadley upuścił gazetę na ziemię obok Duncana.

– Wszyscy uważają go za bohatera.

Na pierwszej stronie „Gazette” widniał niezdarny rysunek mężczyzny strzelającego z muszkietu do Indianina spowitego płomieniami. „Sprawiedliwa odpowiedź ogniem”, głosił tytuł artykułu opisującego, jak dzielny Samuel Felton uratował dziewczynę i miasto przed morderczym dzikusiem.

– Nie rozumiem tego tytułu – powiedział Duncan, patrząc na mieszkańców Filadelfii.

– Ten biedny chłopak się zemścił – wyjaśniła pani Bythe. – Wyrównał rachunki.

– Zemścił?

– Nie wie pan? Biedny pan Felton przez wiele lat był jeńcem dzikusów.

Rozdział 17

Siedząc w więzieniu w Szkocji, zanim przeniesiono go na więzienny statek, Duncan przez tydzień ukradzionym gwoździem wydlubował zaprawę wokół jednego kamienia, a potem obliczył, że wystarczy obluzować jeszcze tylko pięćset takich kamieni i będzie wolny. Teraz, gdy więzienny wóz jechał przez wzgórza i doliny na północ od Filadelfii, mimo woli znów rozważał rozmaite sposoby ucieczki. Pojazd był po prostu przerobionym farmerskim wozem do transportu zwierząt, deski po bokach można by rozbić celnym kopniakiem, a te na dachu też były osłabione przez liczne dziury po sękach.

Jednak ilekroć oglądał deski, widział sędziego pokoju Brindle'a jadącego w pobliżu pomiędzy wozem z żołnierzami z Wirginii, jakby chciał chronić Duncana i Skanawatiego. Gdyby Duncan uciekł, obwiniano by Brindle'a i na niego spadłaby niesława. Będzie czas na ucieczkę po podpisaniu traktatu, mówił sobie Szkot. Powrotna podróż potrwa kilka dni, zanim zostanie przekazany w ręce mściwego Ramseya. Chociaż może przy tym zginąć, a później zawsze będzie ścigany przez łowców nagród, spróbuje wtedy uciec w puszcę, czy Felton będzie mu deptał po piętach czy nie.

W koszmarnych snach na jawie widział spiskowców. Ohio George, Czerwona Ręka i Winston Burke pochylali się nad nim, Ramsey stał za ich plecami, a Felton pojawiał się i znikał. Duncan raz po raz powtarzał sobie, że ten kwakier jest brakującym ogniwem łączącym spisek z Ramseyem, tylko po to, by przypominać sobie, że nie ma na to żadnego dowodu, a Felton mógł po prostu działać jako łowca nagród, a nawet rzeczywiście bohaterski zabójca Czerwonej Ręki. Zatarł ślady swojej bytności u Indian. Ale też żaden z byłych indiańskich jeńców nie rozgłaszał tego faktu, z powodu piętna, jakim by go naznaczono.

Jego towarzysz w więziennym wozie z początku niewiele mówił.

Po pierwszej godzinie jazdy wyboistą drogą Duncan zaczął opisywać Skanawatiemu swoją wizytę w Shamokin i w wiosce wodza, wywołując uśmiech na jego twarzy opowieścią o spotkaniu Mokie z niedźwiadkiem Rideaux. Z lekkim wahaniem opisał nawet ceremonię powtórnego pogrzebu, mówiąc, jak stary wódz został pochowany w białym futrze zdobytym dla niego przez Skanawatiego, a jego bratanek Johantty pomagał nucić stare pieśni. Wódz przez długą chwilę spoglądał na Duncana.

– Pewien człowiek przychodził i patrzył przez kraty mojej celi, słaby, bladej męczyzna, który nosi koronki na przegubach – powiedział w końcu. – Mówią, że jesteś jego niewolnikiem.

– To prawda – potwierdził Duncan, a po chwili wyjaśnił: – To kara za to, że pomogłem mojemu wujowi śpiewać pieśni naszych ojców.

Skanawati przyglądał mu się w milczeniu, a potem sięgnął do kieszeni swojej wyszywanej paciorkami kamizelki i ku zdziwieniu Duncana wyjął wąski, biały pasek wampumu.

– Opowiedz mi o tym więcej.

Opowieść zajęła Duncanowi ponad dwie godziny, a towarzysz nieustannie przerywał mu pytaniami. Kiedy Duncan mówił o tym, jak cały jego klan został wyjęty spod prawa za opór stawiany wysłannikom brytyjskiego króla, Skanawati chciał wiedzieć, jakiego króla mieli przedtem, i poważnie skinął głową, gdy młodzieniec wyjaśnił, że szkockie klany nigdy nie potrzebowały królów i chciały tylko, żeby pozostawiono je w spokoju. Gdy Duncan opowiadał o tym, jak jego wuj, zbieg, wówczas już stary i zmęczony, odnalazł go na medycznej uczelni, wódz zapytał, gdzie ukrywali się tacy ludzie na swojej ziemi i czy mędracy uczący Duncana posiadali wiedzę irokeskich uzdrowicieli na temat tego, jak gwiazdy i księżyc wpływają na ludzkie ciało. Kiedy wódz spytał, jak można skazać człowieka za śpiewanie pieśni, Duncan w końcu wyjaśnił, jak jego wuj, stary buntownik ukrywający się w studenckiej kwaterze Duncana, upił się na swoje osiemdziesiąte urodziny i głośno śpiewał w języku ich ludu, którego król także zakazał używać.

– Wuj został powieszony, a mnie wsadzono do więzienia.

– Zatem to prawda, że twojego plemienia już nie ma? – drażył Skanawati.

Duncan odwrócił wzrok. Poprzedniej nocy miał jeden z tych powracających snów o dziadku wołającym go z końca długiego korytarza. Spojrzał na pasek białych paciorków wciąż leżący na jego przegubie.

– Moje plemię jest zawsze ze mną – powiedział, kładąc przy tym dłoń na sercu.

Potem zdjął wampum i położył go na nadgarstku Skanawatiego.

– Ja też mam pytanie. Tylko jedno. Zabiłeś kapitana Burke’a?

– Toczę wojnę ze wszystkimi, którzy chcą zabrać nasze ziemie.

– Zabiłeś kapitana Burke’a? – powtórzył Duncan.

Skanawati popatrzył na długie szeregi wzgórz.

– Zrobiłbym wszystko, żeby uratować mój lud.

Duncan zobaczył, że wódz zdjął wampum z ręki i trzyma go w dłoni.

Patrzyli przez szpary w deskach, gdy wóz pokonywał kolejne mile, mijając farmerów orzących pługami ciągniętymi przez muły, całe rodziny obsiewające pola, stadka pilnowane przez chłopców z muszkietami wystruganymi z drewna. Kiedy farmy zaczęły się pojawiać coraz rzadziej, zobaczyli armie drwali ścinających drzewa.

– Wy, Anglicy, mnożycie się jak myszy – zauważył beznamiętnie Skanawati. – Jakbyście wychodzili spod ziemi.

I to, pomyślał sobie Duncan, jest to pęknięcie, szczelina świata, która naprawdę niepokoi Skanawatiego. Zmiany na świecie wiązały się z zaludnieniem. Brytyjczycy w końcu wygrają wojnę, ponieważ ich kolonistów jest milion, podczas gdy Francuzów

najwyżej sześćdziesiąt tysięcy. Sama Pensylwania ma ponad dwieście tysięcy, a cała irokeska liga liczy zapewne dziesięć razy tyle.

– Gdy byłem młody i po raz pierwszy zobaczyłem całą dolinę pozbawioną drzew przez Europejczyków, bardzo się przestraszyłem – powiedział Onondaga. – Uznałem, że wymagało to wielkiej magii, gdyż plemiona nigdy nie robiły czegoś takiego. Nie wydawało mi się, że zmienili część naszego świata, lecz że stworzyli zupełnie nowy na gruzach naszego. Wuj zabrał mnie na Wielką Radę. Nasi najmądrzejsi ludzie, najstarsi wodzowie pokoju, spierali się o to, czy duchy opuściły ziemię, na której ścięto wszystkie drzewa. Niektórzy mówili, że duchy umierają małą śmiercią za każdym razem, gdy ścina się drzewo, i dlatego my zawsze odmawiamy przy tym modlitwę, a także rozmawiamy z nim, gdy robimy z niego kanu, miskę lub maskę. Inni twierdzili, że duchy już odeszły, tak by ostatnie drzewa naszej ziemi stały się potężniejsze, tak potężne, że czasem w nocy drzewo może wyrwać korzenie z ziemi i odejść.

– Drzewa odrastają – podsunął Duncan.

– Nie wiemy jednak, czy odrastają bogowie – odparował Skanawati.

Tyle lekkich powozów i jeźdźców mijają ich powoli poruszającą się karawanę, że Duncan nie zwrócił uwagi na elegancką bryczkę i czterech jeźdźców przejeżdżających po południu trzeciego dnia. Dopiero później zauważył, że powóz i jeźdźcy nie pojechali dalej, lecz towarzyszą konwojowi, i z przygnębieniem zrozumiał, że nie będzie miał szansy na ucieczkę w powrotnej drodze do Filadelfii. Ramsey ze swymi ludźmi dołączył do delegatów. Sprawę morderstw trzeba będzie załatwić przed podpisaniem traktatu, co oznaczało, że Ramsey zakuje go w kajdany zaraz potem.

Duncan wiele słyszał o zbudowanym przez Morawian Bethlehem i innym razem, w innych okolicznościach, na pewno z przyjemnością przemierzałyby zadbane ulice, podziwiając masywne budynki z kamienia i drewna, w których mieszkała większość członków wspólnoty. Miasto było znane nie tylko z chrześcijańskiego trybu życia i szkolenia misjonarzy do pracy wśród plemion, ale także ze swoich wyrobów przemysłowych. Po ulicach niósł się stuk kowalskich młotów. Rzędy glinianych garnków wyjętych z pieca stygły na powietrzu. Rozładowywano i układano sterty świeżo pociętych desek.

Kiedy wóz więzienny w końcu się zatrzymał, elegancki powóz stał przed jednym z największych budynków. Duncan ledwie zauważył tych, którzy pomogli dwóm więźniom zejść z wozu i zaprowadzili ich do niewielkiego budynku z kamienia, pełniącego funkcję letniej kuchni i opróżnionego na ich przyjęcie. Kraty w jedynym oknie i grube uchwyty na antabę zamykającą drzwi powiedziały Duncanowi, że już używano tego pomieszczenia jako więzienia.

Dwaj więźniowie obserwowali przez okienko ruchliwą ulicę. Byli tu Indianie, którzy nauczyli Niemców mowy swoich plemion, a starzy Niemcy przełożyli na ich języki chrześcijańskie psalmy, przypomniał sobie Duncan. Ulicą ciągnęły wozy pełne czarnych kamieni, zaprzężone w sześć, a nawet osiem mułów. Wśród okolicznych

wzgórz znajdowały się bogate złoża rudy żelaza. Duncan dotknął ramienia Skanawatiego i wskazał grupę Indian niosących ćwiartki mięsa do obozu nad rzeką. Był wśród nich Długi Wilk, który nie niósł mięsa, lecz ładną śrutówkę.

Duncana nie zdziwiły przygnębione miny Hadleya i Conawago idących za dwiema morawskimi kobietami, które przyniosły wieczerzę. W milczeniu patrzyli, jak kobiety kładły pożywienie na kamiennym stole przy zimnych piecach. Świeży chleb kukurydziany, jabłka, marynaty, suszone mięso i maślanka. Dziczyzna i pieczywo kukurydziane. Niemcy znali indiańskie zwyczaje.

Hadley zaczął, aż kobiety wyjdą.

– Ramsey jest niezmordowany, Duncanie – powiedział w końcu. – Jak wściekły pies. W dodatku posiadający zasoby Midasa.

– Co znowu zrobił? – zapytał z przygnębieniem Duncan.

Hadley mimowolnie spojrzał na Skanawatiego, który słuchał z nieprzeniknioną miną.

– Sprowadził filadelfijskiego prawnika, który słyszał o próbach odrzucenia decyzji sądu w Ligonier. Teraz mają tuzin świadków stamtąd, którzy oświadczyli, że słyszeli przyznanie się do winy, i wszyscy zeznali to pod przysięgą przed innym filadelfijskim sędzią, nie Brindle'em. Świadkowie z Filadelfii zeznający przed filadelfijskim sądem. Ten sędzia wydał nowy nakaz aresztowania Skanawatiego. Proces ma się odbyć natychmiast. Nie rozumiem tej jego gry – wyznał Hadley. – Teraz ignoruje Wirginijczyków.

– Ponieważ uważa, że wirginijskie roszczenia zostaną odrzucone. Będą musieli się zadowolić wydaniem jeńców i niczego więcej nie uzyskają – powiedział Duncan, patrząc na Skanawatiego. Jego towarzysz z celi wziął jabłko, poszedł z nim do okna i jadł, wydając się ich nie słuchać. – Teraz Ramsey chce, żeby Irokezi myśleli, że to Pensylwania decyduje o losie ich wodza.

– Dlaczego?

– Żeby Pensylwanii zaproponowano gratyfikację z korzyścią dla Susquehanna Company. Im mocniej Ramsey zaciska pętlę, tym więcej uzyska, gdy plemiona w końcu spróbują uratować życie wodza.

– Indianie niewiele mogą zaoferować takiemu człowiekowi.

– Mają tylko jedną rzecz, której on pragnie – rzekł Conawago. – Zapomniałeś, że on został największym udziałowcem Susquehanna Company?

– Ziemia – rzekł głuchym szeptem Hadley. – Zawsze chodzi o ziemię, prawda?

– Ramseya irytuje to, że kilka szlacheckich rodzin otrzymało w minionym wieku własne kolonie. On też chce taką mieć.

Ramsey był przynajmniej przewidywalny. Już przed rokiem próbował podstępem zdobyć kolonię w zachodniej części Nowego Jorku, a teraz robił to samo na zachodzie Pensylwanii.

– Zawarł porozumienie z zachodnimi plemionami. Powiedział pensylwańskiej delegacji, że Indianie zbuntują się przeciw swym irokeskim panom, jeśli będą musieli odjechać bez nagrody.

Stropiony Duncan spojrział na Hadleya.

– Nie. Nie wierzę.

Conawago pokręcił głową.

– Ramsey ma dokument z podpisami pół tuzina wodzów z zachodu.

– Mój Boże – powiedział Duncan, przypominając sobie nową śrutówkę niesioną przez Długiego Wilka. – Zaleje zachodnich wodzów rzeką rumu i broni, żeby zdobyć ich poparcie. Zamierza wbić klin pomiędzy nich a Irokezów.

Duncan zwrócił się do Conawago:

– Musisz to wyjaśnić Staremu Pasowi. Musisz pokazać mu cień, który zawisł nad Irokezami, wytłumaczyć, że Ramsey usiłuje poróżnić go z zachodnimi plemionami. Niech poprosi Długiego Wilka, aby zajrzał w swe serce. – Zamilkł i spojrział na Hadleya. – Skąd wiesz te rzeczy o Ramseyu?

– Mokie – odparł niechętnie Wirginińczyk. – Ona słyszy teraz różne rzeczy.

– Słyszysz? Mówiłem ci, żebyś trzymał ją przy sobie.

– Próbowałem. Służyła w pokojach Brindle'a w jednej z tutejszych rezydencji. Morawianie odpowiedzialni za zakwaterowanie stwierdzili jednak, że jest potrzebna do pomocy przy innych gościach, a ona chętnie poszła. Nie wiedzieliśmy, że przydzielono ją do najważniejszego gościa. Ramsey złożył hojny datek na rzecz tutejszych Morawian, więc nie odmawiają mu takich przysług. Teraz jest u niego, na czas jego pobytu w Bethlehem. Ramsey z zadowoleniem opowiada, jaka z niej dobra służąca. Mówiła, jak w jego pokoju pojawiła się mysz, a Mokie wyjęła z kieszeni kamyk i zabiła ją celnym rzutem.

Coś w jego słowach nie dawało spokoju Duncanowi.

– Aj, aj – westchnął Conawago i spojrział na Szkota. – Większym kamieniem można powalić człowieka.

Nagle Duncan przypomniał sobie noc przy złożu ochry.

– Ona tam była! – westchnął. – W obozie renegatów, tamtej nocy, zanim zginął Burke!

Godzinę przed zachodem słońca usłyszeli łoskot zdejmowanej z uchwytów antaby. Zaskrzypiały otwierane drzwi i odsłoniły rumianą twarz sierżanta McGregora. W ręku trzymał dwa długie kawałki ręcznie kutego łańcucha.

– Wyjaśniłem szacownemu sędziemu, że bez świeżego powietrza możecie zwiędnąć jak zeszłoroczne róże – powiedział dobrodusznie.

Jeden koniec każdego łańcucha był połączony z pętami dla koni, które szybko założono więźniom. Po wyprowadzeniu ich na zewnątrz drugie końce przymocowano do grubego żelaznego pierścienia wmurowanego w ścianę budynku. Wartownicy stali w oddaleniu, przed i za budynkiem. Jak psy w psiarni, pomyślał Duncan, ale z wdzięcznością skinął głową, a potem z większym przekonaniem zrobił to ponownie, gdy McGregor wyjął dwie gliniane fajki, woreczek z tytoniem i posłał żołnierza, żeby przyniósł im płonąca gałązkę.

Kiedy Duncan i Skanawati już siedzieli na kłodach, paląc pożyczone fajki, z cienia wynurzyły się dwie znajome postacie. Duncan zapomniał, że wielebny Macklin

wyjechał z Shamokin na spotkanie z morawską starszyzną, ale teraz wstał i przyjął ciepły uścisk dłoni. Towarzyszący Niemcowi Moses pochylił się i przerwał Skanawatiemu podziwianie obłoków. Onondaga powitał chrześcijańskiego Indianina jak starego przyjaciela, mocno ściskając mu przedramię.

– Powiniennem wiedzieć, że spotkanie ze starszyzną oznacza Bethlehem – rzekł Duncan do Niemca.

– Przykro mi widzieć cię w łańcuchach – odparł Macklin. – Znam cię dostatecznie dobrze, aby wiedzieć, że na to nie zasługujesz.

– Jesteś uprzejmy, panie – odparł Duncan, a potem przypomniał sobie jeden z powodów wizyty Macklina u starszyny Kościoła. – Znaleźliście waszą zaginioną misjonarkę, wielebny?

– Nie – ze smutkiem odpowiedział Niemiec. – Jednak siostra Leinbach pojawia się w moich snach. Woła mnie z daleka, jakby z długiego tunelu. Jakby miała jakąś niedokończoną sprawę – dodał. – Przez moment spoglądał na wieczorne niebo, a potem niespodziewanie powiedział: – To dlatego poprosiłem tych szkockich wartowników, żeby pozwolili mi z tobą porozmawiać.

– Przecież ja nic nie wiem...

Macklin uciszył go, podnosząc rękę.

– Słyszałem o okropnym końcu tego Szaunisa w Filadelfii. On i Ohio George byli najgorszymi z najgorszych. Stary Pas przywiózł jego rzeczy zabrane ze stodoły, w której spał.

– Widziałem je – rzekł Duncan. – Talia kart. Kilka gwoździ z Shamokin. Wstążki.

– I krzyżyk.

Duncan skinął głową, przypominając to sobie.

– Zwykły złoty krzyżyk na sznurze paciorków.

– Pokazał go nam, ponieważ krzyżyk wyglądał na własność misjonarza. Siostry potwierdziły, że należał do niej, przywiozła go z ostatniej misji wśród Indian Seneka. Siostra Leinbach nosiła go, wyjeżdżając stąd prawie trzy lata temu.

– Przykro mi. – Duncan pyknął fajkę i spojrzał na dwóch Indian. Skanawati znów patrzył w niebo, słuchając, jak Moses mówi coś cicho i szybko w ich ojczystym języku.

– Czerwona Ręka był graczem. Na pograniczu taki cenny drobiazg może dwadzieścia razy w miesiącu zmienić właściciela.

Skanawati odchylił głowę do tyłu. Duncan powiódł wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem i zobaczył krążącego jastrzębia. Szkot zrozumiał, że Irokez wypatruje kruka.

– A z kim grywał?

Duncan opuścił fajkę.

– Ze swoją bandą. Z Ohio George'em. Z kilkoma Huronami, z którymi czasem spotykał się w puszczy.

– I jeśli dobrze zrozumiałem, co powiedział mi pan Hadley, z kimś z Filadelfii. Z osobą dobrze znającą szlaki filadelfijskich geodetów. Załóżmy, że taka osoba wiedziała

również, dokąd udają się nasi misjonarze – pośepnie rzekł Morawianin. – Zdaje się, że Samuel Felton został zwrócony rodzinie trzy lata temu.

Ziarno prawdy w słowach Macklina szybko zaczęło kiełkować. Duncan przez moment gładził fajkę, spoglądając na piękne morawskie miasto.

– Gdy w Pensylwanii jakiś biały młodzian zostaje uwolniony z rąk Indian, czy może przybyć tutaj, do zastępczego domu?

– To nie tylko możliwe, ale niemal pewne. Gubernator zaszczycił nas tym zadaniem, wiedząc, że stoimy w obu światach. W naszych szkołach jest wiele dzieci osieroconych w trakcie napadów i więcej niż kilka uwolnionych z rąk Indian.

Duncan z nowo rozbudzonym zainteresowaniem nachylił się do Macklina.

– Czy wasza siostra Leinbach pracowała z nimi?

– Oczywiście. Można powiedzieć, że to była jej specjalność. Starszyzna opracowała dla wszystkich uczniów program nauki o plemionach. Indianie uczą się od nas angielskiego i niemieckiego, a uwolnionych też często trzeba uczyć tych języków. Tylko ktoś, kto żył wśród Indian, może naprawdę zrozumieć uwolnionych. Mąż siostry Leinbach był u Seneków, gdy wybuchła tam epidemia ospy wietrznej. Zmarł, opiekując się nimi, a ona chciała kontynuować jego pracę.

– Czy są jakieś rejestry tych odzyskanych jeńców, którzy byli tutaj, kiedy ona wyjeżdżała?

– Jesteśmy Niemcami – przypomniał mu Macklin. – Oczywiście, że są takie rejestry, i to wiele. Zapewne znajdę w nich nawet to, któremu z podopiecznych przed trzema laty podano na kolację rybę, a któremu kluski.

Kiedy dwaj Morawianie odeszli, zjawił się Conawago, trzymając za rękę Mokie. Miała na sobie długą ciemną suknię służącej. Duncan natychmiast się zerwał i położył jej dłonie na ramionach, wiedząc, że strażnicy lada chwila mogą zaprowadzić go do środka.

– Powiedz mi prawdę, dziewczyno, co odkryłaś tamtej nocy w obozie rabusiów? Widzieliśmy wartownika, którego ogłuszyłaś kamieniem.

Mokie skrzywiła się, jak uczennica przyłapana na psotach.

– Mama i ja potrzebowałyśmy żywności. W tych obozach zawsze jest jedzenie. Ilekroć jakiś zobaczyłyśmy, mama się chowała, a ja szłam trochę pożyczyc.

– Mój Boże! Kradłyście żywność hurońskim rabusiom?

– Każdemu, kogo zobaczyłyśmy na szlaku.

Duncan z podziwem pokręcił głową.

– Co zabrałyście tamtej nocy?

– Ten, którego ogłuszyłam, miał starą sakwę z odrobiną suszonego mięsa i kilkoma plackami kukurydzianymi, to wszystko. – Sięgnęła w fałdy sukni. – I to. Mama powiedziała, że mogę to zatrzymać.

Trzymając w palcach szklaną kulkę, podniosła ją tak, że odbił się w niej czerwony blask zachodzącego słońca.

Duncan gapił się na nią z niedowierzaniem.

– Myślę, że będzie bezpieczniejsza u kogoś innego, Mokie. Conawago przechowa ją dla ciebie. I nie wolno ci o tym mówić ani o tym, że tamtej nocy widziałaś Indian. I nie chodź nigdzie sama.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, przez moment przyciskała kulkę do piersi, a potem westchnęła i oddała ją staremu Nipmukowi.

Duncan nie miał serca jej powiedzieć, że ukradła jeden ze znaków, jakie Ramsey dawał swoim mordercom, ani tego, że oni też się domyślili, że ukradkiem odwiedziła ich tamtej nocy, zanim zamordowali Burke'a. Kiedy odchodziła, ponownie przypomniał sobie tamtą noc i zdał sobie sprawę, że zupełnie opacznie zrozumiał wszystko, co zaszło w oświetlonym księżycem obozie przy złożu ochry.

Zbudził się gwałtownie w środku nocy, wyczuwając, że coś jest nie tak. Leżał nieruchomo, spoglądając w gęsty mrok prowizorycznego więzienia, a potem zerwał się z posłania. Skanawati znikł. Niewiarygodne, ale Indianina nie było. Przecież Duncan by usłyszał, gdyby otwierano drzwi, a nie było innej drogi, którą wódz mógłby opuścić ten solidny budynek. Szkot sprawdził drzwi i okno. Były zamknięte. Potem usłyszał cichy szmer pyłu osypującego się z komina na palenisko znajdujące się na końcu pomieszczenia. Jedyne krzesło w więzieniu stało na palenisku, oparte o ścianę.

Zdjął koszulę, po czym powoli wszedł na krzesło, ryzykownie balansując na deskach oparcia, które potraktował jak szczeble drabinki, i piął się w górę, aż znalazł się w kominie. Nie zważając na ból niezagojonych ran, wcisnął się w wąski otwór, odpychając się rękami i zapierając barkami. Ze zdziwieniem odkrył, że może powoli posuwać się do góry, na zmianę pracując rękami i barkami. Wspiął się ćwierć jarda, a potem pół, nie zważając na to, że szorstkie kamienie boleśnie drapią jego nagą skórę. W końcu, mając obolałe plecy i skurcze rąk, złapał krawędź komina. Ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem podciągnął się jeszcze kilka cali, chwycił brzeg komina i wygramolił się na dach.

Skanawati siedział na samej górze, spokojnie patrząc w nocne niebo. Duncan popatrzył na gwiazdy. Była druga lub trzecia w nocy i miasto oraz pobliski obóz leżały pogrążone we śnie. Nie paliły się uliczne latarnie, tylko lampy zawieszane przy drzwiach dużych morawskich rezydencji. Onondaga go nie powitał. Duncan oparł się o komin, spoglądając w mrok zalegający wokół więzienia. Widocznie wódz zwlekał z ucieczką, ponieważ zauważył przechodzącego wartownika.

– Gdy moja matka znalazła to pęknięcie świata – powiedział nagle – płakała godzinami. Gdy wróciła po tygodniu, szczelina była szersza. Matka mi powiedziała, że muszę spędzić miesiąc w samotności, żeby porozmawiać z duchami.

– I robiłeś to, kiedy zobaczyłeś Conawago i mnie przy jaskini, dlatego nie mogłeś pójść za nami.

W świetle księżyca Duncan zobaczył, że wódz potwierdził skinieniem głowy.

– Powiedziała, że jeśli starzy bogowie nie zrozumieją, że wciąż przechowujemy ich w naszych sercach, szczelina będzie się poszerzać, aż wyschnie rzeka.

Skanawati obrócił się do Duncana jakby po odpowiedź.

– Zrobiono to prochem strzelniczym – rzekł Duncan, choć te słowa wydawały się puste.

Czuł się mały i nic nieznaczący przy tym Indianinie, który – co stopniowo sobie uświadamiał – był najbardziej uduchowionym człowiekiem, jakiego w życiu spotkał.

– Kiedy ujrzałem ją pierwszy raz, poczułem się tak, jakby ktoś dźgnął mnie w serce – wspominał Skanawati.

W milczeniu obserwowali gwiazdy. Duncan zaczął podejrzewać, że nie ma żadnych krążących patroli. Po niebie przemknął meteor, tak blisko, że widzieli ciągnącą się za nim smugę. Kiedy wódz uniósł rękę i wskazał nią na Duncana, ten zobaczył, że jest owinięta skórą węża.

– Mój bratanek Johantty przeżyje ciężkie chwile – rzekł nagle Indianin. – Conawago mówił, że wy dwaj znacie dawny szlak gońców świtu.

– Przeszliśmy nim i uprzętnęliśmy, co się dało.

Duncan wspominał trzy dni na tym szlaku, gdy podziwiał zdradliwe skalne urwiska, kładki przerzucone nad przepaściami, bagna i piargi, które musieli pokonywać dawni biegacze na tym świętym szlaku.

– Johantty musi przebyć ten szlak – oznajmił Skanawati. – Lud musi zobaczyć młodzieńca z tatuażem starych duchów.

– Pokażemy go wam obu, Skanawati. Jeśli się nie mylę, szlak przebiega niedaleko miejsca, które wybrałeś dla swej nowej wioski. Opuścisz Bethlehem jako wolny człowiek, przysięgam. Sam poprowadzisz bratanka.

– Chciałbym tego jak niczego innego – przyznał wódz i znów spojrzał w gwiazdy. – Opowiedz mi o tym, McCallum. Niechaj w myślach pobiegnę szlakiem duchów.

Duncan odkrył, że nikły uśmiech unosi mu kąciki ust. Oparł się o dach obok Onondagi. Serce pęczyło mu z dumy, że spotyka go taki zaszczyt.

– Na skraju polany, gdzie zaczyna się szlak, rośnie wielkie bawelniane drzewo, tak duże, że czterej dorośli mężczyźni nie zdołaliby objąć jego pnia. Tego dnia, gdy tam przybyliśmy, na drzewie siedział orzeł.

Skanawati mruknął z aprobatą, a Duncan mówił dalej, oczami duszy widząc szlak, którym wędrował z Conawago, i prowadził Skanawatiego w górę i w dół górskich zboczy, przez rzeki, urwiska, obok rysunków olbrzymich niedźwiedzi pod skalnymi półkami. Gdy wódz pytał, czy widział może niedźwiedzia na górze albo wydrę przy rzeczonym brodzie, Duncan z namysłem i najlepiej jak umiał opisywał zwierzęta, które obserwowały ich owego dnia. Skanawati słuchał ponad godzinę, raz przerwał Duncanowi, aby pokazać mu następną spadającą gwiazdę.

Za każdym razem gdy Duncan robił przerwę, rozglądał się za strażnikami, zastanawiając się, kiedy wreszcie Skanawati zsunie się z dachu ku wolności. Wódz wydostał się z więzienia, ale nie próbował uciec. Dzięki niemu Duncan mógł teraz wyjść na wolność. Gdy przyjdzie czas, z łatwością zsuną się z dachu na ziemię i znikną w mroku nocy. Duncan zdecydował, że pozostanie ze Skanawatim, gdy ten w końcu ucieknie, i zrobi, co w jego mocy, aby chronić wodza.

Jednak Skanawati wciąż tylko patrzył w gwiazdy. Gdy wreszcie wstał i przeciągnął się, na wschodzie widniała już słaba, szara zapowiedź świtu. Zamiast zsunąć się po gontach, wrócił do komina i opuścił się do środka. Duncan patrzył na to z niedowierzaniem. W duchu już biegł, wolny, przez gąszcz wawrzynów na skraju miasta. Z bólem w sercu powoli podszedł do komina, posłał jeszcze jedno tęskne spojrzenie w kierunku puszczy, a potem wrócił w ślad za Irokezem do więzienia.

Rano stuk antaby sprawił, że Duncan zerwał się na równe nogi. Był w połowie drogi do drzwi, gdy jego wzrok przykuło coś w oknie. Zatrzymał się i zadrzał. Wisiała tam martwa wiewiórka. Powieszono ją, sporządziwszy pętlę z pnączy. Dotknął jej. Była jeszcze ciepła. To była jedna z nocnych latających wiewiórek, przez niektóre plemiona uważana za posłańca ze świata duchów.

Rozwiązał pętlę, pozwalając stworzeniu upaść na ziemię za oknem, w chwili gdy do izby wszedł Macklin, a tuż za nim Mokie niosąca nakrytą serwetą tacę. Dziewczyna odsłoniła miski z owsianką, świeży chleb i herbatę, po czym z błyskiem determinacji w oczach zwróciła się do Duncana:

– Nic mu nie będzie, panie McCallum. Mama i ja tego dopilnujemy.

Duncan opuścił rękę, w której trzymał łyżkę.

– Komu nic nie będzie, Mokie?

– Panu Hadleyowi. Znów przyszli po nas zeszłej nocy, kiedy wracałam do pokoju mamy. Nie pozwolił im nas zabrać.

Macklin położył dłoń na ramieniu Duncana.

– Wirginijczycy nalegali, żeby Hadley razem z nimi wziął udział w negocjacjach. Przypomnieli mi, że należy do rodziny Burke'ów. Robił notatki podczas swoich podróży z tobą i chcieli je zobaczyć. Potem go zmusili, żeby poszedł z nimi do kobiecych kwater, ale gdy się zorientował, co zamierzają, stawiał opór. Pobili go, choć niezbyt mocno, bo w końcu jest członkiem rodziny. Jest przy nim lekarz – pospiesznie dodał Macklin. – Nie ma żadnych złamań. Mokie pielęgnowała go przez większość nocy.

Duncan zauważył teraz, że dziewczyna promienieje.

– Co jeszcze, Mokie?

– W nocy, kiedy powiedział mi, że powinnam się trochę przespać, odparłam, że to właściwe, że się nim opiekuję, po tym jak razem z panem pomógł przyjść na świat naszemu ślicznemu Pennowi. Wtedy to powiedział.

– Co?

– Kazał mi się nachylić, żeby mógł szeptać. – Dziewczyna spoważniała i szeroko otworzyła oczy. – Powiedział mi, że jestem jego siostrą. Powiedział, że nieważne, ile go to będzie kosztowało, mama i ja już nie będziemy niewolnicami.

Duncan się uśmiechnął. W końcu choć odrobina sprawiedliwości znalazła się na tym szlaku udręki, którym podążał konwój.

Macklin zaciągnął Duncana w kąt, gdy Mokie, ku widocznemu rozbawieniu wodza, podała Skanawatiemu śniadanie, dygnawszy.

– Siedziałem do nocy, przeglądając dzienniki w Gemeinhaus, głównym budynku administracji. Później w „Słonecznym Zajeździe” przy tej samej ulicy zastałem jednego z nauczycieli rozprawiającego o europejskiej polityce. Tamtego roku odzyskano czterech młodych ludzi więzionych przez Indian. Siostra Leinbach pracowała ze wszystkimi czterema. Dwaj w końcu pojechali do Filadelfii, a dwaj zostali adoptowani przez rodziny farmerów. Ich nazwiska to Mueller, Rohrbach, Gottlieb i Smith.

– Nie Felton?

– Z początku byłem równie rozczarowany jak ty. Żadnego Feltona w ciągu ostatnich pięciu lat. Jednak ten nauczyciel wyjaśnił mi, że pojmani w bardzo młodym wieku często zapominają swoje nazwiska. W takich wypadkach ci, którzy wydają się pamiętać jakieś niemieckie słowa otrzymują niemieckie nazwiska, a mówiący po angielsku – angielskie. Jeden z tych chłopców, nazwany Smith, był bardzo trudnym dzieckiem. Buntowniczym, a nawet skłonny do przemocy. Ten nauczyciel pamięta, że siostra Leinbach raz kazała mu za karę czytać dodatkowe modlitwy, lecz następnego ranka znaleziono je nadziane na strzałę wbitą w posąg Matki Boskiej w naszej kaplicy – z oburzeniem rzekł Macklin. – Mimo to miała dla niego wiele cierpliwości i tamtego roku poświęcała mu szczególnie dużo czasu. Bardzo poprawiała jego angielszczyznę, pracowała nad jego duszą, kiedy musiała, używała kija. Raz Smith pojawił się, by służyć do mszy, z twarzą pomalowaną w pasy. Sprowadzili go przemocą z jakiejś hurońskiej wioski traperzy, którzy myśleli, że dostaną za niego nagrodę. Nikt jednak nie wiedział, kim są jego rodzice, więc po prostu zostawili go tutaj. Dopiero kiedy Smith w końcu zaczął cieszyć się niektórymi przyjemnościami europejskiego życia, zaczął też wspominać dzieciństwo na farmie w pobliżu Tulpehocken. Zaczęli dochodzić prawdy, ale trwało to miesiącami. Starszyzna wielokrotnie chciała go wydalic. Drwił z chrześcijańskich Indian, mówiąc, że wszyscy zostali wykastrowani przez magiczne słowa z czarnej książeczki, kradł jedzenie z kuchni. Siostra Leinbach jednak wytrwała, jakby ten chłopak był dla niej próbą siły ducha. Na progu znajdowała okaleczone zwierzątka, jedno nawet w swoim łóżku. Zdawał się pałać do niej szczególną nienawiścią. W końcu ustalono, że cała jego najbliższa rodzina została zamordowana, i zaczęto szukać dalszych krewnych. Kiedy w końcu przyjechali jego krewni z Filadelfii, zobaczył, że wszyscy są żarliwymi kwakrami, i z początku nie chciał ich widzieć. Jeden z braci, który wówczas chodził do szkoły, twierdzi, że wyzbył się swych uprzedzeń, kiedy odkrył, że są bogaci, chociaż inni uważają, że w końcu zanurzył się w ich chrześcijańskiej miłości.

Zimny dreszcz przeszedł Duncana, gdy słuchał Macklina.

– Czy on wyjechał do Filadelfii przed wyjazdem siostry Leinbach?

– Dwa dni później.

Duncan zapatrzył się w kromkę chleba w dłoni. Nagle stracił apetyt.

– I już nigdy jej nie widziano? Z pewnością miała jakąś eskortę.

– Siostra Leinbach była zdecydowaną kobietą, mającą bardzo konkretną wizję tego, czego oczekuje od niej Bóg. Jej jedyną eskortą był muł, na którym jechała, oraz

juczny kuc. Uparła się podróżować sama do Shamokin, które było pierwszym etapem jej podróży, aby rozmawiać z Bogiem i wzmacniać swoją siłę ducha przed czekającymi ją wyzwaniem. Miała pojechać daleko w głąb Ohio.

– Z pewnością jej szukano?

– Droga do Shamokin bywa trudna z powodu licznych brodów. Spadły ulewne deszcze. Czasem w taką pogodę nasi ludzie zostają przyjęci przez jakąś rodzinę farmerską, która daje im schronienie na tydzień lub dwa. Czekałem miesiąc, zanim postanowiłem wysłać posłańca z pytaniem, kiedy mamy oczekiwać jej przybycia. Potem szukało jej wielu, lecz wtedy ślad już dawno ostygł, a Huroni znowu rozpoczęli ataki.

Duncan patrzył, jak Skanawati rozmawia z Mokie, cierpliwie się uśmiechając, gdy dziewczyna wodziła palcem po wymyślnych tatuażach na jego ręce. Kiedy skończyła, sięgnął pod koc i wyjął laleczkę zrobioną ze słomy z posłania, zręcznie splecioną i powiązaną, aby nadać jej kształt. Duncan przypomniał sobie, że w wiosce woda widział podobną, zrobioną z pustych kolb kukurydzy. Dziewczynie zaświeciły się oczy, a zmieszany Skanawati zerknął na Duncana, kiedy go uściskała.

– Negocjatorzy traktatu tracą cierpliwość – oznajmił Macklin. – Dziś odbędą się kolejne rozmowy. Sędzia pokoju Brindle ma urzędników, którzy w Gemeinhaus przygotowują do podpisania umowy na pergaminie. Proces może odbyć się jutro. – Macklin niechętnie spojrział na grupkę ludzi wznoszących drewnianą platformę na rogu głównej ulicy. – Lord Ramsey przekazał dużą sumę pieniędzy na rozbudowę tutejszej kaplicy. Ten mężczyzna w koronkowym kołnierzyku, który zawsze siedzi obok Ramseya, nie jest tylko adwokatem, Duncanie, ale sędzią. Tym, który zebrał wszystkie podpisane zeznania. Tym, który teraz ma zdecydować o losie Skanawatiego.

Przy tych słowach otworzyły się drzwi. Jeden ze strażników w kilcie stanął w nich z wyczekującą miną i gestem wyprosił gości. Mokie poważnie uścisnęła dłoń Skanawatiego, a potem Duncana.

– Pan Hadley mówi, że muszę pozostać na służbie, dopóki to się nie skończy.

– Na służbie?

– U wielkiego pana z Filadelfii. Lord Ramsey myśli, że nas wykupi, kiedy będzie po wszystkim.

Mokie powiedziała to bez obawy, lecz z łobuzerskim uśmiechem, po czym dygnęła teatralnie i wyszła.

Niebawem pojawił się McGregor z kajdanami w ręku i skinął na Duncana oraz Skanawatiego, żeby wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Sierzancie, słyszałeś o jakichś innych Indianach obozujących w tej dolinie?

– Grupa obserwatorów negocjacji wciąż maleje. Wracają do wioski na wiosenne siewy.

– Mówię o małej bandzie starającej się nie rzucać w oczy. Może o tych, którzy mieszkali w tej stodole w Filadelfii.

– Zapytam. Ten Moses zdaje się znać wszystkich, zarówno Niemców, jak i Indian.

Gdy sierżant McGregor zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku domu pielgrzyma, w którym zatrzymali się Morawianie, Duncan przeciągnął się i wyczuł w powietrzu zapach wiosny, kwitnących jabłoni i świeżo wzruszonej ziemi. Poszedł za róg budynku, oddalając się na całą długość łańcucha, i spoglądał na Skanawatiego, gdy ktoś uderzył go od tyłu. Gdy Duncan się zatoczył, napastnik szarpnął łańcuch, obalając go na ziemię. Wprawdzie Duncan zaraz oprzytomniał, ale Felton już zdążył złapać go za kołnierz, zawlec pod ścianę i przycisnąć do niej.

– Wtrącasz się w sprawy lepszych od siebie! – syknął młody kwakier.

W oczach miał szaleństwo. Po raz pierwszy Duncan zauważył małe owalne szramy otaczające jego szyję niczym naszyjnik – w ten sposób ozdabiali swoje ciała wojownicy niektórych plemion z zachodu.

Duncan się rozejrzał, szukając wartownika, który powinien pilnować tyłów więzienia. Mężczyzna leżał nieprzytomny przy stercie drewna.

– Niewolnik nie będzie o niczym decydował! – warczał Felton. Ruchem głowy wskazał kajdany Duncana. – Teraz uciekaj.

Gruby rzemień pęt był przecięty.

– Mam ci zaufać? – zapytał Duncan. – Ilu kazałeś tam na mnie czekać? Widziałem, jak żywcem upiekłeś swojego przyjaciela, Czerwoną Rękę.

– I teraz miesiącami będę chodził za to w laurowym wieńcu – chępił się Felton.

– Tylko przed tymi, którzy dali ci się zwieść. Ja tamtej nocy widziałem chłodną kalkulację w twoich oczach. Mogłeś strzelić do mnie lub do Mokie. Jednak Ramsey chciał mnie mieć, a dziewczyny nie mogły zamordować na oczach tyłu świadków. Natomiast Czerwona Ręka zostałby schwytyany i za garniec rumu wygadałby wszystko. Założę się, że powiedziałeś swoim indiańskim przyjaciołom, że to żołnierze zabili Szaunisa. Wkrótce jednak dowiedzą się prawdy. Wtedy strzeż się.

– Nie masz nawet strzępu dowodu, Szkocie. A nawet gdybyś miał, nędzny niewolnik wielkiego pana nie będzie mógł zeznawać przed nowym sądem.

Duncan przełknął ślinę, nagle pojmując, że Ramsey kupił sobie kolejnego sędziego.

– Teraz uciekaj – powtórzył Felton.

– Jak sam powiedziałeś, jestem niewolnikiem.

– Masz jednak okazję rozprostować nogi i posmakować wolności przez godzinę lub dwie, zanim cię wytropimy. To wielkoduszna propozycja. Szansa wyjścia na światło dnia, zanim na kilka lat zostaniesz zamknięty w szczurzej norze.

Istotnie była to kusząca propozycja i Duncan chętnie skorzystałby z okazji spotkania się z Feltonem w lesie. Felton jednak nie byłby sam, tylko ze swoim wilczym stadem. A jego propozycja miała na celu udaremnienie Duncanowi odegrania jakiegokolwiek roli w ostatnim akcie dramatu, który miał się rozegrać w Bethlehem.

– Jestem przywiązany do Skanawatiego.

– Zatem jesteś przywiązany do trupa! – Felton uderzył Duncana w brzuch końcem trzymanego w ręku polana. Gdy Szkot zgął się z bólu, Felton znów go złapał i pchnął na kamienną ścianę. – Mam dylemat, McCallum. Ramsey oferuje niezłą sumkę, żeby zachować cię przy życiu, ale ja zaczynam sądzić, że jesteś dla mnie więcej wart

martwy. Mam miejsce, gdzie mogę ukryć twoje ciało, miejsce, gdzie nikt nigdy nie ośmieli się szukać.

Gdy Felton zamachnął się polanem, Duncan rzucił się naprzód i uderzył go barkiem, na moment pozbawiając równowagi. Wymierzywszy mu tęgą kopniaka w brzuch, wykorzystał impet, aby przetoczyć się po ziemi za narożnik budynku. Wartownik pilnujący więzienia od frontu natychmiast podniósł alarm.

Kiedy Duncan się obejrzał, Feltona już nie było.

Rozdział 18

Lord Ramsey był człowiekiem, który żył, stojąc jedną nogą w poprzednim stuleciu. Gdy Duncana prowadzono pod eskortą, zakutego w kajdany, do znajdujących się na pierwszym piętrze komnat Gemeinhaus, udostępnionych teraz Ramseyowi, wspominał swoją pierwszą wizytę w nowojorskiej rezydencji arystokraty. Tam na ścianie dominował portret króla Jakuba II. Tutaj zobaczył, że Ramsey nie tylko pożyczył kwatery od Niemców, ale zmienił ją w swoistą angielską świątynię. Na komodzie stały oparte o ścianę olejne obrazy w złożonych ramach, jeden przedstawiający zamek, niewątpliwie siedzibę rodu, a drugi Williama i Mary. Na stoliku stały kryształowe kielichy i leżała para brokatowych rękawiczek, które przed stu laty mógł nosić na dworze dandys Inigo Jones. Prosty niemiecki stół nakryto pięknym koronkowym obrusem, a nad mapami i dokumentami stał ozdobny złoty kandelabr. Dokumenty przeglądał teraz Ramsey razem z jakimś eleganckim dżentelmenem.

Duncan się nie opierał, gdy jeden z eskortujących go ludzi, samych sługusów Ramseya, poza jednym żołnierzem w kilcie, szarpiąc go za kajdany, przyciągnął do stołu. Spojrzał przez ramię na szkockiego strażnika, mając nadzieję usłyszeć tupot żołnierskich buciorów w korytarzu. Kiedy obwiesie Ramseya przyszli po Duncana do więzienia, drugi żołnierz poszedł szukać McGregora. Duncan poczuł, że coś ściska mu ramię. Stojący obok sługus założył mu na rękę metalowe jarzmo obejmujące biceps i zaciśnięte łańcuchem.

– Ach, McCallum – rzekł chłodno Ramsey. – W końcu możemy spokojnie porozmawiać. Bez przeszkadzających dzikusów, co?

Duncan znacząco spojrział na czterech stojących w pobliżu opryszków.

– To się jeszcze okaże.

Ramsey tylko uniósł brew.

– Ci ludzie zostali mianowani przez wysoki sąd.

Duncan zmierzył spojrzeniem nieznanego, mężczyznę w podeszłym wieku o wyglądzie dworaka.

– Nie mogę się doczekać, kiedy stanę przed tym sądem.

Stojący obok niego oprawca trzymający łańcuch wepchnął coś pod metalową obręcz obejmującą biceps Duncana i zaczął skręcać łańcuch, zaciskając go. Duncan drgnął, czując przeszywający ból. Kolczasta kula wbiła się w jego mięśnie. To nie był łańcuch, ale narzędzie tortur.

– Oszczędź sobie ironii, McCallum. Nie masz tu słuchaczy. W istocie ci ludzie mają dopilnować, żebyś wypowiadał się pokorniej, kiedy wrócimy do Filadelfii. Powodem

mojego nowojorskiego niepowodzenia było to, że nie dopilnowałem, żebyś został należycie poskromiony. Dziś wieczór przyjedzie tu specjalny wóz wyposażony w różne użyteczne urządzenia – oznajmił z zimnym uśmiechem Ramsey. – To będzie dla ciebie niezapomniana podróż. O ile wiem, wóz jest zaprzężony w głuche konie, żeby nie płoszyły ich twoje krzyki.

Sługusi Ramseya posłusznie przyłączyli się do jego piskliwego chichotu. Duncan znów zerknął przez ramię. Dwaj obwiesie stanęli w drzwiach, nie pozwalając wyjść szkockiemu żołnierzowi.

– Wykorzystamy tę chwilę, jaką mamy – wyjaśnił Ramsey, opróżniając stojący przed nim kielich. Wskazał na świeżo sporządzony dokument, nową umowę. – Oczywiście zaliczymy ci ten czas od chwili zejścia ze statku. Zostało ci jeszcze sześć lat i trzy miesiące.

– Moje zobowiązanie zostało przepisane na twoją córkę. Ona ma ten dokument w Nowym Jorku.

Ramsey wzruszył ramionami.

– To tak daleko. Góry po drodze są takie wysokie. Wszyscy wiedzą, że w zeszłym roku przywozłem z Anglii ładunek szkockich niewolników. Chcemy tylko uprawomocnić tytuł własności w tej pensylwańskiej prowincji. – Dworak w okularach z aprobatą skinął głową. Ramsey podniósł pusty kielich i obrócił się do bocznych drzwi. – Gdzie jest ta przeklęta dziewczucha?

Prawnik wziął dokument i wręczył Ramseyowi, który uroczyście wyjął gęsie pióro ze srebrnego kałamarza i złożył podpis, gdy zjawiała się Mokie ze świeżo otwartą butelką wina. Zerknęła na Duncana i odwróciła wzrok. Była zdyszana.

Ramsey podał pióro Duncanowi, a Mokie napełniła jego kielich.

Kolczasta kula wbijała się w ramię Duncana. Spojrzał ponuro na kałamarz i wskazał go ręką. Gdy Ramsey mu go podsunął, Duncan wylał zawartość na dokument.

Kolce wbijające się w jego ciało były jak sztylety. Jęknął, zaciskając z bólu powieki, słysząc z początku tylko przekleństwa Ramseya, a potem dudnienie jakby bitewnych werbli. Buty. Żołnierskie buciory. Za plecami usłyszał okrzyk protestu, głuchy odgłos uderzenia i jęk zginającego się z bólu sługusa. Nagle u jego boku wyrósł McGregor z twarzą ściągniętą z wściekłości. Złapał łańcuch zaciśnięty na ramieniu Duncana i poluzował, po czym rzucił na podłogę i zdeptał metalową obejmę. Kolczasta kula, która potoczyła się po podłodze, była zakrwawiona. Chwilę potem do komnaty wszedł sędzia pokoju Brindle.

– Ten człowiek wraca do więzienia jako niezbędny do sfinalizowania traktatu – oznajmił.

Duncan spojrział na Mokie. Była zdyszana, bo biegła. Do domu Brindle'a miała ponad ćwierć mili.

– Załatwiamy tu prywatną umowę – spokojnie zauważył Ramsey. – Nie potrzebujemy twojej asysty, Brindle.

Gdy to mówił, sędzia obok niego osuszał pergamin, próbując uratować dokument.

– Gubernator zdecydował, że traktat jest głównym celem naszej wyprawy do Bethlehem.

Brindle zamilkł, patrząc na krew ściekającą z palców Duncana na podłogę.

– Oczywiście. I to będzie wielkie święto, kiedy wrócicie z podpisanym traktatem. Rozumiem – dodał znaczącym tonem Ramsey – że jesteś uważany za głównego sędziego w niższych izbach sądowych Filadelfii. Niewątpliwie znasz sędziego Bradforda, który zasiada w Sądzie Najwyższym dla całej kolonii.

Brindle nie dał się sprowokować.

– Jeśli któryś z was zamierza podważać moje kompetencje, możecie wysłać petycję do gubernatora Filadelfii. W tym czasie będę prowadził sprawy traktatu tak, jak uważam za stosowne.

Starszy sędzia w końcu odzyskał głos.

– Sprawa tych morderstw należy do mnie, bracie Brindle – rzekł ostrzegawczo.

W jego głosie pobrzmiwał charakterystyczny akcent wykształconego londyńczyka. Duncan podejrzewał, że ten sędzia dopiero co przybył z Anglii.

– To duża odpowiedzialność, wysoki sędzie. – Brindle odwzajemnił mu się równie wyniosłym spojrzeniem. – Nie wątpię, że konsultujesz się z Bogiem i własnym sumieniem, aby sprawiedliwości stało się zadość.

– Te sprawy nie zostaną rozstrzygnięte w ogniu piekielnym i siarce – powiedział sędzia w koronkowym kołnierzu, wywołując drwiący uśmiech Ramseya. – Mamy wymierzać sprawiedliwość ludzką, nie biblijną. – Duncan przypomniał sobie, że nie wszyscy przywódcy tej kolonii są kwakrami. – Moja władza pochodzi od zarządcy kolonii Penn – ciągnął Bradford – nie od zarządcy niebios. I jutro zobaczymy, czyja władza okaże się silniejsza. O świcie nadejdzie czas króla i imperium.

Duncan zauważył, że sędzia pokoju poczerwieniał i zacisnął pięści. McGregor dał znak swojemu żołnierzowi, aby stanął u boku Duncana, a sam odciągnął kwakra od stołu.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – zapytał Duncan szkockiego sierżanta, gdy opuścili budynek. – Mówiąc, że jutro będzie dzień imperium?

– To ostatni dzień – wyjaśnił McGregor. – Tak zdecydowali gubernator i dowódca wojsk w wiadomości przysłanej z Filadelfii. Plany nowych fortów na zachodzie zostały ukończone. Trzeba rozpocząć ich budowę. Brindle do jutrzejszego wieczoru ma wysłać do Filadelfii podpisany traktat. Twierdzą, że Indianie go podpiszą, jeśli poprowadzi się ich silną ręką.

Dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi więzienia i Duncan znów znalazł się w celi ze Skanawatim, uświadomił sobie, że McGregor wepchnął mu za pas jakiś papier, gdy opuszczali Gemeinhaus. Była to wiadomość od wielebnego Macklina. *Odkryłem, że gdzieś w Gemeinhaus jest księga z zapisanymi prawdziwymi nazwiskami adoptowanych, które odzyskali, gdy zgłosiły się ich rodziny*, przeczytał Duncan.

Godzinę po północy Gemeinhaus był niczym stare niemieckie zamczysko. Conawago tego wieczoru pilnie wysłuchał Duncana pod murem więzienia, a potem uznał za nierealną jego propozycję, żeby spotkali się za tym wielkim budynkiem z bali,

kiedy księżyc będzie wysoko. Kiedy jednak Duncan nalegał, mówiąc, żeby najpierw schował dla niego pod pobliskim dębem jeden z płaszczy, jakie nosili Morawianie, i czarny kapelusz, a potem przygotował się razem z Mosesem, w końcu się zgodził. Pomimo to wyglądał na zdziwionego, widząc Duncana idącego ścieżką w morawskim stroju, a gdy ten rozchylił płaszcz, zobaczył sadze z komina. Nawet teraz, gdy Moses przy świetle świecy prowadził ich długim korytarzem budynku, Conawago wciąż oglądał się za siebie. Po jego minie Duncan widział, że Indianin nie może uwierzyć, że Duncan wydostał się z więzienia i woli zgłębiać tajemnice morawskich ksiąg, niż uciec.

Wielebny chętnie opisał im księgi, które powinni odszukać, i nawet zaproponował, że się do nich przyłączy, ale nie chcieli narażać go na ryzyko przyłapania przez starszyznę. Na wschodnim końcu pierwszego piętra znajdowały się dwa biura z szafami pełnymi ksiąg, a klucze do nich chowano na szafach. Moses wprowadził ich przez grube frontowe drzwi do dużego głównego holu pachnącego drewnem i woskiem. Dwaj Indianie bezszelestnie przeszli obok wysokiego stojącego zegara na końcu holu i do wschodniego korytarza, trzymając się w mroku. Przystanęli, słysząc cichy szmer, po czym poszli dalej, gdy okazało się, że to tylko poruszana wiosennym wietrzykiem gałązka skrobie o szybę okna.

Poszli po schodach na piętro i korytarzem do biura z oknami od ulicy. Conawago obserwował hol, a Duncan ulicę, gdy Moses otworzył szafę i zaczął przeglądać półki pełne ksiąg i dzienników. Po kilku minutach Duncan dołączył do niego, zaczynając od najwyższej półki. *Żywność dla domu samotnych braci 1755*, głosił napis na stronie tytułowej pierwszego tomu, który otworzył. *Pościel i inne rzeczy dla domu siostr 1758*, przeczytał w następnym, a potem znalazł *Dostawy dla misji 1757* oraz *Mieszkańcy Bożego Pola*. Morawianie byli pedantyczni.

– Bożego Pola? – zapytał Duncan.

– Cmentarza – wyjaśnił Moses.

Pospiesznie przekartkował tom.

– Są tu pochowani Indianie?

– Ci, którzy tego chcieli – rzekł z roztargnieniem Moses, przeglądając inną księgę.

– Dwie mile stąd w górę rzeki jest stare indiańskie cmentarzysko z grzebalnymi platformami. – Pokazał dziennik, który trzymał w dłoni. – *Rejestr powracających dusz* – odczytał ze strony tytułowej. – Tak pierwsi nauczyciele nazywali tych, którzy wrócili z niewoli u Indian.

Położył księgę na stole pośrodku pokoju i przysunął bliżej świecę. Lista wydłużała się co roku, a po pierwszych dwóch latach przy każdym nazwisku znajdował się opis.

– 1757 – przeczytał i przesunął palcem po spisie. – Rohrbach – odczytał. – Mueller, Gottlieb. – Zatrzymał palec na ostatnim nazwisku. – Smith.

Notatka przy chłopcu, który wrócił od Huronów, była krótka i sporządzona kobiecym charakterem pisma. Czytając, Moses tłumaczył z niemieckiego:

– Przybliżony wiek 17 lat – odczytał – zwrócony przez traperów z Ohio. Zna kilka słów po angielsku, żadnych niemieckich. Najwyraźniej porwany jako małe dziecko. Po

pierwszej kąpieli znaleziony w kuchni, gdzie smarował ciało smalcem. Nie chce spać w łóżku. Czterej bracia musieli go przytrzymać, żeby obciąć mu długie blond warkocze. Jestem przekonana, że w głębi kryje się dusza, która chce wyjść, jeśli tylko zdołamy do niej dotrzeć.

Notatka była podpisana: *S. Leinbach*.

Były kolejne notatki opisujące zajęcia w ramach programu dla powracających dusz. Smith czynił duże postępy, ale także ściągnięto go ze stryszku, gdzie próbował spółkować z jedną z przebywających u Morawian indiańskich dziewczyn, i siostra Leinbach wielokrotnie odnotowała, że nie chodzi do kościoła, wrywa kartki z Biblii, a nawet wpuścił w niedzielę węża do kaplicy.

– Jego adopcja – ponaglał Duncan. – Potrzebne nam dokumenty adopcyjne.

Moses szybko przekartkował rejestr.

– Tu ich nie ma. Najwidoczniej są w oddzielnej księdze. Nie chcieli, by adoptowani mogli łatwo odtworzyć swoje poprzednie życie. Powinni o nim zapomnieć i zacząć nowe.

Wstał, odłożył książkę na miejsce, zamknął szafę i zaprowadził ich do sąsiedniego pokoju, który – sądząc po sprzętach – należał do jakiejś ważnej osoby.

– Zostawcie wszystko tak, jak jest – ostrzegł Moses i w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiał niepokój. – To gabinet biskupa.

Duncan i Conawago ostrożnie otworzyli szafę obok dużego biurka i znaleźli rejestry księgowe, metryki i akty zgonów, spisy emigrantów z Niemiec, a nawet kilka Biblii różnej wielkości.

– Biskup bardzo szczegółowo wypytuje rodziny i wszystko zapisuje – szepnął Moses, gdy ich poszukiwania okazały się bezowocne. – To on podejmuje decyzję o adopcji.

– A każdy adoptowany wie o tym, że biskup robi takie notatki? – spytał Duncan.

– Oczywiście. Taka decyzja często zapada na wiosnę, zanim zaczną się letnie prace polowe.

– Co oznacza, że teraz pisze w tym samym dzienniku, codziennie robiąc notatki – powiedział Conawago.

Moses skinął głową.

– Często pracuje do późna, korzystając z popołudniowego słońca przy stole pod oknem.

Ten stół był jedynym meblem, którego nie dotykali. Duncan poświecił świeczką i zobaczył dużą szufladę. Conawago spróbował ją otworzyć, ale okazała się zamknięta.

– Nie na klucz – rzekł Duncan, pokazując mały drewniany klin wepchnięty w szparę między szufladą a jej ramą. – Tylko tak ma wyglądać.

Przykłęknął i dokładnie obejrzał szufladę, pokazując Mosesowi, że drewno wokół zamka jest lekko odłupane. Wyciągnął klin i wyjął szufladę. Była pusta, nie licząc kilku gęsich piór i nożyka do ich ostrzenia.

– Widziałem, że biskup pracował przy tym stole dziś wieczorem – rzekł Moses. – Pomachał mi przez okno. Ktoś otwierał tę szufladę później, kiedy on wyszedł.

– Gdybyś znał ten budynek i zwyczaje jego mieszkańców, jaki byłby najbezpieczniejszy sposób, aby ukraść tę księgę? – zapytał Duncan.

Odpowiedział mu Conawago:

– Wejść za dnia, kiedy wre tu praca, po czym się schować, a w nocy zabrać księgę i wyjść. Może się zdrzemnąć, czekając, aż duży zegar w holu wybije północ, gdyż wielu wiernych pracuje do późnej nocy.

Szansa była niewielka, ale innej nie mieli. Duncan spojrzął na zegar na biurku biskupa i zniżył głos do szeptu:

– Za kwadrans dwunasta.

– Zatem musimy się przygotować – stwierdził Moses, odwrócił się i spojrzął na korytarz. – Na górze można się ukryć. Jest tam drugie piętro i strych, znacznie rzadziej używane niż dolne kondygnacje.

Duncan zdmuchnął świeczkę i szybko naradził się ze swoimi towarzyszami. Na obu końcach korytarza pierwszego piętra znajdowały się schody wiodące wyżej, a na środku drugiego piętra prowadzące na strych – wszystkie trzy klatki schodowe z zamkniętymi drzwiami. Pośpiesznie ustawili obciążone książkami krzesło pod tymi od zachodu i zostawili Conawago, żeby ich pilnował. Potem Duncan i Moses zakradli się na drugie piętro. Pierwsze dwie komnaty były magazynami, od ściany do ściany zastawionymi skrzyniami. Usadowili się przy otwartych drzwiach na obu końcach korytarza. Gdy czekali, Duncan zaczął słyszeć szmery i poskrzypywanie desek. Taki duży dom z bali z pewnością wydaje rozmaite odgłosy, powiedział sobie Duncan, i niewątpliwie mieszka w nim całe stado gryzoni.

Stojący na dole zegar odegrał melodię, a potem wybił godzinę. Odgłos uderzeń rozszedł się dźwięcznym echem w całym budynku. Niecałą minutę później Duncan usłyszał nowy dźwięk, poskrzypywanie desek podłogi, i odważył się spojrzeć na korytarz. We wpadającym przez okno blasku księżycy zobaczył cień na końcu korytarza, postać skradającą się przy ścianie w kierunku odległych schodów. Moses zerwał się na równe nogi, gotowy zatrzaskać pułapkę, gdy tamten będzie zmuszony wycofać się schodami, których pilnowali.

Jednak intruz się nie cofnął. Wszedł na klatkę schodową i w następnej chwili usłyszeli łoskot oraz trzask łamanego drewna.

– Conawago! – krzyknął Duncan i skoczył ku schodom. Zanim dobiegł na piętro, słyszał już charakterystyczne odgłosy walki. Stary Nipmuk dzielnie się opierał, siedząc pod drzwiami i przytrzymując je z całych sił, gdy ktoś po drugiej stronie rąbał cienkie drewno toporem.

– Stól! – zawołał Duncan, stanąwszy u boku przyjaciela. – Przyniosę stół i podeprzemy nim drzwi!

Wystarczyły jednak tylko te słowa. Łoskot uderzeń natychmiast ucichł. Conawago bez namysłu otworzył drzwi i ruszył w pogoń, a Duncan za nim. Na szczycie schodów zobaczyli sylwetkę Mosesa dającego im znak ręką. Ich podejrzany był w jednej z komnat na parterze. Duncan wpadł do pierwszej, zostawiając Conawago obserwowanie holu. Znalazł szczotkę i zuchwale dźgał mrok kijem, świadomy tego, że

intruz może być uzbrojony. Nie miał jednak czasu na rozmyślania. Z każdą minutą rosło prawdopodobieństwo, że ktoś zauważy jego nieobecność w celi.

W końcu, w trzecim pokoju, ktoś wyskoczył zza skrzyni. Duncan Doskoczył i złapał go za nogę.

– Księga! – zawołał do Conawago, który dopadł do nich, wytrącając dziennik z dłoni mężczyzny i zrzucając ze stolika stertę zakurzonych rejestrów, gdy obaj upadli na podłogę.

– Skurwiel! – zaklął po angielsku nieznajomy.

Uderzył łokciem, wrywając się z uścisku Conawago, i rąbnął pięścią w brzuch starego Indianina, po czym złapał księgę i wybiegł z nią na korytarz. Robiąc to, rzucił rozkaz po indiańsku.

– Jest ich dwóch! – ostrzegł Conawago i w następnej chwili Duncan usłyszał znajomy świst.

Przycisnął się do ściany, gdy strzała przeleciała obok, ale nie spodziewał się drugiej posłanej zaraz za pierwszą. Ze zgrozą usłyszał głuchy stuk uderzenia i jęk padającego na podłogę Conawago.

Przez moment Duncan stał jak sparaliżowany, skamieniały z lęku o przyjaciela, patrząc na znikające postacie.

– Idź! – jęknął Conawago i Duncan z ociąganiem pobiegł korytarzem.

Nagle usłyszał okrzyk wojenny i zobaczył postać wyskakującą przez okno. Potem zapadła cisza.

W mgnieniu oka znalazł się przy Conawago. Indianin opierał się o ścianę, a z jego piersi sterczała strzała.

– Nieee! – jęknął Duncan, klękając przy nim.

– To naprawdę... zapiera dech – rzekł Conawago, ciężko dysząc.

– Mają tu szpital – rzekł Duncan, przeklinając słabe światło i próbując zbadać ranę, modląc się, by strzała trafiła w żebro, a nie w jakiś ważny organ. – Gdzie czujesz ból? – zapytał.

– Jak powiedziałem, to zapiera dech – spokojnie odparł Conawago.

Z nieoczekiwaną siłą odepchnął Duncana i wyprostował ręce, w których trzymał gruby dziennik. Tkwiła w nim strzała wymierzona w jego pierś. Po chwili zjawił się Moses ze świecą i Duncan wyraźnie zobaczył strzałę wbitą w książkę, która z impetem uderzyła w pierś Conawago.

– Ten dureń wziął nie tę księgę – oznajmił Indianin.

– Sądząc po innych, uciekł z wykazem rocznego zużycia ręczników w domu sióstr – rzekł Moses, gdy otworzył dwa dzienniki rzucone na podłogę.

Z gardła Conawago dobył się cichy chichot, potem zaśmiał się Moses i nagle wszyscy trzej zanosili się śmiechem.

– Ten, który wyskoczył przez okno, wiedział, że jest na drugim piętrze? – spytał w końcu Duncan.

Teraz było jasne, że drugi mężczyzna w popłochu zbiegł po schodach.

– Pewnie myślał, że wyląduje w miękkiej trawie – odparł Moses. – Zamiast tego spadł na bruk. I w powietrzu zaplątał się w swój łuk. Już się nie podniósł.

Indianin skrzył sobie kark, co Duncan stwierdził, gdy minutę później pochylił się nad jego ciałem. Obrócił jego twarz do światła.

– To jeden z tych ze stodoły w Filadelfii – zidentyfikował go Conawago.

W głębi ulicy rozległy się krzyki.

– Zabierzcie ciało do obozu Irokezów – pospiesznie rzekł Duncan. – Niech Stary Pas znajdzie innych wyrzutków, którzy obozowali razem z tym. Biorą pieniądze od Ramseya. Powiedzcie wodzowi prawdę, że wszyscy są manipulowani przez Ramseya i Feltona. Zanieście tę księgę Brindleowi, powiedzcie mu prawdę o jego bratanku. Ja muszę wracać do Skanawatiego.

– Z pewnością chcesz przeczytać notatkę o Feltonie.

Duncan pokręcił głową.

– Nie ma na to czasu. To, co się tu dziś stało, stanowi jedyne potrzebne mi potwierdzenie.

Rozdział 19

Zanim następnego ranka wyprowadzono Duncana i Skanawatiego z więzienia, założono im kajdany. McGregor nic nie mówił, a jego ludzie byli równie posepni, stojąc w dwuszerogu przed drzwiami, żeby przepuścić więźniów. Skanawati zrobił dwa kroki i zatrzymał się tak gwałtownie, że Duncan prawie na niego wpadł.

Nigdy by nie przypuszczał, że w Bethlehem jest tylu ludzi. Stali szpalerem wzdłuż ścieżki wiodącej na ulicę i na samej ulicy, przy budynku wznoszonym na rogu i dalej, aż po Gemeinhaus – dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci w ciemnych morawskich strojach. Byli wśród nich prawie wszyscy woźnice z konwoju i kilku strażników Ramseya oraz co najmniej pięćdziesięciu Indian. Co powiedział sędzia Ramseya? To dzień króla i imperium.

Ku zdziwieniu Duncana żołnierze nie zaprowadzili ich po szerokich kamiennych schodach do Gemeinhaus, ale na tyły budynku i rozległy, porośnięty trawą plac, wokół którego rosły wiązy i dęby. Na jego końcu widniały rzędy grobów, niektóre sprzed wielu lat. Boże Pole. W narożniku naprzeciw nich, przed długą stajnią z kamienia, było obozowisko Indian. Bliżej ustawiono długi drewniany stół, na którym leżały mapy i dokumenty, indiańskie fajki i woreczki z tytoniem, kodeksy i modlitewniki.

Wśród członków zasiadających przy stole delegacji nie wyczuwało się atmosfery zwycięstwa, poczucia sukcesu. Brindle, siedzący pośrodku naprzeciw Duncana, miał po bokach dwóch posepnych kwaków, a za plecami trzech zdenerwowanych urzędników. Sędzia pokoju patrzył na swoje ręce, jakby się modlił. Hadley, posiniaczony i obandażowany, usiadł na zachodnim końcu stołu obok starszego przedstawiciela rodziny Burke'ów i pozostałych Wirginijczyków. Jedynie Stary Pas, siedzący dwa jardy od delegacji z Pensylwanii, wyglądał na odprężonego. Wódz Irokezów był sam, tylko Moses i wojownicy jego eskorty stali za jego plecami. Uwagi Duncana nie uszły poważne, a jednak krzepiące skinienia głowy, jakie Stary Pas wymienił ze Skanawatim, ani głęboki niepokój na twarzy Mosesa. Na stole przed Starym Pasem leżała duża, ręcznie narysowana mapa.

Za tym dużym stołem ustawiono rzędy krzesel, jak na galerii. Sześćdziesiąt jardów dalej, bliżej cmentarza, stało kilka rzędów siedzeń zwróconych w przeciwnym kierunku. Duncan spojrział w cień przed nimi i dostrzegł drugi, mniejszy stół, ustawiony w pobliżu nagrobków. Siedział za nim sędzia Bradford, mając na głowie długą trefioną perukę, modną na dworach, przeglądając papiery i rzucając wyczekujące spojrzenia w kierunku delegatów. Tłum Morawian stał na ceglanej ścieżce na skraju rozległego placu, obserwując wszystko z daleka, rozdzielony na dwie części przez ławę, gdzie zasiadał elegancko odziany mężczyzna, którego obecność

zdawała się odstraszać gapiów. Obok lorda Ramseya, konferującego z drugim mężczyzną w peruce i niebieskim kubraku, stał składany stolik zastawiony orzeźwiającymi napojami.

Zobaczywszy Duncana i Skanawatiego, sędzia pokoju Brindle wstał i wskazał im krzesła naprzeciwko siebie, zanim sam usiadł. Nie posadzono ich na zaimprovizowanej sali sądowej Bradforda, lecz przy stole rokowań.

– Rozpoczynamy ostatni dzień negocjacji na chwałę Boga i wspólnej korzyści naszych narodów.

Przemówienie Brindle a brzmiało jak dobrze wyćwiczona oda. Kiedy wziął do ręki dokument, Stary Pas, siedzący teraz obok niego Moses i Wirginijscy zrobili to samo, zdając się odczytywać razem z sędzią dotychczasowe wyniki rokowań. Brindle przypomniał delegatom, że w morawskiej szkole już spisuje się je na pergaminie, tak by można podpisać traktat po ostatnim dniu rozmów.

Wyliczał szereg drobnych spraw, które stanowiły spoiwo umowy. Pensylwania zgodziła się, że jej osadnicy nie będą poili swych stad na brzegach rzeki Conestoga, dostarczającej wodę pitną jednej z indiańskich osad. Wirginijscy traperzy nie będą polować w lasach na północ od Monongaheli po trzecim miesiącu roku. Plemiona zagwarantują bezpieczeństwo misjonarzom. Duncan obserwował Wirginijszczyków i widział podejrzliwe spojrzenia, jakie posyłali mieszkańcom Pensylwanii, widział też, jak człowiek konferujący z Ramseyem stanął za plecami Brindle a i wyciągał szyję, żeby zobaczyć mapę, najwyraźniej narysowaną przez Starego Pasa. Duncan również się jej przyjrzał ze swojego miejsca przy stole. Nakreślone na mapie linie dzieliły większość ziem na zachód od Susquehanny na trzy części. Stary Pas pogodził się z nieuniknionym i był gotowy targować się o życie Skanawatiego.

Pojawiła się Mokie, przynosząc Ramseyowi tacę z kieliszkami. Lord szykował się do świętowania zwycięstwa.

– Dżentelmeni z Wirginii – oznajmił Brindle. – Sześć Plemion domaga się, abyście porzucili swe roszczenia do ziemi w zamian za powrót jeńców z zachodnich terenów na warunkach uzgodnionych przez specjalną komisję zasiadającą w Forcie Pitt. Co na to powiecie?

– Wirginia niechętnie przyjmie... – oznajmił starszy Burke.

– Nie! – przerwał mu gniewny okrzyk z tyłu.

Ramsey zerwał się na równe nogi, grożąc pięścią nowej grupie ludzi, którzy pojawili się po drugiej stronie placu. Długi Wilk wraz z pozostałymi Indianami z zachodu prowadzili konie z pustymi jukami. Odchodzili, bez podpisanego traktatu, bez spodziewanych darów. Duncan spojrział na Starego Pasa, który nie zareagował na to i niczym nie zdradził swojego udziału w tej nagłej decyzji zachodnich plemion.

Strażnicy zebrali się wokół Ramseya, który popchnął kilku z nich w kierunku odchodzących Indian. Jednak jego sługusi zatrzymali się po paru krokach, wiedząc, że są bezsilni. Dojechawszy do końca cmentarza, Długi Wilk rzucił na ziemię swoją kosztowną myśliwską strzelbę. Każdy z jadących za nim Indian też dorzucił coś na szybko rosnącą stertę. Nie tylko odjeżdżali bez darów za podpisanie traktatu, ale także

zwracali prezenty otrzymane od Ramseya. Wśród Wirginijczyków rozległy się ciche przekleństwa, gdy zrozumieli znaczenie tego gestu. To oznaczało, że zachodnie plemiona nie podpiszą traktatu i nie oddadzą jeńców.

Brindle z ponurą miną obserwował odjeżdżających Indian, a widząc zaniepokojone spojrzenia, jakimi obrzucał Starego Pasa, Duncan zrozumiał, że sędzia jest równie zmartwiony ostentacyjnym brakiem reakcji wodza Irokezów na ten exodus. Conawago wykonał swoje zadanie. Długi Wilk i ci, którzy przyjęli dary od Ramseya, zostali zdemaskowani i okryci niesławą w oczach Wielkiej Rady. Zostali wyrzuceni stąd nie siłą, lecz przez głęboko zakorzenione w konfederacji poczucie wspólnoty. Skanawati z nieprzeniknioną miną obserwował odjeżdżające plemiona. Jeden z filarów traktatu właśnie się rozsypał.

Nikt z siedzących przy stole się nie odezwał i nie poruszył, dopóki ostatni z zachodnich Indian nie znikł im z oczu. Jednak złorzeczenia miotające się wokół swego krzesła Ramseya słyhać było na całym placu. Poprawiając kajdany na rękach, Duncan patrzył, jak lord w końcu podchodzi do sędziego Bradforda, nachyla się do niego i pospiesznie coś mówi. Po chwili jakiś siedzący w cieniu pobliskiego drzewa młodzieniec został przywołany przez Ramseya, dostał od niego monetę i oddalił się biegiem.

Delegaci kolonii zaczęli niespokojnie szeptać między sobą, Wirginijczycy zerkali na Brindle'a, Pensylwańczycy na sędziego w peruce. Duncan patrzył na swoich przyjaciół, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Moses się odwrócił i patrzył w ślad za odjeżdżającymi Indianami z zachodu. Conawago usiadł obok Starego Pasa.

Duncan, nadal nie pojmując, po co jego i Skanawatiego posadzono przy stole delegatów, z niepokojem patrzył, jak wielu widzów oddala się w kierunku szopy wznoszonej na głównej ulicy, widocznej w przerwie między budynkami. Wydawali się spierać, a gdy kilku ludzi Ramseya zaczęło pomagać cieślom, rozległy się głośne protesty po niemiecku.

Nagle starszy Burke, który klócił się z Hadleyem, wstał, by przejąć inicjatywę.

– Delegacja Wirginii – oznajmił – jest gotowa dostarczyć dowód, że zamordowanie naszego dzielnego kapitana Burke'a było bezpośrednim odwetem Irokezów, którzy przed kilkoma laty zostali odparci przez naszych obywateli pod Shenandoah. Przybita dłoń. Sam gwóźdź. I tryb użyty do okaleczenia naszego szlachetnego oficera, jeden z tych, jakie kupują Indianie z Shamokin.

Hadley z niepokojem spojrział na Duncana, a potem schował twarz w dłoniach. Jego towarzysze wykorzystywali notatki, które sporządził na miejscach zbrodni.

– To nie jest sala sądowa! – zawołał donośny głos.

Duncan odwrócił się i zobaczył wielebnego Macklina stojącego przy stole wraz z grupką innych Morawian.

Brindle spojrział na McGregora, który posłał dwóch swoich ludzi, by stanęli obok Macklina. Gdy to robili, Duncan zauważył, że do stołu dosiadła się inna postać. Sędzia Bradford usiadł na krześle na pustym końcu stołu, trzymając w dłoni jeden z

drewnianych młotków, jakie często były używane przez prowadzących rozprawę sędziów. Macklin się mylił.

Negocjacje traktatu przerodziły się w proces sądowy. Nadzieje na odzyskanie jeńców znikły wraz z odejściem zachodnich Indian. Teraz delegaci rywalizowali o to, kto najbardziej zagrozi życiu Skanawatiego, gdyż zwycięzca miał otrzymać jako zadośćuczynienie ziemię ofiarowaną przez Irokezów, żeby go uratować. Poczucie wspólnoty zmusiło zachodnie plemiona do opuszczenia konferencji, a teraz miało zmusić Irokezów do oddania ogromnych terenów.

Ubrany w niebieski kubrak delegat z Filadelfii wstał, rozpoczynając licytację.

– Mamy podpisane zeznanie, że Skanawati zamordował geodetę Townsenda. – Pomachał kartką w powietrzu. Duncan nagle przypomniał sobie, że Czerwona Ręka drwił z nich, mówiąc, że podpisał taki dokument. – Mamy zaprzysiężone zeznanie komendanta Fortu Ligonier, że Skanawati jest mordercą kapitana Burke'a! Mamy oświadczenia woźniców konwoju, przysięgających, że Skanawati posłał jednego ze swych wojowników, żeby zabił Bythe'a! – ciągnął delegat z Filadelfii.

Brindle spuścił głowę, ściskając w dłoniach modlitewnik. Mówca badawczo spojrział na Starego Pasa. Jakby podkreślając jego słowa, z grupy wznoszącej szopę na ulicy dobiegły głośne okrzyki. Zaprzęg mułów ciągnął ładunek umocowany na grubym łańcuchu. Delegaci się odwrócili, by popatrzeć na zwierzęta ciągnące drewnianą ramę. Duncan z dreszczem zgrozy rozpoznał tę konstrukcję. Wznoszono szubienicę na oczach indiańskiej delegacji.

– A ile podpisano oświadczeń stwierdzających, że Bythe zginął w wypadku? – te gniewne słowa same wyrwały się z ust Duncana. – Niewątpliwie wysoki sąd zechce je porównać i zobaczyć, ilu pijanych woźniców podpisało jedno i drugie!

– Pierwsze oświadczenia złożono w Filadelfii przed innym sędzią – zbył go Bradford. – Nie jestem w stanie ich tu rozpatrzeć.

– To niezupełnie prawda – rzekł Brindle, z gniewną miną wyjmując z kieszeni kilka złożonych kartek.

Filadelfijski sędzia na moment zeszywniał, przeszywając wzrokiem sędziego pokoju. Zanim odpowiedział, spojrział na Ramseya:

– Zatem dotyczą one innego dochodzenia w innym filadelfijskim sądzie – oznajmił. – Moja jurysdykcja obejmuje całą kolonię Penna i będę prowadził to postępowanie tak, jak uznam za stosowne.

– Townsend padł ofiarą działań wojennych – ponownie wtrącił Duncan. – A oficer w Ligonier oskarżyłby własną matkę, gdyby miał dostać za to awans! Gwoździe i tryby to tylko podstęp mający skierować podejrzenia na Shamokin. Te morderstwa popełniło kilku ludzi, ale wszystkie zostały zlecone w Filadelfii!

W delegacji z Wirginii rozległy się gniewne okrzyki. Brindle wstał.

– Jeśli los tego traktatu zależy od tych zabójstw, powiedzmy o nich prawdę!

A zatem to dlatego Brindle przyprowadził więźniów do stołu rokowań. Wiedział, że delegacje z zachodu odejdą, i zamierzał zakończyć tę grę, w którą przerodziły się negocjacje. Gdy sędzia pokoju spojrział na niego, Duncan dostrzegł w jego oczach

udrękę zmieszaną z melancholijną determinacją. Brindle w końcu zrozumiał głębię podstępny i zdrady kryjących się pod powierzchnią rokowań. Skinął głową, dając Duncanowi znak, żeby mówił dalej. Zanim jednak Szkot zdążył otworzyć usta, głęboki i stanowczy głos przerwał ciszę.

– To Skanawati zabił geodetę Townsenda. To Skanawati zabił kapitana Burke’a.

Wódz Irokezów mówił w ten sposób o sobie.

Huk sprawił, że spojrzenia wszystkich zebranych zwróciły się ku sędziemu w upudrowanej peruce, siedzącemu na końcu stołu. Walił młotkiem w stół, uciszając zebranych.

– Przecież powinien być jakiś dowód! – upierał się Brindle.

Sędzia gniewnie zmarszczył brwi.

– Teraz jesteś adwokatem tego człowieka, bracie Brindle?

– Jeżeli trzeba, to tak! – odpalił Brindle. – niesprawiedliwy wyrok w tej sprawie zagrozi traktatowi.

– Wszelką ewentualną niesprawiedliwość można naprawić odpowiednio wynegocjowanym traktatem – poprawił go Bradford.

– Nie igra się życiem ani prawem dla osobistych korzyści! – warknął Brindle.

Sędzia odpowiedział zimnym spojrzeniem.

– Ten człowiek nie zna okoliczności tych śmierci – rzekł Brindle. – Jak morderca może nie znać szczegółów swoich zbrojstw?

– To był dzień w środku lata przy wielkim cukrowym drzewie – nagle oznajmił Skanawati. – To tam zabiłem Townsenda. Wystarczyło jedno uderzenie toporem w głowę. Przybicie go do drzewa miało przypomnieć jego wirginijskim pracodawcom o ich zdradzie w Shenandoah.

– Zabójca wyrzył symbole na drzewach – przerwał mu Brindle.

– Szyfr, którego nauczyli mnie jezuici, podający nazwiska zmarłych Wirginijczykom.

To było kłamstwo. Duncan wiedział, że to kłamstwo. Spojrzał na Conawago, który tylko popatrzył na swoje splecione dłonie.

– Nie było cię tam, kiedy zginął Townsend! – upierał się Brindle.

Wódz sięgnął pod swoją kamizelkę i wyjął znajomo wyglądającą szkatułkę z wrytym znakiem żółwia.

– Jestem wodzem Klanu Żółwia. Wódz Klanu Żółwia był tam.

Skanawati podsunął drewniane pudełko sędziemu Bradfordowi, który podniósł je, niepewnie zerkając na Ramseya, a potem odwrócił i przeczytał nazwisko Townsenda. Duncan oddał tę szkatułkę Staremu Pasowi, żeby Ramsey nie mógł jej wykorzystać do własnych celów.

Lord z zadowoleniem skinął głową sędziemu.

Ten uśmiechnął się.

– Tak jak opisałeś – powiedział do Brindle’a, pokazując mu jakiś złożony papier.

Duncan podupadł na duchu, poznając notatki Brindle’a sporządzone tamtej nocy w Filadelfii, kiedy rozmawiał z Duncanem i Conawago o morderstwach.

Brindle oniemiał i krew powoli odpływała mu z twarzy.

Duncan próbował znaleźć właściwe słowa.

– On nie wie... – zaczął z udumą w głosie, lecz nagle ze zgrozą uświadomił sobie, że Skanawati wiedział wszystko. Niejeden raz siedział w milczeniu, udając brak zainteresowania, gdy Duncan wyjaśniał swoim towarzyszom okoliczności zabójstw. Szkot zauważył spokojne, zdeterminowane spojrzenia, jakie wymienili dwaj wodzowie Irokezów, gdy Skanawati ujawniał wszystkie szczegóły odtworzonych przez niego zbrodni. Szkot w końcu zrozumiał, co kierowało tymi dwoma wojownikami, do czego dążyli od samego początku. Tacy jak oni jasno widzieli przyszłość – w osadach białych ludzi, w rumie zabijającym ich młodzież, na ulicach Filadelfii. Wiedzieli, że plemiona są powoli niszczone, i postanowili zrobić wszystko, żeby zapewnić im przetrwanie przynajmniej przez jeszcze jedno pokolenie.

– Kapitan Burke był przy starym buku, kiedy na niego napadłem, godzinę przed świtem – spokojnie ciągnął Skanawati – cios w głowę go nie zabił, ale ogłuszył na tyle, że zdołałem przybić jego rękę gwoździem – mówiąc to, Irokez patrzył na Wirginijczyków. – Na co zasługuje każdy wirginijski żołnierz za masakrę naszych wojowników pod Shenandoah.

Większość Wirginijczyków zerwała się na równe nogi, krzycząc i wygrażając pięściami, sprawiali wrażenie, że zaraz porwą Skanawatego. Żołnierze McGregora stanęli obok więźnia.

Sędzia raz po raz walił młotkiem w stół. Kiedy zebrani ucichli, powiódł wzrokiem po ich twarzach, zerknął na Ramseya i w końcu zwrócił się do Skanawatego, gestem kładąc mu wstążkę.

– Ten sąd, wnikliwie rozważywszy zeznania i dowody, skazuje oskarżonego na śmierć przez powieszenie – oznajmił z zadowoleniem. – Wyrok zostanie wykonany dzisiaj o czwartej po południu.

Nów uderzył młotkiem w stół i odwrócił się, by przyjąć triumfalny uśmiech Ramseya.

Zebrani na placu ludzie zamilkli, zaskoczeni. Jednak siedzący przy stole delegaci milczeli wyczekująco. Karty rozdano zgodnie z oczekiwaniami Ramseya. Oczy wszystkich zwróciły się na Starego Pasa. Powszechnie szanowany wódz przybył tu w nadziei, że powróci z historycznym traktatem i związanymi z tym darami. Jednak coś się w nim zmieniło, od kiedy Duncan spotkał go po raz pierwszy. Stary Pas zawsze zachowywał się niezwykle godnie, ale teraz było w tym coś więcej, miał dziwny blask w oczach, błysk determinacji, taki sam jak u Skanawatego.

Strach Duncana rósł niczym żywa istota i serce podeszło mu do gardła, gdy zrozumiał, że dotarli do kresu drogi. Dwaj Irokezi nie zasiedli przy stole rokowań z takich pobudek, jakie kierowały innymi. Oni działali na zupełnie innej płaszczyźnie. Duncan zobaczył, jak Stary Pas przez moment spogląda w niebo, jakby i on wiedział o prastarym kuku, który obserwuje wszystko, wysłany przez duchy. Wódz Irokezów wstał i podniósł przed sobą mapę, wywołując zadowolone uśmiešky Ramseya i jego sędziego. W końcu Stary Pas był gotowy zaproponować ogromne zadośćuczynienie,

żeby uratować Skanawatiego. Przez długą chwilę spoglądał na niego, a potem podarł mapę na kawałeczki i rzucił na stół. Gdy odchodził, po placu niósł się stukot młotków zbijających szubienicę. Conawago wstał i zanim odszedł, zgarnął strzępy mapy na stosik i położył na nim trzy szklane kulki.

Oniemiały Ramsey spojrział najpierw na kulki, a potem na Starego Pasa i orszak podążających za nim Irokezów. Zaraz jednak odzyskał mowę.

– On umrze, ty stary głupcze! Myślisz, że go nie powiesimy? – krzyknął za odchodzącymi Indianami. – Nie pogrywaj sobie z nami!

Ramsey pospiesznie i niespokojnie zerknął na Skanawatiego. Wódz odpowiedział mu beznamiętnym spojrzeniem.

– To tylko jeszcze jeden przebiegły handlarz futrami, zobaczysz – rzekł z wymuszonym uśmiechem Ramsey do sędziego Bradforda, gdy Stary Pas znikł. – Zaczekamy kilka godzin, Brindle, a potem pokażę ci, jak się kieruje sprawami wagi państwowej.

Nikt się jednak nie uśmiechnął i nikt nie wierzył, aby Stary Pas zamierzał ponownie rozpocząć rozmowy. Brindle wziął w dłoń modlitewnik i zacisnął palce tak mocno, że aż zbieleły. Wszyscy patrzyli bez słowa, jak Ramsey staje nad sędzią Bradfordem, pokazując mu kawałek gęsto zapisanego pergaminu. Skanawati z dziwnym wyrazem twarzy spoglądał, jak filadelfijski sędzia podpisuje jego wyrok śmierci.

Rozdział 20

To nie żołnierze, lecz pozostali Irokezi odprowadzili Skanawatiego z więzienia na szubienicę. Po wydaniu wyroku śmierci Duncan wrócił z Onondagą do celi, lecz był tam tylko kilka minut, zanim McGregor pozwolił Staremu Pasowi zająć miejsce Szkota w kamiennym budyneczku. Teraz Stary Pas prowadził Skanawatiego z więzienia, otoczony przez swoich wojowników z plemienia Mohawków. McGregor szedł kilka kroków za nimi, trzymając kajdany, które zdjął więźniowi.

Skanawati, widząc, że Duncan ma zostać wyprowadzony z celi, poważnie przemówił do współwięźnia:

– Nie smuć się, McCallum. Wiedz jedno – rzekł, kładąc na swoim przegubie pasmo świętych paciorków. – Tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy spotkałem ciebie i Conawago na szlaku do Ligonier, miałem sen. W tym śnie powieszono mnie jako mordercę, a potem mój lud powrócił do dawnych zwyczajów.

Duncan z przygnębieniem spoglądał na paciorki. Teraz wiedział, że nigdy nie było nadziei na uratowanie Skanawatiego. Przemówiły do niego duchy, a duchów należało słuchać.

Tłum przy szubienicy zbierał się od kilku godzin. Jednak grupa Morawian cicho odmawiała modlitwy na przemian z drugą, która śpiewała smutne psalmy. Przez większość popołudnia Duncana pilnowali dwaj szkoccy żołnierze, nie pozwalając mu usiąść i porozmawiać z Hadleyem i Conawago, którzy naradzali się po cichu, gdy Ramsey przechadzał się po ulicy, na próżno czekając, że wodzowie przyjdą z nim konferować. Widzieli, jak kat, chudy jak patyk mężczyzna, wchodzi na podwyższenie, i patrzyli z rozpaczą, jak sprawdza sznur oraz obciążoną workami z piaskiem zapadnię. Duncan widział także zmartwienie i niepokój na jego twarzy i to, jak dotykał sznura, zanim zszedł, by klęknąć przed wielebnym Macklinem, który odmówił za niego modlitwę.

Szepty i modlitwy ucichły na widok nadchodzącego Skanawatiego i widzowie rozstąpili się, robiąc mu szerokie przejście. Duncan widział, jak Skanawati dał znak swojej eskorcie, aby zatrzymała się przy szkockich strażnikach, którzy nie dopuszczali tłumowi bliżej jak sześć jardów od podwyższenia. Obrócił się i przeszedł wzdłuż szeregu Irokezów, kładąc każdemu dłoń na ramieniu i spokojnie wypowiadając kilka słów. Był tam Conawago i Moses, a gdy wódz skończył z nimi rozmawiać, przystanął i popatrzył na milczący tłum. Podszedł do Duncana i oburącz ujął jego dłoń, pobrząkując kajdanami, które nosił Szkot.

– Pamiętaj, McCallum, że duchy chcą, by twój klan i mój się spotkały – powiedział wyraźnie i spokojnie. – Odszukam twego wuja po tamtej stronie i poproszę, żeby zaśpiewał mi kilka tych pieśni, za które umarł.

Duncan, nie mogąc wykrztusić słowa przez ściśnięte gardło, skinął głową z wymuszonym, zbolalym uśmiechem.

Ostatni był Stary Pas, który podszedł, wyjął jedno z orlich piór ze swego warkocza i umieścił we włosach Skanawatiego. Obaj wodzowie przez długą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu, a potem Skanawati poważnie skinął głową i odszedł. Gdy stanął w smudze światła padającego na szubienicę, wysoko trzymał głowę, a jego ciało lśniło od świeżo nałożonej oliwy, która uwidaczniała liczne rytualne tatuaże.

– Precz z mordercami! – zawołał jakiś człowiek z Filadelfii i rzucił jajkiem, które rozbiło się na kolanie wodza.

McGregor wyrósł przed rzucającym, rąbnął go pięścią w brzuch i krzykacz osunął się na ziemię. Z tyłu dał się słyszeć piskliwy krzyk protestu. Ramsey usiłował precyzyjnie się do szubienicy, ale Morawianie i Indianie zwierali szeregi, ilekroć próbował przejść, zagradzając mu drogę. Jeden z jego sługusów głośno zaklął i spróbował ich odepchnąć. Żołnierz w kilcie uderzeniem pałki ogłuszył go, powalając na ziemię.

Kilka morawskich kobiet zaczęło płakać, gdy Skanawati wchodził po schodach. Szlochająca Mokie ukryła twarz na piersi Hadleya. Conawago zaczął cicho nucić.

To wszystko było niewiarygodne, nierealne. Przez minione tygodnie Duncanem kierowało niezbite przekonanie, że w końcu uratuje tego niewinnego człowieka, że w ostatniej chwili sprawiedliwość zatriumfuje. Teraz wydano wyrok śmierci i Duncan był bezsilny. Sędzia pokoju, choć zapewne oburzony takim obrotem spraw, był równie bezradny. Teraz byli tylko Skanawati i niemiecki kat, który niepewnie spojrzął na wodza Onondagów, a potem zerknął na stojącego pod szubienicą wielbnego Macklina. Z udręką na twarzy patrzył na trzymany w ręku sznur, gdy Skanawati podniósł obie ręce i przez moment przyciskał je do jego piersi. Odmawiając ostatnią modlitwę, sam założył sobie pętlę na szyję.

– Jestem Skanawati, syn Onondagów, wódz Klanu Żółwia – zawołał czystym i dźwięcznym głosem, w którym nie było śladu lęku. Nie mówił do tłumu, lecz do niebios. – Mój lud jest prawym ludem. Nie będzie zapomniany.

Zamilkł, przechylił głowę i nagle na jego twarzy pojawiła się radość.

Wysoko w górze krążył kruk.

Skanawati obejrzał się na kata, który stał jak sparalizowany, a teraz cofnął się o krok. Duncan z rozpaczliwą nadzieją zobaczył, że mężczyzna nie zamierza pchnąć dźwigni uruchamiającej zapadnię.

Skanawati z wdzięcznością skinął katowi głową.

– Jestem Skanawati – zawołał jeszcze raz do duchów, a potem dotknął futrzanego amuletu na szyi i kopnął dźwignię. Zapadnia się otworzyła i poleciał w dół.

Duncan nigdy nie słyszał takiej strasznej ciszy, jaka zapadła, gdy ciało wodza zadrgało i znieruchomiało. Połowa widzów otwarcie płakała, a pozostali nic nie

mówili, bo nie mogli. Wszyscy – Indianie, Niemcy, Anglicy i Szkoci – oniemieli. Kołysząca się lina poskrzypywała. Gdzieś w górze rozległo się donośne, ochryple wołanie kruka.

Irokescy wojownicy zaczęli nucić pieśń śmierci. Pod pobliskim kasztanem kilku Morawian śpiewało psalm.

Duncan z trudem oderwał wzrok od tego bolesnego widoku. Pochwycił spojrzenie McGregora, który przywołał go skinieniem głowy, a potem znalazł sędziego pokoju Brindle'a, stojącego i wpatrującego cię w ciało, złapał go za ramię i pociągnął za sobą.

Trzy godziny później Duncan stał zdyszany na skraju polany nad rzeką, rozcierając otartą przez kajdany skórę na nadgarstkach, niespokojnie obserwując rzeczny szlak i opierając się pokusie głośnego zapytania, czy wszystko zrobiono zgodnie z jego instrukcjami. Jego wolność, a nawet życie, wisiało na włosku po egzekucji wodza, gdyż Ramsey szalał z wściekłości, nie przyjmując do wiadomości porażki. Duncan zdrzął na wspomnienie nienawiści w oczach Ramseya, gdy razem z sędzią Bradfordem przyszli do Duncana rozmawiającego z Brindleem kilka minut po tym, jak Skanawatiego odcięto ze sznura.

– Ty nieudolny głupcze! – warknął Ramsey na kwakra. – Przez ciebie straciliśmy szansę podpisania traktatu!

– Wolę myśleć, że w ten sposób uratowaliśmy nasz honor – spokojnie odparł Brindle. – Śmiem twierdzić, że miną lata, zanim Irokezi znów zaczną rozmawiać z nami o ziemi.

– Gubernator się o tym dowie! – warknął Ramsey. – Sam zarządca również!

Gdy dawał znak jednemu ze swoich ludzi, żeby odprowadził Duncana, był czerwony z wściekłości. Duncan miał drogo zapłacić za jego porażkę, jeszcze tego dnia.

– Obawiam się, że pan McCallum pozostanie moim więźniem – przerwał mu Brindle.

– Diabła tam! – wypalił Ramsey. – On jest mój. Już nie podlega twojej jurysdykcji. Ramsey skinął na swojego sędziego, jakby każąc Bradfordowi zabrać głos.

– Nadal toczy się dochodzenie w sprawie innych morderstw – rzekł Brindle, patrząc tylko na Ramseya. – On będzie kluczowym świadkiem.

– Nie waż się sugerować, że mi go nie oddasz!

Ramsey położył dłoń na ramieniu swojego sędziego, jakby chciał go popchnąć naprzód.

– Sugeruję, że go nie dostaniesz, dopóki ja z nim nie skończę. Będziesz potrzebował rozkazu gubernatora, który usłyszy ode mnie o dziwnych wydarzeniach związanych z udziałami w Susquehanna Company i zbiegach okoliczności, które zmusiły właścicieli do ich sprzedaży. – Krew zaczęła odpływać z twarzy sędziego Bradforda. Wycofał się pospiesznie do powozu, którzy czekał w pobliżu. – Zobaczymy się w Filadelfii.

Ramsey był bliski apopleksji.

– Jesteś skończony! Nie zasiądziesz w Sądzie Najwyższym w tym roku ani nigdy! Będziesz miał szczęście, jeśli zachowasz posadę!

Ramsey odwrócił się i wszedł do bryczki.

– On mówił poważnie – rzekł Duncan, patrząc na chmurę kurzu pozostawioną przez powóz.

– Tacy ludzie nie zawsze będą mieli władzę w tym kraju – spokojnie powiedział Brindle.

To zabrzmiało jak uroczysta przysięga.

Teraz Duncan usiadł na pniu zwalonego drzewa, udając, że poprawia mokasyn, lecz w rzeczywistości patrząc na czarną koronkę cieni zalegających wokół i za nim. Ten stary indiański cmentarz ze wzniesionymi zgodnie ze zwyczajem miejscowych plemion platformami grzebalnymi znajdował się dokładnie tam, gdzie powiedział Conawago. Wysokie drewniane ramy ustawiono przed wieloma laty w zakolu rzeki. Niektóre już dawno runęły, ale co najmniej dwadzieścia wciąż stało w półmroku. Z wielu zwisały pióra i podarte kawałki futra, a na kilku nowszych futrzane nakrycia zmarłych nadal były nietknięte. Ten teren był tabu zarówno dla Indian, jak i Europejczyków.

Duncan wciąż siedział na pniu, gdy szczupły jasnowłosy mężczyzna podjechał i zsiadł z konia, odwołując dwóch towarzyszących mu Indian, którzy biegli po wyraźnych śladach, jakie Duncan pozostawiał od Bethlehem. Indianie skryli się w cieniu, odcinając Duncanowi drogę ucieczki.

Dokładne wyliczenie czasu było bardzo ważne. McGregorowi zajęło prawie godzinę znalezienie miejsca osłoniętego przed wzrokiem mieszkańców miasta, ale widocznego dla ludzi Feltona, którzy pili przed gospodą. McGregor doskonale odegrał swoją rolę. Odwróciwszy się na moment, sierżant dał Duncanowi okazję do powalenia go pozorowanym uderzeniem oburącz w kark i zabrania kluczy od kajdan. Uwolniwszy się od nich, Duncan pobiegł szlakiem wzdłuż rzeki, a słońce świeciło jeszcze dostatecznie jasno, by można było pójść po jego śladach.

Teraz patrzył, jak Felton przechadza się w kręgu gasnącego światła i zaczyna się niecierpliwić, spoglądał, jak podnosi czaszkę, która spadła z rusztowania, a potem dwa kije, robiąc z nich namiastkę rakiety. Podrzucił czaszkę jak piłkę do lacrosse i uderzył, tak że rozbiła się o pień, na którym siedział Duncan.

– Powinienem się domyślić, kiedy zobaczyłem, jak w tawernie popisujesz się sztuczkami lacrosse – rzekł Duncan.

Dłoń kwakra spoczywała na zatkniętym za pas tomahawku.

– Znów uciekłeś swojemu właścicielowi, McCallum. Rób tak dalej, proszę. Wzbogacę się, łapiąc cię i zgarniając nagrodę.

– A więc to ty uderzyłeś mnie w więzieniu przy Walnut Street.

– Oczywiście. Dostałem za to dwadzieścia hiszpańskich dolarów. Tym razem zażadam więcej. Cena za twoją głowę rośnie z każdym dniem.

– Twoje interesy się skończyły – powiedział inny głos.

Moses wyszedł zza drzewa.

- Przyszedłeś ofiarować mi modlitwę, eunuchu? – prychnął Felton.
- Wszyscy zawsze spoglądali w złym kierunku – zauważył Duncan, nie spuszczać oka z tomahawka Feltona. – Najpierw podejrzewano Francuzów, potem Irokezów – tak jak tego chciałeś.
- Nienawidzę Irokezów. Od zawsze.
- Przez większość życia byłeś Huronem.
- Zdobyłem pięć irokeskich skalpów, zanim ukończyłem piętnaście lat.
- Potem – ciągnął Duncan, wzdrygnawszy się z odrazy – braliśmy pod uwagę różne bandy Indian, którzy mogli być mordercami, i dziwiliśmy się, dlaczego Burke padł ich ofiarą. Oczywiście, gdybym tylko wiedział, że Ramsey maczał w tym palce, od początku szukałbym źródła przekupstwa i intryg w Filadelfii.
- Wyjęty spod prawa i stary jezuskowaty Indianin – kpił Felton. – Marnujesz oddech, gadając.
- Związek między tymi aktami przemocy a grupą inwestorów z Filadelfii był tak dobrze ukryty. Wydawało się mało prawdopodobne, by zabójca w puszczy znał wszystkich geodetów, lecz było też niemożliwe, aby jakiś dzikus znał kod masonów. Czy byłeś także zamieszany w te nieszczęścia, które spotkały inwestorów z kompanii ziemskiej? Statek spłonął w porcie, a magazyn w dokach.
- Latarnia wrzucona do luku, druga rzucona przez okno. Kilka minut pracy za tyle pieniędzy.
- A ty i Burke potrzebowaliście pieniędzy na wasze nowe przedsięwzięcie.
- Felton spojrzął w kierunku szerokiego nadrzecznego szlaku, gdzie jego koń skubał trawę w świetle księżyca, broń tkwiła w olstrze.
- Wątpię, czy lord Ramsey zdaje sobie sprawę, jak drobiazgowi są Morawianie w swoich sprawozdaniach. Każda sierota zostaje zapisana, każdy powracający indiański niewolnik, każdy jeniec ma swój zapis, ponieważ oni chcą pomóc każdej z tych nieszczęsnych dusz w miarę swych możliwości. Oczywiście ty tego nie potrzebowaleś. Opuściłeś ich. Odwróciłeś się do nich plecami za ich dobroczynność.
- To baby – pogardliwie rzekł Felton.
- Zapisywali różne rzeczy, chcąc ci pomóc. Byłeś jednym z najtrudniejszych przypadków spośród jeńców powracających z niewoli u plemion. Myśleli, że to z powodu wstrząsu wywołanego przejściem do innego świata. Mieli zbyt dobre serca, by zrozumieć, że powodem tego było to, że już przed laty stałeś się drapieżką, chodząc na łupieżcze wyprawy z Huronami i skalpując zarówno osadników, jak Irokezów. Twojej żądzy krwi nie mogły uleczyć mydło i spodnie. Huroński rabuś w stroju kwakra. Twój krewni w Filadelfii dali ci wszystko: wykształcenie, możliwość przebywania z uczonymi ludźmi, ale to nie zdołało zmienić tej mrocznej części twojej natury. Nawet kiedy postanowiłeś przywdziać płaszcz kwakra, żeby zakosztować filadelfijskich przyjemności, nie mogłeś się oprzeć chęci zabicia siostry Leinbach.
- Wszystkie słowa we wszystkich ich książkach nie mogą się równać z przyjemnością, jaką daje okrzyk wojenny, gdy atakujesz obóz wroga – rzekł Felton tonem, od którego Duncanowi dreszcz przebiegł po plecach.

– To była tylko kobieta pełna bożej miłości – wtrącił Moses. – Nikomu nie czyniła zła.

– Biła mnie i wymyślała kary, żeby mnie upokorzyć. Prawdziwy wojownik nigdy nie wybacza oprawcy. Musiałem ją zakneblować, kiedy ją tu przywiozłem, żeby uciszyć te jej przekłete modlitwy.

Słońce szybko zachodziło. Duncan podjął przerwany wątek:

– To wydawało się dziwnym połączeniem – powiedział – krwawa przemoc z wyrafinowanym szyfrem. Niezwykła zagadka. A ty jesteś jej niezwykłym rozwiązaniem.

Felton się uśmiechnął i zrobił krok w kierunku swojego konia. Duncan wiedział, że zwiadowca jest szybki. Gdyby dopadł strzelby, zabiłby ich obu, jednego kulą, a drugiego tomahawkiem.

– Zabiłeś ich wszystkich czy tylko patrzyłeś, jak robią to twoi renegaci?

– Byłeś tu dzisiaj. Zabójca został powieszony, z wyroku sędziego, po sprawiedliwym procesie.

– To nie był proces, tylko przedstawienie wyreżyserowane przez Ramseya. Ty zabiłeś Burke'a. Poprzedniego wieczoru odwiedziłeś swoich przyjaciół Huronów w dolinie. Mokie cię widziała. I ja cię widziałem, a raczej tył twojej głowy, chociaż uświadomiłem to sobie dopiero teraz. Miałem cię na muszce. Spodziewałeś się zastać przy drzewie Van Gruta. Znalezienie samego Burke'a było szczęśliwym trafem, gdyż jego śmierć miała pogorszyć stosunki między Irokezami a Wirginijczykami. Twój plan został wprowadzony w życie i Burke już nie był ci potrzebny. Zapewne zdołałeś przekonać Ramseya, żeby zapłacił ci dodatkowo, ponieważ śmierć Burke'a nie tylko usunęła kluczowy dowód, ale także oszczędziła Ramseyowi sporo pieniędzy, które mu obiecał.

– Odmówił zapłaty, ponieważ Van Grut wciąż żył.

– Więc próbowałeś zabić Van Gruta w Filadelfii.

– I znów mi przeszkadzono.

Felton obejrzał się na szlak i na moment zastygł. Jego koń znikł. Zwiadowca cofnął się o krok i cicho zagwizdał.

– To bluźnierstwo tak zakłócać spokój zmarłych, jak ty to zrobiłeś – powiedział Moses.

Był tutaj nie z powodu morderstw popełnionych na Ścieżce Wojowników, ale dla siostry Leinbach.

– Zaczynam zmieniać zdanie co do nagrody – zadrwił Felton. – Znajdę tu miejsce dla was obu.

Znowu cicho gwizdnął i z niepokojem spojrzał w mrok.

– Oni nie przyjdą – rzekł Duncan.

Gdy to powiedział, z ciemności wyszli czterej mężczyźni, Irokezi w czarnych płaszczach Morawian.

Felton tylko uniósł brew.

– Masz pojęcie, co Ramsey każe mi z tobą zrobić, kiedy cię przyprowadzę? – powiedział do Duncana. – Może zarobiłbym więcej, gdybym sprzedawał mu części twojego ciała, kawałek po kawałku. Chyba zabiorę cię z nami i znajdę spokojne miejsce w lesie, żeby cię wykończyć powoli. Kiedy miałem dziesięć lat, Huroni przyprowadzili jeńca, Mohawka, którego oddali nam, dzieciom z wioski. Przywiązaliśmy go do pała i utrzymywaliśmy przy życiu przez dziesięć dni, odcinając codziennie kawałek ciała. Nie przecinajcie żadnych dużych naczyń krwionośnych, uczyły nas kobiety.

– Chętnie poświęciłbym swoją wolność, żeby pomścić Skanawatiego.

– Pomścić? – prychnął Felton. – Ty i te eunuchy? Znam tych chrześcijańskich Indian. Gdybym im powiedział, że zaraz posiekam ich na kawałeczki, staliby w kolejce, czekając i recytując teksty ze swoich książeczek.

Felton znów spojrział w mrok.

– Twojej bandy już nie ma, tych dwóch i wszystkich pozostałych – wyjaśnił Duncan. – Staną przed Wielką Radą jako zdrajcy narodu.

Felton zrobił krok w kierunku ścieżki, jakby zamierzał uciec, ale nagle skulił się i obrócił na pięcie, odciągając kurek niewielkiego pistoletu, który pojawił się w jego ręku. Wymierzył go w Duncana i uśmiechnął się triumfalnie, lecz na moment przed tym, nim pistolet wypalił, ręka drgnęła mu konwulsyjnie i kula poszła w listowie.

Felton z niedowierzaniem spojrział na strzałę tkwiącą w jego ramieniu. Conawago wyszedł z cienia, trzymając łuk.

– Myślę, że czegoś nie zrozumiałeś – powiedział Duncan. Dał znak mężczyznom w czarnych płaszczach, a ci zrzucili je z ramion. Ich torsy lśniły w blasku księżyca, ukazując świeże wojenne barwy. – My tylko pożyczylimy te płaszcze, żeby mogli spokojnie przejść po ulicach.

Z głębokiego mroku wyszli czterej mężczyźni. Jeden z Indian rzucił coś pod nogi Feltona. Była to pomalowana skorupa żółwia. Drugi pokazał mu pas paciorków, znak władzy Starego Pasa. Felton wybałuszył oczy z przerażenia.

– Niewątpliwie znasz eskortę wodza Mohawków. Są z Klanu Żółwia, do którego należał Skanawati. A ty właśnie miałeś sprawiedliwszy proces niż on. Spodziewam się, że znajdą jakieś spokojne miejsce w lesie po drodze stąd do Shamokin.

Krew odpłynęła z twarzy Feltona. Uskoczył w lewo, a potem w prawo przed zbliżającymi się Irokezami, lecz jeden z nich machnął pałą, zadając mu cios w skroń, który powalił go na kolana. Kiedy wstał, założyli mu na szyję rzemienią pętlę przywiązaną do kija – tradycyjny sposób transportowania jeńców wojennych. Jeden z Irokezów ułamał drzewce strzały, pozostawiając grot w ciele, żeby zadawał Feltonowi ból. Szarpnięcie za kij uciszyło ostatnie słowa protestu mordercy.

Gdy Duncan spoglądał w mrok, w którym znikli, pojawiła się przy nim następna postać. Sędzia pokoju Brindle postawił kołnierz płaszcza, broniąc się przed chłodnym wieczornym wiatrem.

– Już nigdy go nie zobaczysz – rzekł Duncan.

Kwakier poważnie skinął głową.

– Myślę, że nigdy go nie widziałem – powiedział z ciężkim westchnieniem. – Czasem – dodał po długiej chwili – pozwalamy, by dobroć czyniła nas ślepyi na zło tego świata.

Ku zdziwieniu Duncana Brindle pozostał, gdy wielebny Macklin przyjechał wozem, na którym spoczywała trumna. Kwakier w milczeniu trzymał jedną z pochodni, gdy Macklin, Duncan, Conawago i Moses zdjęli z indiańskiego rusztowania szczątki zabitej morawskiej misjonarki i umieścili w trumnie. Nie ruszył się nawet wtedy, gdy Conawago z Mosesem wrócili, żeby odmówić cichą modlitwę za spokój zmarłych.

Księżyc stał wysoko na niebie, gdy w końcu załadowali trumnę na wóz. Kiedy Duncan chciał usiąść obok woźnicy, Brindle go powstrzymał, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie, McCallum. Ten wóz jedzie na południe.

Stropiony Duncan spojrzał na kwakra, Conawago i Mosesa, którzy pojawili się obok Brindle'a.

– Nie zhańbię cię, panie. Masz obowiązek odwieźć mnie z powrotem do Filadelfii.

– Są wyższe prawa niż te Filadelfii – rzekł sędzia. Duncan zobaczył swój plecak na ramieniu Conawago i strzelbę w dłoni starego Nipmuka. – Nowa umowa, którą usiłował przemocą narzucić ci Ramsey, nie została podpisana. A jako sędzia tej prowincji otrzymałem elegancko wykaligrafowane oświadczenie powszechnie szanowanego człowieka, niejakiego Socratesa Moona. Stwierdza w nim pod przysięgą, iż jest przedstawicielem innego właściciela umowy. Z tego, co mi powiedział, wynika, że ktoś w nowojorskiej kolonii ma do ciebie prawo pierwszeństwa.

Brindle wyciągnął rękę.

– Jesteś szlachetnym człowiekiem, panie – powiedział Duncan, uściskawszy ją.

– Nie. W tej całej przykrych sprawie był tylko jeden szlachetny człowiek – powiedział łamiącym się głosem Brindle – a my go dziś powiesiliśmy.

– Plemiona będą wściekłe – stwierdził Duncan. – Minie wiele lat, zanim znów pomyślą o zrzeknięciu się ziemi. I tego właśnie chciał od samego początku. Obojętne, co robiliśmy, on i tak znalazłby sposób, żeby zawisnąć.

O mało nie dodał: Skanawati o tym śnił.

– To wcale nie czyni tego mniej bolesnym – rzekł kwakier, a potem wspiął się na siedzenie obok woźnicy. – Załatwiłem drugi wóz i drugą trumnę. Odwiezcie go do domu?

Patrzyli w milczeniu, jak sędzia znika w oddali na nadrzecznym szlaku do Bethlehem.

– Co powiemy w Shamokin? – zapytał niemal szeptem Moses. – Co powiemy w wiosce, gdy przybędziemy tam z ciałem ich największego wodza?

– Powiemy im prawdę – odparł Duncan. – Skanawati umarł, żeby już więcej nie zabierano plemionom ziemi.

Epilog

Ciche i monotonne bicie bębna zdawało się uspokajać leśne zwierzęta, bo wiewiórki i ptaki obserwowały wszystko z wielkiego bawełnianego drzewa z zaciekawieniem, a nie z lękiem, gdy bęben grał coraz głośniej. Duncan i Johantty zaczęli przed świtem razem uderzać w wydrążoną kłodę, a potem Duncan grał na dudach, podczas gdy młody Onondaga wtórował mu, bębniąc. Pogrążony w muzyce – bębna niczym bijącego serca plemienia, dud przywołujących wizje jego młodości – Duncan odwrócił się i ze zdziwieniem ujrzał nowych widzów. Spodziewał się, że tylko Conawago i Moses pomogą mu przygotować Johanttyego na szlak gońców świtu, ale większość mieszkańców nowej wioski ukrytej w głębi gór pojawiła się w szarym świetle przedświtu i usiadła szerokim kręgiem niczym medytujący w ciszy mnisi. Cedrową pochodnię zapalono przy podobnej do komina formacji skalnej, nad dymiącym stosem wonnych tytoniowych liści, lubianych przez duchy.

Johantty obszedł krąg Indianin, otrzymując błogosławieństwa od młodych i starych, a potem podszedł do ogniska w środku i rozebrał się do nogawic oraz przepaski biodrowej. Jego ciało było kunsztownie pomalowane, lecz nie były to barwy wojenne, lecz święte znaki jego szczepu, z obrazem żółwia na piersi.

Młody Irokez poważnie się skłonił podchodzącemu Duncanowi.

– Dziś jest dzień, gdy ponownie połączymy się z bogami – powiedział znajomy głos obok niego.

Duncan obrócił się do Kamiennego Kwiatu. Po raz pierwszy, od kiedy przybyli do tej nowej wioski z ciałem jej syna zawiniętym w całun, smutek opuścił jej twarz. Wiedziała, że przybywają, chociaż nie spodziewała się Hadleya ani szkockich żołnierzy. Poprowadziła ich na miejsce pochówku przygotowane poniżej starodawnej świątyni odkrytej przez Skanawatiego rok wcześniej. Przywódczyni Onondagów przez dwa dni i dwie noce pełniła samotną straż przy grobie. Powróciwszy, posłała Duncanowi pierwszy uśmiech, jaki widział na jej pomarszczonej twarzy, gdy zobaczyła jego, Conawago, Mosesa, Hadleya i kilku Szkotów pracujących wraz z Indianami przy karczowaniu pól i budowie długich domów. Hadley przywiózł ze sobą Beccę, Mokie i Penna, wyjaśniając, że zamierza pomóc Rideaux wybudować nową szkołę dla Indian, daleko od tych, którzy mogliby polować na zbiegłych niewolników. McGregor i jego ludzie trochę naciągnęli rozkaz eskortowania ciała Skanawatiego, odwożąc je aż do wioski, ale mieli papier podpisany przez przejeżdżającego przez Shamokin zaprzyjaźnionego kapitana zwiadowców, który oświadczył, że na jego rozkaz ścigali bandę rabusiów, co było kiepskim usprawiedliwieniem, ale wystarczającym dla dowódcy Fortu Ligonier.

Kiedy nowe długie domy zostały zbudowane, a pola obsiane, ciężar spadł z ramion Kamiennego Kwiatu. Promieniała z dumy ze swego siostrzeńca, ale była też wyraźnie zaniepokojona. Dawne opowieści o biegnących cały dzień gońcach świtu mówiły, że biegacze często umierali.

– Teraz, pani, będą go pilnowały duchy. – Potężny sierżant McGregor pochylił się nad Indianką. – Macie szczęście. Pamiętam, że gdy byłem chłopcem, mieliśmy na wyżynach duchy, które nas strzegły.

Te słowa otworzyły dawno zamkniętą izbę w duszy Duncana. Przed oczami przesuwały mu się obrazy: matki przy palenisku, braci jeżdżących po wrzosowiskach na kudłatych mułach, dziadka grającego na dudach przy zalanym księżycowym blaskiem morzu, siostr tańczących na zgromadzeniach klanu. Ujrzał Skanawatego, znów usłyszał jego słowa, że ich klany są ze sobą związane, i w tym momencie ponury ciężar, który od tygodni przygniatał mu serce, zelżał.

Conawago szeptał wskazówki do ucha Johanttyego, wciąż zatroskany, że młodzian zgubi drogę, gdy spojrzał na Duncana. Zamilkł. McGregor wydał cichy okrzyk zdziwienia i obaj patrzyli, jak Duncan powoli rozpina guziki. Potem nagle w oczach starego Szkota zapaliła się radość i pomógł Duncanowi zdjąć koszulę.

Duncan pospiesznie zasznurował mocniej mokasyny i nogawice, pozwalając, by Conawago związał mu włosy z tyłu głowy, i nie sprzeciwiając się, gdy stary Nipmuk wyjął pióro z warkocza i wetknął mu je we włosy, szepcząc przy tym modlitwy do jego ucha. Przez pulsowanie bębna usłyszał nowy dźwięk, odgłos przypominający szelest liści, i w końcu uświadomił sobie, że to modlitwy szeptane przez wszystkich siedzących kręgiem Irokezów. McGregor, ocierając łzę z oka, dołączył się ze swoją, po gaelicku. Stare klany, Irokezów i Szkotów, może ucierpiały, ale nie wyginęły.

Nie wiedział, jak długo śpiewał ze swymi towarzyszami, stapiając starą gaelicką magię ze słowami Irokezów, ale stopniowo coś się w nim budziło, jakieś nowe echo, w którym wyczuł puls samej puszczy. Nagle Conawago podniósł nad głowę czerwone piórko i wszystkie głosy ucichły. Johantty i Duncan uśmiechnęli się do siebie, a potem skupili spojrzenia na piórku. Po chwili jego koniec zabarwił się, gdy padły nań pierwsze promienie słońca, a wtedy ramię w ramię, rączo jak jelenie, pognali starym szlakiem w cieniistą puszcze.

Od autora

Dla tych, którzy dostrzegli złożoną strukturę społeczności i wierzeń leśnych Indian, nie powinno być zaskoczeniem, że Skanawati był prawdziwym wodzem Irokezów w XVIII wieku. Jak przedstawiono w tej książce, samotnie stawiał czoło wyzwaniu, jakim była rola wodza wojennego, a zarazem przywódcy czasu pokoju, oraz dodatkowej odpowiedzialności wynikającej z tego, że był Onondagą i głową Klanu Żółwia, co nakładało nań obowiązek chronienia tradycji i wiary jego ludu. Choć ta opowieść o wodzu Skanawatim jest fikcją, częściowo zainspirowała ją relacja historyka Francisa Parkmana, opisał on początki wojny między Irokezami i ich odwiecznymi wrogami Huronami, podczas której wódz Skanawati wkroczył na terytorium wroga jako emisariusz Wielkiej Rady Konfederacji Irokezów. Kiedy wojownicy Seneków i Mohawków, członkowie tej konfederacji, najechali ziemie Huronów pomimo jego obecności, uznał to za obrazę swej godności i honoru, a chcąc dowiedzieć, jak bardzo Irokezi pragną pokoju, popełnił samobójstwo w obozie Huronów.

Często zapominało się o honorze i godności, gdy Europejczycy zaczęli zajmować ziemie tradycyjnie należące do leśnych plemion. Podczas pierwszego stulecia osadnictwa rządy kolonii uznawały plemiona za odrębne narody, a głód ziemi Europejczyków był jeszcze niewielki i ograniczał się głównie do terenów wzdłuż wybrzeży Atlantyku. William Penn, najwybitniejszy z pierwszych przywódców w tym rejonie, podejmował ogromne wysiłki, włącznie z podróżą przez indiańskie tereny wzdłuż Susquehanny, aby stworzyć „pokojowe królestwo” zamieszkałe przez kolonistów i Indian.

Okolo 1760 roku sytuacja uległa dramatycznej zmianie. Nieuchronne zwycięstwo Brytyjczyków w wojnie z Francuzami i francuskimi Indianami oznaczało, że polityczne znaczenie Irokezów – przez długi czas będących istotnym buforem pomiędzy Francuzami a Anglikami – zaczęło maleć. Ogromny wzrost populacji skłaniał farmerów do pokonywania łańcuchów górskich, które przez dziesięciolecia były naturalnymi granicami osadnictwa. Indian nagabywano w zajazdach i przy kubkach rumu namawiano do składania podpisów na umowach zrzeczenia się ziemi, uznawanych przez angielskie sądy pomimo braku autoryzacji przez rady plemiennicze. Przez całe lata Wirginijczycy twierdzili, że podpisana przez Irokezów umowa cesji okręgu Shenandoah dotyczy całej ziemi aż po wybrzeże Pacyfiku. Prowincjonalni urzędnicy celowo błędnie umieszczali nazwy na mapach, aby oszukać Indian sprzedających ziemię. Choć osadnicy często płacili krwią za takie urzędnicze nadużycia, głód ziemi był nienasycony. Poszczególne kolonie zawzięcie rywalizowały ze sobą. Connecticut zgłosiło roszczenia do plemiennych ziem w północnej

Pensylwanii, Wirginia rościła sobie prawa do jej zachodnich terenów, a jeden z gubernatorów Pensylwanii osobiście wymierzył i zajął dla siebie ziemie wzdłuż Susquehanny, wbrew podpisanemu traktatowi, że mają one zawsze należeć do Indian.

Przywódcy Irokezów nieustannie starali się opierać temu bezprawiu, rozsyłając wampумы przedstawiające rozbijane toporami baryłki, jako ostrzeżenie dla mieszkających nad Susquehanną Indian, żeby wylewali angielski rum, a nie pili go, a także inne pasy wzywające podległe im plemiona do przeciwstawiania się cesjom ziemi. Przywódcy obu stron usiłowali złagodzić napięcie rokowaniami, które doprowadziły do wątego, często zrywanego pokoju, lecz wodzowie Irokezów dobrze wiedzieli, że we wszystkich negocjacjach z Europejczykami chodzi o głód ziemi, który powoli i nieuchronnie niszczy ich wielowiekowy sposób życia.

Był to okres historycznych zmian, pełen bohaterów, świętych i łajdaków, a zarówno Europejczycy, jak Indianie powoli zmieniali świat. Ta epoka jest nie tylko fundamentem zrozumienia następnych stuleci dziejów Ameryki, ale także bogatym gobelinem różnych kultur, oszałamiających swym naturalnym pięknem. Ludzie, miejsca i wydarzenia wplecione w tę opowieść są zakorzenione w osiemnastowiecznych dziejach, od znaków na drzewach, przez nieufność plemion do słowa pisanego, pomoc udzielaną w tajemnicy przez Francuzów zbiegłym niewolnikom, irokeski zwyczaj ponownego chowania zmarłych, masakrę irokeskich wojowników przez farmerów z Shenandoah, barwne miasto Shamokin (obecnie Sunbury w Pensylwanii), po niezwykle pośrednictwo Morawian, a nawet fascynację niektórych plemion mechanizmem zegara. Chociaż mijające wieki zatarły wiele szczegółów irokeskich rytuałów i wierzeń, nietrudno sobie wyobrazić, jak ci uduchowieni ludzie zareagowali na petroglify znajdujące na brzegach Susquehanny, przestarze już w osiemnastym wieku. Dolina rzeki Susquehanny była jednym z największych zbiorowisk petroglifów na kontynencie i wiele z nich przetrwało aż do zeszłego wieku.

W europejskiej nauce również zachodziły istotne sejsmiczne zmiany, równie dramatycznie odzwierciedlone w rozwoju zainteresowania elektrycznością jako dziedziną badań. Zainspirowane pracami Benjamina Franklina oraz postęпами w Anglii, Francji i Niemczech, elektryczne urządzenia, takie jak opisane w tej książce, istotnie były używane w eksperymentach, a nawet leczeniu chorych w połowie osiemnastego wieku. Franklin zanotował, że jego życie zmieniło się na zawsze, gdy otrzymał w prezencie „elektryczną” szklaną rurkę w 1746 roku, a w ciągu późniejszych wieloletnich badań dokonał szeregu doniosłych odkryć – w tym istnienia dodatnich i ujemnych cząstek – które wywarły trwały wpływ na rosnącą społeczność filadelfijskich uczonych.

Szkoci z pewnością odgrywali istotną rolę w nauce – wykształcenie Duncana McCalluma odzwierciedla doniosłe znaczenie Szkocji w ówczesnych naukach medycznych – a powiązania Szkotów z rodzimymi mieszkańcami Ameryki kierują głównymi postaciami tej książki. Niewątpliwie przyczyniły się do tego wspólne tradycje wojskowe oraz duchowe pokrewieństwo, lecz to powiązanie jest jednym z

przedziwnych kaprysów historii, których nie da się w pełni wyjaśnić i zapewne można je ogarnąć, tylko patrząc z perspektywy czasu. Szkoci adaptowali się i integrowali z kulturami w różnych częściach świata – już w średniowieczu wędrowny Szkot był stałym elementem krajobrazu – ale więź łącząca Szkotów i leśnych Indian Ameryki jest unikatowa w historii naszej cywilizacji. Zrodziła się wśród północnych plemion, gdy Szkoci i Irokezi walczyli razem w wojnie z Francuzami i Huronami, a urodzony nad jeziorem Loch Ness góral, Lochlan MacGillivray, został przywódcą Indian z plemienia Creek z południa. Wodzem Indian, który kilkadziesiąt lat później toczył krwawą kampanię przeciwko Andrew Jacksonowi, był szkocki wojownik zwany Weatherford, a John Ross, szanowany wódz Indian Cherokee, który przewodził im przez trzydzieści osiem lat, miał w swoich żyłach siedem ósmych szkockiej krwi.

Ross poprowadził swoje plemię niesławnym Szlakiem Łez, będącym ostatnim rozdziałem zniszczenia stylu życia leśnych Indian. Ten proces dopiero się rozpoczynał w 1760 roku i prawdziwi bohaterowie tamtych czasów istotnie usiłowali go powstrzymać, aczkolwiek wodzowie wkrótce ze zdumieniem ujrzeli gwałtowną zmianę, jaka zaszła w stosunkach z Europejczykami. Niektórzy z pewnością byli obecni w 1763 roku i przetrzasali ruiny w Conestoga w Pensylwanii, gdzie dwudziestu pokojowo nastawionych Indian zostało zmasakrowanych przez tłum osadników. W zgliszczach spalonych budynków znaleziono jeden z pierwszych traktatów podpisany przez Williama Penna, z wciąż czytelnymi słowami, w tym obietnicą, że oba narody będą żyć „z jedną ręką i jednym sercem”, a osadnicy będą zawsze „okazywać się prawdziwymi przyjaciółmi i braćmi wszystkich i każdego z was, Indian”.

Eliot Pattison

Chronologia wydarzeń

- 1731 - Powstaje Kompania Biblioteczna jako pierwsza biblioteka publiczna w Ameryce, z Benjaminem Franklinem jako głównym sponsorem.
- 1741 - Morawscy misjonarze z Niemiec zakładają stałą osadę u zbiegu rzeki Lehigh i Monocacy Creek w Pensylwanii. Ta nowa społeczność, nazwana Bethlehem, staje się ośrodkiem misyjnej działalności Morawian wśród leśnych plemion.
- 1742 - Morawianie zawierają traktat o przyjaźni z Konfederacją Irokezów, gwarantujący bezpieczeństwo misjonarzom działającym wśród Indian, a pakt ten Irokezi niezmiennie respektują przez dziesięciolecia.
- 1744 - Wirginia podpisuje z Konfederacją Irokezów traktat, uzyskując pewne ziemie tradycyjnie kontrolowane przez te plemiona. Indianie później twierdzą, iż ten pakt obejmował jedynie dolinę Shenandoah i obszar na wschód od Appalachów, natomiast Wirginijczycy uważają, że oddawał im wszystkie zachodnie ziemie aż do Oceanu Spokojnego. Zaczynają powstawać kompanie ziemskie konkurujące o tereny w Ohio, włącznie ze znaczną częścią obecnej zachodniej Pensylwanii. Geodeci rozpoczynają pomiary tych terenów, często w tajemnicy.
- 1745 - Morawianie zakładają misję w Shamokin, dużej indiańskiej społeczności w rozwidleniu Susquehanny.
- 1746 kwiecień - Pod Culloden Moor w pobliżu Inverness zbuntowani jakobici, a wśród nich wiele szkockich klanów, zostają pokonani przez brytyjskie wojska, które rozbijają buntowników i zmuszają ich przywódcę, księcia Karola, do ucieczki na obczyznę. Po bitwie pod Culloden Anglicy wysyłają na wyżyny Szkocji ekspedycje karne, które niszczą tradycyjną klanową strukturę tamtejszej społeczności. Te kampanie i późniejsza ustawa proskrypcyjna zakazująca posiadania broni, a nawet noszenia szkockich kiltów, na wiele lat skutecznie zakończyły tradycyjny sposób życia wielu klanów. Na początku 1746 roku na uniwersytecie w Lejdzie powstaje pierwszy kondensator magazynujący energię elektryczną, składający się ze szklanego słoja z wodą i korka przebitego metalowym prętem. Butelka lejdejska staje się fundamentem intensywnych eksperymentów z fluidami elektrycznymi, czyli z elektrycznością, w Europie i Ameryce. Otrzymawszy w tym samym roku w prezencie „elektryczną rurkę”, Benjamin Franklin pozostawia swoje komercyjne przedsięwzięcia i poświęca kilka lat na badania naukowe, w większości skupione na elektryczności, w

których trakcie odkrywa dodatnie i ujemne ładunki oraz wynajduje piorunochron. W tym czasie Franklin zajmuje się również elektroterapią, badając zastosowanie ładunków elektrycznych w leczeniu wielu schorzeń.

1752 czerwiec - Franklin przeprowadza eksperyment z latawcem, udowadniając, że błyskawica jest formą wyładowania elektrycznego.

1754 maj - Gdy brytyjscy osadnicy od 1750 roku zaczęli zasiedlać dolinę rzeki Ohio, Francuzi wysłali swoje oddziały, aby chronić to, co uważali za własne dominium. Gubernator Wirginii zareagował, wysyłając w ten rejon niewielki oddział milicji pod dowództwem dwudziestotrzyletniego Jerzego Waszyngtona. W maju 1754 roku Waszyngton zaatakował francuski obóz na Great Meadows, obecnie będącej częścią zachodniej Pensylwanii. Ta akcja zapoczątkowała otwarty konflikt zbrojny między Francją (i sprzymierzonymi z nią Austrią oraz Rosją) a Wielką Brytanią (i sprzymierzonymi z nią Prusami), który rozszerzył się na Karaiby, Azję oraz wybrzeże Afryki i obecnie nazywany jest w Europie wojną siedmioletnią, a w Ameryce Północnej wojną francusko-indiańską.

1754 lipiec - Przy Forcie Necessity, wzniesionym przez Waszyngtona w pobliżu Great Meadows, przeważające siły francuskiej armii i ich indiańskich sprzymierzeńców atakują oddziały z Wirginii. Waszyngton jest zmuszony poddać fort i opuścić Ohio. Ta klęska poruszyła brytyjski rząd, który zaczął wysyłać na zachodni front regularne oddziały wojska.

1755 lipiec - W pobliżu Turtle Creek, nad rzeką Monongahelą, brytyjska armia dowodzona przez generała Edwarda Braddocka zostaje pokonana przez połączone siły francusko-indiańskie. Z pierwszej kolumny liczącej tysiąc dwustu żołnierzy ginie tysiąc. Ta klęska i śmierć generała Braddocka boleśnie dowiodły, że sztywne reguły europejskiej taktyki wojskowej są nieskuteczne w działaniach w puszczy, czego rezultatem było szersze wykorzystanie nieregularnych oddziałów zwiadowców i lekkiej piechoty. Francuzi i Brytyjczycy zaczęli umacniać stosunki ze swymi indiańskimi sprzymierzeńcami – Francuzi z Huronami, Ottawarri i Abenaki, a Brytyjczycy z plemionami Irokezów (Senekami, Tuscarorami, Cayugami, Mohawkami, Oneidami i Onondagami).

1755 wrzesień - William Johnson, który utrzymywał dobre stosunki z Irokezami, prowadzi połączone siły kolonialnych wojsk i Mohikanów, pokonując Francuzów na południowym końcu Lake George. Wódz Irokezów, Król Hendrick (Teyonhenkwen), półkrwi Mohawk i Mohikanin, zginął w wieku osiemdziesięciu lat, prowadząc Mohawków do ataku na Francuzów.

1756 maj - Anglia i Francja oficjalnie wypowiedają sobie wojnę.

1756 sierpień - Siły francuskie pod dowództwem generała Louisa Josepha Montcalma atakują i pokonują siły brytyjskie przy Forcie Oswego nad jeziorem Ontario.

- 1757 - Generał Montcalm atakuje i zajmuje Fort William Henry na południowym końcu Lake George. Po złożeniu broni przez Brytyjczyków francuscy Indianie, ignorując rozkazy Montcalma, masakrują wycofujące się oddziały brytyjskie. Ta bitwa i późniejsza masakra zostały uwiecznione w powieści *Ostatni Mohikanin* Jamesa Fenimorea Coopera.
- 1758 maj - Siły brytyjskie pod dowództwem generała Johna Forbesa wyruszają z Filadelfii, aby zaatakować Fort Duquesne na terenie obecnej zachodniej Pensylwanii. Wbrew gwałtownym sprzeciwom wielu Wirginijczyków, w tym Jerzego Waszyngtona, który pragnął, by wojsko otworzyło drogę z Wirginii do Ohio, Forbes tworzy pierwszą drogę ze wschodu na zachód przez góry Pensylwanii. Wkrótce potem powstają przy niej forty Bedford i Ligonier, co umożliwia szybkie zasiedlenie tego rejonu przez osadników ze wschodniej Pensylwanii. Podczas tej kampanii Brytyjczycy rozpoczęli taktykę negocjacji z plemionami sprzymierzonymi z Francuzami, aby powstrzymać je od aktywnego wspierania Francuzów.
- 1758 lipiec - Dysponujące ogromną przewagą liczebną oddziały brytyjskie, dowodzone przez generała Jamesa Abercrombyego, atakują Francuzów dowodzonych przez Montcalma przy Fortcie Ticonderoga. Po serii kosztownych błędów, w tym rzuceniu oddziałów szkockiej Czarnej Straży do ataku na silnie obsadzone umocnienia wroga bez wsparcia artyleryjskiego, Abercromby się wycofuje, poniosłszy ciężkie straty. Po trwającym miesiąc oblężeniu siły brytyjskie zajmują francuski port Louisbourg na wyspie Cape Breton, najsilniejszą fortecę francuską w Ameryce Północnej. W odwecie za masakrę przy Fort William Henry Brytyjczycy wysiedlają z Cape Breton osiem tysięcy francuskich kolonistów.
- 1758 październik - Brytyjczycy odpierają francuski atak na Fort Ligonier w Pensylwanii, po czym ponownie ruszają na Fort Duquesne. Wobec znacznej przewagi wroga Francuzi wycofują się z fortu, paląc go. Brytyjczycy odbudowują fort i nadają mu nazwę Fort Pitt.
- 1759 lipiec - Siły brytyjskie atakują francuski Fort Niagara, zajmując go, a następnie forty Venango i Presque Isle, eliminując ostatnie francuskie bazy operacyjne na zachodnim froncie. Francuzi wysadzają Fort Ticonderoga i wycofują się przed nadciągającymi dużymi siłami generała Jeffreya Amhersta. Ten wysłał zwiadowców Rogersa, aby w dalekim wypadzie zniszczyli bazę operacyjną Abenakich w St. Francis.
- 1759 wrzesień - Po krwawej trzymiesięcznej kampanii siły brytyjskie zajmują Quebec. W ostatniej bitwie na Równinie Abrahama giną głównodowodzący francuskiej i brytyjskiej armii – generałowie Louis Joseph Montcalm i James Wolfe.
- 1760 kwiecień - Przetrwawszy zimowe oblężenie Quebecu, siły brytyjskie zostają zaatakowane przez Francuzów i ponownie zwyciężają na Równinie Abrahama.

1760 wrzesień - Siły brytyjskie zajmują Montreal w ostatniej znaczącej bitwie wojny francusko-indiańskiej w Ameryce Północnej.

1761-1762 - Trwają walki między francuskimi i brytyjskimi wojskami w Indiach, Europie, na Karaibach i wybrzeżu Afryki.

1763 luty - Pokój paryski formalnie kończy wojnę, zapewniając Wielkiej Brytanii kontrolę nad Ameryką Północną na wschód od rzeki Missisipi.